

ORSON SCOTT CARD



ZŁODZIEJ WRÓT

ORSON SCOTT CARD

Magowie Mitheru Tom II

ZŁODZIEJ WRÓT

THE GATE THIEF

Przełożył Tomasz Wilusz

Rickowi Fentonowi i Gordonowi Lundriganowi

towarzyszom moich duchowych, moralnych i filozoficznych

poszukiwań i moim wzorcom pasterstwa

1.

LATAJĄCE DZIECI

Gdybyś wczesnym popołudniem pewnego listopadowego dnia zaparkował wóz przy barze hamburgerowym Kenney's w Buena Vista w Wirginii albo może wchodził do włoskiej restauracji Nick's czy grillbaru Todd's, niewykluczone, że zerknąłbyś w górę, w kierunku stojącej na wzgórzu szkoły średniej imienia Parry'ego McCluera. Mogłoby się tak zdarzyć. Gdzieś spojrzeć trzeba, nie?

Możliwe, że zauważyłbyś coś wlatującego w niebo z budynku szkoły. Coś wielkości i kształtu, powiedzmy, ucznia. Może machającego rękami. I wierzgającego nogami - to bankowo. Na pewno to człowiek.

Jak rakieta, w górę i w górę, aż znajdzie się jakiś kilometr nad Buena Vista. Wtedy na chwilę zawisa w powietrzu. Dość długo, by zobaczyć i zostać zobaczonym.

A potem leci w dół. Pionowo w dół i nie, nie spada, pędzi ku ziemi tak szybko, jak szybko się wznosił. Przy takiej prędkości ani chybi zginie.

Nie możesz uwierzyć, że to zobaczyłeś. Patrzysz więc jeszcze przez chwilę, przez kilka sekund i zobacz! Znowu to samo! Jesteś za daleko, żeby stwierdzić, czy to ten sam dzieciak, czy inny. Jeśli ktoś jest z tobą, łapiesz go za ramię, mówisz:

- Zobacz! Czy to człowiek? Dziecko?

- Gdzie?

- Na niebie! Nad szkołą, spójrz w górę, prosto w górę, mówię, widzisz to co ja?

Dzieciak spada na łeb na szyję ku szkole.

- Na pewno zginął - mówisz. - Nikt nie mógłby tego przeżyć.

I znów to samo! Pionowo w górę!

- Kurczę, niezła trampolina - mówi ten ktoś obok ciebie.

Gdybyś zauważył to odpowiednio wcześniej, zobaczyłbyś tę scenę powtórzoną jakieś trzydzieści razy. A potem nagle koniec.

Myślisz, że oni wszyscy zginęli? No nie wiem, kto mógłby coś takiego przeżyć. Pójdziemy sprawdzić? Nie jestem nawet pewien, czy to byli ludzie, mogły to być, sam nie wiem, manekiny albo coś takiego. Wyszlibyśmy na głupków - hej, macie tu może grupę dzieciaków, które katapultują się pionowo w górę i spadają z powrotem na ziemię? To nie mogło być to, co się wydaje. Może powiedzą o tym w wieczornych wiadomościach.

Trzy różne osoby nagrały to na swoich smartfonach. Nie całe zdarzenie, tylko ostatnie pięć-sześć wlotów i upadków; jeden facet zarejestrował aż piętnaście. Nie były to wysokiej jakości nagrania, co tylko przydało im wiarygodności. Wszystkie trzy zostały rozesłane pocztą

elektroniczną. Wszystkie trzy trafiły na YouTube.

Liczne komentarze: „Lipa”. „Że też ludziom chce się kręcić takie badziewie”. „Widać, że na każdego latającego manekina inaczej pada światło”. „Super. Nowe, fajne zastosowanie dla starych figurek G.I. Joe”. Jak to zwykle bywa.

Lokalne stacje telewizyjne nie są znowu aż tak lokalne. Lynchburg. Roanoke. Staunton. W nosie mają Buena Vista - ta miejscina nic nie znaczyła, nawet zanim umarła, tak myślą ludzie z dużego miasta. Jeśli któreś z tych miast można nazwać dużym.

A nagrany materiał jest tak niewiarygodny, latające postacie tak małe, że na ekranach telewizorów byłyby do niczego niepodobne. I wzbijały się tak wysoko, że w najwyższym punkcie ich wlotu widać tylko kropkę na niebie, nie ma już szczytów gór dla porównania. Jest niebo, chmury i kropka - i weź poznaj, co to takiego. Ani chybi ptak. Albo złudzenie optyczne. Dlatego w wiadomościach nic o tym nie mówią.

Jednak po świecie rozsianych jest kilka tysięcy ludzi, którzy doskonale wiedzą, co mogło sprawić, że te dzieciaki latały. Pionowo w górę, pionowo w dół, niesamowicie szybko, a mimo to ani słowa w mediach o martwych uczniach szkoły średniej w Wirginii. O tak, ci ludzie rozumieją, co się dzieje.

To działanie siły wyższej. Nie Boga. Jednego z bogów.

A przynajmniej ludzie nazywali ich bogami w dawnych czasach, kiedy Zeus, Merkury, Thor, Wisznu, Borvo, Mitra i Pekelnik czczeni byli wszędzie tam, gdzie mówiono językami indoeuropejskimi.

Dziś nikt ich bogami nie nazywał, ale wciąż istnieli. Słabsi niż dawniej, bo nie mogli już korzystać z Wielkich Wrót, którymi niegdyś przenosili się z Ziemi na Westil i z powrotem, ogromnie zwiększając swą moc.

Tylko mag wrót mógł w okamgnieniu wysłać kogoś z jednego miejsca w drugie, ale

magów wrót nie było na tym świecie od 632 roku naszej ery, kiedy to ostatni Loki Skandynawów zniszczył wszystkie wrota na Ziemi, zniknął w ostatnich Wielkich Wrotach i zamknął je za sobą.

W osadzie rodziny Northów, raptem kilka kilometrów od Buena Vista, jeden z dzieciaków zobaczył najdłuższe wideo na YouTube już kilka godzin po tym, jak pojawiło się w sieci, i niespełna dwadzieścia minut później najpotężniejsi magowie rodziny wladowali się do pikapa i pojechali do szkoły imienia Parry'ego McCluera. Wiedzieli, że za tym, co się wydarzyło, stał Danny North, Danny, syn Odyna i Gerd, chłopak, którego wszyscy uważali za drekkę, dopóki pewnego dnia nie zniknął.

Teraz przekonali się, że nie uciekł tak daleko, jak sądzili. I że wcale nie był drekką, tylko magiem wrót. I to silnym. Bo wideo nie pokazywało kogoś, kto nagle pojawia się w powietrzu, jak to zwykle przy korzystaniu z wrót było. Nie, na nagraniu widać, jak lecące postacie wznoszą się w niebo. Poruszają się szybko, owszem, ale nie błyskawicznie. Można prześledzić cały ich wzlot.

Czyli nie były to zwyczajne wrota. To była próba stworzenia Wielkich Wrót. Spiralnego splotu wielu wrót naraz, wznoszącego się pionowo ku niebu. I nawet jeśli sięgały tylko na wysokość kilometra, to i tak o jeden kilometr Wielkich Wrót więcej niż przez ostatnich czternaście stuleci.

Niektórzy z bogów w tym pikapie jechali do szkoły imienia Parry'ego McCluera po to, żeby znaleźć Danny'ego Northa i go zabić. Tak właśnie bowiem postępowało się z magami wrót - rodzinie nie przynosili nic oprócz kłopotów i gdyby Northowie mieli maga wrót i darowali mu życie, wszystkie rodziny zjednoczyłyby się przeciwko nim i tym razem nie dałyby im przetrwać nieuniknionej wojny.

Northowie musieli pokazać zwłoki Danny'ego pozostałym rodzinom - tylko tak mieli szansę przeżyć. Tego nauczyła ich historia.

Jednak reszta bogów w tym samochodzie miała zupełnie inny plan. Ojciec i matka Danny'ego świetnie wiedzieli, że Danny jest magiem wrót - w nadziei na splodzenie maga wrót Gerd i Alf pobrali się, zanim Alf został głową rodziny i przyjął imię Odyn. Dwoje najpotężniejszych magów od pokoleń: Gerd, magini światła posiadająca władzę nad elektrycznością i światłem, i Alf, mag kamienia z dziwnym nowym darem do wnikania w mechanizmy metalowych maszyn. Wszyscy się spodziewali, że ich dziecko będzie nadzwyczajnie uzdolnione.

Gerd i Alf przestudiowali tablice genealogiczne i wiedzieli, że magowie wrót, jeśli już się pojawiali - co zdarzało się rzadko - najczęściej byli potomkami par magów o całkowicie odmiennych zdolnościach. Na przykład maga kamienia i magini błyskawicy albo maga wody i magini ognia. I nigdy magów zwierząt. Mieli więc nadzieję. Tym silniejszą, że ich syn nie wykazywał najmniejszego talentu magicznego - nawet nie potrafił wzbudzić klanta. Bo owszem, mógł być nic niewartym, pozbawionym mocy drekką; ale mógł też być magiem wrót, niezdolnym wzbudzić klanta dlatego, że jego zewnętrzne ja podzielone było między wszystkie potencjalne wrota, które mógł stworzyć w swoim życiu.

I rok temu, kiedy Danny uciekł z domu - i zanim zdołał się za bardzo oddalić - Thor porozmawiał z nim przez swojego klanta i potwierdził, że tak, Danny stwarza wrota, i tak, nareszcie wie, kim jest.

Dlatego bogowie w tym samochodzie podzieleni byli na dwa równe obozy: tych, którzy zamierzali zamordować Danny'ego, zanim zdąży zrobić wrota i uciec, i tych, którzy byli zdeterminowani wykorzystać jego moc z pożytkiem dla rodziny.

Spóźnili się. Danny już stworzył Wielkie Wrota, a Złodziej Wrót ich nie pożał. Danny miał przyjaciół - sieroty nienależące do żadnej z rodzin - i kilkoro z nich przeszło przez Wielkie Wrota tam i z powrotem. W ten sposób posiadli moc, jakiej się nikt nie oprze. Northowie ponieśli

całkowitą, sromotną klęskę i zostali odesłani do domu.

Jednak żaden z nich nie zginął. To, że Danny i jego przyjaciele nie wyrządzili im poważnej krzywdy, było dobrym znakiem. Może jeszcze da się coś wykombinować - zwłaszcza jeśli wyeliminują frakcję Northów, która wciąż pragnie śmierci Danny'ego. Czasy się zmieniły, wujku Zog! Nie możemy zabić naszego maga wrót, dziadziu Gyish!

Musimy przekonać Danny'ego, żeby pozwolił nam przejść przez Wielkie Wrota!

Widzieliście, jaką moc zyskali jego przyjaciele - siostra krów strąciła twojego orła z nieba, Zogu!

Prosty przyjaciel kamieni otworzył w ziemi szczelinę, która połknęła nasz samochód!

Wyobraźcie sobie, czego dokona Odyn ze swoją władzą nad metalem i maszyną, jakie cuda

Gerd będzie robić z elektrycznością, kiedy przejdą przez Wielkie Wrota.

I wyobraźcie sobie, co zrobią nam pozostałe rodziny, jeśli Danny pozwoli im przejść przez Wielkie Wrota przed nami. Nie, to nie powód, żeby go zabić - zresztą jak mielibyśmy się do niego choćby zbliżyć? Dostał ostrzeżenie, jest przygotowany, ucieknie przez wrota i tyle. Znacie stare opowieści. O skrzydlatych sandałach Merkurego, o siedmiomilowych butach - magowie wrót mogą się ulotnić, jak tylko wyczują zagrożenie z waszej strony, albo wyrosną wam nagle za plecami i was zabiją, zanim się obejrzyicie.

Magowie wrót są chytry! Jak już posiadają pełną moc, nie sposób ich zabić. Nawet gdybyście jakimś cudem niepostrzeżenie się do nich podkradli, przejście przez wrota leczy wszelkie rany. Nie stanowimy zagrożenia dla maga wrót. Potrzebujemy go - żywego i po naszej stronie. Dlatego musimy z nim pomówić. Odwołać się do jego lojalności względem rodziny.

A jeśli dalej będziecie nastawać na jego życie, nie pozostanie nam nic innego, jak tylko zakopać was na Hammernip Hill. Dla dobra rodziny.

Rozumiecie, tak, na pewno - sami postąpilibyście tak samo. Na świecie jest mag, który stworzył Wielkie Wrota i wyszedł cało ze starcia ze Złodziejem Wrót. I tym magiem jest nasz

Danny. Zna nas, wśród nas dorastał. Jego korzenie tkwią w naszym ogrodzie. Musimy położyć na to nacisk. Ściągnąć go do nas z powrotem. Nie drażnić go idiotycznymi zamachami na jego życie. Rozumiecie? Zostawicie go w spokoju? Będziecie go strzec? Zaprzyjaźnicie się z nim? Tak, teraz tak mówicie, ale czy możemy wam zaufać? Trzymajcie się od niego z dala.

Niech Odyn i Gerd z nim pertraktują. Albo Thor. Czy Mook i Lummy. Ludzie, których lubi i którym ufa. Nie pokazujcie mu się na oczy. Chcemy, żeby zapomniał o tym, jak podle go traktowaliście, kiedy dorastał.

*

Northowie nie byli jedyną rodziną, która zobaczyła te filmiki na YouTube - po prostu mieli do Danny'ego najbliżej. Ilirowie na przykład już wcześniej wiedzieli, że w rodzinie Northów jest mag wrót. Dlatego stale Northów szpiegowali.

I kiedy zaginęła ich własna poszukiwaczka wrót, Hermia, podejrzewania Ilirów się potwierdziły. Przez pewien czas sądzili, że mag wrót Northów ją zabił - przeniósł wrotami na dno oceanu albo w kosmos. Pewnego dnia jednak wypatrzył ją jeden z ich klientów - była cała i zdrowa, i korzystała z wrót.

A teraz te filmiki na YouTube potwierdziły, że mag wrót Northów jest potężny - że jest Ojcem Wrót, zdolnym samodzielnie, albo może z pewną pomocą Hermii, stworzyć Wielkie Wrota - przyszedł więc czas, by ściągnąć Hermię z powrotem na łono rodziny. Istniało spore prawdopodobieństwo, że maga wrót Northów da się przekabacić, zwerbować do rodziny Argyros. Hermia była narzędziem, które im to umożliwi. Które pozwoli magom ilirskim przejść na Westil i z powrotem.

Jak już magowie odzyskają pełną moc, któż im się przeciwstawi?

Pozostawione samym sobie przez czternaście stuleci, drekki narobiły nielicznego bałaganu i nie rokowały poprawy. Czas, by Ziemią znów władali bogowie.

NAZAJUTRZ

Wczesnie rano, kiedy trener Lieder był jeszcze w domu, Danny przybiegł do niego z małego domku, w którym mieszkał sam. Mógł przejść tu wrotami, ale to obróciłoby w kpinę decyzję, którą podjął zeszłego wieczoru po konfrontacji z własną rodziną: by już nigdy nie stwarzać wrót w szkole. Teoretycznie dom Liedera to nie szkoła, ale skoro tę obietnicę złożył samemu sobie, kogo w ten sposób miałby oszukać?

Poza tym tej nocy prawie nie zmrużył oka. Przebieżka na rześkim - a raczej zimnym - porannym powietrzu dobrze mu zrobiła. Kiedy chcesz być w pełni przytomny, a nie rozdygotany, jogging działa lepiej od kawy.

Zapukał lekko. Nie nacisnął dzwonka, bo a nuż któryś z domowników jeszcze spał.

Zaczekał cierpliwie, zanim ponowił pukanie. Tym razem drzwi się otworzyły.

Trener Killer - przepraszam, trener Lieder - stanął na progu w całej swojej roznegliżowanej chwale. Najwyraźniej sypiał w bokserkach i starym T-shircie - nikt nie przebrałby się w taki strój z samego rana. Miał zapuchnięte oczy, był spięty, zaniepokojony. To Danny'ego zaskoczyło, bo w szkole Killer zwykle okazywał tylko dwa uczucia: pogardę i gniew. Teraz wydawał się bezbronny, jakby coś go zraniło albo zranić mogło; jakby był w żałobie albo spodziewał się, że wkrótce będzie.

- Ty - powiedział Lieder. I w tej chwili pogarda powróciła.

Danny spodziewał się, że trener jakoś skomentuje incydent z liną wczoraj na wuefie. On jednak stał i milczał.

- Sorze, wiem, że pora jest wczesna - powiedział Danny.

- Czego chcesz?

Cóż, jeśli zamierzał udawać, że nic się nie stało, Danny nie miał nic przeciwko. Tyle że

teraz musiał wymyślić jakiś powód swojej wizyty. Jeśli nie chce zminimalizowania szkód wyrządzonych demonstracją jego boskich mocy w sali gimnastycznej, co innego mogło go tu sprowadzić?

- Tak sobie pomyślałem, że może sor zmierzyłby mi czas.

Lieder był zaskoczony, nieufny. Po tylu miesiącach, w ciągu których Danny na złość nie dawał mierzyć czasu swoich najszybszych biegów, to naturalne, że zwietrzył podstęp.

- Znudziły mi się te gierki - tłumaczył Danny. - Jestem w szkole średniej. Powinny mnie obchodzić sprawy szkoły średniej. - I z chwilą ich wypowiedzenia te słowa stały się prawdą. Może fajnie będzie być w szkolnej drużynie lekkoatletycznej, nawet jeśli Lieder to skończony palant.

- Takie jak budzenie swoich nauczycieli? - spytał Lieder zimno.

Naprawdę jeszcze spał? Pora była wczesna, ale wydawałoby się, że ktoś, kto o siódmej miał poprowadzić pierwszy tego dnia trening, powinien już wstać i się ubrać.

- Odmierzyłem krokami sto metrów - powiedział Danny. Tak naprawdę częścią jego daru było doskonałe wycucie odległości, z dokładnością do trzydziestu centymetrów na dystansie stu metrów albo trzech milimetrów na dystansie metra. - Ma sor zegarek?

Lieder uniósł lewy nadgarstek.

- Jestem trenerem, noszę stoper.

Danny lekko potruchtał na miejsce startu.

- Gotowy? - zapytał.

Lieder, wyraźnie poirytowany, położył palec na ustach. Potem przysunął prawą dłoń do stopera, spojrzął na Danny'ego i kiwnął głową.

Danny zerwał się do sprintu. Sto metrów to niedużo - nie musiał oszczędzać sił ani nic takiego. Dał z siebie wszystko - a przynajmniej wszystko, na co go było stać o wpół do siódmej

rano po nieprzespanej nocy.

Kiedy znalazł się na wysokości ścieżki prowadzącej do drzwi Liedera, przerwał piersią wyimaginowaną taśmę, zwolnił do truchtu, zatrzymał się i spojrzał na trenera wyczekująco.

- Możesz pobiec jeszcze raz? - spytał Lieder.

- Parę kilometrów? - spytał Danny.

- Wystarczy te sto metrów.

Chłopak potruchtał z powrotem na miejsce startu, zaczekał na skinienie głową, znów pobiegł. Za wyimaginowaną linią mety zwolnił, ale tym razem zatrzymał się dopiero na ganku Liedera.

- To co, załapię się do drużyny lekkoatletycznej?

- Na próbę - powiedział Lieder.

- Nie jestem jeszcze wystarczająco szybki? Czy sor chce, żebym trochę pocierpiał za karę, bo do tej pory byłem takim palantem?

- Wszystkich na początku biorę na próbę, żeby zobaczyć, czy potrafią słuchać trenera.

- Czyli jednak nie jestem szybki?

- Nawet najszybsi mogą być jeszcze lepsi - stwierdził Lieder. - Szybkim biegaczom warto poświęcić czas.

- Niech mi sor powie. Nadaję się?

- Będziesz w pierwszej drużynie. A teraz dasz mi dokończyć śniadanie?

Danny uśmiechnął się szeroko.

- Proszę bardzo - powiedział.

Lieder zamknął za sobą drzwi.

Kiedy Danny ruszył z powrotem w stronę ulicy, drzwi Liedera otworzyły się znowu.

- A ty jadłeś śniadanie?

- Nie jadam śniadań - rzekł Danny.

- Od dzisiaj to się zmieni. Moi sportowcy muszą jeść.

- Nie jestem sportowcem. Jestem biegaczem.

Lieder stał w drzwiach ze srogą miną, ale wyraźnie się wahał.

- Muszę być lekki, jeśli mam być szybki - wyjaśnił Danny.

- Albo jesteś w drużynie, albo nie. - Lieder zerknął w głąb domu, po czym znów odwrócił się do Danny'ego. Jego mina wróżyła, że bez kłótni jednak się nie obejdzie.

Danny widział, że Lieder chciał go skrzyczeć. Coś jednak kazało trenerowi milczeć. W domu był ktoś, kogo nie chciał obudzić. Albo ktoś, przy kim nie chciał krzyczeć na dziecko.

- Proszę posłuchać, panie Lieder - powiedział Danny. - Chcę się przydać drużynie. Ale nie należę do pana. Zmierzył mi pan czas. Jeśli w pańskiej ocenie jest na tyle dobry, że mogę startować w zawodach, to będę pod pana kierunkiem startował. Będę słuchał pana rad i starał się być coraz lepszy. Będę pracował nad siłą i wytrzymałością. Będę robił wszystko, co ma sens. Ale nie będzie mi pan mówił, co mam jeść, ani zarządzał moim czasem. Jak będę mógł, przyjdę na trening, jak nie, to nie, i nie będę się z tego tłumaczył.

- Wobec tego zapomnij o sprawie - rzekł Lieder. - Nie potrzeba mi takich bezczelnych gnojków jak ty.

- Jak sor chce - odparł Danny. - Przedstawiłem propozycję, sor ją odrzucił. Teraz pan Massey nie będzie miał się do mnie o co przyczepić.

- Nie przedstawiłeś żadnej propozycji, do cholery - powiedział Lieder jeszcze ciszej i wyszedł o krok za próg. - Jak jesteś w drużynie, obowiązują cię te same reguły co wszystkich.

A zatem chce mnie nadal, pomyślał Danny. Musiałem mieć naprawdę niezły czas.

- Rozumiem, dlaczego sor nie chce, żeby jeden uczeń mógł liczyć na specjalne traktowanie

- powiedział. - Ale ja nie mam wyboru. Nie jestem panem swojego czasu. Bywa, że w ostatniej

chwili się dowiaduję, że muszę gdzieś być. Nie ja o tym decyduję i jeśli opuszczę trening, nie chcę wysłuchiwać jakichś bzdurnych kazań na ten temat.

- W takim razie żegnam. Dzięki, że mnie obudziłeś, gnojku.

- W porządku. - Danny ruszył w stronę ulicy.

- To jeszcze nie koniec - rzucił Lieder.

Danny zawrócił i podszedł do ganku.

- Dla mnie tak - powiedział.

- Jesteś uczniem. Jeśli rodzice nie usprawiedliwią każdej twojej nieobecności, nie będziesz mógł sobie bezkarnie zniknąć wtedy, kiedy ci się podoba.

- W ciągu dnia jestem w szkole - zaczął tłumaczyć Danny. - Nie opuszczam lekcji. Ale przed szkołą i po szkole mam rozmaite zajęcia. Zaproponowałem, że część tego czasu poświęcę drużynie lekkoatletycznej, tyle, ile zdołam. To sorowi nie wystarczyło. Rozumiem to; nawet się z sorem zgadzam. Nie ma dla mnie miejsca w drużynie. Ale na tym koniec. Dość gadania na ten temat. Pozwoliłem sorowi zmierzyć mi czas i sor uznał, że nie jestem aż tak potrzebny drużynie, by przyjąć mnie na warunkach, na jakich skłonny byłbym w niej występować.

- Za kogo ty się masz?! - spytał Lieder podniesionym głosem. Wreszcie wyłaził z niego tyran. - Gadasz, jakbyś się uważał za gwiazdę światowego formatu, negocjującą z zawodową drużyną. Jesteś nieletni, jesteś uczniem, zgodnie z prawem musisz chodzić do szkoły, a w szkole ja, nauczyciel, mam nad tobą władzę.

- Co się dzieje? - Za plecami Liedera rozległ się słaby głos. Kobiocy... chyba. Tak ochrypli, że trudno byłoby określić płeć mówiącego, lecz trener obrócił się, odsłaniając staruszkę w przedpokoju.

Słaba kobieta - taką łatwo tyranizować, pomyślał Danny.

Ale nie, Lieder przecież starał się jej nie przeszkadzać. I teraz, kiedy Danny przyjrzał jej się

uważniej, zobaczył, że ta kobieta nie jest stara. Nie jego matka, jak uznał w pierwszej chwili.

Wyglądali raczej jak mąż i żona. Tyle że ona była strasznie mizerna. Musiało dolegać jej coś bardzo poważnego, szlafrok wisiał na niej, jakby dziecko ubrało się w sukienkę dorosłej kobiety. Rak, pomyślał Danny. W domu Lieder opiekuje się żoną umierającą na raka. Potem idzie do szkoły i wyładowuje się na uczniach.

Wczoraj pastwił się nad Halem i dlatego Danny zrobił ciąg wrót - żeby pomóc kumplowi wdrapać się po linie pod sufit sali gimnastycznej. Ciąg wrót, które splotły się ze sobą i okazały się początkiem Wielkich Wrót.

Za łatwo było przyjąć, że Lieder stał się tyranem z powodu umierającej żony. Takie zachowanie przychodziło mu zbyt naturalnie, to był nawyk, element jego osobowości. Pewnie tyranem był zawsze. Tyle że teraz jest tyranem, który ma poza tym jakieś zmartwienie.

- Nic się nie dzieje, Nicki - rzekł Lieder.

- Dlaczego nie zaprosisz tego chłopca do środka? - spytała kobieta w szlafroku. - Nie widzisz, jaki jest zmarznięty?

- Nie trzeba - zachnął się Danny.

- Nie trzeba - powtórzył za nim Lieder.

- Wejdz, napij się kakao - powiedziała Nicki.

- Musi iść do szkoły - zauważył Lieder. - Ja też.

Danny jeszcze przed chwilą skłonny był odrzucić zaproszenie, ta pani jednak nalegała i siedzący w nim psotnik nie mógł nie skorzystać z pretekstu do dobrej zabawy. Poza tym był zmęczony, zmarznięty i wkurzony na Liedera.

- Właściwie... w szkole muszę być dopiero o wpół do dziewiątej. Nie jestem w żadnej z drużyn, które trenują przed lekcjami.

- Nie zalecam picia kakao moim sportowcom - zaproponował Lieder.

- Traktuję je jako napój energetyzujący - rzekł Danny. - No i chętnie się trochę rozgrzeję.

- W takim razie wejdź - powiedziała Nicki.

Kiedy Danny mijał Liedera w drodze do drzwi, trener chwycił go mocno za bark i z furią wysyczał mu w ucho:

- Nie wejdiesz do mojego domu.

- Co? - zapytał Danny. - Nie dosłyszałem.

Lieder nie zwalniał uścisku.

- Dosłyszałeś - szepnął.

Danny przemieścił się wrotami o dwa centymetry. Jeszcze wczoraj rano nie umiałby tego zrobić - stworzyć wrót i nasunąć ich na siebie tak ściśle, by wchłonęły tylko jego ciało i ubranie, nie rękę Liedera. Jednak wrota, które zeszłego wieczoru ukradł Złodziejowi Wrót, składały się z zewnętrznych ja setek magów wrót, oni zaś wszyscy byli za życia psotnikami o większych umiejętnościach niż Danny. Zdołał te zewnętrzne ja zamknąć w swoim skarbcu serca - w swoim schowku - i mógł w pewnym stopniu korzystać z wiedzy ich dawnych właścicieli, a przynajmniej z ich doświadczenia, odruchów, nawyków i zdolności.

Musiał sobie je wszystkie nieświadomie przyswoić, bo nawet o tym nie pomyślał, po prostu to zrobił.

Gdybym to potrafił rok temu, w Waszyngtonie, nie miałbym kłopotu z bandziorem, który złapał Erica na zapleczu tamtego sklepu.

Zdarzyło się jednak coś jeszcze, coś, czego Danny nie przewidział. Kiedy przeniósł się wrotami o dwa centymetry, nie zabierając ze sobą mocno zaciśniętej dłoni Liedera, jego ciało znalazło się dokładnie tam, gdzie palce Liedera. Palce te zostały wyparte z tego wycinka przestrzeni tak błyskawicznie, że kości nie tyle się połamały, ile obróciły w proch.

Danny usłyszał zduszony okrzyk bólu, zobaczył bezwładnie zwisające, jakby puste w

środku palce i od razu pojął, co się stało. Zanim zduszony okrzyk Liedera mógł przejść w rozzierający wrzask, Danny nasunął wrota na jego ciało, uzdrawiając go.

Lieder nie czuł już bólu, ale go pamiętał. Bardzo wyraziście.

- Niech sor nigdy więcej mnie tak nie dotyka - powiedział Danny.

- Chodź, tatusiu, usiądź z nami! - zawołała Nicki z głębi domu. Najwyraźniej wciąż mówili do siebie per „mamuśko” i „tatusiu”, choć ich dzieci pewno już dorosły. - Masz czas. Dzieciaki będą biegać rundki dookoła boiska, dopóki nie przyjdiesz.

Danny wiedział, że dzieciaki będą siedzieć i gadać albo drzemać, ale nie zamierzał pozbawiać Nicki złudzeń. Musiał zająć się Liederem, na którego twarzy wciąż malowały się szok i przerażenie wywołane doznany bólem.

- Niczego się sor nie nauczył? - spytał łagodnie. - Czy to się sorowi podoba, czy nie, najrozsądniej jest zejść mi z drogi.

- To mój dom - szepnął Lieder.

- A to, co sor ścisnął, to mój bark - powiedział Danny. - Nietykalność osobista, trenerze.

I wszedł do domu Liedera.

Trener został na zewnątrz. Bez wątpienia usiłował rozgryźć, co się stało. Jak on to odczuł?

Na pewno niezwykle boleśnie - ale czy zrozumiał, że kości jego palców na chwilę zmieniły się w drobne, potrzaskane kawałeczki w obwisłych workach skóry? Czy poczuł, że chłopak w mgnieniu oka przesunął się o dwa centymetry, czy po prostu odniósł wrażenie, że wyrwał mu się z niewiarygodną siłą?

Danny szybko znalazł kuchnię. Kakao najwyraźniej było gotowe jeszcze przed jego przyjściem, bo Nicki właśnie rozlewała je do trzech filiżanek. Robiła to powoli. Trzymała dzbanek oburącz. Drżał w jej uścisku. Danny wręcz czekał, kiedy wyśliznie się z jej palców.

To nie było rozmyślne ani zaplanowane. Raczej odruch, tak jakby Danny zobaczył dzbanek

wysuwający się z jej dłoni, i skoczył naprzód, żeby go złapać. Tylko że ani ona nie upuściła dzbanka, ani on nie próbował chwycić go rękami. Nasunął wrota na chorą kobietę i przeniósł ją o nie więcej niż grubość włosa.

Odczuła to jako dreszcz.

- Mróz przeszedł mi po kościach - powiedziała z cichutkim śmiechem, po czym drgnęła, jakby spodziewała się ataku kaszlu.

Ale wrota ją uzdrowiły. Tak było zawsze. Przejście przez wrota leczyło każdą dolegliwość, jeśli tylko delikwent miał wszystkie członki w komplecie i nie był zupełnie martwy.

Nie żeby od razu nabrała krzepy - na pozór nic się w niej nie zmieniło. Tyle że dłonie trzymające dzbanek przestały drżeć, policzki się zarumieniły i w ogóle Nicki nie wydawała się już tak krucha.

- Dziwne - powiedziała, dalej nalewając kakao. - Przeszedł mnie zimny dreszcz, a teraz nagle zrobiło mi się ciepło. Nie pamiętam, kiedy ostatnio było mi ciepło.

- Tak to jest, jak się ma piec w domu - zauważył Danny. - W jednej chwili człowiekowi zimno, w następnej gorąco. No i proszę nie zapominać, że ma pani w rękach dzbanek gorącego kakao.

- Jasne - zgodziła się. - Nic dziwnego, że mi ciepło! Powinno mi być wręcz gorąco.

- Bardzo dziękuję za poczęstunek - rzekł Danny. - Normalnie nie jem śniadania, ale dzisiaj jest taki ziąb, że nawet porządna przebieżka nie rozgrzała mnie tak jak zwykle.

Zaśmiała się i odstawiła dzbanek. Filiżanki były pełne. Zasłoniła usta.

- Nie wiem, czemu się zaśmiałam. Nie powiedziałeś nic śmiesznego.

- Ale powiedziałem to w śmieszny sposób - stwierdził Danny.

- W ogóle zabawnie mówisz.

- Trochę mieszkałem w Ohio, ale nie wiedziałem, że nabrałem tamtejszego akcentu.

- Nie, nie chodzi o akcent. Mówisz tak, jakbyś rozumiał dowcip, ale nie oczekiwał, że zrozumie go ja. Lecz chyba teraz go zrozumiałam. Zabawne, co?

Danny uprzytomnił sobie, że ta dłoń na jej ustach, to, jak ta kobieta patrzy na filiżanki zamiast na niego - że to oznaki nieśmiałości.

Widział takie zachowania na co dzień, ale nie u osób dorosłych. Nie, widział je w szkole. U dziewczyn, kiedy rozmawiał z nimi jakiś chłopak. Chłopak, który im się podobał, może nawet bardzo, i nie mogły uwierzyć, że zwrócił na nie uwagę.

To nie jest żona trenera Liedera, pomyślał Danny. To jego córka.

Nazywała go tatusiem nie zwyczajem starego małżeństwa, tylko dlatego, że naprawdę był jej ojcem.

- Mogę zapytać, ile masz lat? - spytał.

- Zgadnij. - Chyba nie lubiła tego pytania.

- Nie mogę zdecydować, czy szesnaście, czy osiemnaście.

- Siedemnaście ci z jakiegoś powodu nie pasuje? - W jej głosie słychać było ulgę. Od dawna nikt jej nie powiedział, że wygląda tak młodo. Bo i jakim cudem?

- Siedemnaście lat to taki nijaki wiek - powiedział Danny. - Jak masz szesnaście lat, możesz wyrobić sobie prawo jazdy, jak osiemnaście, możesz głosować.

- Siedemnastolatków wpuszczają na filmy dla dorosłych - zauważyła Nicki. - Nie żebym gdziekolwiek chodziła.

- Nie żeby było tu kino, do którego warto chodzić - dodał Danny.

- Nie w Buena Vista - zgodziła się Nicki. - Ale w Lexington jest. Po prostu... rzadko wychodzę z domu. Ostatnio nawet nie oglądam filmów w telewizji. Jakoś szybko mi się nudzą. Zasypiam. Nie ma sensu wypożyczać filmu po to tylko, żeby cały przespać.

- Jesteś chora.

- Och, ja umieram - powiedziała. - Miewam lepsze i gorsze chwile. Akurat teraz zanosi się na dobry dla mnie dzień. Bardzo dobry. Pewnie dzięki towarzystwu.

- Pyszne kakao - rzekł Danny.

- Tatuś kupuje mi tylko najlepsze. Z innymi obchodzi się szorstko, ale dla mnie jest dobry.

Bardzo. Czasem myślę sobie, że ja jedna znam go naprawdę. - Upiła łyk z filiżanki. - Wiem, że był zły na ciebie. Dlatego podeszłam do drzwi.

- Dzięki, że mnie uratowałaś - powiedział Danny. - Zdaje się, że twój ojciec nisko ocenia moją umiejętność pracy zespołowej.

- Świata nie widzi poza swoimi drużynami. Chce, żeby wszyscy dawali z siebie wszystko, ale szkoła McCluera nie słynie z ambitnych uczniów. - Znow dotknęła swoich ust. - Nie do wiary, że tak powiedziałam. Nie... nie byłam sarkastyczna od lat.

- Pora nadrobić zaległości - stwierdził Danny. - Myślę, że każdy powinien co najmniej raz w tygodniu powiedzieć coś sarkastycznego. Oczywiście, ja wyrobiłem normę na wiele lat naprzód.

- A ja jestem o całe lata do tyłu. Ale robi się późno. Nie chcę, żeby przeze mnie i moje kakao wezwali cię na dywanik do wicedyrektora.

- Bardziej boję się trenera Liedera niż wicedyrektora. Zresztą kiedy wpadam w kłopoty, zwykle mam rozmowę z dyrektorem Masseyem.

- Dla ciebie tylko to, co najlepsze - powiedziała Nicki.

- Albo dla niego tylko to, co najgorsze - stwierdził Danny.

Zaśmiała się, on też; jednak wstał i zaniósł ich filiżanki do zlewu. Filiżanka trenera Liedera stała nietknięta na stole.

- Przykro mi, że znasz mojego ojca tylko z jego zrzędlivej strony.

- Dobrze wiedzieć, że ma też inne. Zakładam, że widziałaś je na własne oczy, a nie tylko

szerzysz pogłoski.

- To byłaby raczej plotka. - Chwila zawahania. - Zobaczymy się jeszcze?

- Wątpię - odparł Danny zgodnie z prawdą. - Twój ojciec chyba jest bardzo niezadowolony, że przyjąłem twoje zaproszenie.

- A gdybym zaprosiła cię znowu?

- Trener ma broń?

- Tak, ale nie umie strzelać. Chyba kupił ją, żeby zmanifestować swoje poglądy polityczne.

Albo na wypadek gdyby jakiś uczeń przyszedł go zabić ciemną nocą, pomyślał Danny.

- Dzięki za kakao. Bardzo się rozgrzałem.

- Ja też - powiedziała.

Dotarł do drzwi bez eskorty. Na zewnątrz, koło samochodu, czekał trener Lieder. Danny spodziewał się bury, nauczyciel jednak zaproponował:

- Wsiadaj. Podwiozę cię do szkoły.

Danny usiłował zgłębić jego zamiary - czy mówił tak łagodnie tylko dlatego, że bał się, iż usłyszy go Nicki? Potem jednak pomyślał: jeśli powie coś, co mi się nie spodoba, zawsze mogę uciec wrotami.

Zaraz się skarcił w duchu. Zrobiłem dziś już troje wrót, a jeszcze dzień nie minął od czasu, kiedy przysiągłem nie stwarzać wrót w Buena Vista.

Oprócz tych, które będą go przenosić na farmę Mariona i Leslie w Yellow Springs, i tych, którymi Veevee przechodziła z Naples na Florydzie do jego domu i z powrotem. Jedne i drugie odtworzył zeszłego wieczoru, kiedy odzyskał swoje wrota od Złodzieja Wrót.

W samochodzie trener Lieder był dziwnie cichy. Jednak gdy się odezwał, jego głos brzmiał groźnie jak zawsze.

- Jakie masz zamiary wobec mojej córki?

Danny'emu cisnęło się na usta: „Poza tym, że uzdrowiłem ją z tego, na co umierała?”.

Zamiast tego odpowiedział:

- Nie mam żadnych zamiarów. Zaprosiła mnie na kakao. Wypiłem kakao.

Porozmawialiśmy. To wszystko.

- Lubi cię - powiedział Lieder.

- Ja ją też - odparł Danny. - Ale jeśli sor się o to martwi, nie lubię jej w „taki” sposób, po prostu jest miła, miło nam się gadało i to wszystko. Miła chwila. Dlatego nie ma sor powodów do obaw.

Lieder długo milczał. Dopiero kiedy podjeżdżali stromą drogą przed szkołę, rzekł:

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby z kimś tak swobodnie rozmawiała.

- Pewnie ma dobry dzień - skomentował Danny.

I znowu cisza, aż zatrzymali się na miejscu parkingowym Liedera. Widać nawet trenerzy bez wielkich osiągnięć dostawali własne miejsce parkingowe.

- Nie spytałeś mnie, co jej jest - powiedział Lieder, kiedy Danny otworzył drzwi samochodu.

- Nic jej nie jest. - Danny udał zdziwienie.

- Przecież widać, że jest chora.

- Nie zauważyłem - skłamał Danny z premedytacją. Zanim trener wieczorem wróci do domu, jej stan się znacznie poprawi, za tydzień zaś pewnie będzie już wyglądała fantastycznie, przynajmniej w porównaniu z tym, co było wcześniej, i Danny chciał, by nauczyciel pomyślał, że ta poprawa zaczęła się jeszcze przed jego dzisiejszą wizytą.

- Toś dureń - powiedział Lieder.

- Och, tyle to ja wiem - odparł Danny. - Dzięki za podwiezienie. - I poszedł.

Za progiem szkoły go olśniło: Lieder pewnie myśli sobie, że mógłbym uprzyjemnić jego córce ostatnie tygodnie życia. Choć miałby wiele uciechy, obserwując, jak trener stara się być dla niego miły - wbrew swojej naturze - to byłoby nie fair wobec Nicki. Przede wszystkim dlatego, że Nicki nie umrze. Przynajmniej nie na tę swoją chorobę, czymkolwiek była. Kiedy Lieder się o tym dowie, kiedy lekarze powiedzą mu, że nastąpiła pełna remisja, będzie chciał jak najszybciej wybić jej Danny'ego z głowy. Danny więc oszczędzi im obojgu zachodu i nigdy więcej do ich domu nie wróci.

Na razie miał większe zmartwienie - będzie musiał stanąć przed chłopakami ze swojej grupy na wuefie, a oni pewnie przez cały ostatni wieczór opowiadali wszystkim znajomym o wspinaczce na magicznej linie i podziwianiu widoku na dolinę rzeki Maury z wysokości kilometra. Cokolwiek na tej lekcji zobaczył Lieder, dziś o tym nie wspomniał. Wczoraj zdawał się winić Danny'ego za to, co się stało. „Bawią się jak w wesołym miasteczku - powiedział. - To twoja sprawka”. Ale dziś słowem do tego nie nawiązał.

I kiedy Danny szedł korytarzami szkoły na pierwszą lekcję, nie zauważył jakiegoś nadzwyczajnego poruszenia, nie usłyszał też żadnej wzmianki o magicznej linie. To było niepokojące - jak to możliwe, by uczniowie szkoły średniej nie rozmawiali o tak dziwnym przeżyciu?

Okazja, by o to zapytać, nadarzyła się dopiero na następnej lekcji, kiedy spotkał Hala.

- Kpisz sobie? - spytał Hal. - Nikt nikomu o tym nie mówi, bo wszyscy by pomyśleli, że zwariowaliśmy. Albo że mieliśmy halucynacje. Czy byliśmy naćpani.

- Ale ty wiesz, że to się naprawdę stało.

- Teraz już tak, bo też to pamiętasz. Co to w ogóle było, stary? Co się stało?

Ależ to było dziwne. Ludzie twierdzą, że cuda zdarzają się na co dzień, nawet gdy tak naprawdę nie dzieje się nic. Tym razem jednak, kiedy rzeczywiście stało się coś

nadzwyczajnego, nikt o tym nie mówił. Wydaje się, że kiedy ludzi coś naprawdę wystraszy, wyłącza im się skłonność do paplania.

- Wiem tyle co ty - powiedział Danny. Jednym z darów magów wrót jest to, że są dobrymi psotnikami, a tym samym potrafią przekonująco kłamać, bo trudno spłatać komuś psotę, jeśli nie umie się go oszukać.

Hal przeszył go twardym wzrokiem.

- Wyglądasz, jakbyś mówił szczerą prawdę, a z drugiej strony to ty kazałeś mi złapać linę i się na niej zakręcić, zanim poleciałem w górę. To tobie trener Killer kazał pomóc mi wleźć pod sufit, więc jak mogę nie myśleć, że to wszystko twoja robota?

- Nawet jeśli, co z tego? Komu byś o tym powiedział? Co by z tego wynikło?

- Nic, stary. Uratowałeś mi tyłek pod każdym względem, myślisz, że zrobiłbym cokolwiek, żeby ci zaszkodzić? Ale wczoraj nagle się ulotniłeś, wyszedłeś na dwór, kiedy ta sztuczka z liną przestała działać, i jak poleciałem za tobą, już cię nie było. Zniknąłeś. Kim ty jesteś, stary?

Kosmitą?

- Nordyckim bogiem - rzekł Danny.

- Znaczy, Thorem czy kimś takim? - Hal się zaśmiał.

- Raczej Lokim.

- To twoja ostateczna odpowiedź? Naprawdę mam w to wierzyć?

- Wierz, w co chcesz - powiedział Danny. - Lekcja się zaczyna. - Ruszył do drzwi i Hal wszedł za nim do sali.

*

Hermia siedziała w Applebee's przy Lee Highway i patrzyła przez witrynę na samochody wjeżdżające i wyjeżdżające z sąsiedniej stacji BP, kiedy na miejsce po przeciwnej stronie stolika wsunęła się jej matka.

- Już coś zamówiłaś? - spytała.

Hermię przeszedł dreszcz strachu. Za daleko miała do najbliższych wrót, żeby liczyć na udaną ucieczkę. Jej matka była maginią piasku, co teoretycznie powinno oznaczać, że na podmokłych terenach zachodniej Wirginii nie mogła nic zdziałać, w rzeczywistości jednak - o czym nie dawała jej zapomnieć - miała władzę nad wszystkim w stanie sproszkowanym albo ziarnistym, od płatków śniegu po kurz, od kulek śrutu po sól, pieprz i cukier. Na stoliku było pełno rzeczy, z których mogła zrobić użytek.

Poza tym gdziekolwiek była ona, na pewno był i ojciec, mag wody - Wychowanek Tamy, zdolny zadławić Hermię jej własną śliną, jeśliby miał taki kaprys. Gdyby postanowili ją zabić, ukarać za to, że uciekła i nie doniosła im o odnalezionym przez siebie magu wrót, nie mogłaby ich w żaden sposób powstrzymać ani im się wymknąć.

Czyli najwyraźniej nie chcieli jej zabić. Na razie.

- Hamburgera - odparła Hermia. - Hamburgera trudno zepsuć.

- Mogliby zostawić go na ladzie przez dwadzieścia minut, żeby wystygł i namnożyły się w nim bakterie - powiedziała jej matka. - A potem przynieść ci go bez żadnego „przepraszam”, w przekonaniu, że jesteś potulną myszką, na jaką wyglądasz, i słowem się nie poskarżysz.

- Nie jestem potulną myszką!

- Oni tego nie wiedzą - stwierdziła jej matka. - I masz taką śródziemnomorską urodę...

Wiedzą, że nie jesteś stąd, z tego gniazda szkockiej i irlandzkiej imigracji.

- Widzę, że studiowałaś amerykańską demografię i genealogię.

- Studiuję wszystko. Ludzie są jak ziarenka piasku... Z daleka wszyscy wyglądają jednakowo, ale kiedy przyjrzeć im się z bliska, każdy jest odrębnym tworem.

Przyszedł kelner i matka Hermii zamówiła sałatkę. Zanim mógł odejść, zapytała:

- Co sądzisz o córce, która nagle znika, nie mówiąc matce ani ojcu, dokąd się wybiera i z

kim jest? Jak nazwałbyś taką córkę?

Kelner, który przyjmując zamówienie Hermii, trochę z nią flirtował, bez namysłu odpowiedział:

- Normalną.

Matka prychnęła tym swoim śmiechem jak szczeknięcie foki.

- Nadzieja umiera ostatnia, co, drogi chłopcze? Ale zapewniam cię, nie jesteś w jej typie.

Kelner, lekko zdziwiony, mruknął coś o przekazaniu jej zamówienia do kuchni i poszedł.

- Ty naprawdę lubisz się nimi bawić - powiedziała Hermia.

- Obserwować ich - uściśliła matka. - Sprawdzać, jak reagują na niezwykle bodźce. Mam duszę naukowca.

Jesteś połączeniem Klitajmestry z Medeą, taką masz duszę, pomyślała Hermia, ale wiedziała, że nie może tego powiedzieć.

- A więc mnie znaleźliście - stwierdziła.

- Och, przez cały czas wiedzieliśmy, gdzie jesteś - odparła jej matka.

Hermia milczała.

- Wiem, myślisz, że nie mogliśmy cię namierzyć, bo przecież co rusz wskakiwałaś w jakieś wrota, ale widzisz, kiedy po raz pierwszy się zorientowaliśmy, że możesz mieć dar do stwarzania wrót, wszczepiliśmy ci pod szczęką mały czip. Śledzimy go przez satelitę. My, Ilirowie, mamy iście boski dar przewidywania, nie sądzisz?

Przez myśl Hermii nie przeszło, że mogli jej wszczepić lokalizator. Wystawiała im Danny'ego za każdym razem, kiedy korzystała z jego wrót.

A może nie. Kiedy przenosiła się wrotami Danny'ego, nieprędko mogli ją dogonić. To, że znali jej miejsce pobytu, nie znaczyło, że byli dość blisko, by ją obserwować.

Jednak zeszłej nocy mieli pod dostatkiem czasu, żeby dotrzeć do szkoły imienia Parry'ego

McCluera.

- Nocowaliście tutaj? - spytała Hermia.
- W Holiday Inn Express. Całkiem tam przytulnie, tak po europejsku.
- Innymi słowy, pokoje są małe i nie ma gdzie schować bagażu?
- Oglądaliśmy wasze harce z ukrycia. Widzieliśmy, jak zaatakowało was paru Northów i jak dwie proste Sieroty strąciły orła starego Zoga, a potem otworzyły w ziemi szczelinę, która wchłonęła samochód Northów.
- Później go oddali - powiedziała Hermia. - A może zasnęliście przed końcem?
- Na podstawie zaobserwowanych wydarzeń błyskotliwie wydedukowaliśmy naszą, arystotelesowską metodą, że ktoś przeszedł przez Wielkie Wrota. Myślę, że nie ty je stworzyłaś, bo gdybyś umiała robić wrota, zniknęłabyś w chwili, kiedy tu usiadłam.
- Nie, nie umiem. Wiesz o tym.
- Wiem, że zawsze twierdziłaś, że nie umiesz. Ale teraz ci wierzę. Może.
- Nie powiem ci, kto...
- Danny North jest magiem wrót - przerwała jej matka.
- Nie waż się go tknąć.
- Nie mogę mu sypnąć sproszkowanym habanero w oczy albo w nos? Czemu zawsze musisz mi psuć zabawę?
- Nie jest byle magiem wrót. Jest Ojcem Wrót - powiedziała Hermia. - W dziejach świata nie było drugiego takiego maga wrót jak on.
- Dzieje świata są długie. I, nawiasem mówiąc, są dwa światy.
- Pokonał Złodzieja Wrót - powiedziała Hermia.
- Jak miło.
- Czego chcesz, matko?

- Żeby moja ukochana córka powiedziała mi, że mnie kocha, nawet gdyby miało to być kłamstwo, i żeby udawała, że się cieszy, że mnie widzi.
 - Nie jestem już twoim szpiclem.
 - I być nie musisz, jak przed chwilą wyjaśniłam.
 - Danny, ja i ta druga magini wrót...
 - A zatem jesteś maginią wrót, nie tylko Poszukiwaczką.
 - Jestem Przyjaciółką Zamków - powiedziała Hermia.
 - A ta druga magini wrót? Victoria Von Roth?
 - Przyjaciółką Kluczy.
 - Jak uroczo. Zupełnie jakbyście były bliźniaczkami urodzonymi w odstępie trzydziestu lat.
 - Kiedy Danny następnym razem zrobi Wielkie Wrota, zapewnimy równy dostęp do nich wszystkim rodzinom i Sierotom.
 - Suszłakom też?
 - Nie pozwolimy, żeby Wielkie Wrota dały jednej rodzinie przewagę nad pozostałymi.
 - Przecież już to zrobiliście, głupie dziecko - stwierdziła jej matka. - Ta krowa Leslie ma moc odbierania innym braci serca, a Marion może otwierać rozpadliny w ziemi, nie wywołując przy tym wstrząsu nawet o sile trzech w skali Richtera. W tej chwili mogliby zniszczyć każdą rodzinę.
 - A jednak tego nie zrobili. Mówi ci to coś?
 - A czy fakt, że cię nie zabiliśmy, mówi coś tobie?
 - Tylko tyle, że wasza nadzieja na przejście przez Wielkie Wrota jest silniejsza od pragnienia, by uniemożliwić to innym.
 - Powinnaś się domyślić, że chcemy to załatwić po dobroci - wyjaśniła jej matka. -
- Pozwolimy tobie, twojemu chłopakowi Danny'emu i jego podstarzałej flamie Veevee ustalić

zasady i będziemy ich przestrzegać.

- Dopóki nie znajdziecie korzystniejszego dla siebie rozwiązania - powiedziała Hermia.

- Czy to nie miło z mojej strony, że przybyłam cię o tym poinformować? Niektórzy z naszych chcieli cię zabić i potem osobno zająć się Dannym Northem. Udawać, że nie wiemy, gdzie jesteś. Są na ciebie bardzo źli o to, że nas zdradziłaś.

- Niczego mu nie powiedziałam.

- Nam też nie - stwierdziła jej matka. - Ale... co było, a nie jest, nie pisze się w coś tam.

Inwentarz? Tak to się mówi?

- Skończyłaś fizykę na Stanford, matko. Nie udawaj, że nie umiesz się wysławiać.

- Umieścimy obserwatora w tej szkole. I oczekujemy, że ty też będziesz do niej chodzić.

- Za stara jestem na szkołę średnią - zauważyła Hermia.

- Takie z ciebie chuchro, że swobodnie możesz uchodzić za uczennicę ostatniej klasy.

- Nie muszę chodzić do szkoły. Mogę przenosić się wrotami do Danny'ego, kiedy tylko chcę z nim rozmawiać.

- Dopóki te wrota ci udostępnią - powiedziała jej matka. - Nie, masz być na miejscu, żebyśmy mogli obserwować was oboje.

- I żebyście mogli mu zagrozić, że zrobicie mi krzywdę, jeśli nie będzie wam posłuszny.

- To by poskutkowało?

- Nie sądzę, ale z Dannym nigdy nic nie wiadomo. Nie zakochał się we mnie. Zdaje się, że nawet nie bardzo mnie lubi. Ale ma dobre serce. Pewnie wystarczyłoby, żebyście zrobili zdjęcie trzymanego pod pistoletem szczeniaka i wysłali mu je z pogrózką „Rób, co każemy, inaczej pies zginie”.

- Cóż, nie będziemy grozić, że zastrzelimy ciebie czy jakiegoś szczeniaka. Sądzimy...

niektórzy z nas sądzą, że teraz, kiedy już wiesz, że przez cały czas mieliśmy cię na oku, a mimo

to nie wchodziliśmy ci w drogę, odzyskamy twoje zaufanie i lojalność i do nas wrócisz.

- Ty też tak sądzisz? - spytała Hermia.

- Jestem tylko jednym głosem pośród wielu. Ale przyjemnie słyszeć, że potrzeba ci mojej otuchy.

- Wiesz, że każdego, kogo wyślesz, Danny może po prostu odesłać wrotami.

- Och, mam nadzieję, że tego nie zrobi - powiedziała jej matka. - Musielibyśmy zastrzelić psiaka.

*

Cedric Bird stał w kręgu wysokich stojących kamieni na grzbiecie porośniętej trawą góry.

Na łagodnie opadającym stoku pod nim pasły się owce, Ced nigdzie jednak nie widział pasterza.

Zamierzał postąpić tak jak pozostali. Wejść w Wielkie Wrota i gdy tylko znajdzie się na

Westilu, zrobić następny krok i wrócić na Ziemię z ogromnie zwiększoną mocą.

Tyle że w chwili ich przybycia - na Westilu był dzień, nie noc jak w Buena Vista -

delikatny podmuch musnął jego policzek. I jako mag wiatru Ced nie mógł ot tak odejść, musiał najpierw poczuć ruch rozgrzanego słońcem powietrza, falowanie trawy na wietrze.

To była tylko chwila, sekunda, może dwie. Kątem oka widział, jak pozostali robią krok naprzód i znikają. A potem ruszył za nimi - i poczuł, jak trawa ociera się o mankiety jego spodni.

Wielkie Wrota zniknęły i w tej chwili Ced uświadomił sobie, że postanowił zostać na Westilu.

Przeszył go dreszcz strachu. Matka opowiadała mu do poduszki tyle historii o odległym świecie, z którego pochodzili ich przodkowie. Miejscu, gdzie mieszkali bogowie z legend. To był przerażający świat, w którym gniew maga piasku mógł rozpętać potężne burze, w którym Ojcowie Kamienia mogli wytwarzać z kamienia swoje sobowtóry, w którym kamień mógł wchłonąć jezioro, a fala wzbudzona przez Ojca Pływów zalać wyspę.

A jednak Ced czuł też wiatr.

Czuł go zawsze, nawet we śnie; zbudzony jego świstem pod okapem i kołataniem w okna wstawał, otwierał drzwi i wychodził mu na spotkanie. Słyszając to, matka wybiegała za nim z domu, brała go na ręce i mówiła: „Wiatr to straszny żywioł, Cedricu, znosi ptaki daleko od lądu i zrzuca gniazda z drzew”. Cedric na to odpowiadał: „Mnie nie robi krzywdy, mamó. Kocham wiatr”.

Mimo to nigdy tak naprawdę nie czuł wiatru aż do tej chwili, tu i teraz, kiedy stał muskany łagodnym powiewem na trawiastym stoku góry na Westilu. Czuł, jak podmuch nabiera kształtu wokół stojących kamieni, czuł wszystkie wiry powietrza wewnątrz kręgu. Był świadomy tego, jak wiatr harcuje w wełnie najbliższej owcy, i upajał się jego pędem przez trawę.

To nie wiatr na Westilu jest inny, zrozumiał Ced. To ja się zmieniłem. Przeszedłem przez Wielkie Wrota i teraz wczuwam się w wiatr tak, jak tego zawsze pragnąłem. Jestem magiem, jakim dotąd byłem tylko w marzeniach.

Nie mógł się dłużej oprzeć pokusie; to, że czuł wiatr, nie wystarczyło. Musiał nadać mu kształt. Pobierał nauki u Norma Galliattiego, Tchnienia Wichru - Sieroty z Medford w stanie Oregon. Zaczynał od stwarzania małych trąb powietrznych i wzbudzania lekkiego powiewu w bezwietrzny dzień, a dziś potrafił już kierować wiatrem, zwęzać go w powietrzną strzałę, zdmuchiwać świecę ze stu metrów, zmieniać tor lotu rzuconej piłki.

Ale tutaj... tylko o tym pomyślał, a już to się stało. Wokół niego zerwała się trąba powietrzna, wirowała w kręgu kamieni, szarpała włosami i ubraniem, i była o tyle większa i potężniejsza od wszystkiego, co potrafił robić do tej pory, że najpierw wybuchnął śmiechem, a potem zapłakał z radości. Och, matko, czy mnie widzisz? O Ptaku mojej Młodości, Kolibrze mój, Kaliopie, czy patrzysz? Zobacz, co potrafię!

Trąba powietrzna wessała go z taką siłą, że Ced poderwał się z ziemi, ale nic mu nie groziło. To nie było tornado porywające żywe stworzenia i rozrzucające je tu i tam, gdzie

popadnie. Nie, wirujące powietrze znało go, troszczyło się o niego, niosło go. Wiatr radował się nim, tak jak on radował się wiatrem. Nareszcie jesteś, mówił ten wir. Byliśmy owcami za długo pozbawionymi pasterza, krowami o pełnych wymionach daremnie czekającymi dojarza, dopóki nie zjawiał się ty.

Nieś mnie, pomyślał. Zabierz mnie stąd. Pokaż mi ten świat.

Trąba powietrzna wyniosła go wyżej, tak że teraz mógł wyjrzeć znad pobliskich kęp drzew. Zaraz za rzeką stał szalas, z którego wyłonił się pasterz patrzący w górę, na Ceda niesionego przez trąbę powietrzną z biegiem rzeki, ku jej ujściu, bo taki kierunek wybrał, chociaż mógł poszybować z wiatrem wszędzie, dokąd zechciał.

Teraz wiem, dlaczego ludzie nazywali nas bogami, skoro my, magowie Mitheru z Westilu, mogliśmy przechodzić przez Wielkie Wrota i robić takie cuda. Kiedy malowali Hermesa w skrzydlatych sandałach, czy mieli w pamięci takiego maga wiatru jak ja?

Wystarczyło, że Ced pomyślał o tym, by stanąć na szczycie skały, a już wiatr przeniósł go tam i delikatnie opuścił na twarde podłoże. To, co kiedyś kosztowało go tyle wysiłku - kierowanie trąby powietrznej w wybrane miejsce - teraz przychodziło mu bez trudu i w dodatku mógł w tej trąbie szybować. Oto jak lata magiczny dywan. Oto koło z wizji Ezechiela.

Teraz jednak, już stojąc na pewnym gruncie, Ced rozpostarł ramiona i wplótł w trąbę powietrzną jeszcze więcej wiatru. Odsunął ją od siebie i puścił w wir, szybko, coraz szybciej. Lej wzniósł się, zaczął wciągać ziemię, kurz, źdźbła trawy, owady, i oto trąba powietrzna pociemniała, przybrała kształt widocznej kolumny, bardziej upodobniła się do widzianego w telewizji tornado, tyle że tornado to nie było gdzieś w oddali, tylko tutaj, na wyciągnięcie ręki, i on nad nim panował.

Oto prawdziwy bóg, pomyślał Ced.

Nie - w swoich myślach mówił do samego wiatru. Tyś bogiem, o tornado, które sam

stworzyłem. Zbudziłem cię.

Z chwilą gdy uprzytomnił sobie, że wiatr żyje i go słyszy, Ced przestąpił próg. Jego zewnętrzne ja wniknęło w wiatr, który stał się jego kłanem. Krwią jego serca. Ced szybował w wietrze tak, jak jego matka szybowała w kolibrach, leciał i kierował nim, był jego towarzyszem i sternikiem, pasażerem i pilotem.

Ani na chwilę nie opuścił swojego ciała; wciąż stał i obserwował tornado z wyniosłej skały. Jednocześnie jednak był tornadem, nie widział świata z jego perspektywy, bo tornada nie mają oczu, tylko raczej czuł je za pomocą kinestezji, tak jak człowiek z zamkniętymi oczami czuje, gdzie w danej chwili ma dłonie i co robią jego palce. Wyczuwał położenie, wielkość, szybkość i siłę tornado na tej samej zasadzie, na jakiej potrafił wiązać sznurowadła po ciemku, bez trudu powtarzając wyuczone ruchy palców.

Pokonał z tornadem sto kilkadziesiąt kilometrów, zanim nasycił się radością tego przeżycia. Wystarczy, wystarczy, wystarczy. Oderwał się od wiatru i natychmiast poczuł, jak podmuch cichnie, słabnie, też upojony wspomnieniem szybkiego, potężnego lotu. Zewnętrzne ja powróciło do Ceda. Stał nieruchomo i choć znów przebywał całym sobą w swoim ciele, to teraz, gdy tornado ucichło do łagodnego wietrzyka, czuł się osamotniony. Chwilę temu był olbrzymem; teraz stał się tylko człowiekiem.

Zszedł ze skały. Nie było łatwo - mag wiatru może polecieć tam, gdzie kozica nie wejdzie.

Znalazł jednak porośniętą trawą drożynę, która krok po kroku - i czasem skok po skoku - zaprowadziła go na dół, na brzeg rzeki.

Ruszył z jej biegiem, wypatrując ludzi. Jednak nie znalazł.

Ujrzał natomiast ruiny wioski, domy wydarte z ziemi razem z fundamentami.

Musiał wzbudzić małą trąbę powietrzną, by wyniosła go ponad zniszczony las, powyrywane z korzeniami drzewa rzucone jedno na drugie jak patyczki w grze w bierki.

Wreszcie dotarł do miasta, w którym spod zwalonych ścian dobywały się krzyki uwieczonych ludzi. Mężczyźni i kobiety lamentowali głośno nad ciałami zmarłych, a wśród ruin błękały się przerażone, zagubione dzieci.

Nie rozumiał ich mowy, choć nieco przypominała mu ona język, jakim czasem, pojedynczymi frazami, zwracała się do niego matka, ten sam, którym przemawiała do ptaków zbierających się wokół niej, gdy je karmiła albo śpiewała im na podwórku.

Nikt nie zwracał większej uwagi na nieznanego kręcącego się wśród nich. Byli zbyt zaprzątnięci własnym bólem i strachem, i rozpaczliwymi próbami oswobodzenia ofiar uwieczonych w zniszczonych budynkach. Ced dołączył do nich, pomagał usuwać gruzy, wydobywać pogruchotane ciała, prznosić żywych w bezpieczne miejsca.

Danny North, jesteś mi potrzebny po to, żeby uleczyć tych ludzi. Nie powinienem być tu sam. Nie można mi ufać. To zbyt wielka moc. Zobacz, co zrobiłem, nawet sobie tego nie uświadamiając. Zniszczenie tego miasta odczułem jako coś w rodzaju chrzęstu pod nogami; jakbym deptał po żółędziach opadłych na chodnik. Tyle że tymi żółędziami były budynki, a ja, frunąc z wiatrem, nie słyszałem błagań i krzyków moich ofiar, bo wiatr śpiewa i krzyczy, ale nie ma uszu i nigdy nie słucha.

Ja mam uszy. Ja mam oczy. A mimo to upajałem się mocą. Była jak narkotyk.

Jestem bogiem raptem godzinę czy dwie i proszę, co zrobiłem.

A jednak w tym samym czasie, kiedy usiłował ocalić ofiary wywołanego przez siebie tornada, odczuwał też mroczną, straszliwą dumę. Owszem, chciał płakać i błagać o wybaczenie, wziąć na siebie odpowiedzialność i ponieść konsekwencje: ja to zrobiłem. Pomogę naprawić szkody, na ile zdołam.

Jednak najsilniejsze uczucie skryte głęboko w nim było dużo prostsze i pełne pychy:

To moja robota. Zobaczcie, co potrafię!

INTERWENCJA

Danny myślał, że idzie do Laurette na imprezę urodzinową. Nie taką ze sztamowych filmów dla nastolatków, tak huczną, że towarzystwo wylewa się z domu na podwórka sąsiadów i w końcu ktoś wzywa policję. Miała to być zwyczajna nasiadówka z okazji urodzin Xeny, przyjaciółki Laurette, i odkąd został uczniem szkoły imienia Parry'ego McCluera, Danny'ego. Kiedy jednak drzwi Laurette otworzyły się na jego pukanie, Danny zorientował się, że to był podstęp. W środku czekali wszyscy jego przyjaciele - dziewczyny: Laurette, Sin, Pat i Xena, i chłopaki: Hal i Wheeler. Ale wielki transparent rozwieszony wysoko na ścianie, wyraźnie widoczny od progu, nie wspominał ani słowem o urodzinach ani o Xenie. Głosił „Interwencja” i Danny od razu zrozumiał, że to on jest celem, kozłem ofiarnym, tematem naczelnym.

- Od czego niby jestem uzależniony? - spytał.

- Nawet nie łapie aluzji do *Jak poznałem waszą matkę* - powiedziała Sin.

- Nie ogląda telewizji - wyjaśnił Hal.

- O rany, to w tej sprawie trzeba było zrobić interwencję - stwierdziła Xena.

- Kiedy urządźcie interwencję Laurette, żeby nie nosiła głębokiego dekoltu? - spytał

Danny. - Straszy nim nauczycieli. Boją się, że wpadną do środka i się nie wydostaną.

- Trzymajmy się planu - powiedziała Laurette.

- To nie mój plan - zauważył Danny.

- Tym razem się nie wywiniesz - ostrzegła Sin.

- Nadal nie wiem, czego ta interwencja ma dotyczyć - zauważył Danny. - Może przyznam wam rację i będziemy mogli przejść do imprezowej części wieczoru.

- Chcemy, żebyś przestał ukrywać, kim jesteś - powiedział Hal.

Danny odwrócił się do niego.

- Jestem nieślubnym dzieckiem prezydenta Obamy z kelnerką z Chicago. Tak naprawdę jestem czarny, ale zachowuję się jak biały pełną gębą i wszyscy dają się nabrać.

- Wiemy, że masz wielką moc - stwierdziła Sin.

- Jesteś czarodziejem - dodała Xena. - Jak z Tolkiena.

- „Elf” to lepsze słowo - powiedziała Pat.

- E tam - odparła Xena. - „Czarodziej” fajniej brzmi.

- Nie jestem elfem ani czarodziejem - rzekł Danny. - Ostatnio jestem w drużynie lekkoatletycznej. Będę startował w zawodach, zostanę sportowcem i stanę się zbyt sławny, żeby się z wami zadawać.

- Wiemy, że nas uzdrowiłeś - powiedziała Pat. - Mnie zniknęły wszystkie pryszczki, a Sin zagoiły się zakażone przekłucia.

- Ale nic nie zrobiłeś z moją nadwagą - dorzuciła Xena. - To bardzo nieładnie.

- Może podobasz mu się taka, jaka jesteś - zauważył Wheeler.

- Ciekawe, jak dokonałem tych wszystkich cudów - powiedział Danny.

- Zaczęły się dziać po tym, jak się tu zjawiłeś, to dowód A - stwierdziła Xena.

- Post hoc ergo propter hoc - rzekł Danny.

- To z logiki - wtrącił Hal. - Jaka szkoda, że pani Schrader uczyła nas o błędach rozumowania.

- Dowód B - ciągnęła Xena - to miejsce wywrotek.

- Czyli uzdrawiam ludzi i robię z nich niezdary. - Danny pokręcił głową. - To chyba sprzeczność, nie?

- No i jest jeszcze ta historia z lataniem na linie - dodał Hal. - To była twoja robota. Kazałeś mi ruszać rękami tak, jakbym się wspinał. Czyli sądziłeś, że jakoś wejdę na górę bez wspinania

się.

- Tak to pamiętasz? - spytał Danny.

- Zwróćcie uwagę, że nie zaprzecza - powiedział Hal.

- Zaprzeczyłbym, gdybym wiedział, o co mnie oskarżasz. - Danny kolejny raz uświadomił sobie, że unikanie odpowiedzi zawsze jest błędem. Jak masz kłamać, to kłam i tyle. Nie próbuj mówić nic, co jest formalnie, prawie albo poniekąd zgodne z prawdą.

- Ja byłem przeciwny nazwaniu tego interwencją. - Hal wydawał się autentycznie wzburzony. - Wolałem słowo „ultimatum”.

- Albo się przyznam do tych wszystkich niedorzeczności, o które mnie oskarżacie, albo... -

Danny zawiesił głos.

- Na tym właśnie polega ultimatum - stwierdził Hal.

- Albo co? - spytał Danny.

- Albo nie jesteś naszym prawdziwym przyjacielem.

Danny wiedział, że mieli rację, ale jednocześnie się mylili. Nie byli w stanie zrozumieć, jakie byłyby konsekwencje ujawnienia im prawdy. Myśleć, że twój kolega ma konszachty z tajemnymi mocami, to jedno. Gdyby jednak się dowiedzieli, kim jest naprawdę, albo by mu nie uwierzyli, albo zażądaliby, żeby to udowodnił, a on nie zamierzał stworzyć w szkole ani jednego cholernych wrót więcej.

- Gdybyście byli moimi prawdziwymi przyjaciółmi - rzekł - nie zdecydowałibyście z góry, jaka jest prawidłowa odpowiedź, a potem grozili zerwaniem przyjaźni, jeśli nie potwierdzą, że macie rację.

- To jaka jest ta odpowiedź? - spytała Sin. - Nikomu nie powiemy.

- Przypuśćmy, że przyznam, że jestem kimś w rodzaju elfa. Wy obiecacie, że nikomu tego nie powiecie. Ale skoro już teraz jesteście przekonani, że to wiecie, i obiecujecie zachować to w

tajemnicy, co za różnica, czy to przyznam, czy nie?

- Nie ufasz nam - stwierdził Wheeler.

- A jeśli nawet jestem jakąś magiczną istotą? Czy wykorzystałem to do jakichś niecznych celów? Zrobiłem komuś krzywdę?

- Zdaje się, że Killer przez ciebie parę razy gruchnął na tyłek - zauważył Hal.

- Przyszło wam w ogóle do głowy, że gdybym miał takie moce, może ukrywałbym to przed wami dla waszego dobra?

- Są sprawy, o których ludzkość nie powinna nic wiedzieć - wyrecytowała Laurette.

- „Jeśli ci powiem, będę cię musiał zabić” - zacytowała Xena.

- Spójrzmy na to z drugiej strony - powiedział Danny. - Skoro jesteśmy przyjaciółmi, dlaczego mielibyście grozić, że przestaniemy nimi być, jeśli nie powiem wam czegoś, co, o ile jest prawdą, w oczywisty sposób chcę zachować dla siebie?

- Z jakiej drugiej strony? - spytała Sin. - Od spodu?

Cokolwiek Danny zrobi, nic to nie da. Wiedział bowiem z dziejów rodziny, do czego to prowadzi. Powiesz suszłakom, kim jesteś, to potem musisz im to pokazać. A jak to zobaczą na własne oczy, zaczynają się ciebie bać i od tej pory albo cię unikają, albo pragną ci służyć, bo ludzie tak już mają, że lgną do silniejszych od siebie.

Danny nie chciał się dowiedzieć, jak postąpiłoby jego przyjaciół. Nigdy dotąd przyjaciół nie miał, a teraz ich straci bez względu na to, co zrobi.

A skoro już ma ich stracić, lepiej żeby nie wiedzieli na pewno, kim jest i co potrafi.

- Przyjmuję wasze warunki - rzekł.

Wychylili się do przodu wyczekująco.

- Do niczego się nie przyznam, więc, jak rozumiem, nie jesteśmy przyjaciółmi. - Danny ruszył z powrotem do drzwi.

- Poczekaj! - zawołała Laurette.

- Nie mówiliśmy serio! - krzyknęła Xena.

- Ja tak - powiedział Hal. - Wysłał nas kilometr nad ziemię i jeśli twierdzi, że nie, to wciska kit.

Danny otworzył drzwi i wyszedł.

Usłyszał, że ktoś - kilka osób - biegnie za nim. Nie chciał, żeby ta scena rozegrała się na trawniku przed domem.

Przeniósł się więc wrotami do swojego domu, po czym przygarnął wrota do siebie.

Czy zamknął za sobą drzwi? Mogli zobaczyć, jak zniknął.

Był jednak na nich wkurzony. Co to za przyjaciele, którzy próbują wyciągnąć z niego coś, o czym wyraźnie nie chciał mówić? Nie, nie byli jego przyjaciółmi. Ledwo ich znał. Dlaczego więc czuł ten ucisk w dołku?

- Skąd się tu przeniosłeś? - spytał ktoś.

Hermia siedziała w jego salonie.

- Jak się dostałaś do środka? - odpowiedział pytaniem.

- Skorzystałam z wrót Veevee. Byłam u niej i postanowiłam przy okazji odwiedzić ciebie, ale nie było cię, więc zaczekałam.

Danny patrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

- Co tu robisz?

- Była u mnie rodzina. Rodzice we własnej osobie. Ale mnie zaszczyt kopnął.

- I co, było miło? - spytał Danny, siadając naprzeciwko niej na jedynym wolnym krześle w tym pozał się Boże salonie.

- Zależy im tylko na tobie - powiedziała Hermia. - Chcą, żebyś im zaufał. Mówili, że nie będą próbowali tobą sterować, nie chcą wojny, ale uważają, że trzeba cię przeszkolić.

- Na co liczą? Że pozwolę jakimkolwiek Westilianinowi się do mnie zbliżyć?

- Przekażę im to.

- Siedzisz w ich kieszeni? Kontrolują cię w jakiś sposób?

- Pytasz, czy możesz mi zaufać? Tak i nie. Słowa dotrzymam, tego możesz być pewien. Ale wszczepili mi lokalizator czy coś takiego, więc zawsze wiedzą, gdzie jestem.

Danny chwilę o tym pomyślał.

- Czyli widzieli, jak się przenosiłaś wrotami.

- Tak.

- Dzięki temu, że przeniosłaś się z mieszkania Veevee tutaj, wiedzą, gdzie są te wrota.

- Tak.

- Ilekroć się dokąds przenosisz, wskazujesz im wrota.

- Tak. Ale powiedziałam ci o tym, jak tylko się dowiedziałam, prawda? Co miałam zrobić, zamknąć się w trumnie jak wampir i nigdy się stamtąd nie ruszać?

- Czyli wiedzą, gdzie jestem w tej chwili.

- Wiedzą, że przeniosłam się w miejsce o takich i takich współrzędnych geograficznych - uściśliła Hermia. - Nie wiedzą, że ty też tu jesteś, ale tak, prawdopodobnie się tego domyślą, i to bardzo szybko.

- Cholera - zaklął Danny. Tak naprawdę nie miała wielkiego wyboru, jeśli własna rodzina postanowiła śledzić każdy jej ruch.

- Prędzej czy później i tak będziemy musieli nawiązać kontakt ze wszystkimi rodzinami -

zauważyła Hermia. - Włącznie z moją. Jeśli zamierzasz zrobić Wielkie Wrota i udostępnić je innym.

Przed dom zajęchały trzy samochody, jeden dosłownie z piskiem opon.

- Jak długo tu czekasz? Co, twoja rodzina lata nad tobą helikopterami, balonami czy czymś

takim?

Hermia wyjrzała zza poprzecieranej zasłony.

- Nie, i nie jest to też twoja rodzina.

Danny stanął obok niej przy oknie. Jego przyjaciele wysiadali z trzech samochodów.

- Uciekaj - rzuciła Hermia. - Albo przenieś ich dokądś wrotami.

- Przecież im nie mówiłem, że tu mieszkam - zdziwił się Danny.

Hermia otworzyła drzwi na oścież. Danny krzyknął „nie!”, gdy tylko uprzytomnił sobie, co ona robi, ale było już za późno.

- On tu jest, prawda? - Głos Laurette.

- Jechaliśmy trzema różnymi trasami i nie biegł żadną z nich - oznajmiła Sin triumfalnie.

- A na pewno nie jest tak szybki, żeby już tu dotrzeć - dodała Pat. - Nie pieszo, nawet nie biegiem.

Stali w drzwiach i pchali się do środka. Ale Danny'ego tam nie było.

Był na tyłach domu, poza zasięgiem wzroku, i obserwował wewnątrz salonu przez wizjer - maleńkie wrota umieszczone na wysokości jego oka, tak że kiedy zamykał drugie, widział, co się w salonie dzieje, i dość wyraźnie słyszał.

- Kogo szukacie? - spytała Hermia.

- A więc ma dziewczynę. - Xena była wyraźnie obruszona.

- Danny'ego Northa - odparł Wheeler. - Tutaj mieszka.

- Bardzo ciekawe - powiedziała Hermia. - Kim jesteście?

- Jego przyjaciółmi - odparła Laurette.

- Mam raczej wrażenie, że mu się naprzykrzacie - stwierdziła Hermia.

- Nadal nie powiedziałaś, kim jesteś ty - zauważyła Xena.

- Jego prawdziwą przyjaciółką - odparła Hermia.

- Mówisz jak Brytyjka - powiedziała Xena.

- Uroczy brytyjski akcencik. - Pat skrzywiła się z obrzydzeniem. - Chłopaki są takie przewidywalne.

- Za to ma małe cycki - zauważyła Laurette.

- Wciąż jesteś najpiękniejsza na świecie, Laurette - powiedziała Sin.

- Jak to możliwe, że tak szybko tu dotarł? - naciskał Hal.

Podsluchując z zewnątrz, Danny pomyślał: Hala nie tak łatwo zbić z pantałyku. Hal to nie byle kto. I pewnie dlatego trener Killer upatrzył go sobie na ofiarę. Bo chłopak ma potencjał, by osiągnąć w życiu dużo więcej niż on. Nic dziwnego, że trener czuł potrzebę, by przytrzeć nosa Halowi przy każdej nadarzającej się okazji.

- Jest magiem wrót - powiedziała Hermia.

Z dreszczem strachu Danny pomyślał: Hermia dopiero co kazała mi zabrać ich stąd wrotami. Teraz im wszystko wypaple.

Nikt nie zapytał, kto to jest mag wrót.

- Otwiera szczeliny w czasoprzestrzeni - mówiła dalej Hermia. - Łączy jedno miejsce z drugim, bez względu na odległość między nimi. Sprawia, że stają się do siebie przyległe.

- Myślisz, że coś nam w ten sposób wytłumaczyłaś? - spytała Pat.

- Wyjaśniłam to tak, jak wyjaśnia się grawitację. Opisałam skutek. O procesie nie wiem nic. Powiedziałam tyle, ile o swoim odkryciu powiedział Newton.

- I Danny to potrafi - stwierdził Hal. - Łączyć różne miejsca ze sobą.

- Jest być może największym Ojcem Wrót w dziejach - powiedziała Hermia. - Ale dotąd wykorzystywał swoją moc głównie do stwarzania małych wrót w waszej szkole.

- Co wrota mają wspólnego z tym, że uzdrawia ludzi? - spytała Pat.

- To wrota uzdrawiają, nie Danny - odparła Hermia. - Jak wchodzisz we wrota, twoje ciało

wychodzi z nich w stanie optymalnym.

- Bez pryszczu - powiedziała Pat.

- Bez przekłuć - dodała Sin.

- To dlaczego kłamał i udawał, że nie ma z tym nic wspólnego? - spytała Xena. - Przecież to super.

- Bo to jest zbyt super - wyjaśniła Hermia. - Wielu ludzi pragnie jego śmierci. Stwarzając wrota w waszej szkole, narażał się, że ci ludzie go odnajdą. Ta historia ze wspinaczką po linie? Stało się najgorsze, co mogło się stać. Zjawiła się jego rodzina i próbowała go zabić.

Milczenie.

Wreszcie, już ciszej, Laurette spytała:

- Jego własna rodzina?

- Myślałem, że jego rodzice nie żyją - dodał Hal.

- To było kłamstwo - powiedziała Hermia. - Jego rodzice to w rzeczywistości bardzo potężni magowie. Trzeba im oddać, że nie oni próbowali go zabić. Na życie Danny'ego dybią jego dziadek i wujek.

- To chore - rzekł Wheeler.

- Kryje się za tym długa historia, której nie znacie - stwierdziła Hermia. - I ludziom takim jak wy trudno byłoby w nią uwierzyć.

- Co to znaczy „takim jak my”? - spytała Pat.

- Normalnym - odparła Hermia.

Wheeler się zaśmiał.

- Słyszeliście? Nazwała nas normalnymi.

- Spróbuję wam to jakoś wytłumaczyć - powiedziała Hermia. - Ojciec Danny'ego nosi imię Odyn. Urodził się jako Alf, ale kiedy został głową rodziny Northów, przyjął imię Odyn.

- O rany! - jęknął Wheeler. - Czyli jest niby tym, no, bogiem?

- Mityczni bogowie są ludźmi z krwi i kości. Tylko ich imiona przechodzą z pokolenia na pokolenie. Nie jesteśmy nieśmiertelni. Ale imiona owszem.

- To kim jest Danny? - spytał Hal. - Bogiem?

- Jeśli rodzina przestanie nastawać na jego życie i zaakceptuje go takiego, jaki jest, dostanie imię Loki.

- Wredny brat Thora z *Avengers* - powiedział Wheeler.

- Magiczny młot nie istnieje - zaznaczyła Hermia. - Ale tak, w rodzinie Danny'ego jest i Thor, tyle że nie ma z niego wiele pożytku. Podobnie jak z nich wszystkich. - A potem wyjaśniła, jak działają Wielkie Wrota. Danny słuchał z za domu, patrząc przez wizjer. Tłumaczenia Hermii były bardzo klarowne. Właściwie czemu tu się dziwić? Magowie wrót mają płynną gadkę. Był przerażony, kiedy słuchał, jak mówiła jego przyjaciółom o tym wszystkim. Wiedział też jednak, że chciał zrobić to samo. Dlatego nie uciekł od nich wrotami. Dlatego nie opuścił szkoły McCluera. Dlatego nieroztropnie okazał im swoją moc, wracając do domu dużo szybciej, niż mogły go tam zanieść nogi. Chciał, żeby wiedzieli; chciał być z nimi szczery. Nie mógł jednak zdobyć się na to, by odpowiedzieć na ich pytania. Hermia go wyręczyła.

Kiedy skończyła swoje wyjaśnienia, zapytała:

- Wierzycie mi?

- Tak - powiedzieli Pat, Wheeler, Sin i Hal.

- Dlaczego? - spytała Hermia.

- Bo jechałem po tej linii - powiedział Hal.

- Bo wyleczył moje przekłucia - powiedziała Sin.

- I moją cerę - powiedziała Pat.

- Bo to takie fajowe - powiedział Wheeler.

- A pozostali?

- Jakoś trudno w to uwierzyć - przyznała Laurette. - A skąd ty to wszystko wiesz? Nigdy o tobie nie słyszałam.

- Ja też jestem magiem wrót - odparła Hermia. - Pomniejszym. Nie umiem stwarzać wrót, lecz widzę je i mogę je zamykać. I mogę pomóc Danny'emu. Ale teraz wy wszyscy musicie podjąć decyzję. Jesteście z nim czy nie? Dlatego właśnie bał się powiedzieć wam prawdę; bo wiedział, że kiedy to zrobi, będziecie musieli dokonać wyboru.

- Co to znaczy „z nim”? - spytał Hal. - Przecież ma niesamowitą moc. Do czego jesteśmy mu potrzebni?

- Do tego, do czego ludzie zawsze potrzebni byli bogom. Żeby mu służyć.

Konsternacja. Oburzenie.

- Myślałam, że jesteśmy jego przyjaciółmi! - wybuchnęła Laurette.

- Czy jesteście mu równi? - spytała Hermia. - Tak czy nie? Kiedy przyjdą go zabić, jak sądzicie, co będziecie mogli dla niego zrobić? Kiedy matka Danny'ego porazi was prądem albo jego ojciec unieruchomi wasz samochód, kiedy zatnie się każdy pistolet, który w nich wymierzycie, i jastrząb przyleci wydziobać wam oczy, czy będziecie w stanie stawić im czoło?

- Też coś - burknęła Laurette.

- Jesteśmy bezużyteczni - powiedział Hal. - Do czego więc mielibyśmy mu się przydać?

- Nie mówiłam, że potrzebuje żołnierzy. Czy sprzymierzeńców. Potrzebuje sług. Ludzi, których będzie mógł posyłać z wiadomościami. Ludzi, którzy będą obserwować i zauważać różne rzeczy, i go o nich informować.

- Szpiegów - uściśliła Pat.

- I posłańców - dodała Hermia. - Rodziny będą wiedziały, że nie macie żadnych mocy. Przy odrobinie szczęścia nie zabiją was. Ale mogłyby to zrobić. Gdybyście je wkurzyli. Rozumiecie?

Jesteście bezsilni. Możecie jednak pomóc Danny'emu opracować swego rodzaju traktat pokojowy. Znaleźć jakiś sposób, by zjednoczyć rodziny i udostępnić im część jego mocy.

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić? - spytała Xena. - Jeśli ci bogowie naprawdę, tego, istnieją, czemu mielibyśmy chcieć, żeby Danny dał im większą moc?

- Bo jeśli tego nie zrobi, zabiją go - powiedziała Hermia. - To tylko kwestia czasu. Jesteście jego przyjaciółmi czy nie? Domagaliście się prawdy, więc proszę, oto i ona. Teraz macie wybór. Albo z nim, albo nie.

- Z nim - rzucił Hal.

- Nie tak szybko - zastrzegła Pat. - To poważna sprawa.

Hermia zrobiła wszystko, co mogła - wszystko, czego Danny od niej oczekiwał. Teraz przysłała pora, by znów stanął przed swoimi przyjaciółmi. Postąpił jak tchórz, pozostawiając to jej.

Przeniósł się więc wrotami do domu.

Pojawił się na środku pokoju. Patrzyli na niego ze strachem.

- To prawda - wyszeptała Laurette.

- Fajnie! - zawołał Wheeler.

Danny odwrócił się do niego.

- To nie komiks, Wheeler. Nie seria obrazków zakończona zwycięstwem pozytywnych bohaterów. W świecie rzeczywistym bohaterowie pozytywni na okrągło przegrywają. Zwycięża większa moc. Ja mam jej dużo, ale nie tyle, żeby was stale chronić. Radzę wam trzymać się jak najdalej ode mnie i udawać, że mnie nie znacie. Przy odrobinie szczęścia żadna z rodzin was nie zauważy i będziecie tak bezpieczni jak każdy.

- To znaczy jak? - spytała Pat.

- Jeśli stworzę Wielkie Wrota i rodziny wyślą przez nie swoich ludzi, znów staną się

bogami, nie elfami i czarodziejami, jak to jest teraz. Wtedy nie będziecie już mieli żadnego wyboru - albo oddacie się pod ich rozkazy, albo umrzecie. Nasze rodziny to nie są mili ludzie. Nazywają was suszłakami. Myślą o was tak, jak wy myślicie o samochodach. Przydają się, kiedy trzeba z nich korzystać, ale fajnie rozbić jeden o drugi i patrzeć, jak wybuchają i płoną. Z twarzy przyjaciół wycierał lęk i wstręt. Czyli wyrażał się jasno.

- Teraz rozumiecie, dlaczego nie chciałem wam nic mówić? - spytał.

- Myślę, że tylko próbujesz nas nastraszyć - powiedziała Xena buńczucznie.

- I co, udało mi się?

- Tak - stwierdziła Laurette.

- To dobrze. Przybyłem tu z nadzieją na normalne życie. Chciałem przeżyć zwykłe dwa lata w szkole średniej. Jednak coś mi odbiło i odstawiłem ten numer ze wspinaczką po linie, Hermia to zobaczyła i powiedziała mi, że to były Wielkie Wrota. Wreszcie zdobyłem wiedzę, jak robić coś naprawdę ważnego.

- Okropnie to brzmi - powiedziała Sin. - Dlaczego miałbyś ich w nie wpuścić?

- Bo albo wymyślę, jak zapewnić wszystkim rodzinom równy dostęp do Wielkich Wrót, albo jedna z nich porwie kogoś, na kim mi zależy, i go zabije, jeśli nie dam jej wyłącznego dostępu.

- Kogo mieliby porwać? - spytał Hal.

- Hermię. Lub kobietę, która podaje się za moją ciotkę. A może ciebie, Hal. Zależy, ile do tej pory zdążyli zaobserwować.

- A gdyby porwali Hala, co byś zrobił? - zapytała Laurette.

- Pozwoliłby im go zabić - odparła Hermia. - Mnie też. Bo jeśli udostępni Wielkie Wrota tylko jednej rodzinie, będzie to oznaczało, że władzę nad światem zdobędzie rodzina najbardziej agresywna, najwredniejsza. A jeżeli wrota należeć będą do wszystkich, jest nadzieja, cień

nadziei, że zapanuje równowaga sił. Co może zniechęci rodziny do wojny. I może wy, suszłacy, nie skończycie jako straty uboczne.

- To prawda? - spytał Hal Danny'ego.

- Mam taką nadzieję - powiedział Danny. - Ale gdyby przyszło co do czego, nie wiem, czy zdobyłbym się na to. Czy pozwoliłbym im zabić ciebie, ją czy kogoś innego. Do tej pory narażałem tylko własne życie. Kiedy jednak stworzyłem Wielkie Wrota, wszystko się zmieniło. Teraz zagrożony jest cały świat.

- Ale przecież masz te swoje umiejętności - zauważył Hal. - Na przykład, gdybyś był jedenastego września w Nowym Jorku, mógłbyś sprawić, żeby te samoloty...

- Nie, nie mógłbym nic zrobić. Dowiedziałbym się o tym wtedy, kiedy wszyscy, z telewizji.

Mam pewne zdolności, ale tak naprawdę nie jestem bogiem. Nie takim z waszych wyobrażeń; kimś, kto wie wszystko i może robić, co tylko chce. Potrafię robić tylko pewne określone rzeczy i bardzo mało wiem.

- To jaki jest z tego pożytek? - spytała Pat.

- Niewielki - przyznał Danny. - Mogę tylko starać się jak najmniej szkodzić.

- Co więc wybieracie? - spytała Hermia. - Moja rodzina jest już w drodze, możecie być tego pewni. Jeśli zdecydujecie, że nie chcecie stanąć u jego boku, Danny musi was zabrać gdzieś daleko stąd, zanim tu dotrą. Wsiądźcie do samochodów, odjedźcie i zapomnijcie, że w ogóle go znaliście. Nie róbcie nic, co zdradziłoby rodzinom, że jesteście jego przyjaciółmi, bo skończycie jako zakładnicy. Rozumiecie?

- Cholera - jęknęła Sin. - To po prostu... to okropne.

- Fakt - przytaknęła Hermia.

- Po co zrobiłeś te Wielkie Wrota, stary? - spytał Hal.

- Bo jestem sługą czasoprzestrzeni - rzekł Danny. - Bo do tego zostałem stworzony. Bo

stawiałem czoło potężnemu wrogowi i go pokonałem. Bo jestem dureń.

- Jest cień szansy - powiedziała Hermia - że nie będzie aż tak źle. Może ojciec i matka

Danny'ego po przejściu przez Wielkie Wrota posłużą się swoją mocą, żeby na przykład zniszczyć całą broń jądrową na świecie.

- Mogliby to zrobić? - spytał Hal.

- Pytanie, czyby chcieli - odparła Hermia. - Rodziny raczej nie słyną z zapału do ulżenia doli suszłaków.

- Suszłacy... to my? - zdziwiła się Xena.

- To brzmi bardzo pogardliwie - powiedziała Pat.

- Większość członków rodzin suszłakami pogardza - rzekł Danny. - Ale niektórzy z nas chcą wykorzystać naszą moc, żeby was chronić.

- Nie wpuszczaj ich we wrota, stary. - Hal znalazł rozwiązanie.

- Przecież wam tłumaczyłam, jak go do tego zmuszą - wtrąciła Hermia.

- To się przedtem zabij - zaproponował Hal. - Ja bym tak zrobił.

Jego słowa zawisły w powietrzu.

- Może ty tak - rzekł Danny. - Ale ja nie jestem tego rodzaju bohaterem. W ogóle nie jestem bohaterem.

- Wielka moc pociąga za sobą wielką odpowiedzialność - wyrecytował Wheeler.

- Żeby tylko - powiedział Danny. - W świecie rzeczywistym wielka moc pociąga za sobą wielkie cierpienie... ludzi, którzy tej mocy nie mają.

- Ja nie żartowałem - stwierdził Hal. - Ty w ogóle nie powinieneś istnieć. Gdybyś nie istniał, życie dalej toczyłoby się tak jak od czasu, kiedy wy, bogowie, przestaliście być boscy.

- Gdybym nie istniał, czasoprzestrzeń stworzyłaby drugiego takiego jak ja - rzekł Danny. - I może ten ktoś byłby jeszcze gorszy ode mnie.

- Było nie było, Danny posługiwał się swoją mocą, żeby nam pomagać - zauważyła

Laurette.

- No i przewracał Killera na tyłek - przypomniał Hal.

- I sprawiałem, że upuszczał stoper - dodał Danny.

- Żeby mnie chronić? - spytał Hal.

- I żeby było śmiesznie.

- Rzeczywiście, było zabawnie - przytaknął Hal.

- Zniszczysz świat, Danny? - spytała Sin.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział Danny. - Liczę, że rodziny zjednoczą się i

wykorzystają swoją moc, by przerwać wszystkie wojny, powstrzymać wszystkich terrorystów, zakończyć cały ten syf.

- A przed zamknięciem wrót tak postępowały? - spytał Hal.

- Nie.

- Dlaczego teraz miałyby być inaczej? - dążył Hal.

- Bo jest tu Danny - stwierdziła Hermia. - Jeśli członek którejś z rodzin zacznie się

zachowywać jak Stalin, Pol Pot czy Idi Amin, Danny może przenieść go wrotami na dno

Atlantyku i wszyscy o tym wiedzą. Nikt mu w tym nie przeszkodzi. Dopóty, dopóki Danny żyje, ma szansę nad wszystkim panować.

- Czyli będziesz takim, no, bogiem nad bogami - powiedział Hal.

- Tak. - Danny usiadł.

- I skończysz szkołę w terminie - dodał Hal.

- Z tym może być kłopot.

- Czemu w ogóle liczyłeś, że dasz radę? - spytała Pat.

- Bo kiedy tu przybyłem, nie wiedziałem, że umiem robić Wielkie Wrota. Nie wiedziałem

nic. Chciałem być normalny.

Hal wykonał dłońmi gest wazenia.

- Być normalnym czy być najwyższym bogiem. Być najwyższym bogiem czy być

normalnym. Ależ trudna decyzja. - Wyciągnął rękę do Danny'ego. - Wchodzę w to.

- W co?

- W to samo bagno co ty. Jestem twoim posłańcem. Albo sługą. Czy kogo ci tam potrzeba.

Jak dla mnie, jesteś w porządku gość. Myślę, że jeśli już ktoś ma zdobyć taką moc, lepiej niech padnie na ciebie niż kogokolwiek innego, no, może poza Winstonem Churchillem, a on nie żyje.

Danny uroczyście uściśnął mu dłoń.

- Czyli Hal będzie twoją prawą ręką - powiedział Wheeler. - Tylko dlatego, że raczył się do ciebie odezwać, kiedy przyszedłeś do naszej budy.

- Dlatego, że jest moim przyjacielem - odparł Danny - i zgłosił się na ochotnika.

- To ja też się zgłaszam - rzekł Wheeler.

I po paru chwilach wszyscy poszli w jego ślady.

- Wobec tego wsiadajcie do samochodów - powiedział Danny - i zjeżdżajcie stąd.

- Zdaje się, że mieliśmy tak postąpić, gdybyśmy odmówili - zauważyła Laurette.

- Nie chcę, żeby krewniacy Hermii wiedzieli o waszym istnieniu. Jeszcze nie. Idźcie.

Jesteście moimi przyjaciółmi. Wasza interwencja poskutkowała. Powiedzieliśmy wam wszystko, co wiemy. Bez upiększania. I postanowiliście stanąć u mojego boku. Dlatego pierwsza zasada jest taka: jeśli mówię „wynocha”, macie się wynosić. Żeby nie wzięli was jako zakładników i nie wykorzystali przeciwko mnie.

Kiwnęli głowami.

- Nie zachowujcie się jak suszłacy - zniecierpliwiła się Hermia. - On nie chce, żebyście potakiwali. Chce, żebyście sobie poszli!

I w tej chwili Danny przeniósł ich wrotami, jedno po drugim, na zewnątrz, w miejsce, gdzie zostawili samochody.

Po chwili dezorientacji i zamieszania wsiedli do aut i odjechali.

- Tego chciałeś, prawda? - spytała Hermia. - Żeby im powiedziała, zgadza się?

- Nie wiedziałem, czego chcę, dopóki tego nie zrobiłaś. Ale tak. Domagali się prawdy. Nie są dziećmi, są ludźmi. Zaslужują na to, żeby zdobyć wiedzę, która pozwoli im samodzielnie dokonać wyboru.

- Podjęli głupią decyzję.

- To prawda - przytaknął Danny. - Ale wszystkie decyzje są głupie. Jak dotąd tylko takie podejmowałem. Ty też.

Hermia uśmiechnęła się szeroko.

- Kiedy żadna decyzja nie jest mądra, pewnie trzeba po prostu wybrać głupią, która ci najbardziej odpowiada.

- Twoja rodzina już tu jedzie, prawda? - spytał Danny.

- Nie widzę innej możliwości.

- Wobec tego pora przenieść się gdzie indziej - powiedział Danny.

- Pora, żebyśmy przenieśli się w dwa różne miejsca - uściśliła Hermia. - Dopóki nie będziemy gotowi zwołać spotkania, na którym nam zależy. Bo oni zawsze będą wiedzieć, gdzie jestem, a nie chcemy, żeby wiedzieli, gdzie jesteś ty.

Danny przerzucił Hermię wrotami w znane jej miejsce w Paryżu. Potem napisał liścik do Greków: „Pozwolę dwóm waszym ludziom przejść przez Wielkie Wrota. Wracajcie do domu i czekajcie na mojego posłańca. Poczynając od dziś, każdy członek dowolnej rodziny, który zjawi się w tym mieście, zostanie odesłany na Księżyc. A teraz odejdźcie”. Zostawił list na stole w swoim małym domku w Buena Vista.

Potem otworzył drzwi wejściowe, żeby nie musieli ich wywazać. Po co narażać właściciela domu na koszty.

Przeniósł się wrotami do Waszyngtonu, stamtąd do Staunton, potem do Lexington i

wreszcie do Naples na Florydzie, zabierając ze sobą wszystkie kolejne wrota, żeby Grecy nie mogli go namierzyć, gdyby przypadkiem mieli Węszyciela, o którego istnieniu Hermia nie wiedziała.

Veevee od razu poznała, że wszedł do jej apartamentu. Wróciła z plaży wrotami, które zostawił tam specjalnie dla niej.

- W samą porę na ostatni odcinek *Żony idealnej* - powiedziała.

- Co to, serial? - spytał Danny.

- Czysta fantazja. Nie ma żon idealnych.

- A idealni mężowie?

- Zobaczymy... jak dorośniesz. Chcesz kanapkę?

- Sam sobie zrobię. Powiedzieliśmy moim przyjaciołom, co potrafię.

- Cóż, to samolubne i głupie z waszej strony.

- Nalegali.

- To z kolei głupie z ich strony, ale nie wiedzieli, o co proszą. Ty nie masz usprawiedliwienia.

- Wiem - przytaknął Danny. - Ale inni ludzie będą w to zamieszani, czy to się nam podoba, czy nie. Równie dobrze możemy mieć kilku po naszej stronie, rozmyślnie, z ich własnego wyboru.

Veevee wzruszyła ramionami i zaśmiała się.

- Zabawnie będzie obserwować, jak to się dalej potoczy. Aż do chwili, kiedy wszystko pójdzie z dymem.

- Jesteśmy bogami - powiedział Danny. - Co złego może się stać?

4

JENIEC

Klucha był taki stary, że nawet jego własna rozpacz i gniew nie mogły dogłębnie nim zawładnąć na długo. Istota, która przeżyła w drzewie czternaście stuleci, wypatrując tylko jednego - wrót między światami - nie wczuła się dotąd w pełni w rolę człowieka i być może nie dokona tego nigdy.

Klucha był przede wszystkim obserwatorem. Tak, został kochankiem królowej. Tak, kochał swojego syna, próbował go chronić, po czym dał się przechytryć kochance, królowej Bexoi, i teraz jego syn nie żył. Tak, uwięził niewinną kobietę i jej synów, a potem ich uwolnił. Chyba to wszystko dowodziło, że żył prawdziwym życiem.

Przy tym wciąż obserwował. Nie tylko to, co leżało poza nim samym, tak jak wtedy, kiedy myszkował po zamku w Kamesham, ale i to, co się działo wewnątrz niego, tam gdzie skrywał się jego zmysł do wrót.

W latach młodości, jeszcze jako Loki, i później, przez stulecia, które przeżył jako Złodziej Wrót, Klucha przejmował i przetrzymywał wrota innych magów, nigdy jednak nie odebrano mu jego własnych wrót. Dlatego nie zdawał sobie sprawy, jak to jest mieć swoje zewnętrzne ja uwięzione w skarbcu serca innego maga.

Oczywiście, było powszechnie wiadomo, co spotykało innych magów, gdy ktoś brał ich zewnętrzne ja do niewoli. Że leżeli bez ruchu, pogrążeni w letargu, i czekali, aż ich wędrująca jaźń powróci.

Nie byli to jednak magowie wrót. Zwykle mieli niepodzielne zewnętrzne ja. Tylko najwięksi z magów mogli sterować wieloma klantami albo łączyć się z kilkoma braćmi serca naraz - i nawet oni doznawali rozszczepienia jaźni.

A magowie wrót byli z natury podzielni. Mogli pozostawiać cząstki siebie to tu, to tam, bez końca, w postaci wrót otwartych dla innych, zawsze świadomi tego, gdzie one są, ale nigdy nieskupiający całej uwagi na jednych konkretnych wrotach.

I dlatego ciała magów, którym Klucha wykradał wrota, nie pozostawały puste, bezbronne.

Okradzeni mogli dalej wieść prawie normalne życie. Uważał więc, że nie robił im prawdziwej krzywdy. Wciąż byli sobą, wciąż byli żywi i świadomi, wciąż mieli władzę nad swoimi ciałami. Niczego nie rozumiał.

Kiedy nowy Ojciec Wrót z Mittlegardu ukradł większość wrót ze skarbca serca Kluchy, w tym wszystkie odebrane innym magom przez wieki, Klucha zrazu mógł myśleć tylko o tej garstce wrót, którymi wciąż władał. Posłużył się tymi wrotami, żeby ocalić Anonoei, konkubinę króla Prayarda, i jej dwóch synów, Eluika i Enoppa. Zachował jeszcze trochę mocy. Wciąż był magiem.

Teraz jednak, kiedy nie miał żadnego pilnego zadania do wykonania, uprzytomnił sobie coś, czego dotąd nie pojmował. Że mag wrót zostawia we wrotach większą część swojego ja, niż przypuszczał. Klucha wciąż bowiem miał łączność ze skradzionymi mu wrotami. Wciąż wiedział, gdzie są. Przez cały czas je czuł. Po prostu nie mógł nic z nimi robić.

A mimo to, niczym zewnętrzne ja maga zwierząt połączone z bratem serca albo klient uformowany z roślin, kamieni, piasku, wody czy ognia, skradzione mu wrota były świadome, czujne, wyczuwały wszystko to, co ich aktualny posiadacz robił, co widział, co słyszał.

I im dłużej Klucha się koncentrował na swoich utraconych wrotach, tym lepiej dostrzegał zamiary tego innego maga, jego plany, potrzeby, pragnienia. Nie całkiem w słowach; słowa zawsze pozostawały tuż poza zasięgiem. Tylko wtedy, gdy ten złodziej, ten Ojciec Wrót, Danny North, wypowiadał swoje myśli na głos, Klucha mógł je pochwycić. A mimo to, niczym mag zwierząt, wyraźnie wyczuwał wewnętrzne tęsknoty tego mężczyzny... nie, chłopca.

Nie mógł niczego zmienić, nie mógł nim zawładnąć - to Danny North był panem i za małą część Kluchy tkwiła w utraconych przez niego wrotach, by mógł liczyć, że przejmie nad nim kontrolę. Najgłębsza jaźń maga wrót nie znajduje się w jego zewnętrznych ja, jak u innych

magów. Dlatego magowie wrót nie potrafili stworzyć klantów. A mimo to odebrane mu wrota wciąż były częścią Kluchy, tym samym Klucha stał się częścią Danny'ego Northa.

I wszystkie wrota, które ukradł przez stulecia, czuły niegdyś to, co teraz czuł on. Tamci magowie nie mieli mocy Kluchy i może przez to nie odczuwali swojej obecności wewnątrz niego tak wyraźnie, jak Klucha teraz odczuwał swoją wewnątrz Danny'ego Northa. Musieli jednak być jej świadomi.

I dlatego, że Klucha tak długo żył w drzewie, jego zdobyczne wrota nie znikły po śmierci ich magów. Wszystkie wciąż były żywe.

Klucha je poskromił, uciszył. One jednak obserwowały. Znały go tak, jak nikt nie może poznać drugiego człowieka, aż do głębi serca - chyba tylko zaklinacze ludzi mogli dorównać im zrozumieniem ludzkiej natury.

Po zaledwie kilku dniach spędzonych wewnątrz Danny'ego Northa Klucha znalazł go na wylot, wiedział, jakim jest człowiekiem, co lubi, czego się boi, na co liczy, czego nienawidzi. A skoro tak, jak dobrze magowie wrót, których cienie skrywały się w skarbcu serca Kluchy, poznali jego samego przez tych czternaście stuleci?

I teraz całą ich wiedzę przejął Danny.

Klucha czuł także wrota innych magów uwięzione razem z jego własnymi przez tego nieopierzonego Ojca Wrót. Uświadomił sobie teraz, że znalazł je wszystkie, że poznał je przez lata, gdy tłumiał ich krzyki, zgłębiał ich wściekłość i rozpacz, zrywał ich woli. Zrosły się z nim i teraz, kiedy je stracił, brakowało mu tej bliskiej więzi. Mimo że były tak daleko, w skarbcu serca innego człowieka na innym świecie, pragnął ich posłuchać.

Kłopot w tym, że go nienawidziły. Choć znajdowały się w skarbcu serca Danny'ego Northa, to wciąż trzymały się jak najdalej od wrót Kluchy. Nawet tam bowiem moc Kluchy była wielka, jego wrota zaś tak liczne, że przytłaczały resztę - choć bladły w porównaniu z miliardem

wrót należących do samego Danny'ego Northa. Te inne wrota, pozostałości po wielu nieżyjących magach, wciąż bały się i nienawidziły Kluchy.

I kochały Danny'ego Northa.

To właśnie zdumiało Kluchę, kiedy to zrozumiał. Te wrota były w takiej samej niewoli jak przedtem. Danny North ich nie oswobodził. A mimo to odnosiły się do swojego nowego pana tak, jakby zwrócił im wolność. Równie mocno jak nienawidziły - do tej pory - Kluchy, tak teraz kochały tego chłopca.

Klusze trudno było to pojąć. Byłem dobrym człowiekiem, myślał. Kiedy pod imieniem Loki wędrowałem po dwóch światach, zobaczyłem, jak wielkie grozi im niebezpieczeństwo ze strony mrocznych zaklinaczy ludzi ze świata Bela, magów opętujących ciało i duszę. I poświęciłem wszystko, żeby chronić światy przed smokami Bela. Czy to nie uczyniło mnie najlepszym z ludzi?

A jednak zniewolone przeze mnie wrota nigdy nie rozumiały, jak szlachetnej i wielkiej sprawie służyłem. Spędziły we mnie całe wieki i ich nienawiść nigdy nie osłabła.

Za to wewnątrz Danny'ego Northa zdawały się rozkwitać, budzić do nowego życia.

Żałosnego, mrocznego życia, ale życie to życie. Wciąż były czujne, wciąż świadome, a przy tym spokojne, nie kipiły złością jak dawniej, wewnątrz Kluchy.

Lubiły Danny'ego Northa. Lubiły w nim przebywać. Lubiły widzieć świat jego oczami.

Żyły z nim w zgodzie.

I nie zanikały nawet teraz.

Moje wrota też nie zanikają, choć są ode mnie oderwane, pomyślał Klucha. Mało tego, dobrze im tam. Ja też odczuwam większy spokój, kiedy jestem wewnątrz Danny'ego Northa niż we własnej skórze.

To było doniosłe odkrycie Kluchy: powodem, dla którego mógł znieść śmierć syna, zdradę

królowej Bexoi, bolesne wyrzuty sumienia wywołane tym, co zrobił Anonoei i jej synom, i trwogę zrodzoną z utraty prawie całej swojej mocy, było to, że Danny North trzymał wielką część Kluchy w swym sercu. Sercu zdumiewająco czystym i spokojnym.

Danny North był dobrym człowiekiem.

Niezdyscyplinowanym, nieprzeszkolonym, nieopierzonym, zagubionym, wystraszone - młodym.

A mimo to jego charakter był już całkowicie ukształtowany, jak u wszystkich ludzi, gdy osiągają wiek pełnej świadomości - a być może od chwili poczęcia. I okazało się - za pośrednictwem tych, których trzymał wbrew ich woli w swoim sercu - że Danny North to człowiek na wskroś przyzwoity.

A ja to co, nie jestem przyzwoity? Dlaczego pobyt w moim skarbcu serca był taką torturą, a niewola w jego skarbcu serca przywraca siły, pozwala zaznać wytchnienia, spokoju, wygody?

Może różnica polega na tym: kiedy zrozumiałem, że jestem przytomny i świadomy wewnątrz Danny'ego Northa, pierwsze, co próbowałem zrobić, to jakoś przejąć nad nim kontrolę.

W pierwszym odruchu chciałem zdobyć władzę.

Danny North nie chce nikim rządzić.

Biedne dziecko. Tak wielka moc i najmniejszego pojęcia o tym, do czego ona służy.

Nie dlatego pożarł moje wrota, że zobaczył we mnie rywala. Po prostu próbował przetrwać, zachować swoje ja. On nie chce władzy nad światami. Nie chce nawet być bohaterem, który te światy ocali. Czego więc chce? Kim jest ten chłopak?

I dlaczego, skoro tak wiele nas różni, tak bardzo cieszy mnie jego towarzystwo?

Danny North do tego stopnia zaprzątnął jego myśli, że trzeba było kilku dni, by Klucha uprzytomnił sobie, że wie coś ważnego o wydarzeniach rozgrywających się tu, na Westilu.

Na świecie był nowy mag. Mag, który przeszedł przez Wielkie Wrota. Wciąż przepajała go ich moc; to było tak, jakby odgłos jego kroków rozchodził się w najgłębszej skale świata niczym wstrząsy tektoniczne i wywoływał drgania w zmyśle do wrót Kluchy. Mimo że nie on te Wielkie Wrota stworzył, takiego zaburzenia czasoprzestrzeni nie dało się ukryć przed Kluchą, prastarym Ojcem Wrót.

Kim był ten intruz? Jakiego rodzaju magię praktykował? Jej nagły przypływ budził świat z letargu. Nikt nie władał tak potężną mocą od zamknięcia Wielkich Wrót przed czternastu wiekami. Cokolwiek Danny North robił na Mittlegardzie, Klucha był tu, na Westilu, i musiał się zająć tym nowym wielkim magiem.

I dlatego, że Klucha nie był tak porządny, tak pozbawiony ambicji jak Danny North, jego pierwszą myślą było: jak okiełznać moc tego nowego wielkiego maga i wykorzystać ją, by wyrzucić zemstę na moim wrogu, królowej Bexoi, i zadać jej takie cierpienie, jakie ona zadała mnie?

5

ZABÓJCY

Kiedy Danny zjawił się na farmie w Yellow Springs, Marion już przewiesił sznur przez belkę stropową w oborze.

- Potrzebna była drabina? - spytał Danny.

- Jestem Przyjacielem Kamieni - rzekł Marion. - Nie umiem latać, moje pożał się Boże klanty też nie.

- To czemu na mnie nie poczekałeś? Stworzyłbym wrota i zabrał sznur na górę.

- Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale jak cię jeszcze na tej farmie nie było, ja już umiałem się samodzielnie podcierać.

Danny wyszczerzył się radośnie.

- Sugerujesz, żebym ci zainstalował wrota w odbycie? Będą prowadziły tylko na zewnątrz, słowo.

Marion zamierzył się na Danny'ego, choć nigdy go nie uderzył i nigdy tego nie zrobi.

Nagle jednak znieruchomiał.

- Mógłbyś coś takiego zrobić? - spytał. - To znaczy, nie wrota w odbycie, tylko takie, które są połączone z człowiekiem, nie miejscem?

- Jak przyjdzie Hermia - powiedział Danny.

- Hermia. Veevee. One wiedzą tylko to, co wyczytają w książkach.

- A ja wiem tylko tyle, ile nauczyłem się z doświadczenia. Przez te wszystkie lata głowiłem się, jak zamykać wrota i wciągać je z powrotem w siebie, ale zrozumiałem, na czym to polega, dopiero kiedy zobaczyłem, jak robi to ktoś inny.

- Ktoś musiał być pierwszym magiem wrót - rzekł Marion. - A jak mówi Hermia... jeśli wierzyć Grekowi...

- Można, jeśli nie przynosi darów - stwierdził Danny. - Poza tym ona jest Pelazgiem.

- Według jej słów jesteś zapewne najszczodrzej utalentowanym magiem wrót w dziejach.

Musisz więc próbować robić coś całkiem nowego, żeby zrealizować swój potencjał.

- Rodzice zawsze sądzą, że ich dzieci mają większy potencjał, niż to jest w rzeczywistości.

- Nie można by zastosować magii wrót w chirurgii? - spytał Marion. - Te lokalizatory wszczepione Hermii... nie możesz ich z niej wyjąć wrotami?

- Mam w głowie mapę wszystkich wrót, które stworzyłem - powiedział Danny. - Ale nie mogę sporządzić mapy ludzkiego organizmu. Przejście przez wrota leczy wszystkie urazy i zaburzenia, ale gdybym zaczął usuwać wrotami części ciała Hermii, nie ma pewności, że natrafiłbym akurat na te urządzenia. To byłaby loteria.

- Przynajmniej teraz rozumiem, dlaczego chcesz się przenieść wrotami na belkę stropową,

żeby zawiesić sznur... to coś, co wiesz, że potrafisz.

- A ty nie robisz głównie tego, na czym się znasz? - spytał Danny urażony.

- Masz rację - odparł Marion. - Powiedz mi coś. Gdybyś stojąc tu, na ziemi, wziął do ręki jeden koniec sznura i przeniósł się wrotami na belkę stropową, czy sznur podążyłby za tobą i rozciągnąłby się stąd tam, czy urwałby się w miejscu, gdzie zaczynają się wrota?

- Wyglądałby, jakby się urwał - powiedział Danny. - Ale nadal stanowiłby całość.

Dochodziłby do wejścia we wrota tu, na dole, i wylaniał się z ich wylotu na górze.

Marion pokręcił głową.

- Jako mag kamienia wierzę w ciągłość rzeczy. Nie w nagłe skoki przez czasoprzestrzeń.

- Gdzie mama? - spytał Danny.

- Wypatruje obcych kłanów i braci serca. Masz znów stworzyć Wielkie Wrota, a tego właśnie chcą wszystkie rodziny, nie wspominając o działających na własną rękę Sierotach, których być może jeszcze nie poznaliśmy.

- Nie do wiary, że po przejściu przez Wielkie Wrota wyczuwa cudze zewnętrzne ja w obrębie paru kilometrów - rzekł Danny.

- A ja wyczuwam wszystkie zaburzenia w powłoce skalnej, nie wspominając o sieciach wód podziemnych, w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. Nie bez powodu ludzie musieli przejść przez Wielkie Wrota, zanim suszłacy raczyli nazwać ich bogami.

- Teraz z mamą jesteście bogami?

- Gdybym przeszedł przez Wielkie Wrota jako Ojciec Kamienia, wtedy owszem, myślę, że teraz mógłbym odstawić pokaz, który zniechęciłby suszłaków do tego, żeby mi się narażać. Ale jako Przyjaciel Kamieni? Poprzestańmy na tym, że mój dar stał się dużo bardziej użyteczny.

Mam więcej do zaoferowania kamieniowi i dlatego kamień silniej reaguje na moje działania. To wszystko.

Danny stał nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ziemię i myślał o tym, jak Marion otworzył koło szkoły rozpadlinę, która połknęła pikapa. Do czego ja stanę się zdolny, kiedy przejdę przez Wielkie Wrota? - zastanawiał się. Do czego zdolna będzie Veevee? A Hermia? Jak coś takiego wpływa na maga wrót?

Czy nie po to mamy zrobić te Wielkie Wrota, żeby się o tym przekonać? Teraz, gdy nie czyha na mnie żaden Złodziej Wrót, a Marion i Leslie poradzą sobie z każdym zagrożeniem, mogę trochę poeksperymentować. Zostać na Westilu minutę czy dwie. Nie za długo - nie tak długo, żeby się narazić na niebezpieczeństwo. Ale dość długo, by zobaczyć miejsce, w którym Marion i Leslie spędzili tylko ułamek sekundy. „Mrugnęliśmy oczami i wróciliśmy - wyjaśnił Marion po powrocie. - Był dzień, były skały i trawa, to wszystko, co wiem”.

„O tej trawie wie tylko dlatego, że mu powiedziałam - dodała wówczas Leslie. - Magów kamienia trawa nie obchodzi, ale Siostry Krów mają do niej oko”.

Danny lekko pociągnął za sznur zawieszony przez Mariona. Tak bardzo pragnął stworzyć Wielkie Wrota, że wręcz nie mógł się doczekać przybycia pozostałych.

Nie, nieprawda. Nie on tego pragnął. To, co odbierał jako silne pragnienie, płynęło z uwięzionych w nim licznych zewnętrznych ja. Z dawnych więźniów Złodzieja Wrót, nie samego Złodzieja - jego wrota istniały tylko po to, żeby blokować Wielkie Wrota, wykraść je, nie ich używać, a już na pewno nie je stwarzać.

Czy mógł wykorzystać część uwięzionych w nim zewnętrznych ja do stworzenia Wielkich Wrót, tak jakby były jego własnymi? Hermia powiedziała mu, że w dawnych czasach prości Bracia Ścieżek niekiedy oddawali Ojcu Wrót swoje trzy, cztery czy tuzin wrót, aby pomóc w osiągnięciu masy krytycznej niezbędnej, by powstały Wielkie Wrota.

Danny spróbował posłużyć się jednymi z wrót odebranych Złodziejowi Wrót, by stworzyć normalne wrota. Odmowa była tak silna i ostra, że poczuł niemal fizyczny ból.

Nie!

Zupełnie jakby gdzieś głęboko w nim coś krzyknęło. Nie słowo „nie”, lecz jego znaczenie, kategoriyczny sprzeciw.

Najwyraźniej nie mógł zmusić wrót innych magów do posłuszeństwa. Z tego, co mówiła Hermia, Bracia Ścieżek oddawali swoje wrota dobrowolnie. Wrota, z których próbował skorzystać teraz, zostały zaś odebrane magowi, który z całą pewnością nie chciał, by część jego zewnętrznego ja posłużyła wrogowi za budulec wrót.

To logiczne. Gdyby Ojcowie Wrót mogli do woli dysponować skradzionymi wrotami, kradliby je bez opamiętania. Złodziej nie zabierał wrót po to, żeby z nich korzystać; zabierał je, by nie skorzystał z nich nikt.

I Danny znów zaczął się zastanawiać dlaczego. Coś w związku z semickimi bogami. Coś w związku z Belem, prastarym bóstwem kartagińskim.

Wygrałem bitwę, kiedy pokonałem Złodzieja Wrót, ale nie wiedziałem nawet, w jakiej wojnie walczę. Może wyszło na to, że interweniowałem w rewolucji amerykańskiej po stronie Brytyjczyków. Nie mam pojęcia, kto jest dobry, a kto zły. Tak wielu jest nieprzyjaciół... ale może wrogowie słusznie chcą mnie unicestwić? Może moje zwycięstwo nad Złodziejem Wrót było najgorszym wydarzeniem w dziejach świata?

- Przestań się trapić, Danny, masz wtedy taką kwaśną minę - powiedziała Veevee.

A zatem przybyła wrotami z Naples na Florydzie. Drżała z emocji. Te Wielkie Wrota dla nikogo nie znaczyły więcej niż dla niej. Tyle lat żyła w niepewności, czy jest maginią wrót, czy nie; dlatego kiedy odkryła, że tak, na przekór temu, co jej wmawiano - kiedy odnalazła wrota Danny'ego i przekonała się, że potrafi je otwierać - to była najradośniejsza chwila w jej życiu. Lecz potem przyszła frustracja, gdy okazało się, że nie umie niczego poza otwieraniem wrót - i wpajaniem Danny'emu całej swojej wiedzy zgromadzonej przez długie lata studiów.

Teraz miała nadzieję, że przejście przez Wielkie Wrota obudzi w niej jakieś nowe, ciekawe zdolności. Tylko o tym mówiła, kiedy nie było innych tematów do rozmowy, Danny wiedział więc, że ku temu kierowały się jej myśli w chwilach bezczynności. Nie narzucała mu się, czuł jednak, jak silne było jej pragnienie.

Sam w pewnym stopniu podzielał tę ciekawość, a Hermia miała wręcz jeszcze silniejszą niż Veevee potrzebę, by w jakiś sposób rozwinąć swoje umiejętności, bo jako Przyjaciółka Zamków mogła tylko zamykać wrota, których Danny i tak nie zostawiał otwartych. Jednak obecność Hermii tutaj, w Yellow Springs, byłaby niebezpieczna, bo za nią trafiłaby tu jej rodzina. Dlatego gdyby to zależało tylko od niej i Danny'ego, możliwe, że zaczekaliby na bardziej sprzyjające okoliczności.

A Danny się bał. Owszem, pokonał Złodzieja Wrót, ale może to był przypadek. Co będzie, jeśli Złodziej Wrót znów będzie na niego czekał, tym razem gotowy, tym razem uzbrojony w jakąś straszliwą broń? Wystarczyłoby coś tak prostego jak miecz. Danny się zjawia, Złodziej Wrót bierze potężny zamach, głowa Danny'ego robi „łup” o ziemię i choćby ktoś położył ją z powrotem na jego szyi i tam przytrzymał, a potem przeciągnął go przez wrota, nawet Wielkie Wrota, ich uzdrawiające właściwości raczej niewiele by w tej sytuacji pomogły.

Nie, tak się na pewno nie stanie. Skąd Złodziej Wrót miałby wiedzieć, gdzie na Westilu pojawia się nowe Wielkie Wrota Danny'ego? Sam Danny tego nie wiedział.

- Niefortunnie przypomina szubienicę - powiedziała Veevee, przesuwając wzrokiem po sznurze, od góry po dyndający koniec. - Czy Marion musiał zrobić na nim stryczek?

- To nie stryczek, to pętla - wyjaśnił Danny. - Żeby nie musiał się tak mocno trzymać, jak się będę obracał. Nie chcę, żeby cokolwiek mnie rozpraszało.

- Mógłbyś wirować na ziemi jak derwisz - zauważyła Veevee.

- Ostatnim razem stworzyłem wrota, wisząc na końcu liny, więc dopóki nie nabiorę w tym

wprawy, będą robił tak samo. Kto wie, może siła, wytrzymałość albo moc wrót zależą od szybkości moich obrotów.

- Albo nie mają z nią nic wspólnego.

- Eksperymentować będziemy potem, jak już my, magowie wrót, przejdziemy przez te wrota.

- I wrócimy - dodała Veevee.

Danny domyślił się, co jej chodzi po głowie.

- Nie wiemy na pewno, czy Ced postanowił tam zostać, czy nie. Wystarczyłaby chwila zawahania. Złodziej Wrót rzucił się na mnie prawie od razu. Niewiele zabrakło, żeby Marion i Leslie też tam utknęli.

Stone pojawił się w wylocie wrót prowadzących do jego domu w Waszyngtonie.

- Cześć, Veevee - powiedział.

- „Veevee”? - obruszyła się. - Nie „moja droga”, „kochanie” albo chociaż...

- O przewspaniała Magini Wrót! O najznakomitsza z kobiet! O żono ma!

- Już lepiej. - Veevee napuszyła się żartobliwie. - Trzeba cię trochę zdopingować, ale wiesz, co powiedzieć, żeby dziewczyna poczuła się jak księżniczka.

- Ciekawe, czym staje się Przyjaciel Łąk po przejściu przez Wielkie Wrota. Mam wizje, że będę w stanie nakazać wszystkim trawnikom w Ameryce, by zarastały błyskawicznie, trawą tak wysoką, że ludzie własnych domów nie znajdą.

- W Ameryce Północnej znów zaroi się od bizonów i choć będą się opychać trawą do przesyty, prairie wciąż będą wyglądały jak zielone falujące morze - powiedziała Veevee.

- Kępy wyrastające z pęknięć w chodnikach i asfalcie rozsadzają wszystkie utwardzone nawierzchnie na kawałki - dodał Stone. - W tej dżungli życia żaden pojazd nie ruszy z miejsca; nawet helikoptery będą mogły wylądować tylko na chwilę, bo inaczej bujna trawa unieruchomi

im śmigła.

- I trzysta milionów ludzi umrze z głodu - rzekł Danny oschle.

- Ale bezkresne trawniki będą pięknym cmentarzem - stwierdziła Veevee.

- Bez obaw - uspokajał Danny'ego Stone. - Nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym tego.

Trawniki mają najmniej ciekawą roślinność na świecie. Wszystko, co ciekawe, zostało z nich wyeliminowane drogą selekcji. Na prawdziwej łące jest co najmniej setka różnych gatunków trawy rosnących w kępach to tu, to tam, a do tego tysiące kwiatów polnych, rośliny cebulkowe, bulwy, mchy, paprocie i...

- Liliowce - wtrąciła Veevee. - Kocham liliowce.

- Pudle świata roślin - rzucił Stone z pogardą.

- Są śliczne. Czy rosną samotnie, czy w wielkich skupiskach. Pamiętaj, żeby ich nie zabrakło na naszej łące, kochanie.

Stone przewrócił oczami.

- Widziałam to, Peter - powiedziała Veevee. - Niegrzecznie jest przewracać oczami.

- Ale czasem trzeba - stwierdził Stone. - Dla twojego dobra. Stwórz te swoje wrota, Danny.

Im dłużej będę rozmawiał z Veevee, tym bardziej się wkopię.

- Dam znać Hermii, że jesteśmy gotowi - odparł Danny.

Ponieważ dzięki swojemu zmysłowi do wrót wiedział już, gdzie dokładnie są wrota, które zrobił jej w Rio - tam się ostatnio ukrywała w myśl zasady, że skoro musi zmieniać miejsca pobytu, wybierze sobie takie, które są ciepłe i interesujące - mógł zrobić wrota prowadzące bezpośrednio do niej.

Nie było jej w pokoju hotelowym. Dziwne. Wiedziała, że już prawie czas stworzyć Wielkie Wrota. Miała czekać.

Danny natychmiast stworzył wrota powrotne i ruszył ku nim w tej samej chwili, kiedy

strzelba wypaliła. Poczul, jak kulki śrutu przeszywają jego ciało, a potem... znów był cały i zdrowy, bo wrota przerzuciły go z powrotem do obory. Z jego gardła wciąż wyrwał się zduszony krzyk już nieodczuwanego bólu. Wszyscy zwrócili się ku niemu.

- Znaleźli Hermię - powiedział. - Nie było jej tam, a na mnie czekali nie po to, żeby o tym pogadać.

- Jesteś ranny? - spytała Veevee, dotykając jego poszarpanej koszuli.

- Przez chwilę byłem. Możliwe, że jeszcze mam w sobie śrut. Później się tym zajmę. Wrota uleczyły rany, a ja muszę znaleźć Hermię.

- To nie mogła być jej rodzina - stwierdził Stone. - Grecy wprawdzie są okropni, ale nie zabiliby jedyne żyjącego maga wrót na świecie.

- Tylko oni mogli ją namierzyć - rzekł Danny.

- Może tamci śledzili śledzących - zauważył Marion.

- Albo mają własnego wężyciela, kimkolwiek są - powiedział Stone. - Grecy śledzą Hermię, ale wężyciel mógł po prostu odszukać twoje wrota i zacząć się na ciebie.

- Jakaś grupa fanatyków, którzy uważają, że za nic w świecie nie powinniśmy wracać na Westil? - spytała Veevee.

- Albo słudzy Złodzieja Wrót - dodał Marion.

- Zajrzę tam - zdecydował Danny. Zrobił małe wrota, właściwie okienko, które pokazało mu wnętrze pokoju, w którym ktoś go postrzelił.

Stali tam dwaj mężczyźni.

- Wiem, że dostał, zanim zniknął - powiedział ten ze strzelbą w rękach.

Danny zrobił wrota i nasunął je na zabójców.

Wyłonili się sześć metrów nad Oceanem Atlantyckim, daleko od najbliższego lądu. Nowe okienko Danny'ego było gotowe, zanim runęli do wody. Strzelba od razu poszła na dno;

mężczyźni krzyczeli i usiłowali utrzymać się na powierzchni.

Nie wychodziło im to najlepiej. Mało tego, jeden wpadł w panikę, wyraźnie nie miał pojęcia o pływaniu.

A zatem to nie Grecy. Rodzina Hermii szczyliła się swoim talassokratycznym dziedzictwem i wszyscy jej członkowie uczyli się pływać od kołyski.

Danny musiał jakoś ich tam uwięzić, tak by byli bezradni, nie mogli uciec, ale żeby nic im nie groziło.

Grawitacja odwali całą policyjną robotę za niego. Danny stworzył wrota, które wyciągnęły obu mężczyzn z wody i przeniosły na wysokość dwudziestu metrów; następnie przesunął pierwszy koniec tych wrót tuż pod niedoszłych zabójców. Lecieli centymetr w dół, potem wyskakiwali o ten sam centymetr w górę i tak w kółko. Obaj przez cały czas czuli, że spadają, ale mogli oddychać i słyszeć.

- Mogłem przenieść was trzysta metrów niżej i ocean już by was zmiążdżył - powiedział do nich Danny przez okienko.

Mężczyzna, który do niego strzelił, łkał. Ale jego towarzysz wydawał się zdolny słuchać.

- Gdzie jest kobieta, która mieszkała w tym pokoju hotelowym? - spytał Danny.

- Jaka kobieta?

Danny przesunął wlot wrót dwadzieścia metrów niżej. Odczekał minutę, po czym znów zmniejszył wysokość, z jakiej spadali, do centymetra.

- Druga szansa - rzekł.

- Poszła na plażę. My do jej pokoju. Jeszcze nie wróciła.

Teraz, kiedy Danny miał dość czasu, by przyjrzeć się im obu, mógł zacząć zgadywać.

- Persowie? Hindusi?

Zabójca, choć przerażony, zdołał przybrać pogardliwą minę.

- Powiedz, z której rodziny jesteście - zażądał Danny.

- Nigdy!

A zatem byli z jednej z rodzin - Sierota z dumą oznajmiłby, że do żadnej nie należy. I była to rodzina, która stawiała ukrycie tożsamości ponad życie. Każda ze znanych rodzin mogłaby chcieć dyskretnie zabić Danny'ego, ale dla żadnej zatajenie swojego udziału w zamachu nie byłoby sprawą na tyle istotną, żeby w jej imię zginąć. Bądź co bądź zabijanie magów wrót to coś, co wszyscy przysięgli robić.

Czyli rodzina, którą wszyscy uważają za wymarłą?

Danny przebiegł myślą ich listę. Zabójcy mieli bliskowschodnią urodę. Wszystkie rodziny były indoeuropejskie, a takich na Bliskim Wschodzie było bardzo niewiele.

- Hetyci? - spytał.

- Nie!

A zatem to Hetyci. Ciekawe. Nawet ekscytujące. Jak rodzinie Hetytów udało się ukrywać przez te wszystkie lata? Powszechnie uważano, że wyginęli, jeszcze zanim Pompejusz najechał na Syrię, chociaż niektórzy historycy z rodzin przypuszczali, że mogli wziąć pod swoje skrzydła Ormian i skrycie im pomagać.

Ale tło historyczne będzie musiało poczekać.

- Jeśli Hermia nie żyje - powiedział Danny - podzielicie jej los.

- Żyje! - krzyknął zabójca. - Nie tknęliśmy jej.

- Wielkim Wrotom nie! - krzyknął ten drugi, załkany. - Przyjdzie Bel! Przyjdzie na Yllywee!

Czyli jednak byli sprzymierzeńcami Złodzieja Wrót. Albo dzielali jego obawy; Illywee to prastara nazwa Westilu. Danny przypomniał sobie runiczne inskrypcje w Bibliotece Kongresu. „Stawiliśmy czoło Belowi i zawładnął sercami wielu”. To o zaklinaczach ludzi z innego świata -

świata, który nie był ani Ziemią, ani Westilem. „Loki odnalazł mroczne wrota Bela, przez które bóg ich zalał świat strachem”. Czemu miałyby to być istotne, czy Danny stworzy Wielkie Wrota, czy nie, skoro sam Bel potrafi robić wrota?

Hetyci coś wiedzieli. Musiał to z nich wyciągnąć.

Danny przeniósł wylot wrót, w których byli zawieszeni, do obory. Gruchnęli jak dwie przemoczone kłody na słomę obok stanowiska do dojenia. Danny natychmiast przygarnął do siebie wlot wrót, podniósł obu z klepiska i zawiesił ich w powietrzu na wysokości trzech metrów.

- Co jest grane, Danny? - rzucił Marion. - Jak możesz sprowadzać obcych do...

- To Hetyci - powiedział Danny. - Postrzelili mnie i wiedzą coś o Belu.

Wiele razy dyskutowali o tym runicznym tekście i wszyscy natychmiast zrozumieli, że to sprawa ogromnej wagi.

- Chcę, żebyś pod moją nieobecność ich przesłuchał - rzekł Danny do Mariona.

- Nie jestem śledczym!

- Nie mówię, że masz ich torturować. Zadawaj pytania, to wszystko.

- Sam ich torturujesz - zauważył Marion. - Zobacz, jacy są przerażeni! Spadają i spadają!

- Ludzie płacą grube pieniądze za to, żeby móc wzlecieć samolotem w niebo, a potem swobodnie spadać, dopóki nie otworzą spadochronu. To nie tortury, tylko sposób, żeby trzymać ich tam, gdzie nam wygodnie.

- Nie tutaj - zaprotestował Marion.

- Dobrze - odparł Danny. - Przeniosę ich z powrotem nad Atlantyckie Wybrzeże, dopóki nie znajdę Hermii.

- Nie! - krzyknęła Leslie od progu. - Natychmiast ich uwolnij!

- Oni mnie zabili! - odkrzyknął Danny. - To zabójcy.

- I Hetyci - dodała Veevee. - Czyli są nikczemni i interesujący.

- Dobry człowiek tak nie postępuje - powiedziała Leslie zimno.

Miała rację. Danny zrozumiał to od razu. Strach i gniew sprawiły, że działał odruchowo. A mimo to okazał powściągliwość i uważał, że należy mu się za to uznanie.

- Mogłem ich zabić, a nie zabiłem.

- Są przemoczeni do suchej nitki - zauważyła Leslie.

- Nie wiedziałem, że nie umieją pływać. Ale przecież wyciągnąłem ich z wody, zgadza się?

- Zabierz ich z mojej obory - ucięła Leslie. - Już.

A zatem z powrotem nad ocean. Danny znów musiał najpierw przenieść wylot wrót, przez co dwaj zabójcy runęli do wody, wymachując rękami, prychnając i krzycząc po każdym nabraniu tchu. Potem podniósł ich w powietrze. Teraz już niechybnie uważali, że lepiej bez ustanku spadać, niż się topić.

Tym razem Danny podążył za nimi. Zawisł w powietrzu. Nie spadł do wody - kiedy przemieszczał samego siebie w przestrzeni, robił to dużo szybciej, dużo zręczniejsze.

- Idę poszukać mojej przyjaciółki - powiedział. - Jeśli coś jej się stało, jeśli nie żyje, to samo spotka jednego z was na oczach drugiego.

- Myśmy jej nie tknęli, myśmy z nią nie gadali! - przekonywał ten mniej spanikowany.

Danny ponownie przeniósł się wrotami do pokoju hotelowego Hermii w Rio. Nie zastał tam nikogo, nie powitały go strzelby. Drzwi były nienaruszone - ci dwaj musieli kogoś przekupić, żeby ich wpuścić. Danny wyszedł na balkon i spojrzał na rozległą plażę. Tłum ludzi, jedni leżeli plackiem, inni spacerowali. Po kilku minutach jednak wypatrzył wśród nich...

Hermię. Zrobił wrota obok niej. Jeśli to Hermia, zobaczy je i w nie wejdzie; jeśli nie, to nie.

To była ona. Weszła we wrota.

- Już czas? - spytała, gdy tylko znalazła się w pokoju hotelowym.

- Przyszedłem po ciebie i powitał mnie strzał.

Hermia zobaczyła ślady śrutu na ścianie i podziurawione ubrania Danny'ego.

- Moja rodzina nie...

- Nie twoja rodzina.

- Strzelali, żeby zabić? Bez żadnego ostrzeżenia?

- Ani negocjacji. Po prostu... bum!

- Kto to był?

- Prawie na pewno Hetyci. - Uśmiechnął się szeroko.

- Wymarli bogowie ze strzelbami - powiedziała Hermia.

- I to wymarli od dwóch tysięcy lat. Nie przyznali co prawda, że są Hetytami, ale kiedy o to zapytałem, zaprzeczyli, zamiast migać się od odpowiedzi. Zawiesiłem ich nad Atlantykiem.

- Chcę z nimi porozmawiać.

- Chcesz zamknąć wrota, w których tkwią, żeby wpadli do wody i utonęli - domyślił się

Danny.

- To też, potem - stwierdziła Hermia. - Za miękki jesteś. Ludzi, którzy strzelają bez uprzedzenia, nie można zostawiać przy życiu.

- Ludzie, którzy wspominają o Belu, muszą to i owo wyjaśnić. Zresztą tak naprawdę mnie nie zabili.

- Zabili ci ubranie. Jak będziesz w takim chodził, zapoczątkujesz nową modę. Perforowane ciuchy. Śrutowa Kolekcja Calvina Kleina.

- Chcę zrobić Wielkie Wrota, zanim znów coś się stanie - rzekł Danny. - Ci pajace nigdzie nie uciekną. Potem będziemy mieli dość czasu, żeby ich przemaglować.

- O ile zdołamy wrócić - zauważyła Hermia.

- Jeśli nie, pewnego dnia ktoś znajdzie stosik kości i ubrań wiszący w powietrzu nad Atlantykiem. „Enquirer” da to na pierwszą stronę.

- Mówisz tak, jakby ci to było obojętne - powiedziała Hermia - ale wiem, że tak nie jest.

Danny westchnął. Leslie myślała o nim jak najgorzej, Hermia jak najlepiej, i obie miały rację. Przeniósł niedoszłych zabójców wrotami do pojedynczej celi w więzieniu okręgowym w Lexington w Wirginii.

- Już są na suchym lądzie, w porządku? A teraz zrobmy te wrota, zanim ktoś ich zauważy i wypuści.

- Dokąd ich zabrałeś?

- Do więzienia. - Danny zrobił okienko, przez które pokazał jej wnętrze celi.

Hermia przemówiła do nich.

- Macie siedzieć cicho. Jak tylko spróbujecie się wydostać albo choć się do kogoś odezwiecie, wracacie nad ocean.

Dodała jeszcze kilka słów w języku, który Danny słyszał po raz pierwszy w życiu.

- Tak, zrozumieli mnie - powiedziała do Danny'ego. - To by potwierdzało teorię, że są Hetyto-Ormianami.

- Mówisz po ormiańsku? - spytał Danny.

- Tak jakoś wyszło. Jestem maginią wrót, mam talent do języków.

Danny wziął ją za rękę i przeszli razem wrotami do obory.

6

GNIEWNE WROTA

- Co z nimi zrobiliście? - spytała Leslie.

- Żyją - powiedziała Hermia. - I są bezpieczni.

Leslie spojrzała nieufnie na Danny'ego.

- Chcę to usłyszeć od niego.

- Bo sądzisz, że poznasz, czy kłamię? - spytał Danny.

- Z góry zakładamy, że kłamiesz - stwierdził Stone. - Bo wszyscy mamy nadzieję, że ich zabiłeś i po sprawie.

- Nie ja! - obruszyła się Leslie.

- Tak czy tak, nie zmusimy maga wrót do posłuszeństwa - rzekł do niej Marion. - Zrobił, co zrobił, zrobi, co zrobi.

- Mogę obudzić w nim wyrzuty sumienia - zauważyła Leslie.

- To byłoby nie fair - obruszyła się Veevee. - Danny ma wyrzuty sumienia, że żyje.

- Stwórz Wielkie Wrota - wtrąciła Hermia. - Jeśli przejrżeli nas Hetyci, to i wszyscy pozostali już wiedzą, że na świecie znów są magowie wrót, i na pewno będą szukać Wielkich Wrot.

- To argument przeciwko temu, żeby je stworzyć - zauważył Stone.

- To argument za tym, żeby stworzyć je teraz - powiedziała Hermia - i żebyśmy przeszli przez nie wszyscy oprócz Mariona i Leslie, bo oni już to zrobili, a ktoś musi zostać na czatach.

- Ale od razu wróćcie? - spytała Danny'ego Leslie.

- Tak, chyba że Złodziej Wrot tym razem mnie dopadnie.

- Myślisz, że jest takie zagrożenie? - spytała Veevee.

- Jest słabszy, niż był, ale wie dużo więcej ode mnie. - Danny podszedł do sznura, chwycił go, szeroko rozchylił pętlę.

- Nie podoba mi się ta pętla - stwierdziła Veevee. - Wygląda tak ponuro.

Danny przełożył pętlę przez głowę i barki, po czym zacisnął ją pod pachami. Teraz mógł zawisnąć całym ciężarem na sznurze i mieć wolne ręce.

Wciąż stał na klepisku obory. Obracał się w kółko dotąd, aż sznur skręcił się na tyle, by podnieść go z ziemi. Dotykał jej tylko czubkami palców u stóp.

- Pokręcić tobą jeszcze trochę? - spytała Hermia.

- Już jestem pokręcony.

- Bardzo śmieszne - powiedziała Veevee.

- Ciągłe się waham, czy przez nie przejść - wyznał Stone.

- Zrób to - zachęciła go Veevee - i dotrzyмай mi towarzystwa.

- Zyskasz moc, by sprawić, żeby rośliny zarosły całą Ziemię - dodał Marion.

- Od tego jest kudzu - powiedział Stone. - I nie potrzebuje mojej pomocy.

Veevee wzięła go za rękę.

- „Chodź ze mną do krainy, do której idę ja” - zaśpiewała.

- Naprawdę jest taka piosenka? - spytał Stone.

- I to od dawna. - Veevee zaśpiewała znowu: - „Ulicami chwały przejdę rankiem tego pięknego dnia”.

- Muszę się skoncentrować - rzekł Danny. - A wy dwoje lepiej patrzcie, co się dzieje, żebyście wiedzieli, kiedy wejść we wrota.

Veevee się uśmiechnęła.

- „W krainie tej będzie śpiew, rozbrzmi głosów chór. Wolnym będziesz w krainie, do której idę ja”.

- Nikt nigdy nie słyszał o posłusznym magu wrót - stwierdził Stone.

- Dobrze ci tak, Danny - powiedziała Leslie.

Danny bez słowa podniósł nogi, odchylił się do tyłu, zamknął oczy. Zaczął się obracać.

Tym razem dwadzieścioro wrót za jednym zamachem.

Tyle że tym razem nie był sam - wiele ze skrytych w nim wrót innych magów głośno domagało się, by wykorzystał je do stworzenia Wielkich Wrót. Nic z tego nie rozumiał; kiedy przedtem próbował użyć zniewolonych wrót, odmówiły.

I nagle przyszło olśnienie - wtedy próbował użyć wrót należących do Złodzieja Wrót, więc

to naturalne, że wyraziły sprzeciw. Zniewolone zewnętrzne ja, które teraz błagały, by włączył je do Wielkich Wrót, zostały skradzione innym magom. Chciały być częścią żywych wrót, nie zwykłymi więźniami.

Wciągał te pełne zapалу wrota jedne po drugich w snutą przez siebie przędzę, aż dwadzieścioro wrót innych magów splotło się z jego własnymi. Nie miał jak poznać, czy te dodatkowe nici umacniają powstające połączenie, czy je osłabiają, wprowadzając nowe, niepasujące elementy do tkanej przez niego osnowy. Nic nie wiedział o tym, co robi. A mimo to uznał, że sprawiedliwie będzie włączyć do całego procesu zewnętrzne ja tych dawno nieżyjących magów, skradzione im z powodu ich prób stworzenia Wielkich Wrót.

Robiąc to, utraciliście całą swoją magię. Czy pojąłem was po to, żeby was uwięzić, czy żeby was uwolnić i pozwolić, by wasza moc znów żyła na świecie?

Uwolnić! Uwolnić! Uwolnić! - odpowiedziały wrota wewnątrz niego.

Mnie! Mnie! Mnie! - żądało wiele wrót, których jeszcze nie wykorzystał.

Dość, pomyślał Danny. Dwadzieścioro moich, dwadzieścioro waszych.

Teraz już wirował szybko. Nie aż tak jak wtedy, w sali gimnastycznej, ale wystarczająco.

Tym razem czuł moc zawartą w tym ruchu, tym razem rozumiał, że tak naprawdę istotna jest nie szybkość obrotów, lecz splatanie się wrót. Rzeczywiście, to, co powstawało, przypominało sznur - cztery potężne włókna, każde złożone z dziesięciorga wrót. Jako że już raz stworzył Wielkie Wrota i wiele się przy tym nauczył, przy tej okazji lepiej rozumiał cały proces.

Dwa włókna składały się w całości z wrót Danny'ego, dwa pozostałe z wrót innych magów. Ze swoich utkał wrota powrotne, których wylot będzie tu, w oborze, a z cudzych wrota prowadzące na Westil, które tutaj będą miały swój wlot. Splatały się ze sobą, wirując, jak czterdzieści smukłych tornad, każde samodzielne, każde haftujące własny wzór.

A potem wyrzucił je wysoko w przestworza, z całej siły swojego wewnętrznego ja, i poczuł

raczej niż usłyszał radosną pieśń, gdy cudze wrota skoczyły w kosmos, w czas, niosąc ze sobą jego wrota.

Jedne i drugie połączyły się w innym świecie. Wielkie Wrota były gotowe.

- Już - powiedziała Veevee.

- Rozwiążcie mnie - poprosił Danny, wciąż się obracając.

Silne dłonie zatrzymały obrót; inne ręce poluźniły pętlę i ściągnęły ją z niego przez ramiona i głowę. Nie otwierał oczu. Nie były mu potrzebne. Wielkie Wrota widział innym zmysłem. Było zupełnie inaczej niż poprzednio, tak jakby te pierwsze wrota utkał z nici jednego koloru, te zaś łączyły w sobie wiele jaskrawych barw mieszających się jak w kalejdoskopie.

Wielobarwne wrota, pomyślał Danny. Co to znaczy mieć wielobarwne wrota?

Poczuł, że Veevee i Hermia wzięły go za ręce. Wlot wrót był szeroko otwarty. Danny wszedł. Połączone z nim, Veevee i Hermia nie musiały nawet zrobić kroku; wrota wciągnęły ich wszystkich i oto już stali w blasku słońca na innym świecie.

Danny otworzył oczy. Światło było oślepiające w porównaniu z półmrokiem w oborze.

Widział jednak, że otaczają ich wysokie głazy, z grubsza ociosane, ustawione pionowo na porośniętym trawą grzbiecie łagodnie opadającego zbocza.

- Stonehenge - powiedział.

- Łapacz wrót - stwierdził Stone.

- Głupcze - odezwał się inny głos. Obcy głos. Mężczyzny.

Danny poznał tego człowieka, ale nie po głosie. Po jego wewnętrznym ja. Po tych nielicznych wrotach, które wciąż jeszcze miał w sobie.

- Złodziej Wrót. Co tu robisz?

- Głupcze - powtórzył Złodziej Wrót. - Jak mogłeś użyć tych gniewnych Dzikich Wrót?

- Chciały...

- Po stuleciach spędzonych w niewoli są nieokiełznane. Obląkane. - Złodziej Wrót mówił po westiliańsku z dziwnym akcentem, ale Danny rozumiał każde jego słowo.
- Chciały być częścią Wielkich Wrót - rzekł Danny. - Jesteś tu, żeby znów ze mną walczyć?
- Chce przejść przez wrota - stwierdziła Veevee.
- Albo cię zabić - dodała Hermia.
- Nic nie wiesz - powiedział Złodziej Wrót. - Ktoś musi cię nauczyć.
- Zamknij wrota za nami, Hermio - polecił Danny.
- Musimy już wracać? - spytała Veevee. - Jesteśmy na Westilu, a słońce tak razi. Nawet nie będę się mogła pochwalić, że cokolwiek zobaczyłam.
- Nie chcę, żeby on poszedł za nami - wyjaśnił Danny.
- Wkrótce tu wrócisz - stwierdził Złodziej Wrót. - I będziesz błagał, żebym cię nauczył, jak naprawić straszliwe zło, które uczyniłeś.
- Dlaczego pożarłeś wszystkie wrota? - Ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem, kazała Danny'emu zostać dość długo, by zadać to pytanie.
- Wiesz dlaczego. Powiedziały ci to wrota, które zniewoliłem.
- Powtarzają imię Bela.
- Bel, mag wrót z innego świata - powiedział Złodziej Wrót. - Świata złodziei dusz. Świata zaklinaczy ludzi. Głupcze.
- Chodźmy - ucięła Hermia. - Kto wie, co on knuje? Po co wciąga nas w rozmowę?
- Tymczasem Stone klęczał w trawie, rozczapierzone palce wbijał w ziemię.
- Jest tak pełna życia - szepnął.
- To ty jesteś pełen życia - odparł Złodziej Wrót. - Przejście przez Wielkie Wrota sprawiło, że wszyscy staliście się silni. Zbyt silni. Nie musicie się mnie obawiać.
- Chciałbyś, żebyśmy w to uwierzyli, co? - powiedziała Hermia.

- Magowie wrót to kłamczuchy - dodała Veevee; ze sporą dozą dumy, pomyślał Danny.

- Jak mam cię nazywać? - spytał. - Loki?

- Klucha - rzekł Złodziej Wrót. - To moje imię od czasu, kiedy wyszedłem z drzewa.

Danny nie miał pojęcia, co to znaczy.

- Nie oddam ci twoich wrót.

- Nie są mi potrzebne - odparł Klucha.

- Wiesz może, co się stało z Cedem? - zapytał Stone. - Przeszedł tu poprzednimi wrotami i nie wrócił.

- Mag wiatru? Wiem, gdzie jest.

- Jest bezpieczny? - spytał Stone.

Klucha się zaśmiał.

- Czy Westil jest bezpieczny, kiedy jest tu on? Najpotężniejszy mag na świecie... jakież wiatry wywołuje!

- Wyrządza szkody? - spytała Veevee.

- Nie umie ich nie wyrządzać. Podobnie jak wy. I nie ma nikogo, kto mógłby być dla niego przeciwwagą, kto mógłby go uczyć. Wypuszczacie w ten świat potwory.

- Idąc twoim tokiem rozumowania, sami stajemy się potworami - rzekł Danny.

- Wszyscy nimi jesteśmy - stwierdził Klucha.

- Wracajmy - powiedziała Hermia.

Danny teraz już widział go wyraźnie, stojącego między dwoma głazami. Ani wysoki, ani niski, ani mocno, ani słabo zbudowany. Twarz ani młoda, ani stara, tylko nietknięta zębem czasu, o oczach jak głęboka woda, szarych niczym łono chmury burzowej, patrzących na Danny'ego ze smutkiem, z gniewem, ze zrozumieniem.

- Nie patrz na niego - ostrzegła Hermia. - Jest dla nas za silny.

- Jestem słaby - odparł Klucha. - Ty, chłopcze, masz w sobie większość mojego

zewnątrznego ja. Jak powinienem się do ciebie zwracać?

- Nijak. - Danny przygarnął do siebie wlot Wielkich Wrót i znaleźli się z powrotem w oborze.

Słońce zniknęło. A wraz z nim kamienie. I trawa.

Stone klęczał z palcami wciśniętymi w klepisko. Łkał.

- To pustynia w porównaniu z tym, co jest tam - wyszlochał.

- Spotkaliśmy Złodzieja Wrót - poinformowała Mariona Veevee. - Był prawie tak ładny jak Danny i stary jak gwiazdy.

- Nie mogę zamknąć tych drugich wrót - powiedziała Hermia. - Tych wyjściowych, które stworzyłeś z cudzych serc.

Danny widział, że zamknęła już wrota powrotne, a teraz próbowała zrobić to samo z prowadzącymi na Westil.

- Nie możesz nad nimi zapanować, bo jest w nich dwudziestu magów. Musisz zamykać każde z nich oddzielnie. - Zaczął zasklepić wrota, jedno po drugim.

Zanim jednak doszedł do trzecich, pierwsze znów się otworzyły.

- Nie chcą się zamknąć na stałe - zdziwił się.

- Teraz widzę - odparła Hermia i zamiast próbować zamknąć całe Wielkie Wrota, zaczęła razem z nim zasklepić wrota, z których się składały. - Widzę wszystko wyraźniej. Mam dużo większą moc. Wydawałoby się, że powinnam dać radę je pozamykać.

Danny widział, że wychodzi jej to nie lepiej niż jemu.

Wielkie Wrota z Westilu na Ziemię, te w całości wykonane z własnych wrót Danny'ego, były zamknięte na amen, ale wrota innych magów nie były tak posłuszne. Pozostawały otwarte i choć Danny i Hermia mogli je zamykać, to nie na długo.

- Czyli mamy szeroko otwarte publiczne wrota - stwierdziła Veevee. - Widzę, co robicie.

Nie dają się trwale zamknąć. Nie chcą tego.

- Dzikie Wrota - rzekł Danny. - „Gniewne Dzikie Wrota”, tak je nazwał.

- Gniewają się na niego, nie na nas - zauważyła Veevee.

- Ja też je więziłem. Zresztą to nieważne, na kogo się gniewają. Nie są ludźmi, tylko ich widmami, wspomnieniem po nich. Ale są silne.

- Przejście przez Wielkie Wrota nas wzmocniło - powiedziała Veevee. - A one są Wielkimi Wrotami. Jak wielka musi być ich moc?

- Niech zostaną otwarte - zdecydował Danny. - I tak nic na to nie poradzimy.

- Mamy rozumieć, że nie umiecie zamknąć Wielkich Wrót? - spytał Marion.

- Zamknęłam te prowadzące na Ziemię - wyjaśniła Hermia. - Ale nie te stąd na Westil.

- Czyli moja obora jest teraz Wielkimi Wrotami, których nie możecie zamknąć? - oburzyła się Leslie.

- Dlaczego posłużyłeś się tymi wrotami? - zapytała Hermia.

- Chciały tego - odparł Danny. - Uznałem, że to im się należało po tak długim uwięzieniu.

- Przecież ich nie znałeś, nie wiesz, jakimi ludźmi byli za życia. Widmo zachowuje charakter jego stwórcy, a to mogli być bardzo źli magowie.

- Tak, teraz to wydaje się oczywiste. Wybrałem najbardziej natarczywe wrota. Najbardziej samolubne. Nie przypuszczałem, że nie będę miał nad nimi kontroli.

- Nie miałeś jeszcze do czynienia z wrotami, nad którymi nie panowałeś - powiedział Marion. - Nigdy nie widziałeś wrót innych niż te, które sam stworzyłeś.

- Przecież te też stworzył - zauważyła Veevee.

- Splotłem je ze sobą, wyrzuciłem w czasoprzestrzeń - rzekł Danny. - Ale Marion ma rację, to nie moje wrota.

- W takim razie przenieś je gdzie indziej - zażądała Leslie. - Zabierz je z mojej obory.

Danny spróbował. Wrota nawet nie drgnęły. Dopiero kiedy dał za wygraną, poruszyły się same - w przeciwnym kierunku. I się rozszerzyły.

- Próbują nas połknąć - powiedziała Hermia z niepokojem.

Rzeczywiście. Wlot Wielkich Wrót kierował się ku nim.

- Zabierz je! - krzyknęła Veevee. - Skoro dotąd były zniewolone, schwytaj je znowu!

Danny próbował rozebrać Wielkie Wrota, tak jak to zrobił poprzednio, w szkole, te jednak mu się wymykały. Mógł majstrować przy każdym z osobna, lecz wszystkie razem stawiały mu opór. Nie chciały wrócić do niewoli.

- Myślałem, że po przejściu przez wrota stanę się tak silny, że nic mi się nie oprze.

- One też są silniejsze, niż były - zauważyła Veevee. - Choć martwe, zyskały wielką moc dzięki temu, że są częścią Wielkich Wrót.

- Przecież Klucha, to znaczy Loki, jakoś je schwytał.

- Wtedy nie były ze sobą splecione. Poza tym on wie więcej niż ty.

Teraz Danny zrozumiał, co Klucha miał na myśli, mówiąc: „Wkrótce sam tu wrócisz. I będziesz błagał, żebym cię nauczył, jak naprawić straszliwe zło, które uczyniłeś”. Chciał od razu wrócić na Westil, zażądać od Kluchy odpowiedzi.

- Nie! - krzyknęła Hermia.

- Co nie?

- Nie wchodź w te wrota! Nie rozumiesz? Nie są twoje. Skąd wiesz, że nie przeniosą się nagle na dno oceanu? Co je przed tym powstrzyma?

- Co myśmy zrobili? - spytała Veevee z rozpaczą.

- W ogóle nie masz nad nimi kontroli. - Teraz Leslie już nie była tylko zła. Bała się.

- Mogłyby wyruszyć na poszukiwania rodzin, które ich wypatrują? - spytał Marion.

- Nie wiem, do czego są zdolne - powiedział Danny. - Klucha miał rację, jestem głupcem.

- Dobrze choć, że wrota powrotne są zamknięte - zauważyła Hermia. - Jeśli rodziny przeniosą się na Westil, nie będą miały jak wrócić.

- Przecież to straszne - rzekł Danny. - Z jakiej racji mamy obarczyć nimi tamten świat?

Muszę na nowo te wrota otworzyć. I ulokować je tak, żeby między jednymi a drugimi nie było odstępu; żeby każdy, kto przejdzie przez Wielkie Wrota, od razu tu wrócił. Bez nawet chwili na zwiedzanie.

Jeszcze nie skończył mówić, a już to zrobił. Jednak ledwie umieścił wejście do wrót powrotnych bezpośrednio przed wyjściem z wrót prowadzących na Westil, a już Dzikie Wrota to wyjście odsunęły. Niedaleko - jedno i drugie Wielkie Wrota były tak mocno splecione ze sobą, że tylko kilka metrów dzieliło wylot zbuntowanych wrót od wlotu wrót powrotnych Danny'ego.

- Nie mogą się oderwać od moich wrót. - Danny odetchnął z ulgą. - Dopóki moje będą do czegoś przytwierdzone, te drugie nie odejdą daleko. - Przymocował wlot swojej części Wielkich Wrót do ścian obory. To było tak, jakby pętał konia. Dzikie Wrota mogły się przesunąć, ale tylko o kilka metrów.

- Spełnił się nasz najgorszy koszmar - jęknęła Leslie. - Wrota, nad którymi nie panujesz, tu, w naszej oborze. Zdajesz sobie sprawę, co teraz zrobią rodziny?

- Wszystko, byleby się dorwać do tych wrót - stwierdziła Hermia.

- Nie wiedzą, że się zbuntowały - powiedziała Veevee. - Ja nie zamierzam im tego powiedzieć. A wy?

- Wrota są głodne - zauważył Danny. - Chcą, żeby z nich korzystano. Znajdą sposób.

- Skoro tak, nakarmmy je - zaproponowała Hermia. - Uzgodnijmy z rodzinami, że każda będzie mogła wysłać przez nie dwóch magów, tak jak planowaliśmy od samego początku. Nie muszą wiedzieć, że nie możemy zamknąć tych wrót, przesunąć ich ani... w ogóle nic z nimi

zrobić. Przerzucisz wybranych magów tutaj przy użyciu wrót, dwójkami, i wyślesz ich na drugą stronę... czemu mieliby nie uwierzyć, że panujesz nad Wielkimi Wrotami tak samo jak nad wszystkimi wrotami, które stwarzasz tu, na Mittlegardzie?

Veevee miała inny pomysł:

- Machnij drugie Wielkie Wrota, nad którymi będziesz w pełni panował, a te zagłódź na śmierć.

- Nie wiem, co robić - wyznał Danny. - Klucha miał rację. Muszę pójść z nim porozmawiać.

- Fatalny pomysł - powiedział Stone.

- Jeśli rzeczywiście masz tam wrócić, stwórz drugie Wielkie Wrota - poradziła Hermia. - W te więcej nie wchodź.

- Ma rację - przytaknęła Veevee. - Jak nazwał je Klucha? Gniewne wrota?

- Kto to jest Klucha? - spytał Marion.

- Loki - odparł Danny.

- Złodziej Wrót - dodała Hermia.

- Jest niebezpieczny - powiedział Stone. - Przy nim wierzę w diabła.

- Wszystko partolę - westchnął Danny.

Stone teraz już siedział na klepisku.

- A czego się spodziewałeś? Nikt tego nie robił od czternastu stuleci. Nie twoja wina, że Złodziej Wrót miał tych wszystkich jeńców. Nie twoja, tylko jego. Tak naprawdę jedyne, co zrobiłeś, to nie dałeś mu się schwytać.

- To był mój pierwszy błąd - stwierdził Danny.

- Nie - powiedziała Leslie. - Nie błąd.

- Coś wykombinujemy - zapewnił Marion. - Znajdziemy sposób, żeby zapanować nad tym

wszystkim.

- Ale najpierw - zastrzegła Leslie - zabierzemy z tej obory wszystkie moje krowy.

7

AMULETY

Danny zapisał się do szkoły imienia Parry'ego McCluera, bo była to przygoda, o jakiej od dawna marzył. I marzenie się spełniło. Znalazł przyjaciół. Nauczył się władać swoją mocą i uczynił przy jej użyciu wiele dobra. Jasne, spłatał też kilka psikusów, ale nie wykorzystywał jej do wygrywania biegów i nikomu nie zrobił krzywdy, jeśli nie liczyć ośmieszenia trenera Killera.

Tego dnia jednak przyszedł do szkoły jak ktoś, kto już po odebraniu świadectwa końcowego dowiedział się, że jednak oblał jeden z egzaminów i musi powtarzać klasę. Tyle że nikt nie wiedział o jego niepowodzeniu. Koledzy nie uwierzyli, kiedy się do niego przyznał. Zebrali się w starej palarni, na polance za szkołą. Regularnie zaglądali tu nauczyciele, lecz ponieważ Danny i jego przyjaciele tylko rozmawiali, nic nie palili, było to dla nich dobre miejsce spotkań.

- To co, możemy skorzystać z tych wrót? - spytała Pat.

- Przecież wam powiedziałem: nikt nie może.

- Z tego, co pamiętam, powiedziałaś, że są dzikie - przypomniał Wheeler. - Korzystać z nich może każdy.

- Nikogo do nich nie dopuścimy - stwierdził Danny.

- To o co w ogóle chodzi? - zapytał Hal. - Nigdy więcej nie będziesz mógł stworzyć żadnych wrót?

- Nie, mogę stworzyć tyle, ile chcę.

- Czyli możesz nas zabrać na ten inny świat? - Laurette nie traciła nadziei.

- Po co? Nie jesteście magami, więc nic na tym nie zyskacie, a poza tym co by było,

gdybyście tam utknęli? To nie jest bezpieczne miejsce.

- Racja - powiedziała Pat. - Tutaj można najwyżej wpaść pod samochód, złapać jakieś paskudne choróbko albo wylecieć w powietrze na chemii.

- Nikogo nie wysadziłem w powietrze - zaprotestował Hal.

- Ale próbowałeś - rzekł Wheeler.

- Chciałem tylko, żeby puścili nas wcześniej do domu - bronił się Hal.

- Możemy już nie rozmawiać o twoich porażkach, Hal? - zniecierpliwiła się Xena.

- Właśnie, wróćmy do rozmowy o moich - rzucił Danny.

Xena ścisnęła jego ramię i przemówiła do niego tak żarliwie, z tak bliska, że czuł na policzku jej oddech.

- Nie poniosłeś porażki. Jesteś tym, no, bogiem.

- Bogiem obsuw - mruknął Danny.

- Twoje obsuw są lepsze od sukcesów innych ludzi. - Xena cmoknęła go w policzek.

- Czyli przeszedłeś na inny świat. Westil - powiedziała Laurette. - To miało cię wzmocnić.

- Czuję się tak samo jak przedtem - stwierdził Danny.

- Cóż, umiesz coś, czego wcześniej nie umiałeś?

- Nie wiem.

- Dlaczego nie wiesz?

- Nie ma do tego podręcznika. Magów takich jak ja się zabija, nie szkoli.

- Kto czyta podręczniki? - Laurette machnęła ręką. - Nie próbowałeś sam czegoś zrobić?

- Nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć - powiedział Danny. - Przedtem robiłem wrota.

Nadal to umiem.

- A mógłbyś nas zabrać do Disney World? - spytała Sin.

Tego Danny się nie spodziewał - a już na pewno nie ze strony gotki z permanentnie

zakażonymi przekłuciami.

- Chcesz tam pójść?

- Wybrałabym Paryż, ale nie mówię po francusku. No co, nigdy w Disney World nie byłam.

- Ja też nie - dorzuciła Xena.

- Nie chcę do Disney World. - Pat się skrzywiła.

- A ja nie chcę korzystać z wrót, żeby kraść - dodał Danny.

- Kto tu mówi o kradzieży? - spytała Sin. - Po prostu wprowadź nas do środka.

- I załatw nam wstęp na wszystkie atrakcje bez stania w kolejkach i kupowania biletów - powiedziała Laurette. - Chyba nie wymagamy zbyt wiele?

- Złapaliby mnie - stwierdził Wheeler. - Zawsze wyglądam, jakbym miał coś na sumieniu.

- A co powiecie na przylądek Canaveral? - zapytał Hal.

- Jak załatwisz identyfikatory, nie ma sprawy - odparł Danny.

- Kiepska zabawa - skomentowała Pat.

- Co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy chcą cię zabić? - spytała Xena. - Nic ci już nie grozi?

- Nie wiem - przyznał Danny.

- Kiedy wreszcie nam wytłumaczysz, jak mamy ci pomóc? - spytał Hal. - A może to już nieaktualne tylko dlatego, że dałeś plamę i rozzłościłeś jakieś wrota?

- Nie mogę pozwolić, żebyście mi pomagali - powiedział Danny. - Na pewno znowu wszystko schrzanię i zginiecie.

- O rany, ale się chłopak dołuje - stwierdziła Laurette.

- Trzeba go pocieszyć. - Xena pocałowała Danny'ego w policzek. Nie był to siostrzany całus. Jej usta musnęły jego policzek i długo się od niego nie odrywały. Danny poczuł mrowienie

w nogach i w tyłku. Kto by przypuszczał, że tak to dziwnie działa: całują cię w jedno miejsce, a mrowienie czujesz zupełnie gdzie indziej.

- Wybij to sobie z głowy, Xena - mruknął Hal.

- Nawet jeśli naprawdę jesteś wojowniczą księżniczką - dodał Wheeler.

- Zazdrościcie? - spytała Xena.

- Tak - powiedział Wheeler.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

- Przecież to tylko Danny, a ty nagle się do niego lepisz - wyjaśnił.

- Właśnie - poparła go Laurette. - Czemu miałabyś chcieć całować Danny'ego? Tylko dlatego, że jest bogiem?

- Masz rację - odparła Xena i przywarła do Danny'ego jeszcze mocniej. - Chcę urodzić jego dziecko.

Na te słowa Danny odsunął się od niej. Pożartować zawsze można. To już jednak było przegięcie.

- Muszę pomyśleć - burknął.

- Nie może myśleć, jeśli cała krew spływa mu z głowy gdzie indziej - stwierdziła Laurette.

- Zastanawiam się, jak zapewnić wam bezpieczeństwo - powiedział Danny.

- W Disney World bylibyśmy bezpieczni - zasugerowała Sin. - To najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Danny myślał o tym, jak wykorzystać przyjaciół. Wyśle ich wrotami jako emisariuszy do rodzin, żeby przedstawili im warunki, na które będą musiały przystać, by mieć prawo do korzystania z Wielkich Wrót. Nie mógł tego załatwić osobiście, nie mógł też poruczyć tej misji Veevee ani Hermii. Rodziny zastawiłyby na nich pułapki. Ale po co miałyby czyhać na suszłaków?

I w tym cały problem. Ponieważ rodziny uważają suszłaków za istoty nie niewarte, nie wezmą ich jako zakładników. Jeśli się wkurzą, po prostu zabiją posłańców.

Mało tego, jak tylko ktoś się dowie, że Danny ma przyjaciół, może ich wykorzystać przeciwko niemu. Zastraszyć ich. Śledzić. Porwać. Zabić. Nie czekając, aż Danny ich dokądkolwiek wyśle.

Nie mógł skupić się na nich wszystkich naraz. Nie mógł zapewnić im bezpieczeństwa.

- Co ja zrobiłem! - Naprawdę był zmartwiony.

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Laurette.

Danny wyjaśnił, co go gnębi.

- Fajnie - powiedział Wheeler. - Jakbyśmy byli w komiksie.

- Tylko że jesteśmy stratami ubocznymi - zauważył Hal.

- Pierwszymi do odstrzału - skwitowała Pat.

Danny zrobił wrota, bardzo małe, i umieścił je bezpośrednio nad małym kamykiem na polanie.

- Hal, mógłbyś podnieść ten kamyk?

Hal nawet nie spojrzał, o którym kamyku mowa. Po prostu rzucił się we wskazanym kierunku, sięgnął po pierwszy lepszy kamień, a kiedy jego dłoń musnęła wrota, wpadł w nie i wylądował na tyłku trzy metry dalej.

- Jestem mocno skołowany - poskarżył się.

- Nie o to mi chodziło - rzekł Danny. - Sprawdzam, czy mogę powiązać wrota z rzeczą zamiast miejsca. Niechże ktoś przesunie ten kamyk. Laurette, trzymaj rękę nisko nad ziemią i powoli wyciągaj ją przed siebie, aż ci powiem, który kamyk mam na myśli.

Jej ruchy były ostrożne - choć Danny zauważył też, że nachyliła się pod takim kątem, by jej okazały biust wymierzony był dokładnie w niego. Z przyzwyczajenia? Czy wzorem Xeny

uznała, że skoro Danny para się magią, to nagle stał się na tyle atrakcyjny, by warto było z nim poflirtować?

- Ten - powiedział Danny.

Laurette podniosła kamyk.

Wrota zostały w powietrzu nad pustym miejscem po kamyku.

- Cholera - zaklął Danny.

- Nie udało się? - spytała Laurette.

- Miałem nadzieję, że to potrafię dzięki temu, że byłem na Westilu. Że zyskałem nowe zdolności.

- To przykre - powiedział Hal. Znów siedział razem z nimi w kręgu.

- Czym tu się przejmować? - zapytała Sin. - To tylko kamyk.

- Danny chce, żebyśmy mogli nosić wrota ze sobą - odezwała się Pat. - Wtedy wystarczyłoby wsunąć w nie palec i przerzuciłyby nas gdzie indziej.

Czasem go zaskakiwała. Choć wiecznie skwaszona, zawsze myślała. Może kiedy nie zależy ci na tym, żeby być lubianym, masz w mózgu więcej miejsca na analizę faktów.

- Cóż, nie ma powodu, żeby się nie powiodło - stwierdził Hal. - Czy przeszedłeś przez Wielkie Wrota, czy nie.

- Co ty wiesz o magii? - Xena spojrzała na niego z pogardą.

- O magii niewiele, za to o fizyce dużo. O najprostszyc, żalosnych podstawach fizyki, jakie znać powinien każdy jako tako wykształcony cymbał.

- Xena przespała wszystkie lekcje fizyki w ósmej klasie - wyjaśniła Laurette.

- Danny zawsze łączy swoje wrota z małymi ruchomymi obiektami - powiedział Hal. - Nigdy nie robił niczego innego.

Danny popatrzył na stworzone przed chwilą wrota, ich wlot i wylot. Nie miał pojęcia, o

czym Hal mówi.

- Powierzchnia Ziemi wykonuje jeden pełny obrót dziennie - tłumaczył Hal. - To znaczy, że na równiku porusza się z prędkością tysiąca sześciuset sześćdziesięciu siedmiu kilometrów na godzinę. Tutaj ta prędkość spada do około tysiąca trzystu kilometrów na godzinę. Jednocześnie Ziemia obiega Słońce z szybkością mniej więcej stu siedmiu tysięcy dwustu kilometrów na godzinę. Kiedy więc wrota Danny'ego zdają się tkwić w bezruchu, tak naprawdę poruszają się z zawrotną prędkością... a więc są połączone z obiektem, nie miejscem.

- Mówiłeś o małych ruchomych obiektach - przypomniała Laurette.

- W porównaniu ze Słońcem Ziemia jest małym ruchomym obiektem. W porównaniu z Galaktyką Ziemia jest punkcikiem. Wydaje nam się wielka tylko dlatego, że sami jesteśmy jeszcze mniejsi.

- Dzięki za informacje, panie naukowiec - powiedziała Xena.

- To wiedzą wszyscy - wtrącił Wheeler.

- Co, niby miałeś w głowie te wszystkie liczby? Tysiąc sześćset sześćdziesiąt siedem i tysiąc trzysta kilometrów na godzinę? - zaperzyła się Pat.

- Nie, ale wiedziałem, że Ziemia wykonuje jeden pełny obrót dziennie - odparł Wheeler. - I że okrąży Słońce w rok. To znaczy, że jest bardzo szybko poruszającym się obiektem. Prosta sprawa.

- Skoroś taki bystry, z jaką prędkością Układ Słoneczny okrąży centrum Galaktyki? - spytała Hala Pat.

- Siedemset osiemdziesiąt tysięcy kilometrów na godzinę - odparł Hal.

- A jak szybko Droga Mleczna zbliży się do Andromedy?

- Tego się nie da określić, bo poruszają się w przeciwnych kierunkach i nie mamy nieruchomego punktu odniesienia.

- Cała Galaktyka porusza się z prędkością dwóch milionów stu tysięcy kilometrów na godzinę względem CBR - oznajmiła Pat triumfalnie.

- Co to jest CBR? - spytała Sin.

- Kosmiczne promieniowanie tła - wyjaśnił Hal - i nie o to pytałaś, tylko o prędkość, z jaką Droga Mleczna zbliża się do Andromedy.

- Jakie to smutne - zauważyła Sin. - W czasie, kiedy inne chłopaki uczyły się na pamięć statystyk futbolistów, Hal wkuwał statystyki obiektów astronomicznych.

- Ciekawe, czy Ziemia w tym sezonie załapie się do play-offów. - Laurette uśmiechnęła się złośliwie.

- A wy, dziewczyny, uczycie się na pamięć, co George Clooney je na śniadanie - stwierdził Wheeler.

- Ten zgred?! - oburzyła się Xena.

- No to cała obsada *Zmierzchu* - poprawił się Wheeler.

Temu już jakoś nie zaprzeczyły.

Nie było tajemnicą, że Hal jest bystry. I że Pat to najmądrzejsza z dziewczyn. Danny też znał podane przez nich fakty - pamiętał wszystko, o czym kiedykolwiek czytał. Różnica polegała na tym, że Hal potrafił je odnieść do tej sytuacji.

- Rozumiem, o co chodzi - powiedział Danny. - Skoro łączę wrota z punktem umieszczonym na powierzchni obracającego się, ruchomego obiektu, nie ma powodu, żebym nie mógł połączyć ich z kamykiem. - Patrzył nieruchomym wzrokiem na kamyk i myślał, co zrobić, by wrota połączyły się z nim tak jak wcześniej z punktem w powietrzu nad kamykiem.

Tymczasem Sin miała pytanie:

- Skąd wy, czarodzieje czy kim tam jesteście... skąd wiecie, że my nie mamy w sobie magii?

- Nie rozmawiaj z nim, robi wrota - skarciła ją Laurette.

- Nie wiemy, czy macie w sobie magię, czy nie - odparł Danny. - Nasza krew od tysięcy lat miesza się z krwią zwykłych ludzi, więc pewnie i wy macie wśród przodków magów Mitheru. - Spróbował przywołać w myśli obraz kamyka i stworzyć wrota, skupiając się tylko na nim, nie jego otoczeniu.

- To wyślij nas na Westil - zaproponowała Sin. - Może wrócimy z supermocami.

- No - ożywił się Hal.

- Fajnie by było - dodał Wheeler.

Skupienie Danny'ego prysnęło. Był zirytowany na siebie, oni jednak widzieli po nim tylko, że jest zły.

- Przepraszam - powiedziała Laurette.

- Przestańcie go rozpraszać! - krzyknęła Xena z troską.

- Może weź go do ręki i skoncentruj się na nim? - zasugerowała Pat. - Tak żeby nie stykał się z ziemią.

Laurette podała mu kamyk. Danny wziął go i stworzył wrota.

Przesunął kamyk nieco w lewo.

Wejście do wrót przesunęło się razem z nim.

A zatem to było takie proste. Wyjmujesz kamyk z jego otoczenia, trochę się skupiasz i proszę, masz zaczarowany kamień.

- Coś ty taki zachwycony? - spytała Xena. - Wyobrażasz sobie mnie naga?

- Nie, on połączył wrota z kamieniem - wyjaśniła Pat. - Wszyscy staramy się nie wyobrażać sobie siebie nagiej.

- To... co teraz? - zapytał Hal. - Dasz każdemu z nas kamyk, żebyśmy w razie czego mogli szybko uciec?

- Kamyk to kiepski pomysł - powiedziała Laurette.
- Dlaczego? - zdziwił się Danny. Jemu ten pomysł wydawał się całkiem niezły.
- Po pierwsze - zaczęła tłumaczyć - co będzie, jeśli go upuścimy? Jak wtedy poznamy, który jest nasz? Musielibyśmy dotykać wszystkich po kolei dotąd, aż wlecielibyśmy we wrota jak Hal przed chwilą. No i wtedy nadal nie mielibyśmy tego kamyka w ręku... za to ten, kto by nas gonił, mógłby go znaleźć i ruszyć naszym śladem.
- To go nie upuść - powiedział Wheeler.
- Jasne, tak jakby żadne z nas nigdy niczego nie upuszczało - mruknęła Pat.
- Po drugie - ciągnęła Laurette - a jeśli zakują kogoś z nas w kajdanki, przeszukają i znajdą kamyk w jego kieszeni czy torebce? Ilu naszych rówieśników nosi ze sobą kamienie?
- No dobra, czyli kamień odpada - zgodził się Danny. - Na razie dopiero się uczę, jak to robić, a kamieni jest dużo.
- Pierścionek - zasugerowała Sin.
- Kolczyk w nosie - powiedziała Xena. - Wtedy przy każdym smarknięciu będzie cię gdzieś przerzucało.
- Albo pociągniesz nosem i wylądujesz na Księżycu - dodał Wheeler.
- „Jeden pierścień, by wszystkimi rządzić, jeden, by wszystkie odnaleźć - zadeklamował Hal. - Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności związać”. [Tłum. Maria Skibniewska.]
- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy po stronie Saurona? - Wheeler się obruszył.
- Sauron nie jest po niczyjej stronie - rzekł Danny. - Zapominasz, że to rodziny są wszystkimi bogami, czarodziejami, elfami, duchami, wilkołakami i tak dalej. Stoją po obu stronach każdego konfliktu. Nie uznają dobra ani zła. Po prostu... robią to, na co mają ochotę i na co pozwala ich moc.
- Nie słyszałam lepszej definicji zła - stwierdziła Pat.

- W takim razie rozważmy to, co przed chwilą zrobiłem - powiedział Danny. - Miałem ochotę przymocować wrota do kamyka i kiedy zasugerowałaś, żebym się na tym głęboko skupił, dokonałem tego. Czy to było złe?

Pat wzruszyła ramionami.

- Zależy, czy rzucisz tym kamykiem w rozgrywającego z innej szkoły, żeby cofnąć go o dziesięć metrów i posadzić na tyłku.

- To tylko psikus - rzekł Wheeler. - Mógłbyś coś takiego zrobić?

- Mógłby nawet bez kamyka - stwierdził Hal.

- I to byłoby złe - powiedziała Pat. - Nie krzywdzi się innych dla zabawy.

- Czyli to, że robiłem sobie jaja z trenera Liedera, było złe? - spytał Danny.

- Może trochę - odparła Pat z wahaniem.

- Ale głównie śmieszne - rzucił Hal.

- Facetowi się należało - dodał Wheeler.

Danny przypomniał sobie o zabójcach, których zastraszył nad Atlantykiem, żeby zmusić ich do uległości, a potem ukrył w więzieniu. Byli mordercami, czy raczej chcieli nimi być.

Zasługiwali na jeszcze gorszy los. Ale nie było mu dobrze ze świadomością, że ma moc, by tak się nad nimi znęcać. I że to po prostu zrobił, gdy tylko o tym pomyślał.

- Coś, co nosicie przy sobie na co dzień - zastanawiał się na głos. - I spróbuję tak doczepić do tego wrota, żebyście nie mogli niechcący w nie wlecieć. Dlatego portfele odpadają.

- Wheeler może dać ci prezerwatywę, z którą się nie rozstaje - powiedział Hal. - Wiadomo, że nigdy z niej nie skorzysta.

Wheeler zgromił go wzrokiem.

- Dali mi ją w piątej klasie. To jak królicza łapka, nie zamierzam jej używać, jest już chyba starsza od mojego wacka.

- Fúj! - Laurette się skrzywiła. - Przez ciebie teraz myślę o twoim ptaszku.

- Powiedziała laska z wiecznie odkrytym dekoltem - odciął się Wheeler.

- Proszę was, pomyślcie - uciszył ich Danny. - Jakiś przedmiot, który nosicie przy sobie.

Coś, czego zwykle nie dotykacie, ale po co w razie potrzeby możecie sięgnąć.

Pat już wyjęła z torebki tampon.

- Nasza kolej, żeby powiedzieć „fuj” - stwierdził Hal.

- Wszystkie dziewczyny noszą je przy sobie i nikogo to nie razi - oznajmiła Pat.

- Nie ja - zaproponowała Sin.

- Mam zapasowe. - Laurette wyjęła z torebki dwa tampony.

- W takim razie ja wybieram prezerwatywę. - Wheeler włożył rękę do kieszeni.

- Nie noszę torebki - powiedziała Sin. - Co, mam go sobie zatknąć za ucho? - Oddała tampon Laurette.

- Nie masz zapasowego na wszelki wypadek? - spytała Laurette.

- Nigdy nie dostaję okresu przed terminem, a poza tym nie boję się odrobiny krwi.

- A boisz się odrobiny rzygów? - zapytał Hal. - Bo jak was słucham, to mnie muli.

- Witaj w świecie dziewczyn. - Pat wzruszyła ramionami. - Ale skoro i tak nigdy nie będziesz miał dziewczyny ani żony, to nic, że się nas brzydzisz.

- A jeśli będę szukać czegoś w torebce i niechcący go dotknę? - Xena patrzyła z powątpiewaniem na trzymany w dłoni tampon. - I czy mam go rozpakować?

Danny wyjął go z jej ręki.

- Dotknął tego! - wykrzyknął Hal.

- Błę! - Wheeler się skrzywił.

Danny obejrzał tampon. Ścisnął go. Przyłożył palec do jednego końca.

- Dajcie mi sekundę.

Zrobił malutkie wrota w całości schowane wewnątrz końcówki tamponu. Podrzucił go na dłoni i nic się nie stało. Kiedy jednak wsunął palec w końcówkę, wskoczył we wrota - przeniosły go tylko o kilkanaście centymetrów, ale i tak stracił równowagę.

- Ojej, dziesięciocentymetrowe wrota - powiedziała Pat. - A to im pokażemy. „Macie być dla mnie mili, bo przesunę się o następne dziesięć centymetrów!”.

- To tylko na próbę - rzekł Danny. - Trzeba wsunąć palec do środka, żeby wrota zadziałały.

- Co się stanie, jeśli zapomnisz, w którym są wrota, i go użyjesz? - spytał Hal.

- Wydawało mi się, że nie lubisz rozmawiać o obrzydliwych dziewczynskich sprawach - zauważyła Laurette.

- Nic nie poradzę, że takie myśli mi przychodzą do głowy.

- Proszę, Hal, wyznaj, że nie wyobrażasz sobie, jak go wkładam - powiedziała Pat.

- Teraz już tak i bardzo ci za to dziękuję - odparł Hal.

- Nie mam niczego, co by się nadawało - narzekała Sin.

- Twój błyszczący do ust - zasugerowała Pat.

Sin wyjęła z kieszeni małą tulejkę.

- Jest w twardej obudowie.

- Ale to, co jest wewnątrz, jest czarne i miękkie - zauważyła Pat.

- Mogę umieścić wrota w środku - powiedział Danny.

- Jeśli schowasz tam wrota, nie będę mogła z niego korzystać i usta mi zrózowieją - zaprotestowała Sin.

Laurette wyjęła z torebki kawałek czarnej lukrecji.

- Masz, to też jest czarne i miękkie.

Sin wzięła lukrecję i jej się przyjrzała.

- Z którego wieku pochodzi?

- Jest stara i obrzydliwa. Nikt się nie zdziwi, że masz ją w kieszeni. Chyba że mama pierze ci dzinsy.

Sin wzgardliwie odrzuciła głowę do tyłu.

- Pranie jest dla burżujów.

Po dziesięciu minutach wszyscy już mieli coś elastycznego z umieszczonym w środku małym wejściem do wrót. Wybór padł na trzy tampony, kawałek lukrecji, nierozpakowaną prezerwatywę i gumkę w kształcie lwa, którą Hal nosił w kieszeni.

- Dlaczego lew? - spytała Sin.

Hal wzruszył ramionami.

- Dostałem to kiedyś w nagrodę u dentysty.

- I nosisz przy sobie.

- Straciłem ząb, dostałem lwa.

- To Aslan - powiedział Wheeler.

Hal wyraźnie się rozżłościł.

- Przestańcie - uspokajał ich Danny. - Wheeler, bądź choć trochę lojalny.

- Powiedział wam o mojej prezerwatywie - przypomniał Wheeler.

- Nawet jeśli jedno z nas wkurzy się na drugie, nie musi się od razu mścić - stwierdziła Pat.

- Nikomu z nas nie wolno zdradzać tajemnic pozostałych - powiedziała Laurette. - I od tej pory nie nabijamy się z siebie.

- Czy to znaczy, że już nigdy, przenigdy nie będę mógł wspomnieć o twoim dekolcie? - zmartwił się Danny.

- Nie nabijamy się ze spraw ważnych - uściśliła Laurette. - Żarty z mojego dekoltu to tylko jeszcze jeden dowód, że spełnia swoje zadanie.

- Myślę, że to dobra zasada - powiedział Danny.

- Żebyśmy wszyscy nabijali się z tego, jak Laurette świeci cyckami? - spytała Xena.

- Żebyśmy nie ranili siebie nawzajem - rzekł Danny. - I nie zdradzali naszych tajemnic osobom z zewnątrz.

Zgodzili się i Danny zaczął tłumaczyć, co zrobił i co zaplanował:

- Wszystkie wasze wrota przeniosą was tutaj. Nie można jednak wykluczyć, że jedna z rodzin odkryje to miejsce, więc w razie zagrożenia wyciągnijcie rękę do tego drzewa. - Pokazał im, o które chodzi. - Tu, pod tą gałęzią, będą następne wrota. Dosięgniecie?

Udowodnili, że tak, nawet Xena, najniższa.

- I gdzie wtedy wylądujemy? - spytała Pat.

- Gdzieś daleko. Gdzieś, gdzie schowam pieniądze i broń. Nigdy z niej nie skorzystacie, ale tam będzie, na wypadek gdyby ktoś przeszedł za wami przez wrota.

- Czyli na razie nie wiesz, dokąd będą prowadzić - stwierdziła Pat.

- Myślę o Disney World - powiedział Danny.

- Broń w Magicznym Królestwie? - obruszyła się Sin. - Nie wypada.

- Znajdę bezpieczną kryjówkę, w której będzie można schować broń tak, że nikt jej nie znajdzie - obiecał Danny. - Na razie jednak będą prowadzić do pewnego domu w Waszyngtonie.

Tam zrobię następne wrota i pokażę wam, gdzie są, żebyście w razie czego mogli wrócić nimi do Buena Vista, ale już w inne miejsce.

- Czyli możemy je wypróbować? Będą przez cały czas otwarte i gdybyśmy chcieli skoczyć do Waszyngtonu, będziemy mogli z nich korzystać? - spytał Wheeler.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Raz - powiedział Danny. - Możecie skorzystać z nich raz na próbę, by pokazać, że umiecie. Gdybyście jednak zrobili to kiedy indziej, ktoś mógłby was podpatrzeć i połapać się, co jest grane. Mogą służyć za wyjście awaryjne, tylko jeśli nikt spoza tego grona nie wie o ich istnieniu, więc nie, nie możecie z nich tak po prostu korzystać. Gdybyście chcieli skoczyć do Waszyngtonu, sam was tam wyślę.

Wheeler zaśmiał się nerwowo.

- To naprawdę, tego, poważna sprawa i w ogóle.

- Myślałem, że już to do was dotarło - rzekł Danny. - Jeśli pozostaniecie moimi przyjaciółmi, jeśli mi pomożecie, narazicie się na prawdziwe niebezpieczeństwo. I będzie wam potrzebna prawdziwa droga ewakuacyjna. Ale jeśli wolicie się wycofać, zróbcie to teraz. Nie wchodźmy w to głębiej. W każdej chwili mogę odejść z tej szkoły. Beze mnie będziecie bezpieczni. Jak dotąd nikt was na niczym nie przyłapał.

- Nie wycofamy się - stwierdziła Xena. Inni ją poparli.

- Nic nam nie będzie - dodał Hal.

Tylko Wheeler milczał.

Wszyscy czekali.

- Czuję, że już dałem plamę i że cokolwiek powiem, nigdy mi nie zaufasz - mruknął Wheeler.

- Będę ci ufał, dopóki nie zrobisz czegoś, co mnie przekona, że nie powinienem - powiedział Danny.

- Przecież jestem idiotą - zauważył Wheeler.

- Mówiłam ci, że o tym wie. - Sin trąciła Pat łokciem.

- Idiotą, bo zapominam, co mi się mówi albo bezmyślnie wszystko rozgaduję.

- W takim razie nie rób tego - rzekł Danny. - To wszystko.

Wheeler smętnie skinął głową. Nagle zniknął i pojawił się obok drzewa. Wsunął palec w miejsce, gdzie miały powstać następne wrota.

- Tak przede mną nie uciekniesz - powiedział Danny. - Wszystkie wrota, które stwarzam, są częścią mnie. Wiem, dokąd prowadzą, i wiem, kiedy ktoś przez nie przechodzi. Poza tym jeszcze nie zrobiłem wrót w tym drzewie.

- Chciałem tylko zobaczyć, czy już odebrałeś mi moje wrota - wyjaśnił Wheeler.

- Jeśli to zrobię, uprzedzę cię. Albo zabiorę ci prezerwatywę. - I w tej chwili zrobił małe

wrota, które wchłonęły prezerwatywę, mimo że Wheeler trzymał ją w ręku. Wylądowała na ziemi pośrodku grupy.

- O rany! - wykrzyknął Wheeler. - Możesz mi ją wyjąć z dłoni?

- To nie on. To ja - wtrąciła Xena.

- Serio? - zdziwił się Wheeler.

- Rzeczywiście jest idiotą - stwierdziła Pat.

- Wheeler, ufam ci - powiedział Danny. - Teraz ty zaufaj mnie. - W głębi ducha jednak

wiedział, że nigdy tak naprawdę nie zaufa Wheelerowi. Nigdy nie pośle go z wiadomością ani nie

powierzy mu zadania poważniejszego od zakupu napojów czy odebrania zamówionej pizzy. Bo

Wheeler w pierwszym odruchu chciał skorzystać z wrót bez zachowania ostrożności. Poddać

Danny'ego próbie. Chłopak nie umie dotrzymać słowa.

Oni wszyscy są młodzi. Może żadne z nich tego nie potrafi.

Ale Danny miał przyjaciół, jakich miał. Tak to bywa w szkole średniej.

I to fajna sprawa, że mogę łączyć wrota z drobnymi przedmiotami, pomyślał. Zrobiłem

zaczarowane amulety, nawet jeśli to tylko tampony, lukrecja, prezerwatywa i gumka dla dzieci.

Bez żadnych magicznych napisów na nich, wystarczyły osadzone wewnątrz każdego malutkie

wrota.

Czuł się przebiegły i potężny.

No i Xena znów położyła rękę na jego ramieniu. Przyjemnie było czuć jej dotyk. Nie

odsunął się.

Potem przypomniał sobie, że przecież Xena tak naprawdę wcale go nie pociąga.

A przynajmniej nie pociągała, dopóki on nie pociągał jej. Teraz wydawała mu się

niezwykle atrakcyjna.

Jestem nastolatkiem do szpiku kości, pomyślał. Przypomniał sobie Lanę, żonę Ceda, którą

poznał w Waszyngtonie. Co przy niej czuł. Xena była dużo miłsza od Lany i nieporównanie mniej stuknięta. A gdybym tak przez jakiś czas miał dziewczynę? Nie taką, która by mnie uwiodła, a potem drwiła, że jej uległem. Nie sukkuba. Normalną dziewczynę.

Potem przypomniał sobie opowieści o tym, jak Zeus gwałcił kobiety w całym regionie Morza Egejskiego. I o Hermesie - ileż kobiet Hermes uwiodł według starożytnych mitów? Żaden zamek w drzwiach sypialni nie był dla niego przeszkodą.

Xena w gruncie rzeczy daje mi do zrozumienia, że jak chcę, mogę ją mieć. Mógłbym jeszcze tej nocy dostać się do jej sypialni, przespać się z nią i jej rodzice nawet by nie zauważyli, że u niej byłem. I pozwoliłaby mi na to. Uważałaby, że to super.

Dopóki byśmy tego nie zrobili. Wtedy uznałaby, że jesteśmy parą. I bylibyśmy. A gdyby zaszła w ciążę? Co by było, gdyby uznała, że dzięki temu jest fajniejsza od pozostałych dziewczyn, i to spowodowałoby rozłam w grupie?

Trzymaj rozporek zapięty, a myśli z dala od sypialni Xeny, nakazał sobie Danny.

Oparła głowę na jego ramieniu.

Danny obrócił się w bok i spojrzał jej w twarz. Położyła dłoń na jego piersi. Wziął tę dłoń w obie ręce.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Xeno. I towarzyszami broni. Zaczekajmy, aż wojna się skończy, a potem zobaczymy.

Xena wyszarpnęła rękę i podeszła do Pat.

- A nie mówiłam? Jest gejem. - Zaśmiała się, jakby to był żart. Bo to był żart. Na pewno. Może.

Nie nadaję się do przewodzenia jakiegokolwiek grupie. Powinienem zwinąć te wszystkie wrota, odejść już, w tej chwili, i nigdy nie wrócić. Wszystkim to wyjdzie na dobre.

Wszystkim oprócz mnie.

Przez całe życie był samotny. Teraz po raz pierwszy miał przyjaciół. I nie mógł z nich zrezygnować. Nie chciał z nich zrezygnować, a że mógł robić wszystko, co zechce, zostanie tutaj z nimi. Bo uważali, że on jest w porządku. Podobało im się, że ma wielką moc. Nie próbowali go zabić. I lubili go, jeszcze zanim wiedzieli, że potrafi odstawiać te numery z wrotami.

I Danny będzie myślał o Xenie, mimo że go nie pociągała. Ani ona, ani żadna z pozostałych dziewczyn. Miał już szesnaście lat, więc każda tego rodzaju propozycja na jakiś czas rozпали jego wyobraźnię. Świadomość, że tylko hormony wywołują w nim te uczucia, tych uczuć nie odpędzi. Równie dobrze mógł się nimi cieszyć. Pod warunkiem że im nie ulegnie.

Wieczorem Danny przeniósł się do Waszyngtonu. Stone pozwolił mu umieścić wylot wrót ratunkowych na strychu.

- Ale żadnego pistoletu - powiedział.

- A jeśli ktoś ich będzie gonił? - spytał Danny.

- Bądź kreatywny - powiedział Stone.

Danny w końcu wpadł na pomysł: stosik jednocentówek, każda z wrotami po obu stronach.

Dopóki trzymało się te monety za krawędź, człowiek nigdzie się nie przenosił. Gdyby jednak ktoś dotknął awersu lub rewersu, w mgnieniu oka znalazłby się w jakimś ciekawym miejscu publicznym. Tuż za bramą Białego Domu. Pośrodku rotundy Kapitolu. Na kolanach pomnika Lincolna. Na nosie olbrzyma z rzeźby *Przebudzenie*. Jeśli któryś z jego przyjaciół ucieknie wrotami, wyląduje w garderobie na strychu Stone'a, a potem już wystarczy, że weźmie monetę i rzuci ją w tego, kto wyjdzie z wrót za nim.

- Oręż pieniężny. - Stone był pełen uznania. - Ale ostrzegam: jeśli któryś z twoich przyjaciół przejdzie przez wrota dla zabawy, to ja rzucę monetą w niego.

- Są mili - zapewnił Danny. - Nie chcę, żeby byli źle traktowani tylko dlatego, że są suszłakami.

- Wiesz, że to nie w moim stylu - powiedział Stone. - Będę ich źle traktował dlatego, że są nastolatkami.

Kiedy Veevee i Hermia usłyszały o przenośnych wrotach, obie zażądały, żeby im też takie zrobić. Veevee doczepiła do swojej bransoletki z wisiorkami pierścienie, z których każdy był wrotami prowadzącymi w ważne dla niej miejsce - do jej apartamentu, na farmę Silvermanów, do domu Danny'ego, jego szkoły i do sypialni Stone'a.

- Jestem jego żoną, nie muszę wchodzić przez strych - stwierdziła.

- A jeśli ktoś tę bransoletkę ukradnie? - spytał Danny. - Może niech Hermia pozamyka te wszystkie wrota i będziesz je otwierać tylko wtedy, kiedy...

- W czasie, kiedy ty się bawiłeś ze swoimi przyjaciółmi - powiedziała Hermia - myśmy pracowały.

- Nie możemy stwarzać wrót - oznajmiła Veevee - ale teraz już umiem je zamykać, a Hermia otwierać. Obie mamy i zamek, i klucz.

- I pracujemy nad przemieszczaniem wrót - dodała Hermia. - Chyba udało mi się jedno poruszyć. Sam wylot.

- Ale nie umiała tego powtórzyć - westchnęła Veevee.

- Czyli mogę połączyć wrota z dowolnym przedmiotem i będą działać tylko wtedy, kiedy tego zechcecie - rzekł Danny.

Hermia podała mu monetę euro.

- Doczep do tego jakiś tuzin wrót. Będę otwierać te, które będą mi potrzebne, kiedy mi będą potrzebne.

Wybrała sobie więcej punktów docelowych niż Veevee, ale musiała zawsze być o ten jeden skok przed swoją rodziną. Danny doczepił do monety dwa tuziny wrót. Początkowo chciał je ułożyć w jakim takim porządku, ale Hermia tylko parsknęła śmiechem.

- Danny, ja je wszystkie widzę, potrafię je rozróżnić, wiem, dokąd prowadzą, i mogę pozamykać wszystkie oprócz tych, z których będę chciała skorzystać. Śmiało, nakładaj je jak leci.

Dał jej wrota do Paryża, Nowego Jorku, Dubaju, Singapuru, Katmandu, Akry, Brisbane, São Paulo i innych miast - nie wspominając o biurowcu rodziny Greków w Atenach, osadzie Northów w Wirginii i Bibliotece Kongresu.

- Praktycznie cały atlas - powiedziała Veevee z uznaniem.

- Dodam ci tyle wrót, ile chcesz - zaproponował Danny.

- Nie, nie jestem zazdrosna i wiem, że otworzysz mi wrota w każde miejsce, które wskażę.

Co innego mnie martwi, Danny: że nie ma wrót łączących mnie z tobą.

Hermia skinęła głową.

- Potrzebne nam są wrota, których wylot zawsze będzie tam gdzie ty.

- Nie chcę, żebyście mi nagle wyskakiwały z kieszeni - powiedział Danny.

- Wiem - odparła Veevee. - Zrób tak, żebyśmy wyskakiwały z lampy oliwnej. Będziemy twoimi dżinami.

- Może i to byłoby zabawne - rzekł Danny - ale nie chcę, żebyście się nagle pojawiły, jak będę siedział na kiblu.

- A gdybyś tak potrzebował naszej pomocy? - spytała Hermia.

- Zawsze będę wiedział, gdzie są wasze wrota. W razie potrzeby mogę przenieść wylot którychś blisko mnie.

- Chyba że będziesz nieprzytomny - zauważyła Veevee.

- Zastanowię się.

- Możesz je zamknąć - zasugerowała Hermia. - I otwierać tylko wtedy, kiedy będziemy ci potrzebne. Nie zamierzamy naruszać twojej prywatności.

- Otworzymy je same, tylko jeśli będziemy podejrzawać, że stało się coś złego - dodała Veevee.

- Najpierw zajrzemy, żeby się upewnić - zapewniła Hermia.

Danny'emu ten pomysł wcale a wcale się nie podobał. Umożliwić im przenoszenie się, gdzie zechcą, za pomocą amuletów to jedno. Ale dać komuś stały dostęp do siebie - nie, wykluczone. Nawet jeśli obiecują, że nie będą tego przywileju nadużywać.

- Myślę, że dla niego nie ma różnicy między podglądaniem a przechodzeniem przez wrota - wyjaśniła Veevee. - Nie chce, żebyśmy go szpiegowali.

- Musisz nam zaufać - przekonywała Hermia.

- Powiedziałem, że się zastanowię - uciął Danny.

- Co znaczy, że odpowiedź brzmi „nie” - stwierdziła Veevee.

- To niesprawiedliwe - powiedziała Hermia. - Ty możesz stwarzać wrota, kiedy chcesz, bez względu na to, co akurat robimy. Nigdzie się przed tobą nie ukryjemy, ale nie masz do nas tyle zaufania, by uwierzyć, że nie będziemy cię szpiegować ani ci przeszkadzać, kiedy będziesz całował jakąś dziewczynę.

- Nie będziemy pstrykać fotek - obiecała Veevee. - A przynajmniej nie wrzucimy ich do sieci.

- Powiedziałem... - zaczął Danny.

- O, zdenerwował się - zauważyła Veevee.

- Nie szpieguję was - powiedział Danny - i wiem, że wy nie będziecie szpiegować mnie.

Ale tak to jest z mocą... to, że ją masz, niekoniecznie znaczy, że chcesz, żeby inni używali swojej mocy wobec ciebie. Sprawiedliwość wydaje się uzasadniona tylko wtedy, kiedy masz do czynienia z silniejszym od siebie.

- I taka wydaje się nam - przytaknęła Hermia.

- Nie chcę gadać jak typowy członek rodziny - stwierdził Danny - ale... będziecie po prostu musiały z tym żyć, dopóki nie oswoję się z tą myślą. Może pewnego dnia pożałuję, że nie stworzyłem wrót, które latałyby za mną jak szczeniaki za suką i pozwalały wam zawsze mnie znaleźć. Na razie jednak nie umiem tego robić i chyba nawet nie chcę, więc... ich nie stworzę.

- A to ci twardziel - powiedziała Veevee.

- Wcale nie jest taki twardy - skwitowała Hermia. - Mam raczej wrażenie, że próbuje nas przeprosić. Prawdziwe palanty nawet nie udają skruchy.

- To prawda. - Veevee pokiwała głową. - Jeszcze nie nabrał wprawy w byciu palantem.

- Dzięki - odparł Danny. - Chyba.

- Cóż - powiedziała Hermia. - Lepiej już pójdę, zanim rodzina mnie tu namierzy.

- Musisz wyjąć z niej te lokalizatory - stwierdziła Veevee.

Miała rację.

Danny przyjrzał się Hermii, po czym nasunął na nią wrota, które w ogóle nie ruszyły jej z miejsca.

- A to po co? - spytała Hermia.

- Nie byłem pewien, co zyskałem, przechodząc na Westil - tłumaczył Danny. - Kto wie, może zawsze umiałem łączyć wrota z niewielkimi przedmiotami. I może przejście przez Wielkie Wrota nic nie daje magowi, który je stworzył. Myślę jednak, że coś się zmieniło. Kiedy przeniknąłeś przez wrota, które przed chwilą zrobiłem, wyczułem w tobie coś, czego nie wyczuwałem wcześniej: miejsca, w których wrota próbowały cię uleczyć i napotykały opór. Doliczyłem się pięciu takich miejsc.

- Wystarczyłoby przepuścić ją przez skaner na lotnisku - powiedziała Veevee. - W nim będzie widać, gdzie dokładnie te implanty są wszczepione.

Danny się zaśmiał.

- No jasne! Veevee, pójdziesz z nami, żeby odwrócić od nas uwagę?

Przeniósł ich troje na lotnisko w Roanoke. Veevee stanęła na końcu kolejki do kontroli bezpieczeństwa i zaczęła zawodzić:

- Gdzie mój bilet?! Dopiero go miałam!

Wykorzystując to, że jej lamenty ściągnęły uwagę wszystkich, Danny postawił Hermię na czele kolejki, przed samym skanerem. Potem zrobił wizjer nad ramieniem wpatzonego w ekran agenta TSA.

Veevee, widząc, że Hermia jest na właściwym miejscu, zaczęła ostentacyjnie szukać rzekomo zgubionej karty pokładowej. Strażnik machnięciem ręki dał Hermii znak, żeby weszła do urzędnika.

Danny miał rację co do lokalizatorów. Było ich pięć, dokładnie w tych miejscach, w których czuł, że wrota bezskutecznie próbowały ją uleczyć. Czyli wyprawa na Westil jednak zwiększyła jego moc. Wyostrzyła uwagę, pogłębiła świadomość.

Zbliżył wizjer do ucha Hermii.

- Przenieś się wrotami do mojego domu w Buena Vista - powiedział. Potem to samo polecenie wydał Veevee.

Po chwili byli tam już wszyscy razem.

- Wypatrzyłem wszystkie pięć urządzeń. Chyba mogę je wyjąć wrotami.

- Chyba? - obruszyła się Hermia. - Mówimy tu o moim ciele.

- Przygotuję porządne, duże wrota, które uzdrowią cię po wyjęciu każdego lokalizatora. Co złego może się stać?

- Oj, bo zapeszysz - przestrzegła Veevee.

Hermia wahała się jeszcze chwilę, po czym zdecydowała:

- Och, zrób to i już.

- Na pewno? - powiedział Danny.

- Do roboty, mały wrotmistrzu - rzuciła Veevee. - Nie potrafisz poznać, kiedy kobieta mówi „tak”? Rzeczywiście jesteś jeszcze młody.

Po jakichś dziesięciu sekundach było po wszystkim. Na stole leżało pięć czipów; po usunięciu każdego Danny uzdrawiał Hermię wrotami. Uwinęli się błyskawicznie.

- Jednak bolało - oświadczyła Hermia. - Zabieg to zabieg.

- Przepraszam - rzekł Danny.

- Tak tylko informuję, żebyś wiedział na przyszłość - uspokoiła go Hermia. - Zresztą i tak nie liczyłam, że będzie bezboleśnie, więc wcale się nie skarzę. - Wzięła do ręki jeden z czipów. - A zatem moi rodzice uznali, że to dobry pomysł, by wszczepić coś takiego swojej córeczce.

- Co z nimi zrobimy? - zapytała Veevee. - Proponuję przenieść je wrotami do spalarni.

- Albo wszczepić komuś innemu - dodała Hermia. - Prezydentowi. Albo księciu Karolowi.

Czy jakiemuś dyktatorowi z dalekiego kraju. Niech moja rodzina ugania się za nimi.

- Albo pięciu różnym ludziom - powiedziała Veevee. - Żeby twoi kochani krewni dostali kręćka, próbując ustalić, który z nich to ty.

Ostatecznie Danny przeniósł wrotami po jednym lokalizatorze pod skórę każdego z hetycko-ormiańskich zabójców, pozostałe zatopił w głębinach Atlantyku. Następnie przerzucił dwóch zabójców z celi więziennej do siedziby rodziny Greków w Atenach.

- Moi rodzice się nimi zajmą - stwierdziła Hermia.

- Powiesz im, co te dranie chciały ci zrobić? - spytała Veevee.

- Nie - odparła Hermia. - Niech sami z nimi rozmawiają. Domyślą się, że nie bez powodu wszczepiliśmy dwa lokalizatory właśnie tym pajacom. Że to nie przypadek. Ale jeżeli powiem wprost, co to za jedni, moi krewni ich zabiją i tyle. Nawet jeśli naprawdę są na mnie wściekli, nie spodoba im się, że inna rodzina nasyła na mnie zabójców.

- Czyli sądzisz, że ci dwaj będą milczeć? - spytał Danny.

- Moja rodzina nie powiesi ich do góry nogami nad oceanem. Chociaż kto wie... ale na pewno nie zrobią tego tak sprytnie i magicznie jak ty.

- Jesteśmy magami wrót, co? - wtrąciła Veevee z pewnym zadowoleniem. - Ależ fajnie jest robić psikusy wszystkim naraz.

Przeszli do ulubionej lodziarni Veevee - Angelato na Arizona Avenue w Santa Monica - i zjedli gelato. Potem przenieśli się wrotami w miejsca, gdzie mieli spędzić noc. Veevee zaśmiała się radośnie, zanim wsunęła palec do jednego ze swoich pierścieni.

- Och, czuję się potężna. Jak za pierwszym razem, kiedy dostałam do ręki kluczyki od rodzinnego samochodu. - I zniknęła.

Sam w swoim małym domu w Buena Vista, Danny ledwo mógł uwierzyć, że w ciągu jednego dnia dokonał tak wiele. Przeszedł na Westil i poznał Złodzieja Wrót. Stworzył przenośne wrota dla przyjaciół. Usunął lokalizatory z ciała Hermii. Zjadł deser w Kalifornii i wrócił dość wcześnie, żeby się wyspać.

Sfuszerował Wielkie Wrota.

Zasypiając, naprawdę chciał myśleć o Xenie. Nic z tego - w głowie miał tylko obraz gniewnych wrót, których doglądali Marion i Leslie. Jak mógł zrobić coś tak głupiego? A potem, nie wiedzieć czemu, pomyślał o Nicki, córce trenera Liedera. Co u niej? Czy wszyscy już zauważyli, że jest wyleczona z raka?

Dobrze, że choć tego nie sfuszerował.

8

POSZUKIWANIA

Klucha powinien był bez trudu odnaleźć maga wiatru z Mittlegardu, którego Danny North nazwał Cedem. Po pierwsze, Ced pozostawiał za sobą na Hetterwee pasmo zniszczeń, co

ułatwiała podążanie jego tropem; po drugie, nawet gdyby próbował się ukryć wśród miejscowej ludności, nawet gdyby ubrał się jak tubylcy, jego mowa musiała zdradzać, że nie jest stąd.

Hetterwee było rozległą równiną, zimą obficie zasypywaną śniegiem, latem skąpo podlewaną deszczem. Trawa rosła szybko, darń była gruba, ale w pełni lata jak okiem sięgnąć wszystko brązowało i pasące się stada trzymały się blisko licznych strumieni spływających z Mitherkame, Gór Wysokich.

Lasy porastające zbocza Mitherkame były domem magów kamienia i wody, drzew i orłów. Tam czuli się najlepiej, tam nabierali siły. Tam wiatr mógł świszzczeć i wyć w kanionach i wąskich przełęczach.

Za to na rozległych otwartych przestrzeniach Hetterwee wiatr robił w wysokiej trawie fale rozchodzące się na wiele kilometrów. Tam mógł tańczyć.

Głęboko w trawie roiło się od owadów żywiących się opadłymi na ziemię nasionami; buszowały tam ptaki i gryzonie zjadające i te nasiona, i te owady; ogromne stada potężnych zwierząt roślinożernych skubały wybijające źdźbła. Dookoła tych stad krążyły drapieżniki - wilki i wielkie koty - eliminujące z nich okulałe, stare i niechronione młode osobniki. Tutaj i mag zwierząt stadnych, i mag drapieżników mogli znaleźć swój dom.

Tutaj wędrowiec mógł iść przez wiele dni, nie mając pewności, czy choć trochę zbliżył się do swojego celu i czy choć trochę oddalił od miejsca, z którego wyruszył.

W tej suchej trawiastej dziczy wyrosły wioski suszłaków, którzy wznosili chaty z ciężkiej darni, zakładali małe farmy na ogołoconych z trawy splechawkach gliny i w taki czy inny sposób wiązali koniec z końcem, by wydawali na świat następne pokolenie, a potem jeszcze następne i tak dalej. Nie polowali na pasące się zwierzęta w obawie, że miał je na oku mag zwierząt; nie chodzili nigdzie sami, bo bali się, że sterowany przez maga drapieżnik zaatakuje ich dla zabawy. Trzymali się na uboczu; bacznie obserwowali pogodę, od której zależał ich niepewny byt;

ostrożność zapewniała im przetrwanie.

Klucha przenosił się z wioski do wioski, do każdej przybywając jako obcy, który jednak zna lokalny język - władał wszystkimi odmianami westiliańskiego, jakich używano na tym świecie, a przynajmniej nie zetknął się jeszcze z taką, której by nie opanował w kilka minut.

Ubierał się jak czeladnik szukający pracy. Powinien być dużo milej widziany w tych wioskach niż Ced, a mimo to zauważał, że ludzie okłamywali go, by chronić maga wiatru z Mittergardu.

- Mój przyjaciel zapewne przybył tuż przed albo tuż po burzy, która spustoszyła wasze pola i zniszczyła domy - mówił Klucha w kolejnych wioskach. - Muszę go znaleźć; żona mu zachorowała i dla dobra dzieci powinienem go zabrać do domu.

Odpowiadali mu jednak tylko wzruszeniem ramion albo, jeśli naciskał, przybraniem hardej pozy, wzniesieniem solidnego kija i rzuceniem wyzwania, by spróbował zadać jeszcze jedno pytanie.

Z jakiegoś powodu, mimo że wichry pozrywały dachy z domów, a grad zniszczył skąpe plony, ci ludzie uważali Ceda za jednego z nich, a nie sprawcę ich tragedii.

Ced jednak nie mógł się bez końca ukrywać przed Ojcem Wrót. Jeśli ludzie nie chcieli otwarcie z nim rozmawiać, Klucha robił małe okienko, przez które zaglądał do ich domów i ich podsłuchiwał. Mówili mu wtedy wszystko, co go interesowało, a nawet więcej: że wiedzieli, że Ced jest magiem wiatru, który wyrządził im tak wielką krzywdę, i że przybył z innego świata; i że to wszystko powiedział im sam Ced. On, bóg wiatru, nawiedzał ich osobiście, żeby przeprosić za szkody spowodowane przez jego potężne wichry i naprawić je na tyle, na ile mógł.

Wreszcie w jednym z okienek ukazał się sam Ced, śpiący na honorowym miejscu przy palenisku, w domu z kominem, który wskazywał, że mieszka tam najbogatszy człowiek we wsi.

Klucha zabrał go wrotami tak delikatnie, że Ced się nie obudził. Obudziło go dopiero zimno, pół godziny później; lekki, mroźny wiatr na szczycie wysokiej grani w Mitherkame.

*

Ced ocknął się, dygocząc. Od razu zrozumiał, że pojmał go mag wrót, bo jak inaczej mógłby tak nagle się przenieść z ciepłego domu na mróz? Czuł wiatr, a zatem był na odkrytym terenie, lekkość powietrza zaś wskazywała, że znajdował się na dużej wysokości. I kiedy otworzył oczy, w świetle gwiazd zobaczył, że leży na skrawku ziemi o promieniu może dziesięciu kroków, kończącym się urwiskiem, którego krawędź skrywała przed jego oczami resztę świata.

- Przepraszam, że zabrałem cię od ognia - powiedział młody mężczyzna, który siedział obok i go obserwował. Ced od razu poznał: to mag, który czekał na Danny'ego Northa u wylotu Wielkich Wrót. Złodziej Wrót. Nieprzyjaciel.

- Nie mnie szukasz - przestrzegł go Ced od razu. - On wrócił na Ziemię.

- Wiem, gdzie jest Danny North - powiedział Złodziej Wrót. - Ma w sobie większość mojego zewnętrznego ja. Czy jeniec może nie być świadom ścian swojego więzienia?

- A tutaj jest moje więzienie?

- To miejsce, gdzie możemy swobodnie porozmawiać. Gdzie nikt nam nie przeszkodzi. Ale dla maga o twojej mocy... nie, nie mógłbym cię tu zatrzymać, gdybyś zechciał odejść.

- Maga o mojej mocy - powtórzył Ced z goryczą. - Potwornej mocy, która wszystkich krzywdzi i nikomu nie pomaga.

- A mimo to jej używasz.

- Powietrze mnie przyzywa - szepnął Ced. - Dzień i noc słyszę jego śpiew. Muska włoski na moich rękach i nogach. Budzi mnie i czuję wszystkie jego ruchy na świecie. Odległe wiatry i wichry, pobliskie wietrzyki, podmuch wzbudzany przez biegnącego jelenia, trzepot skrzydeł motyla. Ten świat jest zbyt bogaty w doznania jak dla mnie.

- Nie świat za to odpowiada, lecz ty sam - powiedział Złodziej Wrót. - Przejście przez

Wielkie Wrota cię przebudziło. Powietrze przyzywało cię od zawsze, i na Mittlegardzie, i tutaj, w cieniu Mitherkame.

- Nie znam tych słów, panie.

- Mittlegard to po naszymu Ziemia, jak doskonale wiesz. A Mitherkame jest tutaj -

tłumaczył Złodziej Wrót. - Te góry stanowią oś świata zwanego Westilem przez magów z

Mittlegardu... choć westiliański jest tylko jednym z używanych tu języków, a Westil to również

prastara, prawie zapomniana nazwa królestwa, które niegdyś obejmowało cały Hetterwold i

knieje północy.

- Jestem tu obcy - powiedział Ced. - Gdyby wiatr nie przyzwał mnie z taką mocą,

zdążyłbym wrócić na Ziemię. Możesz odesłać mnie do domu?

- Wiesz, że nie. Wiesz, że Danny North odebrał mi moje wrota, wszystkie oprócz garstki

zbyt małej, by stworzyć Wielkie Wrota, nawet gdybym tego chciał. A nie chcę. Źle, że tu jesteś;

ale byłoby jeszcze gorzej dla Mittlegardu, gdybym cię tam odesłał.

- Czyli jestem skazany na to, żeby żyć samotnie, bez przyjaciół.

Złodziej Wrót spojrzał na Ceda pytająco.

- Bez przyjaciół? Gdy w każdym domu czeka na ciebie honorowe miejsce przy palenisku?

- To dobrzy ludzie, ludzie wielkiego serca, ale nie wiedzą, kim jestem. Znają tylko moc

wiatru i się mnie boją.

- Jeśli dobrze cię traktują i nie dążą do tego, żeby cię zabić albo tobą manipulować, to są

twoimi przyjaciółmi. Nie stawiaj przyjaźni zbyt wysokich wymagań, bo nie będziesz miał

żadnych przyjaciół.

- W takim razie kim dla mnie jesteś ty? - spytał Ced. - Przeniosłeś mnie tutaj bez mojej

zgody. Słyszę wiatry, które wyją wokół tej grani, daleko w dole... gdybym wyszedł na jej

krawędź, spadłbym i roztrzaskał się o skały. Czyli jestem więźniem.

- Myślisz, że te wiatry, które słyszysz, pozwoliłyby ci spaść? Podtrzymałyby cię, gdybyś je o to poprosił, i delikatnie osadziły na ziemi tam, gdzie byś zechciał.

Na te słowa Ceda przeszedł dreszcz radosnego podniecenia.

- To znaczy, że potrafię latać?

- To znaczy, że wiatr, któremu tak dobrze służysz i którym tak słabo władasz, nie pragnie twojej śmierci.

- Pewnie gdybyś chciał mnie zabić, przeniósłbyś mnie w morską głębinę.

- W morzu też jest powietrze. Znalazłoby cię od razu, skupiło wokół ciebie, zamknęło cię w bąblu i wyniosło na powierzchnię, gdzie wiatr błyskawicznie osuszyłby cię i znów uniósł na swoich skrzydłach.

- W takim razie do wnętrza góry... gdybyś chciał, mógłbyś mnie zabić.

- Przejrzałeś mnie - rzekł Złodziej Wrót. - Chcę być ci przyjacielem.

- Jakiego rodzaju byłaby to przyjaźń? - spytał Ced. - Kiedyś miałem przyjaciela, który zapewniał mi wikt i opierunek, i pozwalał, żebym się uczył na własnych błędach.

- Ja jestem przyjacielem, który nie dopuściłby do tego, by przez twoje błędy ginęli ludzie... albo bezpośrednio w rozpętywanych przez ciebie nawałnicach, albo później, zimą, z głodu spowodowanego zniszczeniem plonów.

Ced wziął go za rękę i mocno ścisnął.

- Ja też tego nie chcę, z całego serca.

- Widzę, że mówisz szczerze - powiedział Złodziej Wrót z wyraźną ulgą.

- Bo tak jest. Nie jestem agresywny. Nie lubię niszczyć. Ale kiedy zrywa się wiatr...

- To wieje, gdzie chce i jak chce - dokończył Złodziej Wrót. - Narasta i narasta, jest coraz silniejszy, coraz bardziej zwarty, wiruje i tańczy. Mam rację?

- Tak! - krzyknął Ced.

- A ekstaza, którą wtedy czujesz... jest upajająca. Chce ci się krzyczeć z radości. Co do tego też mam rację?

Ced skinął głową, teraz już zawstydzony, bo Złodziej Wrót odgadł tajemnicę, którą ukrywał nawet przed samym sobą.

- To narkotyk. Heroina, koka, ecstasy i metamfetamina razem wzięte... coś dużo mocniejszego od trawki, jedyne narkotyku, jakiego próbowałem. Kiedy to się zaczyna, chcę, żeby trwało wiecznie. Choć wiem, że dzieją się straszne rzeczy, i czuję, jak wiatr łamie i burzy wszystko, co napotyka, nie mogę przestać.

- Co znaczy, że nie chcesz przestać - powiedział Złodziej Wrót.

To też było prawdą i Ced, owładnięty wstydem i poczuciem winy, wybuchnął płaczem na oczach tego potężnego nieznajomego.

- Powinieneś być zabić mnie we śnie - wyszłochał. - Tyle krwi mam na rękach. Krwi nie żołnierzy walczących na wojnie, tylko dzieci przywalonych dachami albo wyrwanych przez wiatr z rąk rodziców i rzuconych na drzewa, skały czy do przepaści. Krwi rodziców, którzy zginęli, próbując te dzieci ratować, lub później, kiedy szukali ich ciał. Nie zasługuję na to, żeby żyć... mam na sumieniu już sto istnień ludzkich.

- Ściśle, dwadzieścia - rzekł Złodziej Wrót. - Wstyd każe ci wyolbrzymić swoją winę.

- Dwadzieścia - powtórzył Ced i znów załkał.

Złodziej Wrót położył mu dłoń na ramieniu.

- Rozumiem, że próbowałeś przestać.

- Głosy wiatru nie dają mi chwili spokoju. Jak mam je uciszyć, żeby móc pomyśleć?

- Nie chodzi o to, żebyś je uciszył. Masz śpiewać razem z nimi, żeby ich głos stał się twoim, ich ruchy częścią twojego tchnienia. To, co czujesz, kiedy czujesz wszystkie wiatry na świecie, to twoje zewnętrzne ja, rozrzedzone jak powietrze, i ponieważ jesteś jedynym magiem

wiatru, który w tej epoce przeszedł przez Wielkie Wrota, nie spotykasz na swojej drodze nikogo, kto mógłby ci się przeciwstawić. Wiatry należą do ciebie. Jeśli je kochasz, Cedzie, wiatry są tobą.

- Jak to możliwe, że mag wrót tyle wie o magii wiatru?

- Bo wszystkie magie świata stanowią jedność - powiedział Klucha. - I dlatego, że kiedyś kochałem maginię wiatru.

- Była twoją żoną? Też miałem żonę. - Ced pomyślał o nieszczęsnej, skrzywdzonej przez los Lanie, i o tym, jak żal ścierał się w nim z ulgą, gdy odeszła.

- Moją matką - powiedział Klucha.

Miał matkę. Kiedyś był dzieckiem. Jest człowiekiem jak ja. I potworem - jak ja.

- Co ze mną zrobisz? - spytał Ced.

- Chcę, żebyś nauczył się chronić ten świat swoją mocą.

- Przed czym chronić?

- Przed potworami. Bogami.

- Bogami?

- Na Ziemi zwą się Wielkimi Rodzinami. Wkrótce się tu zjawią, pod każdym względem tak silni jak ty i tak samo niezdolni panować nad swoją mocą. Tyle że, w odróżnieniu od ciebie, nie mają sumienia. Nie będą zważać na to, ile ich magia będzie kosztować prostych ludzi z tego świata.

- Moja troska nie przywróci nikomu życia - powiedział Ced.

- Ale jeśli nauczysz się panować nad swoją mocą, staniesz się dużo silniejszy od tych intruzów... przynajmniej na pewien czas... i może będziesz w stanie chronić ludzi przed nimi.

Choć w części zapobiec koszmarowi, który inaczej by ich spotkał. Chciałbyś tego?

- Nie mogę nawet zapobiec szkodom, które sam wyrządzam.

- Zapobiegasz im każdego dnia, w każdej chwili, kiedy nie wzbudzasz wiatru. Zapobiegasz im, kiedy chodzisz do tych ludzi nie po to, by grozić im burzami, jeśli nie będą ci posłuszni, ale żeby pomóc naprawić spowodowane przez ciebie zniszczenia. Jak myślisz, dlaczego cię miłują? Bo nie uważasz się za boga. A może dlatego, że sądzisz, iż bóstwa powinny być dobre.

- Miłują mnie?

- Tym światem od dawien dawna rządzą bogowie. Zamykając Wielkie Wrota, osłabiłem ich i kiedy starzy magowie powymierali, następne pokolenia odziedziczyły po nich tylko znikomą część mocy, dzięki czemu życie tutaj zmieniło się na lepsze. Teraz za wielkiego maga uchodzi osoba o względnie niewielkich zdolnościach. Jednak magowie z Mittlegardu przybędą tu pełni mocy, jakiej ten świat nie widział od czternastu stuleci. Przyniosą swoje wojny i spory, a potem wywołają nowe. Tutejsi magowie spróbują stawić im opór, ale nie będą mieli szans. Tylko ty możesz się z nimi równać. Możesz stanąć przed nimi jako ich pan, jeśli się przygotujesz, jeśli będziesz lepiej przysposobiony do wojny niż oni.

Ced przypomniał sobie stary tekst z filmu.

- Jestem kochankiem, nie wojownikiem. - Mgliście kojarzył, że to słowa Rodneya Dangerfielda. Człowieka, którego nikt nie szanował.

- Jeśli coś kochasz, to masz o co walczyć - powiedział Złodziej Wrót. - A myślę, że pokochałeś tych ludzi.

Ced nie był tego taki pewny. Poczucie winy to nie to samo co miłość. Ale może jedno częściowo pokrywa się z drugim.

- To jednak jest wojna innego rodzaju - ciągnął Złodziej Wrót. - Kochanek musi żyć wewnątrz wojownika. Bo ja nie chcę, żebyś tych magów zniszczył, Cedzie. Chcę zdobyć nad nimi władzę, a potem przeciągnąć ich na naszą stronę.

- Na naszą stronę? - spytał Ced. Od kiedy to są sojusznikami? - Jeśli magowie z Wielkich

Rodzin przyłączą się do nas, przeciw komu będziemy walczyć?

- Przeciw komuś gorszemu.

- Rodziny to potwory. Wychowują własne dzieci na potwory i nie mogą sobie wyobrazić nikogo gorszego.

- A ja owszem - stwierdził Złodziej Wrót.

- Kto to taki?

- Mitherkame i Mittlegard to nie jedyne światy zamieszkane przez ludzi i magów zdolnych stać się potworami.

Ced poczuł zmęczenie.

- Nie chcę w tym uczestniczyć.

- Wiem - powiedział Złodziej Wrót. - Chciałeś tylko przejść przez Wielkie Wrota i przekonać się, jak to wpłynie na twoją moc.

- I zmieniło mnie to w potwora.

- Zmieniło cię to w wielkiego maga. Tylko przez brak doświadczenia i samodyscypliny dopuściłeś się tych potworności. Możesz nauczyć się nad tym panować. Możesz nauczyć rodziny bogów panować nad ich zwiększonymi mocami. Tylko wtedy będziemy mieli szansę pokonać Pożeracza Dusz.

Ced przypomniał sobie, jak Danny i Hermia mówili o Złodzieju Wrót - legendarnym wrogu, Minotaurze, straszliwym potworze, któremu będą musieli stawić czoło.

- Z czego się śmiejesz? - spytał Złodziej Wrót.

- Powiedziałeś „Pożeracz Dusz” dokładnie tak, jak ludzie mówią „Złodziej Wrót”.

Złodziej Wrót skinął głową.

- Mnie Danny North lękał się najbardziej.

- Przez tysiąc lat niszczyłeś wszystkich napotkanych magów wrót.

- Nieprawda. Żadnego z nich nawet nie tknąłem, dopóki nie spróbował stworzyć Wielkich Wrót. Nic im nie groziło z mojej strony, jeśli robili wrota tylko na swoim świecie. Dlaczego im to nie wystarczało? Dlaczego nie mogli się zadowolić przechodzeniem wrotami z miejsca na miejsce i uzdrawianiem każdego, kto z ich wrót korzystał? Dlaczego tak cudowna moc to było dla nich za mało?

Ced pomyślał o własnych doświadczeniach z mocą.

- Bo jeśli coś jest do wzięcia, trzeba po to sięgnąć.

- Niczym małpy na drzewach - powiedział Złodziej Wrót. - Zawsze złaknione owocu, który jest poza zasięgiem.

- Jak masz na imię? - spytał Ced. - W myślach nazywam cię Złodziejem Wrót, ale to tylko twoja rola.

- Zwą mnie Kluchą. A raczej zwali tam, gdzie ostatnio mieszkałem.

- A jak mówiła do ciebie matka? - spytał Ced.

- Loki... ale to też była moja rola. Takie imię nadaje się najpotężniejszemu magowi wrót w rodzie Northów. Pod imieniem Klucha ostatnim razem zakosztowałem nadziei. Tak nazywają mnie przyjaciele.

- Opowiedz mi o tym potworze gorszym od magów z rodzin - poprosił Ced. - Opowiedz mi o Pożeraczu Dusz, żebym mógł zdecydować, czy mam prawo nazywać cię Kluchą.

- Nie wiem, czy to jedna istota, czy jedna z wielu istot. Być może jedna, powracająca raz za razem, bo jeśli dobrze rozumiem jego naturę, Pożeracz Dusz sam z siebie nigdy nie umiera i bardzo trudno go zabić.

- Ale czym jest?

- Zaklinaczem ludzi - powiedział Klucha. - Ale nie takim, przed jakimi nas się przestrzega.

Nie takim, jak zaklinacze ludzi z Dapnu Dap, którzy niegdyś władali światem Mitherkame dzięki

temu, że uwodzili mężczyzn i kobiety, schlebiali im i ostatecznie zmieniali ich w swoich braci serca.

- Też nieprzyjemne typy.

- Tak, ale kiedy zaklinacz ludzi wnika zewnętrznym ja w brata serca, można znaleźć jego ciało. Można go zabić. A jak się dowiedziałem, zanim pozamykałem wrota, bóg Bel nie jest taki. Przejmuje władzę nad ludzkim ciałem i steruje nim nie swoim zewnętrznym, tylko wewnętrznym ja.

Ced nie rozumiał.

- Czyli w jego własnym ciele nie zostaje nic?

- Nie wiem, czy magowie Bela w ogóle kiedykolwiek mieli ciała. Nie wiem, jak wygląda życie na świecie, z którego pochodzą. A może kiedyś wiedziałem, tylko przez lata spędzone w ukryciu o tym zapomniałem. Wiem tylko, że przybywali na Mittlegard wrotami z innego świata. Nigdy w dużych grupach; i jak mówiłem, możliwe, że stało się to tylko raz i że jest tylko jeden taki mag. Bo kiedy opanowane przez niego ciało umiera, wewnętrzne ja maga Bela nie ginie razem z nim. Po prostu przeskakuje w kogoś innego, wypiera jego wewnętrzne ja, staje się tym kimś.

Ced teraz zrozumiał, na czym polega zagrożenie.

- Jeśli przejmie ciało wielkiego maga...

- Wtedy ma całą moc tego maga. Tak właśnie robili magowie Bela, dopóki się w tym nie połapaliśmy i nie zaczęliśmy z nimi walczyć. Wielki mag z naszego ludu nagle się zmieniał, stawał się potężniejszy, a przy tym bardziej bezwzględny. Jakby opanowały go złe moce. Kiedy jednak stawaliśmy do walki z tak przerażająco odmienionym magiem... zwyciężaliśmy.

Niektórych zabijaliśmy. Innych udawało się pojmać, porozmawiać z nimi... i okazywało się, że niewiele z tego pamiętali. Dla nich to było jak sen, w którym ich ciała nie były im posłuszne.

Może tak właśnie czują się bracia serca opanowani przez magów. Zniewolony nie miał wrażenia, że jest pod czyjąś kontrolą. Po prostu był bezwolny. Odcięty od czynności własnego ciała. Na poły uśpiony, w pewnym głębokim sensie. Jeden z nich powiedział, że wędrował, ale nie potrafił określić gdzie ani wyjaśnić, dlaczego coś się działo w tym czasie.

- Czyli pojmany przez was mag... tak naprawdę nie on robił te potworne rzeczy, z których powodu wydawaliście mu wojnę.

- Coś przejmowało władzę nad jego ciałem, ale porzucało go, gdy wpadał w nasze ręce i tracił moc. Odchodziło.

- Jak w ogóle z czymś takim walczyć? - spytał Ced.

- Nigdy nie próbowałem. Jedno tylko mi przyszło do głowy - usunąłem ze świata Wielkie Wrota, żeby mag Bela mógł się wcielać tylko w ludzi o małej mocy i żeby nigdy się tu nie przeniósł.

- Czyli gdybym wrócił...

- Wszyscy, których Danny North przeprowadził na ten świat, na Mitherwee... czyli Westil, stali się najpotężniejszymi magami na Mittlegardzie. Mag Bela dowie się o tym. Będzie łaknął tej mocy. Dlatego im wszystkim grozi wielkie niebezpieczeństwo, a Danny'emu Northowi szczególnie. Bo jeśli mag Bela zawładnie właśnie nim, będzie mógł stworzyć tyle Wielkich Wrót, ile zechce. A jeśli nie jest jedyny, jeśli takich magów jest wielu, wszyscy będą mogli przybyć tutaj, do matecznika magii, i podjąć próbę zapanowania nad wszechświatem.

Ced skinął głową.

- Przepędzą wszystkich bogów. Staną się wiecznymi, nieśmiertelnymi bóstwami, których nijak nie da się zabić.

- O ile ich nie powstrzymamy.

- Co by było, gdyby taki mag Bela rzeczywiście zawładnął Danny'm Northem? Co

moglibyśmy wtedy zrobić?

- Zabić Danny'ego - powiedział Złodziej Wrót. - Jakie mielibyśmy wyjście?

- Dlaczego jeszcze go nie zabiłeś? Byłeś z nim przy Wielkich Wrotach.

- Bo Danny North nie zrobił nic, czym zasłużyłby na śmierć.

- Stworzył Wielkie Wrota.

- Kiedy ludzie stwarzali Wielkie Wrota, odbierałem im moc - powiedział Klucha - ale ich nie zabijałem. Nie jestem magiem Bela. Nie zamierzam być potworem.

- Też nie chcę być potworem. Co nie znaczy, że nim nie jestem.

- Wiem. - Klucha się uśmiechnął. - Mogę jednak pomóc ci zapanować nad twoją mocą.

Żebyś stał się panem wiatru, nie jego sługą, jak to jest teraz.

- Mam wrażenie, że nad nim panuję. A mimo to nie mogę się od niego oderwać, bo chcę tego, czego chce on.

- To prawda - powiedział Klucha. - Jesteś jak knot świecy. Płomień nie przetrwa bez knota; knot jednak nie jest panem płomienia. Płomień trawi go kawałek po kawałku.

Ced od razu pojął, że Klucha ma rację. Skinął głową.

- Nie ująłbym tego w ten sposób, ale to prawda.

- Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę; to początek mądrości. To coś, czego magowi najtrudniej się nauczyć.

- I ty mnie tego nauczysz, Klucho? Jak panować nad moją mocą?

- Ja? - Klucha zaśmiał się na cały głos. - Jak, skoro sam nie za dobrze to potrafię? Jestem narzędziem czasoprzestrzeni tak samo jak ty narzędziem wiatru. Nie, zaprowadzę cię do najlepszych nauczycieli. Tych, którzy mogą pomóc magom wszelkiego rodzaju, bo odznaczają się niemal bezgraniczną cierpliwością i wyrozumiałością, cechami, bez których nigdy nie zapanowaliby nad własną magią.

- Kto to?

- Magowie drzew. Nie wszyscy. Tylko kilku. Najlepsi spośród nich, mistrzowie. Ci, którzy rozumieją, że korzeń kryje w sobie całą naturę drzewa. Mag drzew przed czternastu stuleciami zachował mnie przy życiu, abym mógł robić to, co robię teraz. Przekonał wielkie drzewo, by otworzyło się przede mną. W jego żywym drewnie stworzyłem małe wrota, które przenosiły mnie w górę, co dzień o ułamek centymetra, tak nieznacznie, że prawie się nie ruszałem. Przenikałem jednak codziennie przez wrota, które leczyły wszelkie moje dolegliwości. Uzdrawiały też drzewo, każda ułamana gałąź odrastała na nowo. Drzewo przeżyło tych czternaście stuleci w doskonałym zdrowiu, podobnie jak ja. Dopóki nie poczułem zaburzeń w Absolucie. To działał Danny North. Czułem, że pojawił się we wszechświecie, że nabiera mocy. Wtedy nie rozumiałem, co się dzieje. Wiedziałem tylko, że przyszła pora opuścić drzewo. Nie orientowałem się, kim jestem. Nie umiałem mówić. Musiałem od nowa uczyć się być człowiekiem, nie częścią drzewa. Ale się nauczyłem. Aż za dobrze. I teraz już jestem człowiekiem. A Danny North jest na świecie. Pokonał mnie i ma moje wrota. Jestem praktycznie bezsilny, sam nie stawię czoła ani magowi Bela, ani nawet rodzinom z Mittlegardu. Dlatego tak bardzo zależy mi na tym, żebyś stał się panem samego siebie i mógł stanąć u mojego boku.

- Nie jestem odważny - powiedział Ced. - Nie wiem, jaki będę na wojnie.

- Tego nie wie nikt - stwierdził Klucha. - I odpowiedź na to pytanie zmienia się z dnia na dzień. Czy pójdziesz ze mną do magów drzew z Gos w Puszczy Głębokiej, by sprawdzić, czy któryś zechce przyjąć cię na naukę?

- Myślę, że jednego z nich już o to zapytałeś i powiedział „tak”. Inaczej nie zwróciłbyś się do mnie - odparł Ced.

- Tak, zapytałem, ale nie chce się zgodzić, dopóki cię nie pozna, i musisz przyjść do niego z własnej woli.

- Pójdę z tobą i nauczę się tyle, ile będę mógł. A jeśli się przekonam, że wszystko, co mówiłeś, jest prawdą, stanę razem z tobą do walki.

- Jeśli to nie jest prawdą - odrzekł Klucha - to nie dlatego, że cię okłamałem, tylko dlatego, że połowa z tego, co wiem o magu Bela, to tylko domysły, niekoniecznie trafne. Mam nadzieję, że się mylę. Mam nadzieję, że koniec końców go zwyciężymy.

9

GOŚCIE

Danny napisał przesłanie i powtarzał jego tekst z przyjaciółmi dotąd, aż nauczyli się go na pamięć. Nie chciał, żeby czytali z kartki. Chciał, by stali twarzą w twarz z rodzinami bogów, by patrzyli im w oczy. Nie wyzywająco, tylko spokojnie, swobodnie. Byli wysłannikami Wielkiego Maga. Musieli zachowywać się stosownie do tej roli.

„Przysłała mnie Loki - tak zaczynało się przesłanie. - Stworzył Wielkie Wrota. Stawił czoło Złodziejowi Wrót i zwyciężył. Przeszedł Wielkimi Wrotami na Westil i wrócił. Pozwoli każdej rodzinie wysłać dwóch magów na Westil i z powrotem, ale tylko jeśli przystaniecie, wszyscy razem i każdy z osobna, na trzy następujące warunki.

Po pierwsze, nie wydadacie wojny ani nie wyrządźcie krzywdy żadnej innej rodzinie ani żadnemu magowi.

Po drugie, nie będziecie odbierać życia suszłakom ani ich zniewalać. Będziecie przestrzegać ich praw i obyczajów.

Po trzecie, zaprzestaniecie zabijania magów wrót i domniemanych magów wrót. Będziecie ich posyłać na naukę do Lokiego. Magowie wrót nie będą należeć do żadnej rodziny, tylko do kompanii Stróżów Wrót. Jutro wrócę po waszą odpowiedź”.

Danny wysyłał swoich emisariuszy jednego po drugim przez wrota i obserwował ich przez wizjer, na wypadek gdyby ktoś próbował wyrządzić im krzywdę. Zrobił wizjery też Veevee i

Hermii. Posłańcy trzymali amulety w pogotowiu. Danny dopilnuje, żeby nikomu włos z głowy nie spadł.

Hal i Xena trochę się zacinali przy recytowaniu wykutego na pamięć tekstu, ale szybko poprawiali wszelkie pomyłki i brnęli dalej. Nikt inny nie popełnił błędu. Pojawiali się w salach, gdzie rodziny zgromadziły się w reakcji na otrzymany anonimowy e-mail.

I z chwilą, kiedy padało ostatnie słowo przesłania, Danny przenosił każdego z przyjaciół z powrotem do Buena Vista. To nie była konferencja prasowa. To była oferta i ultimatum. Nie musiał wyjaśniać, że nieprzyjęcie warunków oznaczać będzie, że danej rodziny nie obejmie ustanowiony przez niego pokój. Innymi słowy, rodziny, które wyślą po dwóch swoich magów na Westil i z powrotem, będą miały prawo posłużyć się swoją ogromnie zwiększoną mocą, by wydać wojnę tym, którzy złamią zasady.

- Wszystkie się zgodzą - stwierdził Stone, kiedy o tym rozmawiali. - Pytanie, czy dotrzymają słowa.

- Dlatego nie będą wiedzieć, gdzie jestem - powiedział Danny. - Żeby nigdy nie mogli przewidzieć, skąd spadnie na nich kara.

Śmiało mówił o karze, ale nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby ktoś rzeczywiście złamał dane słowo. Sądził, że to zależałoby od skali naruszenia przysięgi. Jeśli ktoś spróbuje bez zezwolenia dopuścić kogoś do Wielkich Wrót, Danny umieści go w jakimś niedogodnym miejscu. Jeśli któraś z rodzin będzie źle traktowała suszłaków albo wywoła wojnę, Danny pozwoli, by pozostałe wysyłały magów na Westil dotąd, aż zyskają przewagę nad wiarołomcami i ich zwyciężą.

Jeśli ktoś kogoś zabije, Danny...

Pogrzebie go na Hammernip Hill?

Nie chciał myśleć o zabijaniu ludzi swoją mocą. Gdyby jednak ktoś skrzywdził jego

przyjaciela, zrobiłby, co trzeba, by uzyskać pewność, że to się nigdy nie powtórzy. Posłańcy byli pod jego ochroną i to nie mogło być pustym zapewnieniem, jeśli plan miał się powieść.

Wiedział jednak, że rodziny będą mierzyć jego zamiary na podstawie tego, co same by zrobiły, gdyby miały jego moc. One byłyby bezwzględne, nawet okrutne. Dlatego jemu też przypiszą najgorsze intencje i będą się go lękać.

Co znaczy, pomyślał Danny, że naprawdę jestem tym, czym nie chcę, by stali się oni - żądnym władzy tyranem narzucającym wszystkim swoją wolę.

Ale jeśli nie będę ich trzymał w ryzach dotąd, aż sami zobaczą, że ten nowy ład jest o wiele lepszy od starych obyczajów, eksperyment się nie powiedzie. Świat nie zazna pokoju. Dlatego muszę być tyranem nad tyranami, by chronić wszystkich suszłaków, Sieroty, słabszych członków rodzin.

Chronić ich przed wujkiem Zogiem i dziadkiem Gyishem. Przed ich odpowiednikami z innych rodzin.

Kiedy posłaniec wracał do małego salonu Danny'ego, Hermia i Veevee dalej obserwowały odwiedzoną przez niego rodzinę, by sprawdzić jej reakcję. Większości - cóż za naiwność - jakoś do głów nie przyszło, iż odejście emisariusza niekoniecznie oznacza, że nie podsłuchuje ich mag wrót. Tylko rozmowy w rodzinie Hermii brzmiały sztucznie, pełne ostentacyjnej słodyczy i zapewnień o gotowości do spełnienia wszystkich warunków.

- Wiedzą, że słuchamy - powiedziała Hermia. - Nie będą mówić otwarcie.

- Prędzej czy później zaczną - stwierdził Danny. - Ale nie ma co dłużej ich szpiegować.

Zgodzą się, bo nie mają wyboru, i dotrzymają słowa, bo boją się, co się stanie, jeśli je złamią.

- Skarbie - odezwała się Veevee - jeszcze nie wysłałeś nikogo do swojej kochanej rodziny.

Danny nie silił się na żadne fochy typu „nie są moją rodziną”. Czy to mu się podobało, czy nie, byli jego krewnymi, rodziną, którą znał jak żadną inną.

Xena podniosła rękę.

- Ja pójdę - zaoferowała się. - Chcę poznać twoich prawdziwych rodziców.

- Wykluczone - odparł Danny.

- Boisz się, że narobię ci obciachu?

Najwyraźniej ubzdurzyła sobie, że jest jego dziewczyną i że Danny po prostu nie chce jej przedstawić rodzicom.

- Sam muszę z nimi porozmawiać - rzekł Danny.

- Nie masz amuletu - zauważyła Sin.

- Nie jest mu potrzebny - wyjaśniła Hermia. - Po co ma sięgać po amulet, skoro szybciej może zrobić wrota w dowolne miejsce na Ziemi.

- Przecież wiem - powiedziała Sin.

- Chcę tylko, żeby mój Danny był bezpieczny - oznajmiła Xena zaborczo.

Sama sobie robi obciach, pomyślał Danny. Czy Xena nie zdaje sobie sprawy, jak mało jest subtelna?

Potem przyszło mu do głowy, że dziewczyny, ogólnie biorąc, raczej nie kryją się z tym, kto im się podoba, a kto nie. Żadna nie zachowuje się jak Jane z *Dumy i uprzedzenia*, tak by nikt nie mógł poznać, czy dany chłopak wpadł jej w oko. Xena postanowiła zakochać się w kolesiu, który potrafi w mgnieniu oka przenieść ją w dowolne miejsce na Ziemi, więc nie obchodziło jej, kto się o tym dowie. Ba, może okazywała to tak otwarcie, by jasno dać innym dziewczynom do zrozumienia, że Danny należy do niej, więc wara od niego.

- Nie wiesz, jacy magowie są naprawdę - tłumaczyła Veevee Xenie z przerysowaną

życzliwością. - Danny jest jedynym, jakiego spotkałaś, więc masz o tym mylne pojęcie. Gdybyś zaoferowała swoje wdzięki jakiemukolwiek innemu magowi, przeleciałby cię bez skrupów. A potem by odszedł, zostawiając ci na pamiątkę poczętego bękarta.

- Niczego nie oferuję - zaperzyła się Xena. - Po prostu mi na nim zależy.

- Przystopuj trochę, kochanie - poradziła Veevee. - Wystraszysz chłopaka.

- Wiesz, on nie jest gejem - stwierdziła Xena. - Nie boi się mnie.

Super, pomyślał Danny. Wie, że nie jest mi zupełnie obojętna. Aż tak to oczywiste? Jakim cudem?

- Jeśli kiedykolwiek się z kimś prześpi - powiedziała Veevee - na pewno potem będzie go gryzło sumienie i poślubi tę biedaczkę. Zastanów się, jak byś na tym wyszła. Byłabyś skazana na towarzystwo mężczyzny, który z czasem cię znienawidzi, a któremu ty pod żadnym względem nie dorównasz. Magicznie upośledzona zoneczka, ciężąca mu jak kamień u szyi. Tak chcesz przeżyć życie, kochanie?

- Teraz rozumiem! - wykrzyknęła Pat. - Kiedy mówisz „kochanie”, myślisz „idiotko”.

- Cieszę się, że ktoś tu umie mówić po złośliwosuczemu - odparła Veevee. - Bałam się, że jestem jedyna.

- Mówić nie mówię - uściśliła Pat - ale rozumiem ten język. Nauczyli mnie go w szkole.

- Och, bez fałszywej skromności, dziewczyno. Władasz nim, jakbyś znała go od urodzenia.

- Nie znacie mojej matki - wtrąciła Hermia. - Obie wiele mogłybyście się od niej nauczyć.

- Co, teraz będziecie się licytować, która z was jest większą suką? - spytał Hal.

- To nie zawody - powiedziała Laurette.

- Ty po prostu uważasz, że wygrana należy ci się z automatu, bo masz największe bufory - stwierdziła Xena.

- Mówi się jeszcze „bufory”? - spytała Laurette.

- Danny, musisz porozmawiać ze swoją rodziną - przypomniała Hermia.

- Wiem.

- Jeszcze dziś. Teraz. Dowiedzą się o warunkach, które przedstawiłeś wszystkim

pozostałym, i pomyślała, że skoro tylko z nimi się nie skontaktowałaś, nie zamierzasz dopuścić ich do Wielkich Wrót. A wtedy to już na serio zapragną cię zabić.

- Bo do tej pory tylko żartowali, tak? - spytał Danny.

- Do tej pory połowa z nich cię chroniła - powiedziała Hermia. - Przynajmniej twoi rodzice.

Ale jeśli odniosą wrażenie, że ich odstawiasz na boczny tor...

- Wiem - przerwał jej Danny. - Wiem, wiem, wiem.

- W takim razie zrób to - naciskała Hermia.

- Potem.

- Teraz.

Danny uśmiechnął się szeroko.

- Nie jesteś moim szefem.

- Ale ja jestem - powiedziała Veevee. - Figuruję w szkolnych dokumentach jako twoja opiekunka prawna. Idź porozmawiać z rodziną.

- Nie umówiłem się z nimi, tak jak z pozostałymi - stwierdził Danny.

- I możesz być pewien, że już o tym wiedzą - stwierdziła Hermia. - I mają najgorsze przeczucia.

Miała rację. Wszyscy mieli rację. Danny przeniósł się wrotami do biblioteki w starym domu w osadzie.

Ściany, które zniszczyli, szukając Danny'ego tego dnia, kiedy Hermia wyczuła w jednej z nich szpiega, zostały odbudowane. Podłogę przykrywały nowe dywany. Wszystko było wysprzątane i czyste, gotowe na przyjęcie gościa. Ciotki i wujowie siedzieli dookoła stołu.

Miejsca u szczytu zajmowali Baba i mama. Nie było Gyisha ani Zoga.

Danny popatrzył na wszystkich po kolei. Ciocia Lummy i wujek Mook, dwoje ludzi, których najlepiej znał i którym najbardziej ufał. Mieli marsowe miny. Ciocia Uck, ciocia Tweng,

wujek Poot i wujek Thor wydawali się dużo bardziej zrelaksowani, pewnie dlatego, że los Danny'ego był im w gruncie rzeczy obojętny - albo po prostu tak się na niego wściekli, że bardziej niż innym zależało im na tym, by skryć swoje uczucia.

Baba i mama uśmiechali się. I och, tak, byli też Pipo, brat przyrodni Danny'ego, i Leonora, jego przyrodnia siostra. Nie pełnili żadnych ważnych funkcji w radzie, więc pewnie ściągnięto ich tu, żeby wytworzyć przytulną, rodzinną atmosferę. Jakby kiedykolwiek choć raz z Dannym normalnie porozmawiali.

- Jeśli Zog i Gyish nie przystaną na moje warunki, nic z tego nie będzie - zastrzegł Danny.

- My ciebie też witamy, synu - powiedział Baba.

- Nie jestem tu jako twój syn - odparł Danny. - Nie jestem tu jako North. Jestem tu jako jedyny człowiek na Mittlegardzie, który potrafi robić wrota.

- To wciąż aktualne? - spytała mama. - Te twoje Przyjaciółki Kluczy i Zamków nie zdobyły żadnych nowych umiejętności?

- Wrócę, kiedy będą Gyish i Zog - uciał Danny.

- Poczekaj - rzekł Baba. - Nie sądziliśmy, że będziesz chciał ich widzieć, ale są za drzwiami, nie musisz odchodzić.

- Oczywiście, że chce ich zobaczyć - stwierdziła ciocia Tweng. - Żeby im zagrać na nosie.

- Po co miałbym im grać na nosie? - spytał Danny.

- Bo okazało się, że jednak jesteś magiem - odparła ciocia Tweng - i wszyscy wiemy, czemu nie przysłałeś do nas jednego ze swoich koleżków suszłaków. Chciałeś przyjść tu osobiście i się tym chełpić.

- Jesteście pewni? - spytał Danny. Oczywiście, to była prawda, przynajmniej w pewnym stopniu, ale nie prawda całkowita i irytowało go, że ktokolwiek z tej rodziny uważał, że jego, Danny'ego, zna. - Nie rozumiem, dlaczego sądzicie, że coś o mnie wiecie. Podczas mojego

pobytu w osadzie nikt... może z wyjątkiem wujka Mooka i cioci Lummy... nikt z was nawet nie próbował się przekonać, jaki jestem.

- Tak, takiej właśnie postawy się po tobie spodziewaliśmy - powiedział wujek Poot. - Samolubny i arogancki jak zawsze.

- Wiemy, jak wielka moc wpływa na człowieka - dodał Thor.

- Niby skąd? - zdziwił się Danny. - Żadne z was nie wie, czym jest prawdziwa moc. Żadna z rodzin nie miała jej od czternastu stuleci. I jeśli o mnie chodzi, może tak zostać.

Korciło go, żeby w tej chwili zniknąć i ich zostawić, niech się martwią. To jednak byłoby dziecinne, Veevee nabijałaby się z niego, a Hermia by go skrzyczała, nigdzie się więc nie ruszył.

- Nie słyszysz arogancji we własnym głosie? - spytała ciocia Tweng.

- Zawsze taki był - powiedział Zog, wchodząc do pokoju. - Pysznił się tym, jak dobrze się uczył, i w ogóle wszystkim, nawet jak nie miał powodu.

- Zamknij się, Zog - rzucił Baba.

- Och, ty wciąż uważasz, że jesteś głową rodziny, co, Alf? - Zog położył nacisk na pierwotne imię Baby, zamiast nazwać go Odynem.

- Oczywiście, że jest - stwierdziła mama.

- Nie. Teraz głową rodziny jest on. - Zog wskazał kciukiem Danny'ego.

- Żeby zostać głową tej rodziny - powiedział Danny cicho - musiałbym być jej członkiem.

A nie jestem. Nigdy nie byłem.

Mama się obruszyła.

- Nasza krew płynie w twoich...

- To, co w waszej krwi najlepsze, spoczywa w ziemi na Hammernip Hill - rzekł Danny. -

Mam geny, jakie mam, i nic na to nie poradzę. Jednak jasno daliście mi do zrozumienia, że więzy krwi nic nie znaczą, jeśli nie przedstawiam dla was namacalnej wartości. I w tej chwili, żeby nie

doszło do wybuchu ogólnoświatowej wojny, wszystkie rodziny muszą wiedzieć, że nie należę do żadnej z nich. I że nie jestem Sierotą.

- Te drekki - wycedził dziadzio Gyish. - Bękarty i znajdy.

Danny miał ochotę zrobić małe wrota i rzucić go przez nie na podłogę, lecz zwalczył pokusę.

- Płodzenie bękartów zawsze było ulubioną rozrywką Westilian - zauważył - ale geny nie kłamią i magowie Sierot są równie potężni jak wy.

- Wyślesz Sieroty przez Wielkie Wrota razem z rodzinami? - spytał Thor, wyraźnie zaniepokojony.

- No nie, jeszcze nie rozumiesz zasad? Wyślę przez Wielkie Wrota, kogo zechcę. Do tej pory wpuściłem w nie cztery Sieroty.

- Te nowe wrota już istnieją? - ożywił się Zog.

- Na pewno nie dla ciebie - powiedział Danny.

- Czyli co, mnie nie wpuścisz, tak mam to rozumieć? - spytał Zog. - Nawet jeśli rodzina mnie wybierze?

- Skoro są tylko dwa miejsca - rzekł Danny zimno - nie ma szans, by wybrali ciebie, Brata Szpona. Wyślą na Westil mamę i Babę z tych samych powodów, dla których wybraliście Babę na Odyna i pozwoliliście mu poślubić mamę. Bo są najpotężniejszymi magami w rodzinie.

Wszystkie rodziny wybiorą swoich najpotężniejszych magów. - Danny z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie przypomnieć Zogowi dosadnie, jak nisko stoi w tej klasyfikacji.

Grymas nienawiści na twarzy Zoga dowodził, że nie trzeba mu było o tym przypominać.

- Chłopak nie może ci zapomnieć, że go posiniaczyłeś - stwierdził dziadzio Gyish.

- Te obrażenia zagoiły się, jak tylko przeszedłem przez wrota - stwierdził Danny. - To, że

ty, dziadziu Gyish, podejmując wszystkie decyzje, kierujesz się złościwością, żądzą zemsty i

strachem, nie znaczy, że ja też. Nigdy nie byliście w stanie zadać mi trwałego bólu. - Spojrzał wymownie na Babę. - Za to ty owszem. - I spojrział też na mamę. - Dlatego chcę, byście wiedzieli, że puszczam to wszystko w niepamięć. Kiedy stworzę Wielkie Wrota, udostępnię je rodzinie Northów na tych samych zasadach co pozostałym rodzinom. Nie lepszych, ale i nie gorszych. Jeśli to wy będziecie przedstawicielami Northów, w porządku. Ale jeśli nie, wasza sprawa. Mnie wszystko jedno.

- Oczywiście, że oni - powiedziała ciocia Uck. - Decyzja zapadła, jak tylko poznaliśmy warunki, które przedstawiłeś innym rodzinom.

Danny spojrział na Thora, który kierował siatką szpiegowską Northów.

- Nie ode mnie - zastrzegł się Thor. - Myślisz, że inne rodziny dopuściłyby moich suszłackich informatorów dość blisko, by czegokolwiek się dowiedzieli? Wszystkie natychmiast się z nami skontaktowały. Żeby sprawdzić, czy dostaliśmy od ciebie zaproszenie i czy nas nie faworyzujesz.

- Co im powiedzieliście? - spytał Danny.

- Nic! - krzyknął Zog z furją.

- Nie mówiąc nic, powiedzieliście im wszystko - stwierdził Danny. - Że jeszcze z wami nie rozmawiałem i jeszcze nie wiecie, co się stanie.

- Wiedzieliśmy, co się stanie - rzekł wujek Mook. - Zog i Gyish mylili się co do motywu, ale wszyscy wiedzieliśmy, że przyjdiesz. Bo bez względu na to, jak bardzo nas nienawidzisz, jak wielki masz do nas żal, nie chcesz naszej śmierci.

- Nie licz na to - burknął Gyish. - Mściwy gnojek.

- Gdyby chciał naszej śmierci - zauważyła ciocia Lummy łagodnym tonem - to zebranie odbyłoby się w Hammernip Hill. Mógł nas tam przenieść, kiedy tylko chciał.

- Przyjmujecie warunki? - spytał Danny. - Zakładam, że znacie trzy obietnice, których

złożenia wymagam od wszystkich.

- Tak, słyszeliśmy o nich - powiedział wujek Mook. - Niektórym z nas łatwo będzie ich dotrzymać.

- Dlatego właśnie musieli tu być Zog i Gyish - stwierdził Danny. - Chodzi nie tylko o to, żeby wypowiedzieli słowa. Muszę im uwierzyć.

- Bo inaczej co? - spytał Zog. - Tak czy tak nie wpuścisz mnie w Wielkie Wrota, więc cóż złego mógłbyś mi zrobić?

Przyszła pora na demonstrację siły. Danny stworzył wrota, które połknęły Zoga i zrzuciły go z sufitu. Gruchnął na stół, aż mu dech zaparło.

Stało się to tak nagle, że wszyscy wpadli w popłoch. Niektórzy zerwali się na równe nogi, inni gwałtownie odsunęli się od stołu. Thor próbował zrobić jedno i drugie naraz, ale skutek był taki, że wywrócił swoje krzesło, po czym się o nie wyłożył.

- Co złego mogę ci zrobić, jeśli złamiesz przysięgę? - spytał Danny cicho. - Nie wiesz? Co tylko zechcę.

Wszyscy usiedli, z wyjątkiem Tweng i Uck, które pomogły Zogowi zejść ze stołu i zaprowadziły go na miejsce. Danny wstał.

- Tak jak w przypadku wszystkich rodzin, jutro oczekuję waszej odpowiedzi.

- O której godzinie? - spytał Thor.

- O tej, o której tu wrócę.

- To znaczy? - naciskał Gyish, najwyraźniej wciąż nienauczony pokory pomimo tego, co spotkało Zoga.

Danny nie zadał sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć. Po prostu wrócił wrotami do swojego salonu i czekających tam przyjaciół.

- Nieźle poszło - oceniła Hermia oschle.

Danny dopiero po chwili zrozumiał, że go obserwowano - choć przecież tym razem nie zrobił wrót ani dla niej, ani dla Veevee.

- Oj, już się tak nie dąsaj - powiedziała Hermia. - Staralam się nauczyć czegoś jeszcze oprócz zamykania twoich wrót.

- Zrobiłaś wrota? - spytał Danny z ożywieniem.

- Dobrze by było. Ale nie, przesunęłam drugi koniec ostatniego wizjera, który mi zrobiłeś.

- Przesunęłaś go aż do biblioteki?

- Nie. Przyczepiłam do ciebie, a ty zabrałeś go ze sobą. Krótko mówiąc, patrzyłam i słuchałam przez górny guzik twojej koszuli.

Sin zachichotała. Xena spiorunowała ją wzrokiem.

- O rany, fajnie! - wykrzyknął Wheeler.

To był spory przełom. Hermia umiała przemieszczać wylot wrót i łączyć go z niedużym obiektem.

- Też tak potrafisz? - spytał Danny, zwracając się do Veevee.

- Nie próbowałam - odparła. - Pierwszy raz o tym słyszę. Nawet nie wiedziałam, że cię podsłuchiwała, inaczej obraziłabym się na ciebie, że nie zrobiłeś mi wizjera. Może nie jestem tak młoda i ładna jak Hermia, ale kocham cię bardziej niż ona.

- Nauczysz ją tego? - spytał Danny Hermię.

- Jasne. Pierwszy raz mi się to udało, poza tym musiałam przesunąć ten wylot może o metr.

Nie mam pojęcia, na jak dużą odległość to działa. Pewnie niezbyt dużą.

- Czyli przesłanie dotarło do wszystkich - powiedziała Pat - i Hermia uważa, że z twoją rodziną poszło ci nieźle.

- Właściwie chyba ironizowała - zauważył Danny.

- Wcale nie - zaprzeczyła Hermia. - Naprawdę uważam, że dobrze sobie poradziłeś. Dałeś

nauczkę temu tyranowi Zogowi, a pozostałych traktowałeś z szacunkiem. Nie wiem, czy ja bym tak potrafiła.

- Jest milusi - skomentował Wheeler złośliwie.

- I bardzo dobrze! - wybuchnęła Xena.

Proszę cię, Xeno, nie trzymaj mojej strony, poprosił Danny w duchu. Zwłaszcza że sam nie jestem po żadnej stronie.

- Zmierzam do tego - powiedziała Pat - że przesłanie dotarło do wszystkich, więc czy nie czas już, żebyś wpuścił nas w Wielkie Wrota?

- Was? - spytała Hermia z nieudawanym zaskoczeniem. - Po co?

- Żeby zobaczyć, jak to na nas podziała - wyjaśniła Pat. - Podobno krew ludzi jest zmieszana z krwią magów. Kto wie, czy i w nas nie drzemią jakieś nieodkryte zdolności?

Veevee zaśmiała się głośno.

- Nie musisz się powoływać na tych chutliwych bożków, którzy zapładniali kogo popadnie.

To pewne, że ludzkość nosi w sobie utajone pokłady magii. Przynajmniej tak sądzi Danny, bo jest przekonany, że pierwsi ludzie pojawili się tutaj, na Mittlegardzie, i stali się magami dopiero wtedy, kiedy jedno z plemion przypadkiem natrafiło na naturalnie występujące wrota i przeniosło się na Westil.

- Gdyby rzeczywiście istniało coś takiego jak naturalnie występujące wrota - powiedziała

Hermia - nie sądzisz, że jakieś pojawiłyby się w ciągu tych wielu stuleci od czasu, kiedy Loki pożarł wszystkie wrota?

- Złodziej Wrót zabierał wszystkie wrota, które się otwierały - rzekł Danny. - I może powstają tylko wtedy, kiedy planety są w odpowiednim układzie. Może to zjawisko cykliczne.

- Albo epicykliczne - dodał Hal.

- Danny jest Panną - stwierdziła Xena. - Ale nie jestem pewna, przy jakim układzie planet

się urodził.

- To tylko teoria - zastrzegł Danny. - I nie ma nic wspólnego z astrologią.

- Wypróbujmy ją w praktyce - zaproponowała Veevee. - Przeprowadź te słońka przez Wielkie Wrota i zobacz, jak to na nich wpłynie.

- Jeśli się na to zdecydujesz - dodała Pat - musisz to zrobić, zanim wyślesz przez te wrota magów z rodzin. Kiedy na świecie pojawią się inni wielcy magowie...

Danny pomyślał, co będzie, jak ojciec wróci z dwa razy silniejszą władzą nad metalem i maszyną. Co tam dwa, dziesięć razy. I jakie umiejętności posiada matka? W przeszłości istnieli bogowie, który potrafili miotać piorunami. Mama, jako mag światła i ciepła, po przejściu przez Wielkie Wrota na pewno będzie w stanie wytwarzać błyskawice.

Pat miała słuszość. Magowie rodzin staną się jak bogowie, a jeśli nie zechcą ściśle dochowywać obietnicy danej Danny'emu, będzie miał z nimi pełne ręce roboty. Nie starczy mu czasu na prowadzenie badań nad trwałością suszactwa jego suszackich przyjaciół.

Cóż, nie powiedział rodzinom, kiedy konkretnie stworzy przyobiecane im Wielkie Wrota.

Oczywiście, nie mógł odwlekać tego w nieskończoność. Jeśli stracą cierpliwość, zawsze były istniejące już Wielkie Wrota, nad którymi nie miał kontroli.

I tego wieczoru, rozbierając się do snu, nie mógł przegnać ze swoich myśli nie całkiem nieprawdopodobnego scenariusza, w którym zwleka o wiele za długo, czym wywołuje gniew rodzin, które następnie jednoczą się przeciwko niemu i napadają na Silvermanów, żeby okazać swoje niezadowolenie.

Choć Marion i Leslie zyskali wielką moc po przejściu przez Wielkie Wrota, nie daliby rady zjednoczonym rodzinom. Może nawet nie jednej rodzinie, gdyby przypuściła skoordynowany atak. Tak, Leslie mogła odebrać braci serca magom zwierząt. Tak, Marion mógł sprawić, by ziemia się pod nimi rozstała.

Ale były jeszcze inne zagrożenia, których nie mogliby dostrzec. Wiatr, woda, żywioły, których nie byłoby w stanie odeprzeć. Ogień.

I nawet gdyby farma w Yellow Springs doszczętnie spłonęła, te publiczne Dzikie Wrota zostałyby na swoim miejscu. Czekająby. I w końcu jeden z upojonych zwycięstwem nieprzyjaciół, chodząc po zgliszczach farmy Silvermanów, ich schronienia, ich życia, przypadkiem wszedłby w Wielkie Wrota. Takie właśnie psikusy lubi płać czasoprzestrzeń, prawda?

Nie, Danny nie mógł zwlekać w nieskończoność. Ale jeśli od razu przeprowadzi swoich przyjaciół suszłaków przez nowe Wielkie Wrota, może będzie dość czasu, żeby ich trochę podszkolić. Może się okaże, że noszą w sobie uspięne pokłady magii, które nagle obudzą się do życia. Może...

Może świnię nauczą się używać sztuców. Nawet potężni magowie urodzeni w rodzinach musieli się uczyć latami, żeby osiągnąć pełnię swoich możliwości. Co Danny sobie uroił? Że ot tak obdaruje przyjaciół tym, co w jego rodzinie przechodziło z pokolenia na pokolenie?

Nie jestem wszechmocny. Może i władam najbardziej pożyteczną w tej chwili magią na świecie, taką, która może zmienić wszystko. Może i mam w swoich rękach los innych ludzi. Ale nie mogę nawet zapanować nad Wielkimi Wrotami, które sam stworzyłem. Nie wiedziałem, co się stanie, kiedy wplotę w nie ocalałe zewnętrzne ja dawno nieżyjących, gniewnych magów - ale fakt, że to nie moja wina, nie znaczy, że nie będę musiał żyć z konsekwencjami mojej ignorancji.

Ile jeszcze głupot nawyprawiam przez własną niewiedzę? To mnie, a nie moim suszłackim przyjaciołom, potrzebne jest szkolenie. Tyle że jedyną osobą na obu światach, która może mi pomóc, jest mój najgroźniejszy wróg. Złodziej Wrót.

W tej chwili mam większość jego wrót pod kontrolą, ale co będzie, jeśli on zna sztuczki, o jakich mi się nawet nie śniło? Kto wie, co by mi groziło, gdybym się do niego zwrócił? Jest

Ojcem Wrót - okłamanie mnie przyszłooby mu tak łatwo jak oddychanie, więc nawet gdyby obiecał mi pomoc, skąd mógłbym wiedzieć, czy zamierza dotrzymać słowa?

Wyobraźnia uporczywie podsuwała mu obraz spalonej farmy Silvermanów.

Ktoś zapukał do drzwi.

Danny'ego przeszedł dreszcz strachu, serce skoczyło mu w piersi, pobudzone nagłym przyływem adrenaliny. Rodziny go znalazły!

I wtedy usłyszał głos Pat.

- To ja! Muszę z tobą pogadać.

Z ulgą i wciąż mocno bijącym sercem Danny przeszedł pięć kroków do drzwi - taki mały był jego dom - zapominając, że właśnie rozbierał się do snu. Kiedy drzwi się otworzyły, Pat zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów.

- Widzę, że nie mnie się spodziewałeś.

Danny był w slipach i skarpetkach.

- Właśnie kładłem się spać. I nie spodziewałem się nikogo.

- Mogłam zaczekać, aż włożysz szlafrok. - Przeszła przez próg i Danny zamknął za nią drzwi.

- Nie mam szlafroka. - Poszedł do sypialni po dzinsy i wrócił do salonu.

- Nie kłopotz się. Nie zostanę długo.

- Ale dość długo, żeby usiąść?

Rozejrzała się.

- Na czym? - spytała.

To było trochę nie fair - stała tu wysiedziana kanapa i stół kuchenny otoczony trzema rozchybotanymi krzesłami. Tyle że na kanapę Danny zawsze rzucał brudne łachy, a na krzesłach kładł książki.

Zepchnął ubrania z kanapy na podłogę.

- Jakiś ty schludny - skomentowała Pat.

Położył dłoń na jej plecach, żeby zaprowadzić ją do kanapy.

Uchyliła się.

- Co ty robisz?

Danny cofnął dłoń.

- Prowadzę cię na miejsce.

- Nie musisz mnie obmacywać, żebym trafiła na twoją kanapę - powiedziała zimno. - Nie jestem Xeną, nie życzę sobie, żebyś mnie oblapiał. I tak swoją drogą... ona wcale, tego, się w tobie nie kocha.

- Tak też myślałem - zgodził się Danny.

- Och, jej się wydaje, że cię kocha - dodała Pat - ale pragnie nie ciebie, tylko tego, żeby mieć w brzuchu dziecko boga.

- Nie jestem bogiem. Bogów nie ma, są tylko tacy ludzie jak ja.

Pat odwróciła się do niego z ogniem w oczach.

- Wręcz przeciwnie, koleżko. Ludzie tacy jak ty to dowód, że bogowie istnieją.

Niebezpieczne, potężne istoty, które mogą robić straszne rzeczy każdemu, kto jest im nieposłuszny.

- A cóż takiego straszego zrobiłem tobie?

Pat dotknęła swojej twarzy.

- Och, jak to cudownie, mój dobroczyńco! Obdarowałeś twą dziobatą służebnicę gładką cerą! Teraz godna jest, abyś obmacał jej ciało!

Danny zupełnie zbaraniał. Dotknął jej bez żadnego szczególnego powodu. Pojęcia nie miał, czemu to w ogóle zrobił. Zazwyczaj raczej nie dotykał ludzi.

Nic, co powie, nie wyprowadzi jej z mylnego przekonania o jego zamiarach.

- Usiądź, włożę spodnie - rzekł.

- Powiedziałam ci, że nie zostanę na długo. - Ale usiadła i patrzyła, jak Danny wciąga na siebie dzinsy. - Nie wiem nawet, dlaczego przyszedłam.

- Cóż, ustaliliśmy już, że nie po to, żeby uprawiać ze mną seks - stwierdził Danny. Miał to być autoironiczny żart.

- Jasne, tylko dlatego, że nie chcę, żebyś mnie obłapiał, myślisz, że jestem oziębłą suką.

Jej słowa były tak niewspółmierne do wszystkiego, co je poprzedziło, że Danny już zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, co tej dziewczynie chodzi po głowie.

- Tak myślę?

- Jeśli cię to ciekawi, nie, nie byłam molestowana w dzieciństwie, nie, nikt się nade mną nie znęcał, nie, nie mam wypartych koszmarnych wspomnień, które hamują naturalny rozwój mojej seksualności. Jestem zwykłą osobą, która nie lubi być dotykana.

Danny przez parę sekund tylko stał.

- Jak dobrze, że przeszłaś taki kawał drogi, żeby mi to powiedzieć - skwitował w końcu.

Pat spojrzała na niego zaskoczona. Jakby dopiero do niej dotarło, co właśnie powiedziała.

- Nie po to przyszedłam. - Zaczerwieniła się i uciekła z oczami. - Nie mogę uwierzyć, że wyskoczyłam z czymś takim, nie wiem, co mi...

Danny przysunął sobie jedno z kuchennych krzeseł - nie musiał przejść nawet kroku, żeby to zrobić, bo funkcję kuchni pełnił drugi koniec salonu - i usiadł naprzeciwko niej.

- Udawajmy, że cię nie dotknąłem, więc nie zareagowałaś tak, jak z jakiegoś powodu zareagowałaś, i poprzestańmy na tym, że wpuściłem cię, zachęciłem, byś usiadła, i oto jesteśmy.

- Przybrał jowialny, serdeczny ton. - Pat, moja droga, cóż cię do mnie sprowadza o tak późnej porze, skoro nie chcesz się ze mną przespać ani mieć ze mną dzieci?

Ten żart jej nie rozśmieszył.

- Rodzice zapisali mnie do psycholożki, bo lubię być sama.

- Cóż, to tłumaczy, skąd ta „wyparta seksualność”.

- Miała zrobiony doktorat, ale to tylko pokazuje, że dają takie tytuły każdemu bałwanowi, jeśli się trochę postara. Była szarlatanką, chciała mnie zahipnotyzować i zaszczepić mi fałszywe wspomnienia. Raz, przekonana, że jestem w transie, zaczęła mi wciskać, że kiedy miałam trzy lata, ojciec zakradał się do mojego pokoju i robił mi straszne rzeczy. Można powiedzieć, że rozprawiała pornografię przy użyciu hipnozy. Dziecięcą. Ohydną. - Pat się wzdrygnęła. - Rodzice ganiłi mnie do niej dotąd, aż wreszcie powiedziałam tacie, co ta suka próbowała mi o nim „przypomnieć”.

- Ale terminologię pamiętasz do dziś.

- Ile razy ludzie czepiają się mnie o to, że nie lubię się spoufalać ani być głaskana, przypomina mi się ta kobieta. Wiesz, być introwertykiem to nie patologia.

- Wiem - zgodził się Danny. - Ja też nie lubię, jak inni mnie dotykają. - Przypomnił sobie zaczepki Lany tego dnia, kiedy zjawił się w domu Stone’a, i zorientował się, że nie powiedział całej prawdy. Owszem, w tamtej chwili nie podobało mu się, że Lana go dotykała, bo było to dla niego tak wielkim zaskoczeniem i źle się czuł z tym, że miała nad nim pełną władzę. Za to jego ciało jej dotyk sprawiał ogromną przyjemność i to pierwsze spotkanie z nią Danny pamiętał do dziś. Nie tylko pamiętał, ale i od czasu do czasu wyobrażał sobie alternatywne zakończenia tamtego incydentu, takie, które zdecydowanie wolał od rzeczywistego.

Wiedział jednak, że to nic innego, jak tylko dążenie jego DNA, by się powielić. Tak naprawdę, jak Pat, nie lubił być dotykany. Przynajmniej nie bez zachęty ze swojej strony.

- Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem - powiedział - i przepraszam. Przykro mi też, że rodzice cię nie rozumieli i że psycholożka była kretynką. Możemy przejść do właściwego

powodu twojej wizyty?

Pat znów poczerwieniała i skuliła się na kanapie. Jeszcze nigdy nie widział jej tak bezbronnej.

- Co ja robię? Czemu gadam o tych sprawach?

- Serio. Proszę - naciskał Danny. - Powiedz, po co przysłaś.

- Martwię się o ciebie - wydusiła wreszcie. Wciąż nie patrzyła na niego. Wciąż była skrępowana. - Jesteś taki... taki...

- Głupi? - podsunął Danny.

- Tak. Nie głupi w sensie, że źle się uczysz czy brak ci piątej klepki. Naprawdę jesteś bardzo inteligentny i całkiem uroczy, i chyba nie ma w tobie krzty podłości, chociaż twoje poczucie humoru bywa złośliwe.

- Jak każde poczucie humoru - stwierdził Danny. - Ale rozumiem, co masz na myśli. Dzięki za przestrozę.

- Widzisz? Obracasz to w żart, ale jednocześnie nabijasz się ze mnie, bo przysłałam tu w nocy sama i ciągle mówię nie to, co trzeba, przez co tak mi głupio, że chcę się zapaść pod ziemię; z drugiej strony jednak siedzisz i cierpliwie czekasz, aż wreszcie powiem to, co przysłałam powiedzieć, bo jesteś uroczy i właśnie przez to tak się boję, bo chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak podli potrafią być ludzie.

Pat nie miała pojęcia, jak to było żyć w rodzinie.

- Wiem o podłości trochę więcej, niż ci się wydaje.

- Nie mówię o twojej rodzinie - powiedziała Pat. - To ty jesteś ekspertem od magów, bogów czy czym tam jesteście. Mówię o... ludziach w ogóle. Zwyczajnych ludziach. Nawet tych, którzy chcą dobrze. Jesteś taki ufny! Zjawileś się tu, w szkole McCluera, i postanowiłeś się z nami zaprzyjaźnić... ale na jakiej podstawie? Bo pierwszego dnia dyrektor wyznaczył Laurette na

twoją przewodniczkę po szkole, a ty nie oparłeś się pokusie, żeby jej podokuczać, i potem przysiadłeś się do nas... dlaczego akurat do nas?

Danny nie potrafił na to odpowiedzieć.

- Poszedłem na żywioł. Gdybym was nie polubił, nie zostałbym z wami.

- Przecież nas nie polubiłeś. Jesteśmy beznadziejni, każde z nas, na zewnątrz dziwaczni, a pod tą ohydną fasadą zupełnie porąbani.

- Ale Laurette ma fajny biust, a ja mam skłonności heteroseksualne - powiedział Danny. -

Może to wszystko.

- E tam, nie jesteś taki jak ci kretyni, co gapią się na nią z wywalonymi ozorami -

stwierdziła Pat. - I w rzeczywistości jesteśmy całkiem porządni, więc mogłeś trafić dużo gorzej.

Chodzi mi o to, że na początku tego nie wiedziałeś, nie miałeś pojęcia, kim jesteśmy, a mimo to od razu zachowywałeś się tak, jakbyśmy byli przyjaciółmi i... i...

- I wtedy zostaliśmy przyjaciółmi - dokończył Danny. - Nie tak to się odbywa?

- Nie! Na to trzeba czasu!

- Ja nie miałem czasu. Mam przed sobą tylko parę lat szkoły średniej, a poza tym, słuchaj, nie wiesz, jak mnie wychowywano? Przecież wam mówiłem: nigdy nie spotkałem nikogo spoza rodziny. Kiedy pojechałem do Waszyngtonu, poznałem tam tylko garstkę ludzi i jeden z nich stał się moim serdecznym przyjacielem, a inny mnie wykorzystywał, bo widział we mnie bilet do lepszego życia, włamywacza doskonałego. Była też dziewczyna, która naprawdę ma takie wspomnienia, jakie psycholożka próbowała zaszczepić tobie, przez co była zupełnie nieobliczalna i samolubna. I chłopak, który się z nią ożenił z niejasnych dla mnie powodów. Oprócz tego był jeszcze właściciel sklepu spożywczego, który próbował zamordować mnie i mojego współnika we włamaniach, i jego asystent, którego namówiłem, żeby zabił szefa, i... nudzę cię?

Pat ukryła twarz w dłoniach. Nie odsłaniając jej, pokręciła głową.

- Jestem taka głupia - powiedziała. - Chcę umrzeć.

- Proszę, tylko nie to. Policja dociekałaby, skąd na twoich plecach tyle moich odcisków palców.

Zaśmiała się mimo woli.

- Przychodzę cię przestrzec, a wiesz więcej niż ja.

- Nie, nie wiem zupełnie nic. Tak naprawdę przecież wyliczyłem ci tylko wszystkich ludzi, których poznałem w Waszyngtonie. To pełna lista moich osiągnięć na polu zawierania znajomości. Jeśli nie liczyć Silvermanów i Veevee, ale ich poniekąd mi przedstawiono i wierz mi, z nimi też nie od razu umiałem się zaprzyjaźnić. Ale nie miałem innego wyjścia, rozumiesz? Uciekłem z domu, polowała na mnie własna rodzina, nie miałem pojęcia, jak żyć poza rodzinną osadą. Musiałem zawierać przyjaźnie z ludźmi i dopiero potem sprawdzać, czy rzeczywiście są godni zaufania. Tak było na przykład z Hermią: początkowo myślałem, że chce mnie zabić, ale...

- Właśnie o to mi chodzi. - Pat odsłoniła twarz. - O tę dziewczynę. Ona nie jest twoim przyjacielem.

Danny pokręcił głową.

- Nic o niej nie wiesz.

- Nic o niej nie wiem. Ale ona nie jest twoim przyjacielem.

- Czyli to wszystko z powodu Hermii? Przyszedłeś, żeby mnie przed nią przestrzec?

- Przyszłam cię błagać, żebyś był ostrożny. Ufasz ludziom, którym ufać nie powinieneś.

- Ufam tobie - rzekł Danny. - Wpuściłem cię w nocy do mojego domu. Słucham cię, bo wierzę, że jesteś moją prawdziwą przyjaciółką. Dlaczego tobie mam ufać, nie jej?

- A cóż ja mogłabym ci zrobić? Za to ona... ona może wyrządzić ci krzywdę.

- Nie kocham się w niej, jeśli do tego zmierzasz. Jest ode mnie starsza. Ale jest magiem

wrót, jak ja i Veevee. Nauczyła mnie zamykać moje wrota, podjęła wielkie ryzyko, żeby pójść moim śladem, i uczymy siebie nawzajem. Pomagamy sobie.

- Widzisz, w tym cała rzecz - powiedziała Pat. - Ona cię wykorzystuje.

- A ja ją.

- Nie, ona wykorzystuje ciebie. To wszystko kalkulacja, to...
 - Skąd wiesz?
 - Po prostu wiem! Na razie jesteś jej potrzebny, ale jak tylko przestaniesz, jak tylko uzna, że korzystniej będzie cię zdradzić...
 - Przecież to samo można powiedzieć o każdym - stwierdził Danny.
 - Nie.
 - Tak! Tacy są ludzie, ja też. Można im ufać, dopóki tego zaufania nie zawiodą. Mówią, co myślą, dopóki im się nie odmieni.
 - I tu się mylisz - oznajmiła Pat. - Nie wszyscy są tacy. Są ludzie, na których możesz polegać, bo prędzej daliby się zabić, niż zdradziliby cię czy choćby zawiedli.
- Danny to przemyślał. To był dziwny sposób postrzegania świata.
- Dużo czytałem o historii. Dla zabicia czasu, kiedy inne dzieciaki uczyły się magii. I jakoś sobie nie przypominam, żeby w choć jednej z tych książek pisali o kimś, kto nie był człowiekiem ze zwyczajnymi ludzkimi wadami.
 - Widocznie za mało czytałeś. Weźmy taką Joannę d'Arc.
 - No i...?
 - Pozostała wierna głosom, które słyszała. Nigdy się ich nie wyparła.
 - Właśnie że tak.
 - Skłonili ją do tego podstępem, potem odwołała zeznania i umarła za to, że koniec końców dochowała wierności swoim przekonaniom. Są na świecie tacy ludzie.
 - Wariaci?
 - Nie rób sobie żartów, koleś, bo ja mówię serio. Twoje cyniczne podejście do ludzi jest poniekąd słuszne, ale naprawdę są na tym świecie ludzie dobrzy, na których można liczyć.
 - Moje podejście nie jest cyniczne, tylko realistyczne. Kogo jeszcze masz na tej swojej

liście oprócz dziewczyny, która słyszała głosy?

- I dowodziła armiami, i stworzyła Francję jako naród.

- Przepraszam świętej pamięci Joannę d'Arc za to, że mówię o niej tak lekceważąco.

- Był jeszcze Jezus - powiedziała Pat.

To już Danny'ego zupełnie zaskoczyło.

- No i...?

- Dotrzymał słowa. Był prawdziwym przyjacielem.

- Czyim?

- Wszystkich.

- Jesteś chrześcijanką - stwierdził Danny.

- Co to ma do rzeczy? - spytała Pat. - Nawet jeśli nie wierzysz, że umarł za twoje grzechy,

On w to wierzył. I to zrobił, dochował obietnicy.

Nie miał ochoty jej tłumaczyć, że rodziny uważały Jezusa, Mahometa, Mojżesza i Eliasza za Semitów. Magów, ale nie z rodzin, nie z Westilu.

- Jezus i Joanna d'Arc - powiedział. - Niedługa ta lista.

- Oni są sławni, to wszystko - wyjaśniła Pat. - Sama lista jest bardzo, bardzo długa. Są miliony ludzi, którzy dali słowo i potem go dotrzymali, nawet za cenę własnego życia, nawet gdy przez to cierpieli. Żołnierze, którzy wykazali się bohaterstwem i polegli. Biznesmeni, którzy dochowali niekorzystnych umów i wszystko stracili, ale nie mogli złamać danego słowa. Są tacy ludzie!

- No dobrze - przytaknął Danny. - Wierzę ci. - I kiedy o tym pomyślał, coś mu przyszło do głowy. - Ja też taki jestem?

- Tak uważam - powiedziała Pat.

- Jestem psotnikiem, na okrągło kłamie i świetnie mi to wychodzi, w drodze do

Waszyngtonu wyłudzałem od ludzi pieniądze. Ale staram się też dotrzymywać obietnic. Dziwne.

Czy to możliwe, że naprawdę jestem uczciwy?

- Nie wiem - przyznała Pat. - Nie o to mi chodzi.

- Wiem - odparł Danny. - Nie przyszłaś, by mi powiedzieć, że jestem cnotliwy. Przyszłaś, by mi powiedzieć, że ty jesteś cnotliwa.

Pat siedziała w zupełnym bezruchu, zamyślona.

- Tak - stwierdziła. - Po to przyszedłam.

- Żeby mi powiedzieć, że nie jesteś Xeną, która jedynie chce mieć dziecko z

najpotężniejszym facetem, jakiego zna - ciągnął Danny. - I że nie jesteś jak Hermia, która tylko mnie wykorzystuje i pozwala, żebym ja wykorzystywał ją, bo pomagając sobie nawzajem, oboje na tym zyskujemy. Dla ciebie to nie jest szansa ani wymiana coś za coś, niczego ode mnie nie oczekujesz.

Z oczu Pat płynęły łzy.

- Tak.

Danny wstał i usiadł obok niej na kanapie. Wtuliła się w jego bark. Objął ją ramieniem.

- Przyszłaś, żeby mi powiedzieć, że jesteś moją prawdziwą przyjaciółką i że mogę na ciebie liczyć tak jak na nikogo innego.

Zapłakana, skinęła głową wtuloną w jego ramię.

- Przyszłaś powiedzieć, że mnie kochasz.

Odsunęła się, odwróciła głowę, opadła na poręcz kanapy i wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem.

- Ależ ja jestem głupia! Gdybym wiedziała, że po to przyszedłam, nie przyszedłabym w ogóle!

Danny położył dłoń na jej plecach. Nie uchyliła się. Pogłaskał ją delikatnie.

- Przyszłaś mi powiedzieć, że jesteś moim najlepszym, najwierniejszym, najbardziej

godnym zaufania przyjacielem. Że nie widzisz w całej tej magii niczego fajowego, tylko zagrożenie, że jestem w niebezpieczeństwie i że nie chcesz, by stało mi się coś złego, bo nie obchodzi cię moc ani popularność. Obchodzę cię ja. Zależy ci na mnie.

Skinęła głową. Już nie płakała. Danny wciąż głaskał ją po plecach i kiedy usiadła prosto, nie cofnął ręki. Pat z mokrą od łez twarzą i zaczerwienionymi oczami odwróciła się do niego i wtedy ją pocałował.

Nie było tak samo jak z Laną. To znaczy, było tak samo w tym sensie, że jego ciało podobało się to, co się działo. Ale tym razem się nie bał. Wierzył jej na słowo. Ufał jej. I uświadomił sobie, że w czasie wszystkich rozmów z kolegami ze szkoły jednej Pat zawsze słuchał z nadzieją, że jej słowa rzeczywiście będą coś dla niego znaczyć, że nie będą tylko zabawne.

Co nie do końca było prawdą, uświadomił sobie. Szanował i lubił Hala, uważał, że jego też zawsze warto wysłuchać. Ale Hal nie był taki jak Pat. Nie widział wszystkiego tak wyraźnie, ostro i przenikliwie jak ona. Hal mówił prawdę, jaką znał - ale Pat dużo lepiej potrafiła wychwycić istotę rzeczy, więc jej szczerłość była cenniejsza. Bardziej wiarygodna.

Co znaczy, że mogę ją wykorzystać.

Ta myśl wzbudziła w Dannym wstręt, gdy tylko przyszła mu do głowy. Paskudnie poznać samego siebie od takiej strony. Przerwał pocałunek.

Pat próbowała znowu go pocałować.

- Nie - uciał Danny.

Skinęła głową i odchyliła się na oparcie, patrząc prosto przed siebie jak skarcona uczennica.

- Och, ja chcę cię pocałować - rzekł Danny. - Do żadnej innej kobiety nie czułem tego co do ciebie, choć uświadomiłem to sobie dopiero teraz. Naprawdę ci ufam i cię szanuję, i tak, jesteś

moją prawdziwą przyjaciółką, to mi przyszedł powiedzieć i to powiedziałaś, masz rację i ja ci wierzę. Ale ja nie jestem takim dobrym człowiekiem jak ty. Wykorzystuję innych. Mogę na ciebie liczyć, ale czy ty możesz liczyć na mnie?

Lekko wzruszyła ramionami.

- Nie mam na to wpływu. Mam wpływ tylko na to, co sama robię.

- Cóż, ja mam wpływ na to, co robię ja - powiedział Danny. - Moje ciało pragnie cię już, teraz. Jeszcze tej nocy. Rozumiesz mnie? I gdybym nie przestał cię całować, przespałabyś się ze mną, prawda?

Wychyliła się do przodu i znów ukryła twarz w dłoniach.

- Marna ze mnie chrześcijanka.

- Ale nie chcę być taki - ciągnął Danny.

- Jaki?

- Taki jak ci faceci, co to sypiają z kobietami tylko dlatego, że mogą. Taki jak większość mężczyzn w dziejach naszej rodziny, tych mitycznych bogów, którzy zapładniali kobiety na lewo i prawo. Nie jestem tak dobrym człowiekiem jak ty, Pat, ale jestem lepszy niż oni. Jeśli mnie pokochasz, tylko się unieszczęśliwisz.

Pat wstała.

- Proszę - powiedział Danny.

- Muszę wracać do domu, do łóżka - wyjaśniła Pat. - Rodzice będą się martwić. Martwią się z byle powodu.

- Przecież zamierzałaś zostać na noc.

- Bo wtedy bylibyśmy jak rodzina. Ale nią nie jesteśmy. Moją rodziną są oni. Muszę iść.

- Nie okłamałem cię - rzekł Danny. - A mogłem.

Stała w uchylonych drzwiach.

- Wiem. Byłeś wobec mnie szczery. Jesteś jeszcze lepszym człowiekiem, niż sądziłam.

Kocham cię bardziej, niż przypuszczałam. Ty kochasz mnie bardziej, niż nam obojgu się to wydawało możliwe. Nigdy nie prześpimy się ze sobą, nie będę najważniejszą kobietą w twoim życiu, a mimo to w tej chwili jestem szczęśliwa jak nigdy. I bądź tu mądry. - Wyszła.

Jestem najgłupszym człowiekiem na świecie, pomyślał Danny. Pozwoliłem jej odejść i słowem nie pisałem.

Wiedział też jednak, że podjął słuszną decyzję. Pat budziła w nim pożądanie dużo silniejsze od przelotnego zainteresowania Xeną, które brało się wyłącznie z tego, że była chętna. Pytanie tylko, czy i Pat nie pociągała go z tego samego powodu. Może po prostu była kobietą w jego typie - cichą, mądrą, prawdomówną, o trochę ciętym języku, ale dobrym sercu. Nieco podobną do Leslie. I mamy. Może właśnie w takich kobietach zawsze się będzie zakochiwał, a ona była pierwsza i tyle.

Wkrótce będzie robił najbardziej niebezpieczne rzeczy w swoim i bez tego pełnym niebezpieczeństw życiu. Czy jego pociąg do niej był tylko chwilowy, czy naprawdę zakochał się w niej na tyle, by, jak to mówią, pozostać jej wierny do grobowej deski? Nie pora komplikować sytuację. A jeśli szpiegzy rodzin mieli go na oku? Co by było, gdyby została na noc? Wtedy naraziłby Pat na to, że wezmą ją jako zakładnika. Albo będą ją torturować czy nawet zabijać, żeby w ten sposób zadać ból jemu, Ojcu Wrót, który zawsze pozostawał poza ich zasięgiem.

Dobrze zrobił, że przerwał ten pocałunek, a ona dobrze zrobiła, że wyszła, i tak to musiało zostać.

A od czego wszystko się właściwie zaczęło? Od tego, że jej dotknął, by ją zachęcić, żeby usiadła.

Czy już wtedy podświadomie wiedział, do czego jej wizyta doprowadzi? Czy gdzieś w głębi ducha zdawał sobie sprawę, że darzy ją tak silnym uczuciem jak żadną inną znaną mu

kobietę?

Nie.

Dotknął Pat, bo tak robił Marion Silverman, kiedy wpuszczał gościa do domu. Zawsze ta ręka na plecach, nakierowująca przybysza na przeznaczone dla niego miejsce. Marion lubił dotykać ludzi. Danny nie. Ale nieświadomie nauczył się od niego, że jak wpuszczasz do domu gościa, kładziesz mu rękę na plecach, żeby nim pokierować i mu towarzyszyć.

Danny nigdy dotąd nie przyjmował w swoim domu prawdziwych gości, więc kiedy zjawiała się Pat, sama, niezapowiedziana, z nerwów bezwiednie naśladował zachowania, jakie podpatrzył u Mariona.

To wszystko.

Ale doprowadziło to do czegoś dużo głębszego. Pat była najmądrzejsza, najdojrzalsza ze wszystkich jego przyjaciół. Jej zgryźliwy charakter po części brał się z tego, że zawsze trzymała się z boku, obserwowała. Tak samo jak Danny, wieczny outsider. To ona była najbardziej do niego podobna pod względem podejścia do ludzi. Zawsze pełna dystansu. Zawsze ostrożna, analizująca.

Tyle że ja nie jestem ostrożny. I gdy ona milczy, ja gadam bez opamiętania. Prawdę mówiąc, Pat w niczym mnie nie przypomina, a ja nie przypominam jej, choć gdyby tak było, byłbym dużo lepszym człowiekiem.

Choć może ona byłaby szczęśliwsza, gdyby nieco bardziej się do mnie upodobniła.

Prawda? Zawsze wydaje się taka skwaszona.

Nie myśl już o tym, powiedział sobie, ściągając spodnie, majtki i skarpetki, po czym wśliznął się do łóżka. Przestań o tym myśleć.

Ale nie przestał. Miał Pat przed oczami, zanim zasnął i kiedy spał, i po przebudzeniu wciąż o niej myślał. Klnąc swoją głupotę, przygotował się do porannej przebieżki do domu trenera

Liedera. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby jakaś kobieta zaprzętała mu umysł.

10

WYZNANIE

Klucha przeniósł się wrotami do rolniczej wioski w górach Iswegii. Pojawił się przy publicznej studni, tak by jego sposób przybycia nie pozostał niezauważony. Otwarcie okazał swoją moc - niech wiedzą, że na świecie jest mag wrót, że odwiedził tę wioskę i że od studni skierował swoje kroki prosto do domu, w którym od zaledwie kilku dni chroniła się nieznajoma kobieta z dwoma ciężko poranionymi na duszy, przerażonymi synami.

Chata, do której udał się Klucha, należała do Roopa i Levet. W środku - zgodnie ze swoimi oczekiwaniami - zobaczył, że najstarsza córka gospodarzy, Eko, krząta się koło Anonoei, dawnej konkubiny króla Prayarda, i jej dwóch synów, ośmioletniego Eluika i sześcioletniego Enoppa.

Chłopcy spędzili ostatnie dwa lata całkowicie odcięci od świata. Żyli jak dręczone zwierzęta. Zwłaszcza dla Enoppa dwuletnie uwięzienie stanowiło więcej niż połowę życia, kto bowiem pamięta cokolwiek z okresu przed ukończeniem trzech lat? Wolność odzyskali w przerażających, brutalnych okolicznościach, w ostatniej chwili, zanim zadźgali ich żołnierze; następnie obaj zostali magicznie przeniesieni tu, w góry, gdzie zaopiekowali się nimi obcy ludzie, gdzie zagoiły się ich rany i wreszcie odzyskali matkę, a matka ich i wszystko było...

Nie. Nic nie było w porządku. Klucha nie miał co do tego złudzeń.

Chłopcy nie odezwali się ani słowem, ale zobaczyli go, kiedy wszedł. Nie lękali się go.

Jeśli w ogóle o nim myśleli, to tylko jak o kimś, kto na ich oczach magicznie leczył rany, kto zatroszczył się, by mieli wyżywienie i dach nad głową. Z pewnością widzieli w nim wielkiego maga, który uratował ich z piekła. O ile w ogóle zdolni byli racjonalnie myśleć.

Patrzył na chłopców, a oni na niego. Anonoei nie odrywała wzroku od blatu stołu, na którym siekała cebulę. Bardzo, bardzo drobno.

Eko, najstarsza córka gospodarzy, odezwała się pierwsza.

- Człowiek w drzewie - powiedziała. - Dobrze o nich zadbałam? Wyglądają, jakby nabrali sił?

- Tak - odparł Klucha.

- Chłopcy nie odzywają się do mnie ani w ogóle do nikogo oprócz swojej matki i siebie nawzajem. To znaczy starszy, młodszy nie mówi wcale. Ich matka czasem ze mną rozmawia. Nie naciskam. Myślę, że spotkało ich coś straszego.

- Tak było - rzekł Klucha.

- On nas ocalił - szepnęła Anonoei.

- Tak - potwierdził Klucha. - To prawda. Zanim jednak powiem, co mnie tu sprowadza, muszę mieć pewność, że rozumiesz wszystko, co zrobiłem i dlaczego to zrobiłem. Tylko wtedy jest szansa, że wspólnymi siłami choć częściowo naprawimy skutki moich zbrodni.

Anonoei podniosła oczy na niego.

- Twoich zbrodni?

- Wiem, że mnie pamiętasz. Wiem, że widziałaś mnie, kiedy schowany na krokwi podglądałem cię z królem Prayardem, gdy byłaś jego kochanką i obcowałeś z nim w zamku, w którym królową była inna kobieta.

- To byłeś ty!

- Mrugnęłaś do mnie - przypomniał Klucha.

- Widziałeś nas i nic nie powiedziałaś, choć nie wiedziałam wtedy i teraz nie wiem dlaczego. Ale mrugnęłam do ciebie, by pokazać, że cię zauważyłam i że też będę milczeć. To dlatego cię rozpoznałam, kiedy wyciągnąłeś mnie i dzieci z naszego więzienia, spod grotów włóczy. Gdy przeniosłeś nas na śnieg, miałam wrażenie, że wyglądasz znajomo, ale nie mogłam skojarzyć, kiedy i w jakich okolicznościach się spotkaliśmy. Miałam cię za dziwnego posługacza

kuchennego. Ale w rzeczywistości przez cały ten czas byłeś wielkim magiem, magiem wrót.

- To prawda, chociaż wtedy sam nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Mag wrót - szepnęła Eko. - Tylko że żyjący w drzewie.

- To jedna historia. Ale jestem tu, żeby opowiedzieć inną. O tym, jak pewni ludzie próbowali zamordować królową Bexoi, a ja, wyznaczając samego siebie na jej obrońcę, ostrzegłem ją i ocaliłem jej życie. Pokazałem jej wtedy, jakim jestem magiem, a ona mnie, jaką jest maginią.

- Bexoi? - Anonoei skrzywiła się z pogardą. - Toż to Przyjaciółka Wróbli!

- Tylko taką udaje. Jest co najmniej Panią Ognia, jeśli nie Jeźdźcem Światła. I potrafiła stworzyć klanta, sobowtóra doskonałego. Nie dość, że mówił jej głosem, to jeszcze pchnięty sztyletem krwawił i jego krew wylała się na pościel.

Anonoei położyła palce na ustach.

- Nie wiedział o tym nikt oprócz mnie - mówił dalej Klucha. - Widziałem to na własne oczy. Byłem dumny, że mi zaufała. Zostaliśmy kochankami. Urodziła mojego syna i udawała, że to dziecko Prayarda.

- To było twoje dziecko? - zdziwiła się Anonoei. - Czyli Prayard nie kłamał, mówiąc mi, że nigdy nie złożył w niej swojego nasienia. - Odwróciła wzrok.

- Był ci wierny. A ty przystąpiłaś do spisku przeciwko niemu i królowej. Wiem, że byłaś winna, i na pewno zdajesz sobie sprawę, jaka spotkałaby cię kara, gdyby to wyszło na jaw.

- Nie przeciwko niemu. Nigdy! I nie uczestniczyłam w żadnym spisku. Kazali mi się spakować i przygotować do wyjazdu razem z synami.

- Wiedziałaś, co to znaczy.

Nie zaprzeczyła.

- Bexoi chciała się ciebie pozbyć. Kochałem ją i byłem jej posłuszny. Ale już wtedy nie

miałem do niej zaufania, więc cię nie zabiłem. Zrobiłem coś gorszego. Umieściłem ciebie i twoich synów u wylotu starych tuneli wydrążonych w urwisku i zabezpieczyłem je wrotami, które łapały was, gdy z nich wypadaliście, i przenosiły z powrotem do środka. Przez to żyliście w ciągłej udręce, zawsze na skraju przepaści, ale bez możliwości skoku w nią, by w ten sposób wyrwać się z niewoli. To był mój pomysł, mój plan. Tak ocaliłem wam życie. Tak ukarałem ciebie i twoich niewinnych synów, bo zagrażaliście kobiecie, którą kochałem, i mojemu synowi, którego nosiła w łonie.

- Marne usprawiedliwienie - śmiało powiedziała Eko.

- To żadne usprawiedliwienie. - Klucha odwrócił się do niej. - To była potworna zbrodnia przeciwko im trojgu, i ja ją popełniłem. Świadomie, z premedytacją. Nikt oprócz mnie nie wiedział, że są w tych starych tunelach. Kradłem jedzenie i im podrzucałem. Z biegiem czasu ich wikt był coraz lepszy, a warunki w więzieniu coraz bardziej znośne. Kiedy do królowej dotarło, że wciąż żyją, i zażądała, abym ich zabił, odmówiłem. Jest zatem parę okoliczności łagodzących moją winę.

Klucha popatrzył na Anonoei.

- Ale nic wam nie wynagrodzi zła, które uczyniłem. Dręczyłem ciebie i twoich synów. Za wszelkie koszmary i mroczne wizje, które ich nawiedzają, odpowiadam ja.

Spojrzał na chłopców, kątem oka bowiem wychwycił jakiś ruch. Młodszy z nich, Enopp, oderwał wzrok od Kluchy i zerknął na swojego brata, a potem na matkę. Jego twarz jakby się ożywiła. Eluik jednak wciąż nie odrywał swoich pustych oczu od Kluchy.

- Bez względu na to, kogo przeklinaliście w swoich więziennych celach, kogo nienawidziliście i kogo się baliście, to ja was porwałem, uwięziłem i torturowałem. Co to ma za znaczenie, że gardziłem sobą za to? Pozwólcie, że powiem wam coś na pocieszenie. Królowa Bexoi przekonała króla, by zaczął z nią sypiać. Ty zniknęłaś, twoi synowie też. Król uznał moje

dziecko za swoje, pokochał królową i zapragnął spłodzić z nią następnego potomka. Jak postanowił, tak uczynił. A wtedy mój mały bękart przestał jej być potrzebny.

Mój syn, którego ona nazywała Dziecięciem Przysięgi, a ja Figlem, stał się zagrożeniem dla prawowitego syna Prayarda. I odkąd zrozumiałem, że Bexoi mnie wykorzystała, że nigdy nie darzyła mnie miłością, był jedynym człowiekiem, którego kochałem. Dlatego królowa go zamordowała i próbowała zabić mnie. Tego samego dnia, kiedy uwolniłem was z cel, w których was przetrzymywałem, uśmierciła mojego synka.

- Gdyby dopięła swego i zabiła także mnie, nie mógłbym was ocalić i byłibyście jej następnymi ofiarami. Ale uciekłem i was uratowałem. Nie myślcie jednak, że to ze skruchy za zgotowane wam piekło. Planowałem was pewnego dnia uwolnić, starałem się ulżyć waszej doli, ale nie zamierzałem was wypuścić już wtedy. To potworna zbrodnia Bexoi, morderstwo własnego dziecka, naszego dziecka, i jej jawny zamach na moje życie skłoniły mnie, żeby zwrócić wam wolność.

Sami widzicie, że nie upiększam swoich czynów. Bexoi to potwór, ale ja też. Jeśli jestem lepszym od niej człowiekiem, to tylko dlatego, że darowałem wam życie, zamiast was od razu zabić. Chociaż czy to rzeczywiście lepsze? Czy nie byliście tylko ofiarą, którą pająk oplata nicią i chowa, żeby pożreć ją później? Trzymałem was w niewoli jako narzędzie do wykorzystania przeciwko niej we właściwym czasie.

Klucha zamilkł. Eko patrzyła na niego z przerażeniem, ale i swoistą fascynacją. Wątpił, czy chłopcy cokolwiek zrozumieli, chociaż młodszy zdawał się słuchać z zainteresowaniem. Za to Anonoei... rozumiała wszystko.

- Ten czas nadszedł - stwierdziła. - Czas, by wykorzystać nas jako narzędzia przeciwko niej.

- Nie. Jesteś za słaba, ja też. Niegdyś byłem największym magiem wrót, jakiego znały

światy, teraz jednak pojawił się inny, większy ode mnie. Zabrał mi prawie wszystkie wrota. W tej chwili nie mogę się równać z Bexoi, a ty tym bardziej. Przybyłem tu, by was ode mnie uwolnić, bo w tym stanie nikomu się na nic nie przydam. Przybyłem powiedzieć wam prawdę, żebyście poznali swoich wrogów. Żebyście nienawidzili właściwych ludzi, kiedy przyjdzie czas nienawiści. Prayard nie przyłożył ręki do tego, co was spotkało. Rozpaczał, szukał was, ale nie był w stanie odnaleźć i pokochał Bexoi dopiero wtedy, kiedy nabrał przekonania, że nie żyjecie. Anonoei pokręciła głową i zaśmiała się gorzko.

- Naiwny chłopcze... a może nie jesteś taki młody, na jakiego wyglądasz? Nie wiesz, że nie tylko Bexoi ukrywała swoją magię? Jestem magiem jak ty, tylko że moja magia jest zakazana. Klucha musiał chwilę pomyśleć; przecież gdyby była maginią wrót, mogłaby bez trudu wydostać siebie i synów z więzienia.

- Zaklinacz ludzi - powiedział.

- Nie jestem wielkim magiem, co to, to nie. Ale owszem, kiedy osiągnęłam wiek dorosły, uzmysłowiłam sobie, że mam moc. Że mogę pochlebstwami skłonić ludzi, by zrobili wszystko, co zechcę. Zaczęło do mnie docierać, że każdego owinę sobie wokół palca. Prayard należał do mnie. Rozumiesz, co mówię? Nie zakochał się we mnie. Postanowiłam zdobyć nad nim władzę i to uczyniłam.

Klucha parsknął śmiechem.

- Cóż, nie stawia to moich czynów w lepszym świetle, ale miło wiedzieć, że jestem potworem wśród potworów. A zatem ci chłopcy... to synowie dwojga magów, nie tylko jednego.

- Domyślam się, że z wiekiem ujawni się u nich taki czy inny talent. Może nawet wysoce ceniona magia morza. A może jeden z nich zostanie magiem wrót.

- Ja - powiedział młodszy, Enopp. - Będę magiem wrót!

Eko klasnęła w dłonie.

- Przemówił!

Anonoei przypadła do syna i przytuliła go.

- Och, dziecino, nie, nie ty o tym decydujesz, moc wybiera ciebie, tkwi w tobie już teraz i pewnego dnia się przekonasz, jakiego jest rodzaju.

Enopp jednak nie odrywał oczu od Kluchy.

- Będę magiem wrót - powtórzył. - Bo wtedy można iść wszędzie, gdzie się chce.

W tej chwili, na te słowa, Klucha uświadomił sobie, co musi zrobić. Przybył tutaj bez żadnego konkretnego planu poza tym, żeby powiedzieć prawdę, a potem przenieść ich troje w miejsce, które wybierze Anonoei. Jednak w niewinnych słowach Enoppa usłyszał sugestię, jak odkupić swoje winy. Jak rzeczywiście pomóc Anonoei. Jak osiąść moc, która pozwoli zwyciężyć i unicestwić Bexoi.

Można iść wszędzie, gdzie się chce, powiedział chłopiec, ale Klucha wiedział, że jego to nie dotyczy. Miał w sobie za mało wrót, by stworzyć Wielkie Wrota, nie mógł więc przejść na Mittlegard. Nagle jednak olśniło go, że jednak może. Że przecież są już Wielkie Wrota, dzikie, niekontrolowane przez żadnego maga. Danny North nie potrafił ich zamknąć, więc każdy, kto wiedział o ich istnieniu, mógł z nich korzystać. Klucha mógł przejść tymi Dzikimi Wrotami na Mittlegard i z powrotem, by maksymalnie zwiększyć pozostałą w nim moc. Nie odzyska w ten sposób swoich wrót - Danny North wciąż trzymał je bezpiecznie zamknięte w miejscu, do którego Klucha nie mógł się dostać wbrew jego woli. Wyostrzy mu to jednak zmysły, przywróci go do stanu, w jakim był, kiedy widział wszystkie wrota na świecie, nawet te należące do semickich bogów, i je pożerał.

W odróżnieniu od Danny'ego Northa, nie był na tyle głupi, by użyć zniewolonych wrót, ale odszukał je, a potem przechowywał. Mógł znów stać się tak silnym magiem jak wtedy. Mógł w pełni odzyskać wzrok, poszerzyć swoje pole widzenia.

I jeśli mógł się przenieść na Mittlegard i z powrotem, mógł też zabrać ze sobą Anonoei.

Chociaż może nie. On był magiem wrót, który umiał podporządkować sobie zagubione, zbuntowane zewnętrzne ja wplecione w Dzikie Wrota. Anonoei nie mogłaby im się oprzeć. Jako zaklinacz ludzi wyczuwałaby ich obecność, ale nie formę, jaką przybrały. Mogłyby ją skusić, żeby opuściła swoje ciało. Mogłyby wpleść ją w Wielkie Wrota. A ponieważ była zaklinaczem ludzi, odbierając jej moc, tylko wypełniałyby nakaz prawa.

Nie, jeśli Klucha miał ją wzmocnić na tyle, by mogła stawić czoło Bexoi, będzie musiał skłonić Danny'ego Northa, młodego Ojca Wrót, żeby mu pomógł. Żeby razem z nim pilnował, by Wielkie Wrota pozostały dla Anonoei otwarte. Będzie musiał nauczyć go, jak to robić, tak wyszkolić człowieka, przez którego został pokonany, żeby nie miał sobie równych. A tym samym stracić wszelką nadzieję na odzyskanie swoich wrót.

Jak mógł dać jeszcze więcej mocy i mądrości magowi, który go zdruzgotał?

Zasłużyłem na to zdruzgotanie, pomyślał. On był narzędziem w rękach czasoprzestrzeni, a ja dostałem za swoje. Nadużyłem swojej mocy, więc prawie całą straciłem. I teraz będę musiał pójść do Danny'ego Northa z pokorną prośbą, by pomógł mi naprawić zło, jakie wyrządziłem, wynosząc straszną Bexoi na tron Iswegii.

Wszystko to przyszło Klusze do głowy między słowami Enoppa a jego własną odpowiedzią.

- Z tego, co widzę, twoje zewnętrzne ja rzeczywiście może być podzielne. - W zasadzie nie kłamał: zewnętrzne ja wszystkich dzieci mogły być podzielne, a te należące do przyszłych magów wrót z reguły były najbardziej podzielne ze wszystkich. W tak młodym wieku jednak nic jeszcze nie było pewne. - Ale trzeba czasu, żeby się o tym przekonać. Na razie nie wiadomo, kim zostaniesz.

Anonoei spojrzała na Kluchę.

- Enopp mówi przy tobie.

- Widzi moją moc - stwierdził Klucha. - Jest za mały, żeby rozumieć moją nikczemność.

- Nikczemność wszystkich magów - powiedziała Anonoei. - Czy zdarzyło się kiedyś, bym robiła coś nie dla własnej korzyści?

- I z miłości do swoich dzieci.

- Zobacz, na jakie niebezpieczeństwo je naraziłam.

- Samo ich poczęcie było niebezpieczne. Ale wszystkie dzieci rodzą się na świecie pełnym niebezpieczeństw, gdzie pewna jest jedynie śmierć.

- Posłuchajcie tylko, co mówicie - powiedziała Eko.

Spojrzeli na nią zaskoczeni, że ta cicha, potulna istota odważyła się odezwać do takich magów jak oni.

- Przechwalacie się, które z was jest większym potworem.

Czy ja się przechwalałem? - zapytał Klucha sam siebie.

- Czy jestem potworem, czy nie - stwierdziła Anonoei - chcę zemsty.

- Przybyłem tu, żebyś mogła to pragnienie spełnić - rzekł Klucha. - Jeśli pragniesz zemsty na mnie, proszę bardzo. Nie ucieknę wrotami.

- I co potem? Jak bez twojej pomocy miałabym zemścić się na niej?

- Obiecay mi jedno. Że nie zrobisz krzywdy jej dziecku.

- I to mówi człowiek, który...

- Pamiętam, co zrobiłem twoim synom - przerwał jej Klucha. - Teraz ostrzegam cię tylko, że jeśli skrzywdzisz jej dziecko, nie będziesz mogła z tym żyć. Wiem, co mówię. Bez względu na to, jak głęboko jej nienawidzisz, jej dziecko nie zrobiło nic. Twoje dzieci nie zasługiwały na to, by cierpieć, mimo że stanowiły zagrożenie dla mojego syna. Mój syn nie zasłużył na śmierć, mimo że jego istnienie zagrażało nienarodzonemu dziecku Prayarda i Bexoi. Ich syn też nie

zasługuje na to, by umrzeć.

- Taki jest korzeń twojej moralności? - spytała Anonoei. - Rób, co chcesz, tylko nie krzywdź dzieci?

- Z braku głębszego korzenia, taki na razie musi wystarczyć. Zgódź się na ten warunek albo od razu mnie zabij, bo za nic w świecie nie pomogę ci wyrzucić zemsty na dziecku. Raz już poszedłem tą drogą i jest zbyt straszna, żeby na nią wrócić.

- Taka rana byłaby dla niej najdotkliwsza - powiedziała Anonoei.

- Ale co nam z tego, że ją zranimy, jeśli jednocześnie zniszczymy samych siebie? - spytał Klucha.

- Posłuchajcie, co mówicie - wtrąciła znowu Eko. - Macie taką moc i widzicie w niej tylko narzędzie zemsty.

Klucha spojrział na nią ze smutkiem.

- Dawno, dawno temu próbowałem ocalić świat, ale czemu to miało służyć, nie wiem do dziś, i ostatecznie poniosłem klęskę.

- Więc spróbuj jeszcze raz - powiedziała Eko. - Świat nadal trzeba ratować i ktoś powinien się tego podjąć.

Anonoei objęła synów ramionami.

- To cały świat, na jakim mi w tej chwili zależy.

- Gdyby to była prawda - stwierdziła Eko - nie planowałabyś zemsty na królowej, magini ognia. Szukałabyś miejsca, w którym twoi synowie byliby bezpieczni.

- Myślałam, że są bezpieczni tutaj.

- Jesteśmy w Iswegii, a twoja nieprzyjaciółka jest królową - przypomniała Eko. - I skoro o tym mowa, Człowieku w Drzewie, dzięki, że sprowadziłeś zaginioną nałożnicę króla do naszego domu. To na pewno przyniesie nam dobrobyt.

- Nie wiedziałem, gdzie indziej ich zabrać - wyznał Klucha.

- Cóż, zrobiłam, co chciałeś. I nie wyrzucam ich nawet teraz, choć jeśli się rozejdzie, kim są, jej wrogowie z rozkoszą zabiją mnie i całą moją rodzinę.

Klucha osunął się na klepisko małej chaty.

- Łudzę się, że jestem mistrzem marionetek, że pociągam za sznurki, ale potem się o nie potykam i przekonuję się, że steruje mną ktoś inny.

- Kto? - spytał Enopp.

- Przeznaczenie - powiedział Klucha. - Niezamierzona Konsekwencja. To jedyny prawdziwy bóg.

- Masz w ogóle jakiś plan? - spytała Kluchę Eko.

- Tak - odparł. - Poczynając od tej chwili, tak.

11

PONOWNE SPOTKANIA

Danny się nie wyspał, ale i tak obudził się w porę, by zdążyć na specjalny poranny trening z trenerem Liederem. Teraz, kiedy dał za wygraną i biegał co sił nawet przy włączonym stoperze Liedera, stwierdził, że to mu się podoba. Popisywanie się, nie rywalizacja.

Miał w sobie dość ze zwykłego człowieka, by lubić być podziwianym, a Liederowi musiał przyznać jedno: kiedy pracował ze sportowcem, który naprawdę się starał, potrafił okazać szacunek i udzielić wsparcia. Danny dotąd nie znał go od tej strony i nigdy by nie poznał, gdyby dalej zadawał się tylko z leserami i kujonami.

Żeby nie było: zadawał się z nimi nadal, ale teraz należał też do lekkoatletycznej drużyny szkoły Parry'ego McCluera i choć do pierwszego oficjalnego mityngu zostało jeszcze sporo czasu - tyle, że nie wiedział, czy go dożyje - lubił przed wschodem słońca, w mroku, biegać do domu Liedera, a potem pokonywać wiodące ulicami Buena Vista trasy, które Lieder wytyczał

tak, by wiedzieć, jaką odległość Danny przemierza w danym czasie.

Teraz, kiedy wszyscy jego przyjaciele zaangażowali się w projekt Wielkie Wrota, już tylko bieganie łączyło Danny'ego ze szkolnymi sprawami. Przybył tu, żeby uciec od magii i wieść normalny żywot; a jednak przyniósł magię ze sobą i bieganie było ostatnią normalną czynnością, jaka mu została.

Tego ranka trener Lieder nie był sam. Towarzyszyła mu córka, Nicki, i choć wydawała się trochę śpiąca, nie wyglądała już tak mizernie. Nie przypominała konającej nimfy. Przejście przez wrota uleczyło ją z tego, na co umierała. Lieder nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Danny z góry wynagrodził go za wszystkie prywatne treningi lekkoatletyczne. I nic go to nie kosztowało. Ot, dar od boga, niewymagający od niego żadnego wysiłku. Trzeba kogoś uleczyć? Proszę bardzo, bo czemu nie.

Co nie zmieniało faktu, że dziewczyna jeszcze niedawno umierała, a teraz była zdrowa.

Może między innymi dlatego Lieder okazywał Danny'emu nieoczekiwane duże wsparcie. W końcu ubył jeden bardzo ważny powód jego gniewu i goryczy.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby Nicki patrzyła? - spytał Lieder. - I tak już wstała, więc...

Co on, myślał, że umie kłamać? Danny wiedział, że Nicki musiała poprosić, żeby obudził ją specjalnie na tę okazję. Lieder pewnie po prostu chciał córeczce zrobić przyjemność. A może sądził, że Danny osiągnie lepsze wyniki na oczach dziewczyny. Albo że coś zaiskrzy między Danny'ym a jego córką, chociaż czemu Lieder miałby sobie tego życzyć, Danny nie miał pojęcia. Musiało chodzić o ten pierwszy powód. Nicki lubiła Danny'ego - bo i dlaczego miałyby go nie lubić? - a kiedy córka, która jeszcze niedawno była o włos od śmierci, ma słabość do chłopaka, który ojciec zabroniłby jej się z nim widywać? Zwłaszcza gdy mógł osobiście nadzorować wszelkie kontakty między nimi.

Danny przez cały czas czuł na sobie jej spojrzenie. Tego dnia biegał krótkie sprinty - Lieder trzymał go blisko ganku, w zasięgu wzroku Nicki. I jeśli teoria była taka, że Danny przy dziewczynie bardziej się przyłoży do treningu, żeby jej zaimponować, to trzeba przyznać, że się sprawdziła. Pobił kilka swoich rekordów. I to pomimo że całą drogę do domu trenera pokonał biegiem i był niewyspany.

W nocy omal nie wyznałem Pat dozgonnej miłości, a rano popisuję się przed Nicki. Jestem typowym nastolatkiem. Innymi słowy, palantem.

Cóż, bieganie na oczach dziewczyny to nie całowanie. Jest między jednym a drugim różnica i będzie o niej pamiętał.

Nawet w chłodzie jesiennego poranka ociekał potem. Naprawdę dał z siebie wszystko i wiedział, że pot nie budzi w dziewczynach wstrętu, kiedy wywołany jest prawdziwym wysiłkiem, kiedy poci się chłopak o ciele sportmena. Tylko spocone grubasy i kujony im się nie podobają. Dowiedział się tego z powieści młodzieżowych, które studiował, przygotowując się do roli normalnego ucznia szkoły średniej.

- Cześć - powiedział do Nicki, kiedy przywołany gestem trenera poszedł na ganek.

Pozdrowiła go nieznacznym skinieniem głowy i uśmiechnęła się nieśmiało.

Lieder zignorował ich powitanie i zaczął odczytywać zmierzone czasy.

- Przez całą drogę tutaj biegleś, zgadza się?

- Tak, trenerze - powiedział Danny.

- A zatem idea jest taka, żebyś był w stanie wykonywać takie sprinty na ostatnich metrach przed metą. Żebyś umiał tak rozłożyć siły, by przez cały bieg mieć kontakt z czołówką, ale niekoniecznie prowadzić.

- Wie sor, że nie zależy mi, by wygrać.

- Ale tego wymaga dobro drużyny. Musisz zdobywać punkty. Nie robisz więc tego dla

siebie, tylko dla drużyny. Masz trzymać się blisko czołówki, lecz oszczędzać siły na końcowy sprint.

- Czemu nie mogę po prostu biegać sprintów?

- Od tego mam innych. Nie są tak szybcy jak ty, ale wygrywają. Ty jesteś mi potrzebny na długich dystansach. Jesteś monetą, którą mogę wydać tylko raz, najwyżej dwa razy na mityngu.

Nie zamierzam cię marnować na krótkie biegi.

- Chce sor, żebym był ćwierćdolarówką, nie pięcioma pięciocentówkami, zgadza się?

- Tak, mądralo - powiedział Lider. - Chcę, żebyś był cholerną dolarówką.

- Ale pięćdziesiąt centów też wystarczy - dodała Nicki. - Chce, żebyś starał się być dolarem, to może uda ci się zostać półdolarówką.

Lider poczerwieniał na twarzy. Gdyby powiedział to inny dzieciak, pewnie by się wściekł.

Ale że to była córka, czerwień szybko zniknęła z jego policzków.

- Myśli sobie, że potrafi przejrzeć swojego staruszka na wylot - powiedział z uśmiechem. -

Ale ja chcę całego dolca. A nawet półtora.

- Cóż, lepiej pójdę do domu wziąć prysznic - stwierdził Danny.

- Och! - Nicki wydawała się zawiedziona. Napotykając zaciekawione spojrzenie

Danny'ego, cofnęła się o krok i wstydliwie odwróciła twarz.

- Nicki dziś wraca do szkoły. Myślała, że może zabierzesz się z nami.

Danny wskazał swoje przepocone szorty i koszulkę.

- Tak do szkoły nie pójdę.

- Mógłbyś wziąć prysznic u nas - zaproponowała Nicki i zasłoniła usta, jakby nie chciała dopuścić, by wyrwało jej się coś ponadto.

- I ubrać się z powrotem w te same ciuchy? - Danny się zaśmiał.

- Ona ma rację - rzekł Lider. - Dałem ci wycisk tymi sprintami. Jeśli pobiegiesz do domu

wziąć prysznic i się przebrać, spóźnisz się do szkoły.

Rzeczywiście. Trening się przedłużył.

- Weź prysznic i narzuć na siebie coś mojego. Będzie na ciebie za duże, bo jesteś zbudowany z wykałaczek, ale potem pojedziemy do twojego domu i pójdiesz się przebrać. My zaczekamy.

Danny chwilę się zastanowił. To była bardzo szlachetna propozycja. Tylko czy mógł sobie pozwolić na to, by przyjechać do szkoły samochodem wuefisty?

- A może sor podrzuci mnie do domu teraz? Wtedy zdążyłbym do szkoły piechotą.

- Nie wpuszczę cię takiego spoconego do mojego samochodu.

Czy to naprawdę takie istotne, żeby Danny wziął prysznic u nich?

Wzruszył ramionami i wszedł na ganek.

- Na cokolwiek się zdecyduję, muszę to zrobić już teraz.

Nicki wbiegła do środka przed nim i pokazała mu, gdzie jest jedyna w domu łazienka. I choć całe jej otoczenie wyglądało staro, wanna była względnie nowoczesna - nie na czterech nogach, tylko wbudowana w podłogę - prysznic zaś oddzielony był nie zasłoną, lecz szklanymi drzwiami.

Danny puścił wodę i usłyszał, że Nicki zamknęła za nim drzwi. Rozebrał się i wszedł pod nieco już zaparowany prysznic. Zaczął myć głowę zwykłym mydłem, kiedy dobiegł go dźwięk otwieranych drzwi.

- Nie patrzę, nie patrzę! - zapewniła Nicki. Nie mógł sprawdzić, czy mówiła prawdę, bo miał mydło w oczach, musiał więc uwierzyć jej na słowo.

Kiedy wyszedł spod prysznica, w łazience czekały na niego ręcznik, spodnie i koszula w fasonie, od jakiego stroniłby każdy szanujący się nastolatek. Bielizny nie było. Ani jego własnych ciuchów. Musiała je zabrać.

Zamierzała je wyprać. Żeby mu pokazać, jaka dobra z niej gospodyni.

Nie, chciała zrobić coś miłego. Doceń jej dobroć. Nie zakładaj z góry, że skoro napaliła się na ciebie Xena, to na inne dziewczyny też tak działasz. Xena wie, że jesteś tym, no, nordyckim bogiem.

Jedną ręką podtrzymywał spodnie, żeby mu nie spadały. W drugiej niósł buty. Wyszedł boso z łazienki.

- Ktoś mi ukradł ubrania - rzekł - ale złodzieja poszukamy później, jak już będę w spodniach, w których da się biegać.

Lieder się zaśmiał.

- A myślałem, że nikt nie może wyglądać w tych łachach gorzej ode mnie.

- Nie wygląda gorzej od ciebie - powiedziała Nicki. Zarumieniła się. I parsknęła śmiechem.

- Dam radę dojść boso do pańskiego samochodu? Nie ma po drodze żwiru, rozżarzonych węgli ani niczego takiego? - Ich podjazd był wysypany żwirem, ale okrążał dom od tyłu.

- Wszystko jest utwardzone - zapewnił Lieder. - Tędy, tylnymi drzwiami.

Danny wyszedł za Nicki. Przytrzymał ramieniem drzwi z siatką przeciw owadom, bo obie ręce miał zajęte. Dopiero kiedy przestąpił próg, Nicki przypomniała sobie o tych drzwiach i pospiesznie odwróciła się, żeby je otworzyć. Dłonią uderzyła w pierś Danny'ego.

- Au! Ale masz twardą klatkę!

- Przepraszam, że ci weszła w drogę - odparł Danny. - Jak to ujął twój tata: same wykałaczkki.

Zaprowadziła go do samochodu, który stał na utwardzonym placyku pod wiatą garażową.

Wokół wałały się grudki żwiru, więc Danny musiał stąpać ostrożnie. Nicki pobiegła na drugą stronę samochodu, usiadła obok ojca i Lieder wyjechał tyłem na ulicę.

Dopiero teraz Danny uprzytomnił sobie, że nie wiedzą, gdzie mieszka - wiedzieli to tylko

jego przyjaciele. Chyba że Lieder sprawdził adres w sekretariacie. I najwyraźniej to zrobił, bo pojechał prosto do jego domu, nie pytając o drogę.

Oczywiście, Lieder mógł trafić pod ten adres, kiedy szpiegował Danny'ego w nadziei, że przyłapie go na bieganii i zmierzy mu czas. Na pewno nie zaplanował tego z wystarczająco dużym wyprzedzeniem, by zdążyć zajrzeć do szkolnych dokumentów.

- Dzięki - powiedział Danny, wysiadając. - Oddam sorowi ubrania w szkole.

Ale nie pojechali. Poszli za nim krótką ścieżką do jego domu. Poczuli się niezręcznie. Nie zapraszał ich do środka. Ba, jasno dał do zrozumienia, że ich nie zaprasza. Musiał więc zabrać porozrzucone w salonie ubrania i schronić się w sypialni, żeby tam się przebrać.

Kiedy wyszedł, Nicki zmywała naczynia ze sterty piętrzącej się koło zlewu.

- Wiesz, jeśli opłuczesz je zaraz po użyciu, potem łatwiej je myć.

- Ale ja nie mam nic przeciwko temu, żeby je szorować.

- Teraz już nie będziesz musiał. - Nicki wytarła ręce. - Przynajmniej nie te, które pozmywałam.

Danny rozejrzał się za trenerem.

- Tata wrócił do samochodu. Mówił, że w takim bałaganie nie znajdzie miejsca, gdzie można bezpiecznie usiąść.

- Cóż, nie spodziewałem się towarzystwa. - Wnętrze domu wyglądało dokładnie tak jak zeszłego wieczoru, kiedy przyszła Pat. Jej wizyty też się nie spodziewał. - Lepiej już chodźmy.

Nicki jednak nie ruszyła do wyjścia. Podeszła do Danny'ego i położyła dłonie na jego talii.

Nieśmiało. Jak dziewczyna może nieśmiało zrobić coś tak śmiałego? Ona jednak emanowała nieśmiałością, mimo że jej dłonie spoczywały tuż nad jego dzinsami, na wypukłościach bioder.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobiłeś, i nie odważyłam się powiedzieć tego tacie, on po prostu

uznał to za cud, ale ja wiem, że mnie uzdrowiłeś. Nie wiem jak ani dlaczego, ale poczułam to tego dnia, kiedy nas odwiedziłeś. Poczułam, jak wstępują we mnie nowe siły. I od tamtej pory z godziny na godzinę, z dnia na dzień jestem coraz silniejsza. Wiem, że zawdzięczam to tobie. Od razu poprosiłam tatę, żeby zabrał mnie do lekarza, i badania wykazały, że rak zniknął bez śladu. Jestem zdrowa. Doktor nigdy jeszcze się z czymś takim nie spotkał. Pytał nawet, czy byłam u uzdrowiciela.

- A byłaś? - spytał Danny.

- Nie. Uzdrowiciel przyszedł do mnie. Nie oczekuję żadnych wyjaśnień. Po prostu wiem, że to zrobiłeś, i dziękuję ci. - Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Prosto w usta. Nie minęło dwanaście godzin, odkąd pocałował Pat, i oto znów był całowany. Tylko że ta dziewczyna nie wiedziała, że jest magiem. Chociaż jakoś poznała, że ma moc, więc w sumie na jedno wychodziło. Najwyraźniej jak tylko dziewczyna zobaczy, że potrafisz rzucać prawdziwe czary, od razu rwie się do całowania.

Narzekasz, idioto? Źle ci? Brzydzisz się tym?

Właściwie nie, musiał przyznać przed samym sobą.

A ona dalej go całowała. I teraz już obejmowała go w talii, zamiast trzymać ręce na jego biodrach, i przyłgnęła do niego całym ciałem, i...

Na zewnątrz zatrąbił klakson. W domu tak małym, stojącym tak blisko ulicy, zabrzmiało to tak, jakby samochód był z nimi w środku.

- Dziękuję - powiedziała znowu. Czy dziękowała za pocałunek, czy za uzdrowienie, tego

Danny nie był pewien. Jeśli za pocałunek, najchętniej odpowiedziałby jak sprzedawca w sklepie:

„To ja dziękuję”.

Poszedł za nią do samochodu.

Nieśmiała? Bez najmniejszego skrępowania usiadła z tyłu, obok Danny'ego.

- Nie wypada, żeby sam siedział - wyjaśniła ojcu.

- A wypada, żebym ja został sam? - spytał, ale tylko żartem.

Czyżby córka trenera została moją dziewczyną? Jestem uwięziony w powieści młodzieżowej. I to takiej dla dziewczyn, w której najważniejszy jest wątek romansowy, a nie tropiące mnie szwadrony śmierci.

Byłem już w trójkącie z Xeną i Pat. Co powstanie, jak dołączyć do niego Nicki? Kwadrat?

Nie, to już będzie stereometria; czworościan.

Ale w szkole stało się coś niezmiernie dziwnego. Nicki nie weszła z nim do środka. Tylko mu pomachała na pożegnanie.

- Muszę ją zapisać - wyjaśnił Lieder.

I kiedy Nicki weszła do jego klasy na pierwszej lekcji - czy rozmyślnie tak to zaaranżowała, żeby przynajmniej w części mieć taki sam plan jak on? - niczym nie zdradziła, że go zna. Jeden z chłopaków koło Danny'ego szepnął: „Ale laska!”, i Danny po raz pierwszy zorientował się, że Nicki, teraz już niewyniszczona chorobą, jest bardzo atrakcyjna. Nie żeby wcześniej uważał ją za brzydulę, ale dotąd jakoś mu umknęło, że jest ładna obiektywnie, nie tylko sympatyczna w jego osobistym odczuciu. Miała smukłą sylwetkę typowej uczennicy szkoły średniej, ale i wyraźnie zaokrąglone piersi, choć w odróżnieniu od Laurette nie nosiła odkrytego dekoltu. Jak mogłem tego nie zauważyć? Nawet jak mnie całowała i te piersi wtulały się w moją klatkę, jakoś nie spostrzegłem, że nadają jej niemal idealną figurę. Co ja, ślepy jestem?

Nicki odwróciła się w stronę chłopaka, który nazwał ją laską, i obdarzyła go tym swoim nieśmiałym uśmiechem. Co za kokietka. Może przywoływać go na usta, kiedy tylko chce. Ten zalotny uśmiech mówiący „jestem taka nieśmiała”, który pewnie ćwiczy przed lustrem.

Czyżby się mną bawiła?

Do końca lekcji nie bawiła się nim zupełnie. Chyba że zabawa polegała na ignorowaniu go.

Skutek w każdym razie był taki, że myślał o Nicki aż do dzwonka. Rano stała na ganku w koszuli nocnej i koronkowym szlafroku i patrzyła, jak Danny się poci, potem weszła do łazienki, kiedy był nagi pod prysznicem, i zabrała mu ubrania, wreszcie wprosiła się do jego domu, pozmywała naczynia, namiętnie go pocałowała, lepiała się do niego, a teraz w ogóle go nie zauważa?

Ja też umiem prowadzić takie gierki, pomyślał.

Szybko jednak stwierdził, że to nieprawda. Dziewczyny potrafią prowadzić takie gierki z chłopakami, ale nie vice versa. Przynajmniej ja tego nie umiem, bo proszę, co chwila na nią zerkam, a ona w ogóle mnie nie zauważa, zupełnie jakbym przeszedł przez wrota i teraz ukradkiem podglądał ją przez wizjer w czasoprzestrzeni. Dlaczego to robię? Bo nie mogę oderwać od niej oczu. Bawi się mną i to działa, jestem rybą szamoczącą się na końcu żyłki. Lunch zjadł z przyjaciółmi, ale to było jeszcze gorsze, bo podczas gdy wszyscy pozostali zachowywali się normalnie - to, że Xena z nim flirtowała, stało się normą - Pat też odstawiała ten numer z udawaniem, że go nie widzi, że on nie istnieje.

Różnica polegała na tym, że byli z Pat przyjaciółmi, a wczorajszy pocałunek zdarzył się pewnie bardziej z jego niż z jej inicjatywy.

Czy aby na pewno? Jak o tym pomyśleć, wszystkie dziewczyny są zaklinaczami ludzi.

Wodzą facetów za nos.

Pierwszy raz w życiu zazdroścę gejom, pomyślał Danny. Po chwili jednak musiał szczerze przyznać sam przed sobą, że nie, to nieprawda. To wszystko było w pewnym sensie ekscytujące. Zagmatwane, tak. Trochę niebezpieczne. Ale z jakiego powodu poszedł do szkoły średniej, jeśli nie dlatego, że są tam nastoletnie dziewczyny?

Tuż przed wuefem pierwszoklasista odpracowujący w sekretariacie jakiś pierwszoklasowy grzech przyniósł mu notkę od dyrektora. „Proszę natychmiast przyjść do mojego gabinetu”, takiej była treść.

- Co nabroiłeś za naszymi plecami? - spytał Wheeler.

- Nic - powiedział Danny. - Jestem w drużynie Liedera, czemu dyro zawraca mi głowę?

- Dotrzymać ci towarzystwa? - zaproponował Hal.

- Szukasz pretekstu, żeby nie iść na wuef? - odpowiedział pytaniem Danny.

- To zawsze.

- Bez obaw. Liederowi poprawił się humor. Jego córka wyzdrowiała i nawet wróciła do szkoły.

- Nie wiedziałem, że ma córkę - zdziwił się Hal.

- Ani że była chora - dodał Wheeler.

- Ktoś spółkował z Liederem? - spytał Hal.

- Ma pracę - zauważył Danny. - Dla niektórych kobiet to najważniejsze.

- Serio? - spytał Wheeler. - Pierwszy raz ktoś dał mi powód, żeby skończyć szkołę średnią.

Bo wtedy będę mógł dostać pracę, która przekona kobietę, że warto ze mną spółkować.

- Nie łudź się - zgasił go Hal. - Będziesz musiał popłynąć w górę strumienia na tarło.

Danny potruchtał do sekretariatu.

Mama i Baba siedzieli na krzesłach przed biurkiem dyrektora. Baba natychmiast zerwał się na nogi.

- Danny, jestem wujek Alf, to twoja ciocia Gerd. Dawno się nie widzieliśmy, ale kiedy doszły nas słuchy, że mieszkasz tu właściwie sam, bo ciocia Veevee jest w ciągłych rozjazdach, uznaliśmy, że musimy zobaczyć, jak się miewasz.

- Nie mieliśmy pojęcia, że jego opiekunka prawna przebywa poza domem.

- Bo tak nie jest - powiedział Danny. - Widzimy się prawie codziennie. Za to tych ludzi nie znam. Wylegitymował ich pan?

Baba zachichotał.

- Chcemy tylko z tobą porozmawiać, Danny.

- Nie wiedzieliśmy, jak to inaczej załatwić - dodała mama. - Nie odbierasz telefonu.

- Nie mam telefonu.

- Widzisz więc, na czym polega nasz problem - powiedział Baba. - Ale dyrektor Massey wielkodusznie zgodził się udostępnić nam swój gabinet na rozmowę z tobą.

- Nie. - Danny ruszył do wyjścia.

- Wracaj, młody człowieku! - krzyknął Massey.

Mama rzuciła się za Dannym.

- Proszę - szepnęła. - Proszę, błagam cię. Jeśli choć trochę mnie kochasz.

- Kochałem cię prawie całe życie - odszepnął Danny. - I przez to omal nie skończyłem na Hammernip Hill. Mam powiedzieć dyrektorowi, żeby posłał tam ludzi szeryfa z łopatami?

- Proszę - powtórzyła.

Dyrektor Massey wyszedł za nimi na korytarz.

- Danny, tak niegrzecznie na moich oczach nie zachowałeś się jeszcze nigdy... a to nie lada osiągnięcie.

- Nie przypominam sobie, żeby ci ludzie choć raz okazali mi odrobinę dobroci - powiedział

Danny. - Zadomowiłem się tutaj i nie wiem, czego ode mnie chcą. Nie macie jakichś zasad zabraniających obcym kontaktów z uczniami na terenie szkoły?

- Ale... - Dyrektor Massey bezradnie wyciągnął ręce, jedną w stronę Danny'ego, drugą ku jego rodzicom. - Nigdy bym nie pomyślał, że to obcy ludzie. I nadal tak nie uważam. Tak bardzo są do ciebie podobni.

Danny nie miał na to gotowej odpowiedzi. Zapomniał, że wygląda zupełnie jak Baba. Tyle że był też niezwykle podobny do mamy. Podobieństwo do dwóch osób naraz w jednej twarzy.

Gdyby dyrektor Massey miał kilka szarych komórek na krzyż, zaciekawilby się, jak to możliwe,

by ktoś tak bardzo przypominał swoją ciotkę i wujka jednocześnie, skoro przypuszczalnie z jedną z tych osób nie łączą go więzy krwi.

- Porozmawiamy na parkingu - rzekł Danny. - W miejscu, z którego będę mógł odejść, kiedy zechcę. - I gdzie nikt nie będzie ich podsłuchiwał przez drzwi. I nikt nie będzie mógł się niepostrzeżenie podkraść.

- Cóż, w takim razie wszystko uzgodnione - ucieszył się Massey.

- Albo nie, porozmawiamy na ulicy, poza terenem szkoły. Żeby pan dyrektor w razie czego nie miał kłopotów.

- Jakiś ty... przezorny.

Zostawili Masseya i praktycznie bez słowa przeszli przez parking, a potem na drugą stronę ulicy. „Praktycznie” bez słowa, bo mama co chwila próbowała coś powiedzieć, a Danny syczał „ciii” i przyspieszał kroku. Ostatecznie rodzice tak się zasapali, usiłując nadążyć za młodym człowiekiem, który, bądź co bądź, był sprinterem, że nawet gdyby chcieli, nie zdołaliby wydusić z siebie głosu.

- Przedstawiłem wam warunki - zaczął Danny. - Powiedziałem, że przyjdę poznać waszą odpowiedź. Zabroniłem wam się tu pokazywać. Jeśli o mnie chodzi, nie macie wstępu w Wielkie Wrota. Tak czy owak, byłibyście zbyt niebezpieczni. Wy dwoje.

- Nie nas wybrała rodzina - powiedział Baba. - Już właściwie nie jestem Odysem.

- Kogo zrobią wodzem? Gyisha? Zoga?

- Może. A może Mooka - stwierdził Baba. - Niektórzy uważali, że jako twój ojciec nie jestem w stanie podjąć bezstronnej decyzji. Kiedy się dowiedzieli, że z rozmysłem cię zatrzymaliśmy, wiedząc, że jesteś magiem wrót... Naraziliśmy rodzinę na tak wielkie ryzyko. Mamy szczęście, że nie zakopali nas na Hammernip za karę. Uznali, że przejście na Westil byłoby dla nas niezасłużoną nagrodą.

Danny miał ochotę powiedzieć „zaraz się popłaczę”. Ale Baba i mama rzeczywiście wiele ryzykowali, nie zabijając go, mimo że wiedzieli, kim jest. Utracili prestiż i władzę; mogli stracić życie.

- To co tu robicie? - spytał Danny. - Chcecie poprosić, żebym po znajomości wpuścił was w Wielkie Wrota? Mam dla was wiadomość: jeszcze nie powstały, a ja nie żartowałem. Nikt nie może liczyć na specjalne traktowanie ani żadne dodatkowe korzyści.

- Nie chodzi o Wielkie Wrota. - Baba się zniecierpliwił. - Chodzi o nas. Jesteśmy twoimi rodzicami. Czego się po nas spodziewałeś? Mieliśmy nadzieję, że będziesz magiem wrót. Nie liczyliśmy, że urodzi nam się zwyczajne dziecko; liczyliśmy, że urodzisz się ty. Podstępny, wyszczekany, nielojalny wobec nikogo bachor z darem do języków. Liczyliśmy, że otworzysz przejście na Westil, owszem. Spodziewaliśmy się, że będziemy mieli z ciebie pożytek.

- I nadal na to liczycie - powiedział Danny.

- Bo nie jesteśmy szaleni - stwierdził Baba. - Istniejesz. Wszyscy chcą przejść przez Wielkie Wrota. Czego oczekujesz? Że spośród wszystkich Westilian na Mittlegardzie tylko nas obchodzić będzie jedynie nasz ukochany synek, nie wrota, które zrobił? Przecież po to go stworzyliśmy!

- Nie oczekuję od was niczego. I dobrze, bo nigdy nic od was nie dostałem.

- Danny, daliśmy ci wszystko, co mogliśmy - powiedziała mama. Podeszła bliżej. - Nie tylko życie. Poprosiliśmy Mooka i Lummy, żeby się tobą opiekowali. Żeby cię karmili, kiedy będziesz późno wracał. Żeby słuchali twoich pytań i na nie odpowiadali. Żeby mieli na ciebie oko i ostrzegali cię, gdybyś robił coś niebezpiecznego. Postawiliśmy Thora na czele obserwatorów, żebyś w razie czego mógł uciec.

- Gdybyśmy blisko się z tobą związali - dodał Baba - rodzina by nie wierzyła, że będziemy w stanie być obiektywni, kiedy przyjdzie czas podjąć decyzję, co z tobą zrobić. Mieliśmy wybór:

albo cię chronić, albo być twoimi kochającymi rodzicami. Jedno i drugie naraz byłoby niemożliwe.

Danny wiedział, że to prawda. Zawsze to wiedział.

Mama uznała jego milczenie za swoiste zwycięstwo i postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Położyła dłoń na jego ramieniu. Nie ścisnęła. Tylko ją tam trzymała.

Jednak już wystarczająco wiele kobiet dotykało go w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Miał dość bycia zdradzonym przez własną odruchową reakcję na dotyk. Odrobina czułości ze strony wiecznie nieobecnej matki? Nie z nim te numery. Strącił jej rękę ruchem ramienia i cofnął się o krok.

- Jeszcze raz mnie dotkniesz i już was tu nie ma - powiedział.

Mama wydała dźwięk podobny do szlochu i odsunęła się. Dłoń, którą go dotknęła, trzymała w drugiej ręce, jakby odniosła śmiertelną ranę, jakby bezskutecznie usiłowała zatamować tryskającą krew.

- Byliśmy z ciebie dumni - rzekł Baba, nawet nie zerknąwszy na reakcję żony. - Byłeś taki sprytny. Rozumiałeś, jakie ci groziło niebezpieczeństwo, nie jako magowi wrót, tylko jako drekce. Nie wychylałeś się. Wszelkimi sposobami starałeś się przetrwać. Podziwialiśmy cię i szanowaliśmy. Nie wiem, czy ja miałbym tyle samodyscypliny, żeby poradzić sobie tak dobrze jak ty. Psotnik, którym byłeś w dzieciństwie, zniknął bez śladu, zastąpił go ostrożny, bardzo ostrożny młody człowiek, który w końcu odnalazł swoją moc i wykorzystał ją, by ocalić życie.

- Jak miło, że podziwialiście mnie z daleka - mruknął Danny. Ale z powodu pochwał ojca napełniło go światło i łzy napłynęły mu do oczu.

My, istoty ludzkie, jesteśmy maszynami, pomyślał. Wszystkie emocje wyzwala się za naciśnięciem guzika. Przewidywalni jak roboty.

- Danny - powiedziała mama. - Zdaję sobie sprawę, że nas nienawidzisz. Rozumiem to.

On jednak ich nie nienawidził. Był na nich zły, zranili go, ale nie, nie nienawidził ich. Po wszystkim, co się stało, chciał tylko miłości matki i aprobaty ojca. Teraz proponowali mu dokładnie to, czego pragnął. Tyle że tak długo mu tego odmawiali, że ani myślał uwierzyć w tak łatwe spełnienie marzenia.

- Czegokolwiek ode mnie chcecie, ja tego nie mam. A jeśli nawet, to nie jest dla was, już nie.

- Tego się obawiałam - westchnęła mama.

- Uprzedzałem ją, żeby nie liczyła na nic więcej. - Baba pokiwał głową.

Słyszając głęboką rezygnację w jego głosie, Danny przez chwilę był przekonany, że całe to spotkanie to jednak pułapka. Że skoro nie przekonali go do swoich racji, teraz przejdą do planu B i go zabiją.

Przeniósł się więc wrotami pięć metrów dalej.

Matka wybuchnęła płaczem.

- Nie zdradzimy cię - rzekł Baba zimno. - Jak moglibyśmy, nawet gdybyśmy chcieli?

- Chodźmy, Alf - powiedziała mama.

Baba poprowadził ją w stronę rodzinnego pikapa, który teraz, po krótkim pobycie w rozpadlinie w ziemi, wydawał się jeszcze bardziej zdezelowany.

Patrząc na nich, kiedy szli w stronę samochodu, Danny po raz pierwszy zobaczył w nich nie przebiegłych przywódców grupy bezwzględnych magów, tylko mężczyznę i kobietę w średnim wieku, odtrąconych przez niewdzięcznego syna, który miał im za złe, że zrobili dla niego tylko to, co możliwe, i nic ponadto.

Nasunął na nich wrota. Zrobił to płynnie, ostrożnie. Nawet nie zgubili kroku. Gdyby cokolwiek poczuli, byłby zaskoczony. Ale od tej chwili ich ruchy wydawały się już ruchami młodszych ludzi. Wcześniej myślał, że chce ich ukarać, ale teraz żądza zemsty ulotniła się bez

ślądu. Chciał tylko przestać pragnąć ich miłości. Bo twierdzili, że go kochają, a on gorąco pragnął im wierzyć; cóż, kiedy mieli tyle motywów, by kłamać, że nie mógł wierzyć ich słowom ani czynom.

12

MITTLEGARD

Klucha i Anonoei długo spierali się o to, co zrobić z chłopcami. Eluik i Enopp byli mali i bezradni, ale przy tym niezwykle cenni. Bez tych dwóch synów króla Prayarda, potencjalnych następców tronu, Anonoei nie miałyby żadnej karty przetargowej. O jej mocy nie wiedział nikt; jako zaklinacz ludzi musiała ją ukrywać, jeśli chciała zachować życie. Liczyli się tylko chłopcy. Pragnęła za wszelką cenę zapewnić im bezpieczeństwo. Klucha zresztą też. Nie było jednak między nimi zgody co do tego, na czym to bezpieczeństwo miałyby polegać.

- Mówisz, że to nawet nie twoje wrota, że nad nimi nie panujesz - powiedziała Anonoei.

- W tej chwili nikt nad nimi nie panuje - wyjaśnił Klucha - ale istnieją. Działają. Nie są groźne. Myślisz, że oszukiwałbym cię co do tego, skoro zamierzam przez nie przejść razem z tobą?

- Kiedy przyjdzie właściwy czas, chłopcy będą nam potrzebni tutaj. Kim jest król Prayard na Mittlegardzie? W jaki sposób pobyt tam miałyby zapewnić jego synom bezpieczeństwo?

- Spójrz na to inaczej. Będą tam bezpieczni właśnie dlatego, że nikt na Mittlegardzie nie zna ich ojca. Nikt nie ma powodu chcieć ich śmierci ani ich pojmać. Będą mogli liczyć na bezpieczeństwo płynące z bycia nikim. Tutaj zaś wszystko zależy od tego, czy znasz kogoś godnego zaufania, komu mogłabyś ich powierzyć. Kto to miałyby być?

Anonoei podała imiona kilku osób, ale Klucha za długo był zamkową małpą i widział, co wszyscy robili na osobności. Powiedział jej smutną prawdę o każdym mężczyźnie i każdej kobiecie, których wymieniła.

- Nigdy nie miałam przyjaciół - powiedziała ze łzami w oczach.

- Nikt nie ma przyjaciół - stwierdził Klucha. - Bexoi nigdy nie miała prawdziwego przyjaciela ode mnie. Ale zachowałem cię przy życiu, kiedy ona pragnęła twojej śmierci.

- Miałeś swoje powody.

- Nigdy nie twierdziłem, że zrobiłem to z dobroci serca. Teraz też tak nie twierdę. Ale chcę, żeby twoi synowie żyli, i bardziej jestem skłonny zaufać obcym z Mittlegardu niż któremukolwiek z twoich znajomych z Iswegii czy w ogóle z Westilu.

- W takim razie zostanę tu, będę ich strzec i czekać na ciebie - zdecydowała Anonoei.

Klucha jeszcze raz przedstawił jej fakty. Ich magiczne przybycie do tej górskiej wioski nie mogło pozostać niezauważone. Wieść o tym się rozejdzie, już się rozeszła, i wkrótce z biegiem Graybourn dotrze do stołecznego Kamesham, a potem do zamku Nassassa. Nie brakuje tam ludzi rozumnych, więc ktoś szybko skojarzy, że kobieta i dwaj chłopcy zjawili się w górach dokładnie wtedy, kiedy kobieta i dwaj chłopcy zniknęli z jam w urwisku pod zamkiem, zanim żołnierze Prayarda mogli ich zadźgać.

- Nie zostawię was tu na pewną śmierć - zakończył. - Muszę też zabrać stąd ludzi, którzy was przygarnęli, inaczej niechybnie będą torturowani, by wyjawili informacje, których nie mają.

- Mówiąc „tu”, nie miałam na myśli tej wioski. Chodzi mi o Westil. Tutaj przynajmniej nie musimy przechodzić przez żadne wrota.

- Szkoda mi czasu na twoje nedorzeczne lęki. Gdybyś naprawdę się bała, spróbowałabyś rzucić na mnie urok, żeby narzucić mi swoją wolę. Ale tego nie robisz, więc wiem, że nie mówisz poważnie.

- Moja magia podziałałaby na ciebie?

- Oczywiście, dopóki nie zorientowałbym się, co robisz, i nie uciekłbym przez wrota.

Doceniam, że szanujesz mnie na tyle, by tego nie próbować. Ja też, gdybym chciał, mógłbym

wbrew twojej woli przerwali cię z chłopcami do wlotu Wielkich Wrót i przepchnęli na drugą stronę, i nie byłabyś w stanie mi w tym przeszkodzić. Jednak rozmawiam z tobą, bo już wystarczająco długo traktowałem was jak pionki i jeńców.

- Słyszałam, że wszystkie wrota są bardzo bezpieczne.

- Co słyszałaś? Jak mogłaś cokolwiek słyszeć? Na Westilu od przeszło czternastu stuleci nie było żadnych wrót oprócz tych, które sam stwarzałem.

- Właśnie że były - powiedziała Anonoei. - Wszyscy znają te stare opowieści. Mag wrót zdobywa umiejętność przenoszenia się z miejsca na miejsce, po czym nagle zjawia się Złodziej Wrót i odbiera mu wszystkie wrota. Co będzie, jeśli to się stanie, kiedy my...

- Jeszcze nic nie zrozumiałaś, kobieto? To ja jestem Złodziejem Wrót. Ja. Dlatego mogłem zamknąć was za moimi wrotami na ponad rok i nikt mi tych wrót nie odebrał.

- Jesteś Złodziejem Wrót?! Mam uwierzyć w tak niedorzeczne przechwałki? Musiałbyś żyć od przeszło tysiąca lat. Ty, zwyczajny chłopiec...

- Kto chciałby być nieśmiertelny w ciele starca? - spytał Klucha. - Ale ja nie jestem nieśmiertelny. Byłem wewnątrz drzewa. Mówiąc ściślej, mag drzew przekonał drzewo, by pozwoliło mi wnikać wrota w jego żywą tkankę, między korę a twarde drewno. Tam stworzyłem najmniejsze możliwe wrota, które pomalutku przemieszczały mnie w górę, podnosiły się razem ze mną dużo wolniej, niż rośnie paznokieć. Przejście przez wrota uzdrawia. Leczyłem samego siebie, leczyłem drzewo, minuta po minucie, dzień po dniu, rok po roku. Drzewo żyło i ja razem z nim, nie starzeliśmy się, nigdy nie chorowaliśmy. I obserwowałem. Wyczuwałem wszystkie powstające wrota. Początkowo moja moc była cudownie wielka i taką samą zdobędziesz ty, jeśli w końcu zdecydujesz się przejść przez Wielkie Wrota. Jednak ten przyrost mocy z czasem zanika. Musiałem obserwować coraz uważniej, coraz głębiej się koncentrować. Moje zewnętrzne ja krążyły po świecie, czujne, wypatrujące. Po pierwszych pięciuset latach nie wyczuwałem na

Mittlegardzie nic; po następnym tysiącu wrota na Westilu były jak odległy szept. Z jednym wyjątkiem: Wielkich Wrót. One były jak okrzyk, który się rozlegał, gdy tworzące je wrota splatały się w sznur i wznosiły w niebo. Wtedy sięgałem po nie i je wchłaniałem. Taki właśnie jest Złodziej Wrót. Pusta skorupa sędziwego człowieka, utrzymywana przy życiu wewnątrz drzewa, nic niewidząca, nic niesłysząca, stale skupiona tylko na tym, by wyczuć powstające Wielkie Wrota. A za całe towarzystwo miałem pojmane wrota dawno nieżyjących magów.

- Czyli nie jesteś taki młody, na jakiego wyglądasz - skomentowała Anonoei. Uśmiechnęła się na znak, że zdaje sobie sprawę, jak prozaicznie to zabrzmiało.

- Wyszedłem z drzewa jako nastoletni podrostek, nie pamiętałem prawie nic z mojego dawnego życia, nie zdawałem sobie nawet sprawy, że jestem Złodziejem Wrót, ba, przez pewien czas w ogóle nie wiedziałem, co to wrota. Wtedy pochłaniałem wrota odruchowo. Tak samo je tworzyłem. Zaczyna kobieta przygarnęła mnie i była mi matką, dopóki ktoś jej nie zamordował za odmowę udziału w próbie otrucia królowej.

- Mówisz o Hull?

- Proszę, tylko nie mów, że zawczasu wiedziałaś, że zabiją tę dobrą kobietę. Chyba że to prawda. Jeśli mnie okłamiesz, nie będziemy mogli być przyjaciółmi.

- Ileż ty masz zasad - dziwiła się Anonoei. - Okłamuję cię na okrągło, a ty mnie. Jesteśmy ludźmi, więc kłamiemy, bo tylko tak ludzie są w stanie żyć ze sobą w zgodzie.

- Mylisz się. Możemy mówić sobie prawdę, przynajmniej na tyle, na ile ją znamy. Prawda może nie być taka, jak się nam wydaje, ale chociaż dzielimy się tym, co wiemy, w najlepszych intencjach. Jak ja z Hull i ona ze mną.

- Wiedziała, że jesteś Złodziejem Wrót? - spytała Anonoei. A kiedy Klucha nie odpowiedział, uśmiechnęła się. - Rozumiem... mówiłeś jej prawdę, jeśli prawda nie mogła ci zaszkodzić w jej oczach.

- Czego więc ty nie mówisz mnie?

- Że uważam, że masz rację, chłopcy będą bezpieczniejsi na Mittlegardzie, i że jeśli nie zdobędę się na to, by uwierzyć, że przeprowadzisz mnie przez Wielkie Wrota i z powrotem, to właściwie mogę od razu skapitulować. Jeśli okażesz się niegodny zaufania, zostanę z niczym, ale jeśli ci nie zaufam, też zostanę z niczym. Dlatego równie dobrze mogę ci zawierzyć i mieć nadzieję, że jesteś coś wart.

- Słuszny wniosek.

- Kiedyś zaufałam królowi - przypomniała Anonoei.

- Nigdy cię nie zawiódł.

- Ależ tak. Nie odnalazł mnie ani nie uwolnił.

- Moja moc była dla niego zbyt wielka - stwierdził Klucha. - Co mógł działać przeciwko magowi wrót?

- Królowa Bexoi coś działała - zauważyła Anonoei.

- Zamordowała dziecko, korzystając z mojej nieuwagi. To wszystko, na co ją było stać. -

Powiedział to spokojnie, jakby na wspomnienie Figła nie zawrzały w nim emocje, rozpacz i wściekłość. - I wiedziała, kim jestem. Gdyby wiedział to Prayard, zacząłby podejrzewać, że maczałem palce w waszym zniknięciu, i posłałby mnie na męki, by się dowiedzieć, gdzie jesteście.

- Ciebie? Na męki?

- Spróbowałby.

- Spytał cię chociaż o to?

- Powiedziałem mu, że zajrzałem we wszystkie zakamarki zamku i nigdzie cię nie było.

Ani nie widziałem, żeby ktoś cię wyniósł. Zważ, że wszystko to prawda.

- I jednocześnie kłamstwo - stwierdziła Anonoei. - Ależ ja jestem głupia, że ci wierzę.

- Masz tylko mnie, a ja mam tylko ciebie.

- Bo mnie jedną możesz wykorzystać przeciwko królowej Bexoi. Dlaczego nie przerwiesz jej wrotami na dno morza i tyle?

- Musi przegrać i wiedzieć, że przegrała. Musi zobaczyć, jak zajmujesz jej miejsce, a twoi synowie miejsce jej syna.

Anonoei zaśmiała się i skinęła głową.

- Teraz mogę ci zaufać. Teraz wiem, co ci w sercu gra.

Nie знаła go jednak, nie miała pojęcia, co naprawdę skrywało się w jego sercu, w jego myślach. Tak, zamierzał wyrzucić zemstę na królowej, i przyznał to otwarcie, bo wiedział, że Anonoei taki motyw zrozumie. Jednak w rzeczywistości powodowało nim coś innego: to, że dopóki Anonoei nie powróci na należne jej miejsce u boku króla, dopóki jej synowie nie odzyskają pozycji następców tronu, on, Klucha, nie zdoła udźwignąć ciężaru własnych zbrodni.

Przez piętnaście stuleci próbowałem ocalić świat i miałbym to wszystko poświęcić w imię zwyczajnej zemsty? Bexoi nigdy nie stanie przed obliczem sprawiedliwości. Prowadzi tę samą grę, co wszyscy monarchowie świata; czy można ją nazywać potworem tylko dlatego, że jest w niej lepsza?

Nie, głównym celem Kluchy wciąż było i zawsze będzie to, aby zapobiec przybyciu Bela na Westil, nie dopuścić, by los świata spoczął w jego rękach. Jeśli zdoła odpokutować za zbrodnię przeciwko Anonoei i jej dzieciom bez zagrożenia dla tego nadrzędnego celu, w porządku. Ale dla samej zemsty, dla odwetu nie przeszedłby na drugą stronę drogi.

Zaśmiał się gorzko. Samooszukiwanie się zawsze jest skuteczne - ma tak łatwowierną publiczność.

- Z czego się śmiejesz? - spytała Anonoei.

- Z siebie - odparł zgodnie z prawdą.

Kiedy przedstawili chłopcom cel czekającej ich podróży, młodszy, Enopp, zdawał się rozumieć, o co chodzi. Eluik jak zwykle patrzył na twarz, z której dobywały się dźwięki mowy, ale nie sposób było poznać, czy cokolwiek do niego dociera.

Potem Klucha rzekł do Roopa i Levet.

- Wyświadczyłem wam niedźwiedzią przysługę, sprowadzając tutaj tę kobietę i jej dzieci.

Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Wkrótce zjawią się tu żołnierze i jeśli nie zabiją was od razu, zabiorą was do zamku Nassassa i poddadzą torturom, bo będą chcieli wydobyć z was informacje, których nawet nie macie.

Levet nie odezwała się ani słowem, choć jej twarz zapłonęła gniewem. Roop nie okazywał złości. Tylko skłonił głowę z rezygnacją.

- Co mam zrobić? - spytał.

- Jest pewien mag wiatru z Mittlegardu, Ced. Pobiera nauki u maga drzew na południowym krańcu Mitherkame. Tego to maga drzew... który nie chce mieć imienia, bo drzewa nie mówią...

spytałem, czy miałby coś przeciwko temu, by przeznaczyć łąki w tamtej okolicy pod uprawę.

Powiedział, że nie. Nie ścinajcie drzew, a będzie wam przyjacielem. Nauczy was, jak do pierwszych żniw wyżyć z darów drzew.

- Czyli mamy wszystko zostawić - powiedziała Levet.

- Znowu - dodał Roop.

- Nie pierwszy raz się przeprowadzacie. Tym razem traficie w cieplejsze miejsce, o żyzniejszej glebie i dłuższym okresie wegetacji.

- Co będziemy temu człowiekowi winni w zamian? - spytała Levet.

- Nic. Nawet nie rękę waszej uroczej córki.

Wyraźnie się zaniepokoił.

- Nie będzie się tego domagał - zapewnił ich Klucha.

- Są na świecie ludzie, którzy stawiają takie żądania? - zdziwił się Roop.

- Władcy stale żądają tego od siebie nawzajem. Tak królowa Bexoi trafiła do Iswegii.

Prayarda zmuszono, by poślubił ją wbrew swojej woli.

Roop wyciągnął rękę i objął Eko.

- Mówisz, że nie mamy wyjścia.

- Inaczej wasze dzieci zostaną sierotami. Albo będą torturowane na waszych oczach, byście wyjawili, dokąd zabrałem tę kobietę i jej dwóch synów.

- Strasznie mieć takiego przyjaciela jak ty - stwierdziła Eko.

- To prawda - przytaknął Klucha. - Z drugiej strony, mogłem pozostawić was własnemu losowi, nie przejmować się wami.

- Nie zrobiłbyś tego. Nie jesteś takim człowiekiem.

Nie wiesz, jakim człowiekiem jestem, pomyślał Klucha.

Jakby wyczytała tę myśl z jego twarzy.

- Znam cię lepiej, niż myślisz.

- Bo widziałaś, jak wylazł z drzewa? - złośliwie spytał jej młodszy brat, Bokky.

- Bo ich tu przyprowadził - odpowiedziała Eko. - Pamiętał nas.

- Szkoda - stwierdziła Levet.

- Pamiętał, że byliśmy dla niego dobrzy - ciągnęła Eko - więc do nas się zwrócił, kiedy ktoś inny potrzebował dobroci.

- Tak - rzekł Klucha.

Eko śmiało spojrzała mu w twarz.

- Gdybyś powiedział, że muszę kogoś poślubić, by ocalić moją rodzinę, zrobiłabym to.

- Ale tego nie powiem - odparł Klucha.

- Zapewnisz nam bezpieczeństwo.

- Zabiorę was w miejsce, które uważam za najbezpieczniejsze na całym Westilu. Nic więcej nie mogę obiecać. Nie będę nad wami czuwał. To wszystko, co mogę zrobić.

Koniec końców, czy mieli wybór? Zabrali swój skromny dobytek, Klucha zrobił im publiczne wrota i weszli w nie, jedno po drugim.

Anonoei i jej synowie patrzyli za nimi.

Klucha odwrócił się do niej, kiedy zniknął ostatni członek rodziny Roopa i Levet.

- Teraz wiesz, jak to wygląda - powiedział.

- Przechodzenie przez wrota? - spytała Anonoei. - Setki razy wpadałam we wrota w moim więzieniu.

- Jak wygląda zaufanie - uściślił Klucha.

- Nie są magami. Jaki mają wybór?

- Te dzieci mogą mieć nieznane mi moce, poza tym skąd wiadomo, czy ich ojciec nie ma władzy nad warzywami, a matka nad węzami? Mają taki sam wybór jak ty.

- Czyli żaden, to prawda. - Anonoei się zaśmiała. - Może wydawali mi się słabi dlatego, że się kochają.

Tak szokujące były to słowa, że Klucha nie miał gotowej odpowiedzi.

- Za długo żyłam na królewskim dworze - powiedziała Anonoei. - Widziałam ludzi, którzy należeli do innych, którzy byli obiektami pożądania i zazdrości, których wykorzystywano, ale niewielu, którzy kochali i byli kochani.

- Kochasz swoich synów - zauważył Klucha.

- Ledwo znam moje biedne, sponiewierane dzieci. - Anonoei położyła jedną dłoń na głowie Enoppa, a drugą na ramieniu Eluika. - Nie pójdiesz za tymi rolnikami, żeby przedstawić ich magowi drzew?

- Będzie wiedział, kim są, bo przeszli przez wrota, a oni od razu go poznają, bo wrota

zaprowadzą ich prosto do niego.

- A jeśli wrócą tymi wrotami? - spytała Anonoei.

- Już ich nie ma. Zabrałem je. Teraz oszczędnie gospodaruję wrotami. Mam ich tylko kilka.

Reszta jest u Złodzieja Wrót.

Spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem.

- Mówiłeś, że to ty...

- Byłem Złodziejem Wrót przez jakiś tysiąc lat. Włamałem się do o jednego skarbcza serca za wiele. Zostałem za to ukarany. Sprawiedliwie.

Odwrócił się do Eluika, który nie patrzył na niego.

- Kimkolwiek jesteś lub dopiero zostaniesz, przejście przez Wielkie Wrota cię wzmocni.

Starszy chłopiec w żaden sposób nie okazywał, czy go słyszy.

- Nadal śpiewa samemu sobie - rzekł Enopp.

Klucha i Anonoei czekali, aż młodszy brat wyjaśni, co to znaczy.

- Kiedy byliśmy sami w jaskini i ciągle spadaliśmy - powiedział malec - śpiewaliśmy sobie.

Klucha był ciekaw, czy Enoppa łączy z bratem jakaś więź, dzięki której wiedział, co Eluik robił w czasie ich wielomiesięcznego odosobnienia.

- To znaczy, śpiewałeś ty, prawda? - spytała Anonoei.

- Wszystkie piosenki, jakie znam. Szkoda, że nie nauczyłaś mnie ich więcej, matko.

- Cieszę się, że teraz już ich nie śpiewasz.

- Ciągle je słyszę. Tylko ich nie słucham. A Eluik tak. Wciąż próbuje zrozumieć słowa.

- Przecież słowa wszystkich są proste.

- Nie słowa piosenek - zniecierpliwiał się Enopp. - Słowa ukryte za piosenkami.

- To znaczy jakie? - spytał Klucha.

- Z początku też ich nie rozumiałem, ale byłem jeszcze mały. Nie rozumiałem wielu słów,

kiedy byłem mały.

Słowa ukryte za piosenkami. Klucha domyślał się, co to za słowa i kto je wypowiadał.

Wrota, za którymi zamknął więźniów, które ich otaczały - połączone były z nim samym, z jego skarbcem serca. Z miejscem zniewolenia tysiąca wrót innych magów. Wrót, które przez cały czas krzyczały. Klucha ledwo je słyszał. Możliwe jednak, że te krzyki niosły się z wrotami. I że odcięte od świata dziecko, zmuszone do bezczynności, mogło coś usłyszeć. Zwłaszcza jeśli samo też miało wrota w swoim skarbcu serca, wrota, których w tak młodym wieku jeszcze nie mogło używać. Zniewolone wrota wołały do zniewolonego chłopca i gdyby był on magiem wrót, słyszałby je tak samo jak Klucha, u szczytu swojej mocy przed tysiącem lat, potrafił wyczuć położenie i właścicieli wszystkich wrót na obu światach.

Klucha wziął chłopca za rękę.

- Pójdiesz ze mną i z matką?

- I z moim bratem - powiedział Enopp.

- I z nim - przytaknął Klucha.

- Oczywiście. Jak dobrze, że już nie jesteśmy w jaskini. Eluik cieszy się jeszcze bardziej niż ja. Bardzo chce z tobą pójść.

Klucha spojrział na jego milczącego starszego brata. Jeśli Eluik miał coś przeciwko temu, by Enopp wypowiadał się w jego imieniu, niczym tego nie zdradzał.

Enopp wziął starszego brata za jedną rękę, Anonoei za drugą. Klucha nasunął na nich wlot wrót i po chwili już stali w kamiennym kręgu, w którym jaśniały Wielkie Wrota, wyraźnie widoczne i otwarte dla każdego, kto chciałby z nich skorzystać. Szczęście, że ta okolica była prawie niezamieszкана, że ludzie jej unikali. Kamienne kręgi nie były już miejscami świętymi. Od zniknięcia Wielkich Wrót miały złą sławę. Omijano je z daleka. I bardzo dobrze. Ale to nie mogło trwać wiecznie. Ktoś w końcu zorientuje się w sytuacji.

- Trzymajcie się mocno za ręce - powiedział Klucha. Wziął oddech i zrobił krok naprzód.

Wielkie Wrota połknęły całą czwórkę i oto znaleźli się w oborze pośród krów. Nieznajoma kobieta podłączała jakąś machinę do krowiego wymienia.

- Ktoś się was spodziewa? - uprzejmie spytała mocno akcentowaną wersją prastarego języka Zachodniego Ylly Way. Klucha zrozumiał ją, bo rozmawiał już z Dannym Northem i Cedem. Nie było szans, by jej słowa znaczyły cokolwiek dla Anonoei.

- Ja nie spodziewałem się ciebie - odparł Enopp, naśladowując jej akcent.

Dar do języków. Kolejny znak, że chłopak może wyrosnąć na maga wrót.

- Przyszedłem porozmawiać z Dannym Northem - powiedział Klucha.

- Nie ma go - odparła kobieta i odwróciła się.

Zły, że nieznajoma tak go traktuje, Klucha przeniósł się wrotami przed nią. Zanim jednak mógł cokolwiek powiedzieć, krowa mocno kopnęła go w nogę. Krzyknął, upadł i nasunął na siebie wrota.

- Tylko tak można ukarać maga wrót - powiedziała kobieta. - Z zaskoczenia.

- Ukarać mnie? Za co?

- Wiem, kim jesteś, Złodzieju Wrót. Zabroniłam mu sprowadzić cię na Mittlegard, a mimo to tu jesteś. Myślisz, że skoro masz ze sobą dzieci, nie zrobię ci krzywdy? Zwłaszcza tego chorego na duszy nieboraka... czemu go tutaj przyprowadziłeś, jeśli nie po to, żeby wzbudzić moje współczucie?

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - odparł Klucha. - Nie znam cię.

- To moja żona - rozległ się męski głos. I w tej samej chwili Klucha runął w rozpadlinę w ziemi. Nie była szeroka, ale i tak go połknęła.

Klucha przeniósł się wrotami na stryszek.

- Upadek z wysokości mnie nie zabije - powiedział.

- Moja żona nie poinformowała cię, że naszego pasierba nie ma w domu?

- Przyjdzie - stwierdził Klucha.

- Skąd ta pewność? - spytała kobieta.

- Stąd, że przejście przez Wielkie Wrota go uwrażliwiło. Wie, kiedy ktoś przechodzi przez dowolne wrota na świecie.

I wtedy Danny North wszedł przez otwarte drzwi do obory.

13

ZAUFANIE

Danny ubierał się na kolejny poranny trening, kiedy to poczuł: coś się wydarzyło u Dzikich Wrót.

Przestał wciągać na siebie szorty do biegania, zamarł w bezruchu. Uczucie nie powróciło.

Zastanawiał się, czego właściwie przed chwilą doświadczył. Czymkolwiek to było, płynęło z części jego zewnętrznego ja wplecionej w Wielkie Wrota w oborze Silvermanów.

To samo czuł, kiedy Veevee lub Hermia przechodziły przez jego wrota. Tylko że nie aż tak mocno.

Dlaczego? Bo tym razem chodziło o Wielkie Wrota?

Bo przez wrota przeszło kilka osób naraz.

To było to samo uczucie co wtedy, kiedy jego przyjaciele przeszli przez pierwsze stworzone przez niego Wielkie Wrota, tyle że przy tamtej okazji nie miał czasu o tym pomyśleć, bo od razu musiał stanąć do walki ze Złodziejem Wrót.

Teraz wiedział nawet, w którą stronę ci ludzie przeszli. Było ich czworo i przybyli z Westilu na Ziemię.

Do obory Silvermanów. W porze dojenia. Na pewno była tam Leslie.

Danny wiedział, kto to był. Za wrażeniem, że ktoś skorzystał z Wielkich Wrót, przyszło

następne - poruszenie we wrotach uwięzionych wewnątrz Danny'ego. Te obce wrota mówiły - nie słowami, językiem głębszym od słów - „On nadchodzi, on nadchodzi”. A wrota, które należały do samego Lokiego, ożywiły się, bo ich prawowity właściciel był na jednym świecie z nimi. „Puść nas do domu”, prosiły, delikatnie napierając na ściany skarbca serca Danny'ego. Złodziej Wrót przeprowadził przez Wielkie Wrota trzy osoby.

Danny ściągnął szorty, włożył spodnie, koszulę, skarpety, buty i kurtkę. A jednak tego ranka nie będzie biegał.

Przeniósł się wrotami na korytarz na piętrze domu Silvermanów, po czym poszedł do obory w przenikliwym chłodzie jesiennego poranka. Drzewa mieniły się kolorami. Lekki szron skrzył się na trawie.

Leslie i Marion stali obok siebie w oborze i patrzyli w górę, na stryszek. Byli tam Loki, kobieta i dwaj chłopcy.

- Długo ci zeszło - stwierdził Marion.

- Byłem prawie goły - wyjaśnił Danny. - Musiałem się ubrać.

- Dzięki ci za to - powiedziała Leslie.

- Danny North! - zawołał Loki.

- Nie jesteś tu mile widziany - rzekł Danny po westiliańsku.

- Potrzebuję twojej pomocy - odparł Loki - ale trudno będzie rozmawiać, kiedy twój przyjaciel gotów jest w każdej chwili nakazać ziemi, by nas połknęła.

- Tylko połknęła - podkreślił Marion silnie akcentowanym westiliańskim. - Nie przeżuła.

- Doceniam jego miłosierdzie - skomentował Loki. - Dlatego nie przeniosłem go wrotami na dno najbliższej rzeki. Albo pod korę drzewa.

- Nie zrobiłeś mi krzywdy - powiedział Danny - bo się mnie boisz.

- Nie zrobiłem ci krzywdy, bo jestem intruzem, a on chroni swój dom i swojego

przyjaciela.

- I nie odszedłeś, bo chciałeś tu być, kiedy przyjdę.

- Obiecuję, że nikomu z was nic nie zrobię. Nie spróbuję odzyskać moich wrót ani wchłonąć żadnych innych. Mam nadzieję, że w zamian ty nie zabierzesz tych kilku, które mi zostały.

Danny odwrócił się do Mariona i Leslie.

- Mogę ich zaprosić do domu?

- Wtedy obowiązywać będą zasady gościnności - powiedział Marion.

- Wiem - odparł Danny.

- Nie tylko nas, ale i ciebie - przypomniała Leslie.

- Będą obowiązywać nas wszystkich. Nie ciekawi was, kim jest ta kobieta i te dzieci?

- To Anonoei, dawna nałożnica króla Iswegii Prayarda - wyjaśnił Loki. - I oficjalnie nieuznani, ale potencjalnie użyteczni synowie króla, Eluik i Enopp.

Danny uroczyście skinął im głową. To było rytualne powitanie, którego dzieci uczyły się od małego, stosowane tylko przy ważnych, doniosłych okazjach. W dzieciństwie Danny kłaniał się dorosłym głęboko, wręcz gwałcił się w pół; teraz pokłonił się jak władca poddanym, takim samym skinieniem głowy, jakim Baba obdarzał tych, którzy składali mu hołd jako Odynowi.

Nikommu nie umknęła wymowa tego gestu. Ukłon, którym odpowiedziała mu kobieta i jej synowie, był głęboki, ale nie uniżony. Loki też lekko zgiął się w pasie, zamiast poprzestać na skinieniu głową. Hierarchia została ustanowiona i zaakceptowana.

- Możemy wejść do waszego domu? - ponownie spytał Silvermanów Danny.

Leslie westchnęła.

- Proszę, przenieś mnie wrotami do kuchni, Danny.

Zrobił to.

- Zaprowadzę naszych gości - powiedział Marion.

Loki zrozumiał aluzję i zamiast skorzystać z wrót, zszedł ze stryżku po drabinie. Anonoei i chłopcy podążyli za nim. Marion objął Lokiego ramieniem i poprowadził sędziwego, a mimo to

młodego maga wrót w stronę domu.

Danny wiedział, że Marion udzieli Lokiemu złowieszczych przestroż, co go czeka, jeśli złamie obietnicę. Wiedział też, że Loki skwapliwie przytaknie, świadom, że w razie czego zawsze może uciec wrotami, więc pogrożki Mariona są symboliczne.

- Jesteś matką - powiedział do kobiety. - Też kiedyś miałem matkę.

- Mam nadzieję, że ją kochałeś.

- Całym sercem. Może ty i twój starszy syn pójdziecie przodem? Ja porozmawiam z tym oto młodzieńcem. Na imię ci Enopp, prawda?

Anonoei wzięła Eluika za rękę i wyszła z obory mniejszymi drzwiami, które Marion i Loki zostawili otwarte.

- To krowy, prawda? - spytał Enopp.

- Tak.

- Jakie wielkie!

- Krowy tutaj są pewnie większe niż tam, skąd pochodzisz - rzekł Danny. - Te jednak są wyjątkowo dobrze odżywione i zdrowe. Leslie bardzo o nie dba. Choć akurat teraz zdaje się, że trzeba je wydoić. Pomożesz mi?

Chłopiec skinął głową.

- Jestem jeszcze mały i nie mam dużo siły. Wiesz, byłem w więzieniu.

- Przykro mi to słyszeć. Zrobiłeś coś bardzo złego?

- Nie, ale jestem niebezpieczny, bo niektórzy uważają, że następcą mojego ojca powinienem być ja albo mój brat, nie dziecko królowej Bexoi. Ona jest z Grayu, a jej brat to nasz wróg.

- Cieszę się, że nie siedzisz już w więzieniu, skoro nie zrobiłeś nic złego.

Enopp wzruszył ramionami.

- Też się z tego cieszę, ale samo to, że istnieję, naraża mnie na niebezpieczeństwo. Nawet nie muszę nic robić.

- Znam to uczucie - powiedział Danny. - Chociaż byłem od ciebie starszy, kiedy taki sam sąd wydano o mnie.

- Wsadzili cię do więzienia?

- Jestem magiem wrót. Nie byliby w stanie mnie uwięzić, nawet gdyby chcieli. Mogą tylko mnie zabić albo zostawić w spokoju.

- Albo zabić kogoś, kogo kochasz - zauważył Enopp.

- Widzę, że rozumiesz, na czym polega władza.

- Jestem synem króla - przypomniał Enopp. - I chyba będę magiem wrót, jak ty.

Danny podłączył dojarkę.

- Widzisz, jak to zrobiłem?

- Krowy to nie boli?

- Ona to lubi. Ta część jest idealnie dopasowana do jej dójki.

- Do czego to służy?

Przez następny kwadrans Danny tłumaczył Enoppowi, jak działają maszyny do dojenia, i pozwalał mu pomagać we wszystkim, na co nie był za mały i słaby. Potem zapytał:

- Co sądzisz o Lokim?

- O kim? - zdziwił się malec.

- Magu wrót, który was przyprowadził.

- To Klucha - powiedział Enopp.

Danny nie zrozumiał tego słowa w tym kontekście.

- Gdzie?

- Tak ma na imię - wyjaśnił Enopp. - Tak woła na niego mama.

- Klucha - powtórzył Danny. - Nie jest to szlacheckie imię.

- Kiedyś był zamkowym szpiegiem. Wszędzie się wspinał, wszystko obserwował. Nadała mu to imię Hull, zamkowa piekarka. Nie żyje, ktoś ją zamordował, bo nie chciała zabić królowej.

Byłoby lepiej, gdyby to zrobiła. Królowa to wredna suka.

To było zabawne - Enopp powtarzał słowa, które musiał od kogoś usłyszeć.

- A Klucha? Jest dobry czy zły?

- Więził nas, ale kiedy królowa Bexoi kazała nas zabić, odmówił. Po pewnym czasie zaczął nam dawać lepsze jedzenie. I kiedy przyszli żołnierze, wyciągnął nas z jaskiń.

- To musiało być straszne.

- Straszne - przytaknął Enopp. - To byli żołnierze mojego ojca. Chcieli nas zabić.

- Wiedzieli, kim jesteś?

Enopp chwilę pomyślał.

- Nie wiem. Ale wiedzieli, że jestem małym dzieckiem.

- Też prawda - powiedział Danny. - Enoppie, dlaczego twoja matka i Klucha was tu przyprowadzili?

Malec wzruszył ramionami.

- W Iswegii nie jesteśmy bezpieczni. Chyba mają nadzieję, że tu nic nam nie będzie grozić.

- Ten świat wcale nie jest bardziej bezpieczny. Ludzie równie łatwo umierają na obu światach.

- Kiedy zostanę magiem wrót, schowam się gdzieś, gdzie mnie nie znajdą.

- Jesteś pewien, że nim zostaniesz?

- Już mam dar do języków. To znak.

- A jesteś nieznośnym urwisem?

Enopp przemyślał to bardziej gruntownie, niż Danny tego oczekiwał.

- Nie wiem. Dopiero kilka tygodni jestem na wolności.

- W takim razie trzeba cię będzie uważnie obserwować - stwierdził Danny - żebyśmy nie byli zaskoczeni, kiedy zaczną się psikusy.

Wydoili krowy. Danny wziął Enoppa za rękę i zaprowadził go przez podwórze do domu.

Na stole kuchennym stały rozłożone przez Leslie talerzyki, duży półmisek wypełniony kromkami opiekane go chleba, masło, dżemy i miód. Wszyscy jedli. Enopp podbiegł do brata i zaczął do niego trajkotać. Danny zauważył, że Eluik niczym nie zdradzał, czy słucha, czy nie.

Enoppa to jednak nie zrażało.

- Mój syn cię nie zanudził? - spytała Anonoei. - Pytluje, jakby uważał się za wielkiego filozofa albo męża stanu, którego słowa pragnie usłyszeć cały świat.

- Słucham go z wielką przyjemnością - powiedział Danny, przybierając arcyoficjalny ton, który podsłuchał na zebraniach dorosłych w bibliotece starego domu w osadzie rodziny Northów.

- Twój syn jest zadziwiająco pogodny jak na kogoś, kto do niedawna był więźniem.

- Jest wytrzymały - stwierdziła Anonoei.

Danny mimo woli zerknął na Eluika, zaraz jednak przeniósł wzrok dalej, na Lokiego, jakby Eluik tylko przypadkiem znalazł się na linii jego spojrzenia.

- Osiągnąłeś swój pierwszy cel - powiedział do Lokiego. - Przeszedłeś przez Wielkie Wrota.

- Moim pierwszym celem było dopilnować, by tych wrót w ogóle nie było - odparł Loki. - Ale skoro to się nie udało, rzeczywiście, uznałem, że roztropność nakazuje odświeżyć te wątle moce, które mi pozostały.

- Wiesz dużo więcej ode mnie o tym, jak te moce działają, ale mam wrażenie, że o ile nasza naga siła zależy od liczby naszych wrót, to sprawność, z jaką nią władamy, płynie z wiedzy i doświadczenia. Ja tę siłę mam, to prawda, ale ty masz wprawę wynikającą z długiej praktyki.

- Długiej praktyki i jeszcze dłuższej beczymności. Przez ponad czternaście stuleci przesuwalem się w górę drzewa, nieświadom niczego oprócz pojedynczych mgnień powstających wrót, które szybko gasilem.

- A jednak z tego drzewa wyszedłeś. I to chyba jeszcze zanim spróbowałem zrobić Wielkie Wrota.

- Ale już po tym, jak stworzyłeś pierwsze kilkadziesiąt swoich wrót - stwierdził Loki. - Pierwsze kilkaset, należałoby powiedzieć.

Otwarcie przyznał, że od dawna wiedział o istnieniu Danny'ego. Że słabo, bo słabo, ale wyczuwał, że Danny żyje i że jest wielkim magiem, przynajmniej pod względem potencjału.

- Nawet nie wiedziałem, że stwarzam wrota - wyznał Danny.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł Marion.

- On wie - stwierdził Danny. - Obserwował mnie, kiedy jeszcze nie wiedział, że to mnie obserwuje.

- Ależ wszyscy podniośle mówią - zauważyła Leslie. - Jakbym była w szkole na lekcji westiliańskiego.

- Ech, ci magowie wrót i ich lingwistyczne popisy - powiedział Marion po angielsku.

- Trochę już znam wasz angielski - wtrącił Loki. Mówił powoli i nienaturalnie, lecz miał prawie idealny akcent z Ohio.

- Skąd? - spytała Leslie po angielsku. - Kto na Westilu mógł cię nauczyć? Masz tu szpiegów?

- Ma - rzekł Danny, też po angielsku.

Leslie wstała, podeszła do blatu kuchennego i odwróciła się, jakby zlew był obłożoną fortecą, a ona jej jedynym obrońcą.

- Mnie - ciągnął Danny. - Jego szpiegdy są we mnie; to wrota, które mu odebrałem. Są ich

tysiące i poprzez nie może co nieco zobaczyć. I słyszeć.

- Co nieco, to znaczy jak dużo? - rzucił Marion. - Co wie?

- Nie mam pojęcia. Jego wrota dają mi odczuć tylko to, że chcą pożreć wszelkie sprawne wrota. Gdyby wchłonął moje, wtedy bym wiedział dużo więcej, ale wolę moją niewiedzę od jego wiedzy.

- Gdybym słyszał więcej, mówiłbym lepiej. - Loki przeszedł na westiliański. - Tak naprawdę nie widzę nic. Nic nie słyszę. Jestem w łonie jego umysłu. Tam kryje się jego mowa, jego pamięć. Nie mogę szperać tam do woli, ale docierają do mnie jego myśli, kiedy wyraża je słowami. Widzę jego wspomnienia, kiedy się na nich skupia. Nie szpieguję. Ponieważ uwięził moje zewnętrzne ja w takim, nie innym miejscu, nie mam wyboru, widzę i słyszę wszystko, co mi pokazuje.

Danny nie wierzył Lokiemu. Sęk w tym, że nie wiedział, w którym kierunku skłania się jego kłamstwo: czy Loki widział i słyszał o wiele więcej, niż twierdził? Czy też nic nie widział ani nie słyszał, dopóki nie przeszedł przez Wielkie Wrota, co spotęgowało jego moce i pozwoliło dużo bardziej się do Danny'ego zbliżyć?

- Po co tu przyszedłeś? - spytał Danny. - Zabrałeś ze sobą tych troje, więc nie może ci chodzić tylko o zwiększenie własnej mocy.

- Ich życie jest zagrożone - powiedział Loki. - Tutaj będą bezpieczni.

- Absurd - rzucił Marion. - Kiedy rozejdzie się wieść, że mamy w oborze te Dzikie Wrota, zaatakują nas wszyscy magowie świata. Nie ma bardziej niebezpiecznego miejsca na Ziemi.

- A kto miałby im o tym powiedzieć? - spytał Loki. Po chwili uniósł dłoń. - To nie była groźba.

Marion wcale się nie uspokoił.

- Jak inaczej mielibyśmy odebrać te słowa?

- Jako zwykle spostrzeżenie. Te Dzikie Wrota istnieją od wielu dni, a mimo to wszyscy zostawiają was w spokoju. Gdyby wasza tajemnica się wydała, nie zwlekaliby ani chwili.

- Boją się, co im przeciwstawimy - stwierdziła Leslie. - Marion i ja przeszliśmy przez Wielkie Wrota. Żaden mag zwierząt, który nas zaatakuje, nie zachowa swojego brata serca.

Marion ma władzę nad okoliczną ziemią. Danny mógłby zabrać ich stąd wrotami, nawet gdyby przełamali naszą linię obrony.

- Czyli sądzisz, że wiedzą i tylko czekają na dogodną okazję? - domyślił się Loki.

- Czego chcesz? - spytał Marion. - Nie wierzę, że przyprowadziłeś tu tę kobietę, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Wyczuwam w niej wielką moc.

- Ja wyczułam ją pierwsza - powiedziała Leslie. - Ona też jest magiem i po przejściu przez Wielkie Wrota stała się niebezpieczna.

- To prawda - odparła Anonoei - ale sam fakt, że mi nie ufacie, dowodzi, że nie użyłam swojej mocy przeciwko wam.

Znaczenie jej słów szybko dotarło do wszystkich. Marion zerwał się na nogi i podszedł do stojącej przy zlewie Leslie.

- Danny, ona jest zaklinaczem ludzi - powiedział po angielsku.

- Domyśliłem się - odparł Danny. - Ale nie użyła swojej mocy.

- Albo jest tak potężna, że nie dała nam tego odczuć.

- Czyli co, zaczarowała cię, żebyś jej nie ufał? - spytał Danny.

- Gdyby spróbowała użyć swojej mocy, sam zabrałbym ją stąd wrotami - rzekł Loki. - Jeśli was do siebie zrazi, nic na tym nie zyskam, ona też nie. Na Westilu zagraża nam śmiertelny wróg, co najmniej pani ognia, jeśli nie jeździec światła.

- Królowa Bexoi - dodał Enopp. - Prawowita żona naszego ojca.

Danny przeniósł wzrok z Lokiego na Anonoei. Żelazna determinacja w jej twarzy, dłoni

spoczywająca na karku Enoppa, lekkie zadarcie głowy, wszystko to dowodziło, że jej syn powiedział prawdę.

Z Lokim jednak było inaczej. Przytaknął o ułamek sekundy za późno, jego reakcja była zbyt wierną kopią reakcji Anonoei. On miał zupełnie inny cel.

- Chcesz, żeby Anonoei zdobyła moc - powiedział Danny. - Chcesz, żeby stoczyła bój z Bexoi. Ale nie dlatego przyszedłeś.

- Ced - zasugerowała Leslie. - Mag wiatru, który został na Westilu.

- Zaprzyjaźniłem się z nim i sprawiłem, że przestał pustoszyć Westwold nawałnicami -

stwierdził Loki. - Wysłałem go do maga drzew, żeby nauczył się uspokajać swoje zewnętrzne ja.

To pozwoli mu zapanować nad mocą, władać nią z wyczuciem.

Wciąż nie była to cała prawda, poznał Danny.

- Czy musimy porozmawiać w cztery oczy? - spytał Lokiego.

Loki patrzył na niego tylko przez parę chwil, ale to wystarczyło, by Danny poczuł w sobie poruszenie we wrotach Złodzieja Wrót.

- Masz coś, czego potrzebuję - rzekł Loki.

- Weź je sobie, jeśli potrafisz - odparł Danny. - Ale ostrzegam cię, że teraz mam już

wystarczającą wiedzę i moc, żeby zabrać całą resztę, kiedy tylko zechcę. - I, jak sądził, mówił prawdę, chociaż nie miał pojęcia, jak silny opór stawiliby mu Loki, zwłaszcza teraz, po przejściu przez Wielkie Wrota.

- Źle mnie zrozumiałeś - powiedział Loki. - I nie mam zamiaru ukrywać przed twoimi przyjaciółmi, po co naprawdę tu przyszedłem, czego tak rozpaczliwie potrzebuję.

- Jeśli nie chodzi o twoje wrota, to o co?

- O twoje zaufanie.

Danny spojrział na Anonoei.

- Po to cię przyprowadził? Żebyś zaczarowała mnie tak, bym ufał jemu, nie tobie?

- Jeśli taki jest jego plan, czy się powiódł? - zapytała.

- Nie - odparł Danny.

- W takim razie chyba możesz uznać, że nie o to mu chodzi. Czegokolwiek od ciebie chce, mnie nic nie powiedział.

- Zaufanie nie przychodzi samo z siebie - rzekł Danny do Lokiego. - Dlaczego zależy ci na tym, żebym ci ufał?

- Trwa wojna dużo starsza od ciebie i ode mnie. Wojna, która toczy się tak długo, jak długo istnieje ludzkość. Między bogiem Belem a magami Mitheru.

Danny czekał.

- Musisz kontynuować moje dzieło - ciągnął Loki. - Wiem, że mi nie ufasz, i sam fakt, że tyle ci powiedziałem, tylko wzmógł twoje podejrzenia. Jednak wojna ta musi trwać, inaczej zostanie przegrana, a ja mam za mało wrót, żeby dalej walczyć. Od tej pory ty musisz chronić światy przed Belem.

Danny przypomniał sobie runy przeczytane w Bibliotece Kongresu.

- „Usłyszcie nas w krainie Mitherkame, usłyszcie nas wśród wielkich statków Iswegii, wśród wędrujących wydm Dapnu Dap, wśród magów Lasu i jeźdźców Woldu”.

Wyrecytował to w prastarym języku, którym inskrypcja została spisana, języku, który Loki musiał znać: fistalku lub jednej z jego odmian. Mowie Skandynawów zniekształconej pierwszymi naleciałościami semickiego języka Kartagińczyków.

- To bardzo stary tekst - szepnął Loki. - Skąd go znasz?

Danny recytował dalej:

- „Stawiliśmy czoło Belowi i zawładnął sercami wielu. Dzielni mężowie umykali sprzed jego oblicza jak jelenie, ale Loki nie uciekł”.

- Nie jestem tym Lokim - powiedział Loki.
- Czyli znasz tę opowieść? Czy to ta sama wojna, którą nadal toczysz?
- Myślał, że wygrał. Ja też. Ale my nigdy nie wygrywamy. Bela nie można zabić, więc czeka, aż każdy mur, który wznosimy, by dać mu odpór, sam się skruszy. A wtedy wraca.
- Czy został wrzucony w Słońce? I jakoś przeżył?
- Jego ciało oczywiście umarło. Ale jego wewnętrznego ja nie da się zabić, podobnie jak twojego i mojego.
- Przecież i ty, i ja kiedyś umrzemy.
- Umarą nasze ciała. Ale jak sam wiesz, zewnętrzne ja może żyć dłużej niż ciało. Tym właśnie są te prastare wrota, które tak długo trzymałem w niewoli. Wciąż żyją w Dzikich Wrotach.
- Bez wewnętrznego ja - zauważył Danny.
- Nie gadaj głupstw. Żyją tylko dlatego, że żyją też połączone z nimi wewnętrzne ja. Z nich zewnętrzne ja czerpią siłę życiową. Dzikie Wrota przepojone są gniewem tych wewnętrznych ja, wściekłych, że odebrałem im wrota.
- Czyli wewnętrzne ja Bela nie umarło razem z ciałem.
- Tysiąc lat minęło, zanim powrócił na Mittlegard, i jego gniew był straszliwy.
- Co zrobił? - spytał Danny.
- Nie wszystko, co zamierzał. Podbił świat, ale ja zamknąłem przed nim wszystkie wrota. Nie mógł zawładnąć żadnym z naszych magów i podążyć za nim na Westil, bo nigdzie nie było wrót. I w miarę jak moc naszych magów na Mittlegardzie słabła, korzyści, jakie czerpał z ich opętania, były coraz mniejsze.
- Skąd to wiesz? Kiedy wrota zniknęły, ty zniknąłeś razem z nimi.
- Gdyby nikt nie pokrzyżował mu szyków, dzisiaj nie rozmawialibyśmy ze sobą, bo w

ogóle byś się nie urodził. Język Westilu wymarłby na tym świecie. Żadna rodzina nie miałaby Ojca Wrót, który stworzyłby Wielkie Wrota. Twoje istnienie powiedziało mi, że Bel przez czternaście stuleci tkwił uwięziony na Mittlegardzie.

- I boisz się, że teraz się wyswobodzi i przejdzie na Westil wrotami, które stwarzam?

- To rzecz pewna - powiedział Loki. - A ponieważ ja nie mogę mu się przeciwstawić, a ty nie wiesz jak, błagam, zaufaj mi. Pozwól, żebym nauczył cię robić to wszystko, czego przede mną nie nauczył się nikt. Ty jeden możesz te umiejętności opanować.

- Pożeranie wrót - stwierdził Danny.

- Tamten Loki z poematu, który zacytowałeś, pożerał wrota, podobnie jak perski Ojciec Wrót, którego Bel usidlił i wykorzystał do własnych celów.

- Czego więc chciałbyś mnie nauczyć? - spytał Danny.

- Nie wierz mu - powiedział Marion. - Obiecuje ci moc. To jak kuszenie Chrystusa.

- To jest dokładnie to samo, co kuszenie Chrystusa - przytaknął Loki. - Tylko nie tak, jak się wam wydaje.

- Słyszałeś o bogu chrześcijan? - spytała Leslie z niedowierzaniem.

- Udałem się na dobrowolną banicję z Mittlegardu w 632 roku - rzekł Loki ze zniecierpliwieniem. - To było już po upadku Imperium Rzymskiego, chrześcijanie byli w całej Europie, Wschodem rządziło Bizancjum, więc oczywiście, że znam semickich bogów.

Pobierałem nauki w Egipcie, miałem wszystkie ewangelie i prastare pisma koptyjskie. Jak myślicie, czego chcę nauczyć tego chłopca?

- Skąd mamy wiedzieć? - Marion wzruszył ramionami. - Gdybyśmy wiedzieli, sami byśmy go nauczyli.

- Nauczanie ciebie wiąże się z ogromnym niebezpieczeństwem - powiedział Loki do Danny'ego - bo jeśli posiadasz tę wiedzę i dopadnie cię bóg Bel, wszystko będzie stracone i

Westil czekać będzie zguba.

- To mnie nie ucz.

- Ale ty jeden masz wystarczającą moc, by mu się przeciwstawić. Spójrz na mnie! Pomyśl o tym, co zrobiłem! Gdybym był dość silny, żeby stanąć z nim do walki, myślisz, że połknąłbym wszystkie wrota i uciekł?

- Mam nie więcej mocy niż ty.

- Jesteś po tysiakkroć potężniejszy ode mnie. Trzeba nam mojej wiedzy i twojej mocy.

Musisz mi jednak zaufać, a ja nie wiem, jak zdobyć twoje zaufanie, bo wiesz jak nikt inny, jakimi kłamcami jesteśmy my, magowie wrót.

- Nie zawsze kłamię - zaprotestował Danny.

- Tylko wtedy, kiedy mówisz - odparł Loki.

- Nie jestem taki jak inni magowie wrót. Postanowiłem nie kłamać. Świadomie zdecydowałem.

- To niedobrze. Jeśli nie będziesz umiał kłamać, jeśli nie nabierzesz w tym wprawę płynącej z długiego doświadczenia, przegrasz z Belem, bo mimo że to on jest ojcem kłamstwa, ty musisz go zwieść. Inaczej będziesz zgubiony.

- Sam to zrób! - krzyknął Danny.

- Nie byłbym w stanie, nawet gdybyś oddał mi moje wrota. Choćbym pożarł te Dzikie Wrota, to dopóki na świecie jesteś ty, on będzie zastawiał na ciebie pułapki dotąd, aż cię dopadnie; a wtedy zrobisz mu tysiąc wrót, przez które przejdzie, po czym wykorzysta twoje miliony wrót, by zawładnąć oboma światami, i nikt nigdy mu się nie przeciwstawi ani za tysiąc, ani za dziesięć tysięcy, ani za miliard lat.

Danny nie wiedział, czy mu uwierzyć, czy się zaśmiać. Zażartował więc:

- Cóż, zawsze pozostaje śmierć ciepła wszechświata.

- Nie mam pojęcia, co to znaczy.

- Ostateczny skutek entropii - wyjaśnił Danny, ale że Loki patrzył na niego pustym wzrokiem, powiedział wprost: - Koniec wszystkiego.

- Głupcze! Nie ma końca wszystkiego. To, co nazywacie śmiercią czy końcem, to nic innego jak zmiana kształtów rzeczy. Kto ci naopowiadał takich bzdur? Takie kłamstwa są na rękę tylko Belowi.

Danny schował twarz w dłoniach. Z całej jego postaci biło znużenie, lecz zachował czujność, na wypadek gdyby Loki wykorzystał tę chwilę jego zadumy i uciekł się do jakiegoś podstępu.

I wtedy Loki zaatakował.

Danny w skarbcu serca, w miejscu, w którym trzymał wszystkie oprócz ośmiorga wrót Lokiego, poczuł ożywienie. Ożywienie w stu tysiącach wrót, które składały się na zewnętrzne ja Lokiego - teraz wyczuwał je wszystkie i bez liczenia wiedział, ile ich jest. Sto czterdzieści trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesięcioro czworo; wszystkie bez wyjątku poruszyły się wewnątrz Danny'ego i stały się...

Jego sługami.

Krzyki ucichły, pomijając słabą szamotaninę pozostających w jego skarbcu serca więźniów, których Loki pojmał tak dawno temu. Wszystkie wrota Lokiego, te, które stanowiły części jego zewnętrznego ja, zamilkły. Chociaż nie, nie zamilkły. Stały się czujne. Gotowe wykonać wolę Danny'ego. Tak jak jego własne wrota.

- Daję ci je - powiedział Loki.

- Co to znaczy?

- Są twoje. Możesz z nich budować. Tkać z nich. Jeśli ich użyjesz, nie zbuntują się.

- Nie możesz dać mi czegoś, co jest częścią ciebie.

- Mogę i to zrobiłem. Jak inaczej mi zaufasz?

- Ale nadal są z tobą połączone.

- To prawda - przyznał Loki. - Wrota, które ci zostawiam, dalej będą mi pokazywać, co myślisz i pamiętasz, co widzisz i robisz. Nic na to nie poradzę, tak ten świat jest urządony. Ale uwierz mi, należą do ciebie. Nie mogę ich odzyskać, chyba że oddasz mi je z własnej woli. Co, mam nadzieję, pewnego dnia nastąpi. Ale jeśli nie, pozostaną twoje na zawsze.

- Albo do mojej śmierci - zauważył Danny.

- Albo dopóki nie usidli cię Bel. Wtedy wszystkie staną się jego własnością. Chcę zdobyć twoje zaufanie, pokazując, że ufam ci bezgranicznie. Tych ośmioro wrót, które mi zostawiłeś, zatrzymuję tylko dlatego, że bez nich nie mógłbym pomagać Cedowi i Anonoei na Westilu. Jeśli pozwolisz, zaraz tam wrócę. I zabiorę ją ze sobą.

Enopp słuchał w głębokim skupieniu. Teraz wyraźnie się zaniepokoił.

- Zabierzesz ją?

- Tak - powiedziała Anonoei. - I zostawimy was tutaj, w bezpiecznym miejscu, jeśli ci dobrzy ludzie się zgodzą.

- Nie! - Enopp zerwał się na równe nogi. Jego krzesło odskoczyło do tyłu, ale nie upadło. -

Nie możecie mnie tu zostawić!

Wtedy, ku zaskoczeniu Danny'ego - ku zaskoczeniu wszystkich - Eluik położył dłoń na ramieniu Enoppa i stanowczo posadził go z powrotem na krześle. Starszy chłopiec nie odezwał się ani słowem, ale Enopp zamilkł, spojrział na niego i wybuchnął płaczem.

- Mówi, że muszę zostać. I on też.

- Przecież nic nie powiedział - zdziwiła się Anonoei.

- Ach, teraz widzę - rzekł Loki. - Jego zewnętrzne ja ukrywa się w Enoppie. Tam się prznosił, kiedy ich więziłem. Musiał wysyłać swoje zewnętrzne ja do brata, żeby podtrzymywać

go na duchu. Przez cały czas w nim siedział.

Leslie położyła rękę na głowie Eluika.

- Powinnam była się zorientować, ale przez myśl mi to nie przeszło. Tak, wniknął w niego jak w brata serca.

- Czyli możesz zerwać więź między nimi? - zapytał Marion.

- Nigdy nie próbowałam tego zrobić zaklinaczowi ludzi.

- Jest zaklinaczem ludzi? - spytała Anonoei.

- Nie wiadomo - powiedział Loki. - Jest za młody, żeby to można było ocenić.

- Jest za młody, żeby wysłać z siebie zewnętrzne ja - zauważył Marion. - Ale to zrobił.

- Nieświadomie - stwierdził Loki. - Skąd miał wiedzieć, co robi? To nie jest magia, przynajmniej nie magia wyćwiczona. I jeśli wbrew jego woli zerwiesz więź między nimi...

- Nie wiemy, jaka jest jego wola? - wtrąciła Anonoei. - Może opiekował się bratem i teraz nie umie wrócić do siebie.

- Jak zewnętrzne ja w zapakowanym w wór klancie - rzekł Danny, wspominając, że w ten sposób uwięził swoje kuzynki.

- Właśnie - przytaknął Marion.

- Ten chłopiec tak bardzo się troszczył o brata - powiedziała Leslie - że zupełnie zapomniał o sobie. Nie słyszałam jeszcze o tak wielkiej miłości.

- Chcecie, żebyśmy się zaopiekowali tymi malcami - stwierdził Marion.

Loki nie odpowiedział.

Teraz Danny zrozumiał.

- Muszę oddać ich komuś pod opiekę. On i Anonoei mają zadanie do wykonania i nie chcą narażać chłopców na związane z tym niebezpieczeństwo. Ale zanim tu przyszedł, nie wiedzieli, że istniejecie.

Loki spojrział na Anonoei. Ukryła twarz w dłoniach.

- Nie chcę ich zostawić.

- Ale i nie chcesz zabrać ich ze sobą - dodał Loki.

Danny przeniósł wzrok z Mariona na Leslie. Oboje stali za plecami chłopców.

- Chcecie się nimi zająć, prawda?

- Zaczęli stosować magię dużo za wcześnie - powiedział Marion. - Kto wie, jak to wpływa na dziecko?

- Ja im to zrobiłem - rzekł Loki. - Nie miałem pojęcia, że taki może być tego skutek, ale wtedy zupełnie o to nie dbałem. I przez to wciąż są więźniami.

- Eluikowi nic nie jest - odezwał się Enopp. - Mówi, żebyście zostawili go w spokoju.

- Nikt nic mu nie robi - zapewnił Marion.

- Na pewno nie ja - powiedziała Leslie. - Musi się nauczyć przygarniać do siebie swoje zewnętrzne ja. - Spojrzała na Lokiego. - Zagubił się, to wszystko, prawda?

- Nie - odparł Loki. - To nie takie proste. Jego zewnętrzne i wewnętrzne ja nie są w pełni rozłączne. Jest za młody. Wysłał z siebie zewnętrzne ja, choć jeszcze nie wie, jak to bezpiecznie robić. Dlatego ono wciąż jest mocno związane z jego wewnętrznym ja. Obie części jaźni Eluika, Ka i Ba, w równym stopniu tkwią w Enoppie, co w nim samym. Gdyby oddzielić go od brata, mógłby tego nie przeżyć. A jego wewnętrzne ja mogłoby przepaść.

- Nie jest zagubiony - wtrącił Enopp. - Jest tam, gdzie chce być.

- Bo jest młody i głupi - stwierdził Loki. - Spełnił dobry... szlachetny uczynek. Ale jego ciało nie przetrwa w takim stanie. Ka musi do niego w całości powrócić. Bez tego grozi mu, że utraci swoje ciało. A wtedy żyłby tylko w tobie, Enoppie.

- Może zostać, jak długo chce.

- To tak nie działa. Nie przejął jeszcze władzy nad tobą tylko dlatego, że wciąż jest

częściowo połączony z własnym ciałem. Gdyby jednak ta więź się zerwała, zaczęlibyście walczyć ze sobą o panowanie nad twoim ciałem.

- Wcale nie.

- Kto to powiedział? - spytał Loki. - Ty czy Eluik twoimi ustami?

Enopp zamilkł. Zamyślił się.

- No właśnie - przytaknął Loki. - Eluik wniknął w ciebie, żeby cię chronić, strzec. Ale jeśli nie wróci do własnego ciała, jego ciało prędzej czy później umrze. A wtedy Eluik stanie się taki jak bóg Bel. Samodzielne Ka połączone z ciałem innego człowieka.

- Ciągłe używasz nieznanymi mi słów „Ka” i „Ba” - zauważył Danny.

- Jeśli mi zaufasz, wszystko ci wyjaśnię - zapewnił Loki. - Ci chłopcy są ściśle ze sobą związani i nie chcą tego zmieniać. Kto wie, może Enopp w duchu błaga brata, żeby go nie opuszczał. Może nawet nie zdaje sobie sprawy, że to robi.

- Wcale nie - rzekł Enopp. - Jak chce, może odejść, już się nie boję.

- Może Eluik ci nie wierzy. Albo nie potrafi cię opuścić. A może boi się tak jak ty, Enoppie, nie bałeś się nigdy. Może to on szukał u ciebie otuchy, nie odwrotnie. Nie wiem. Ty nie wiesz. On nie wie. Tak czy tak, musi jakoś dojść z tym do ładu i wrócić całym sobą do swojego umysłu, bo inaczej zmieni się w coś straszliwego.

Enopp miał upartą minę.

Taką samą miał Eluik. Jedyna różnica była taka, że Enopp patrzył na Lokiego, a Eluik nie patrzył na nikogo.

- Nikt cię do niczego nie zmusi - powiedział Loki. - Prawda? - Spojrzał po wszystkich dorosłych.

Twarz Anonoei wyrażała rozpacz i strach.

- Nie mogę ich zostawić.

- Nie jesteście z nimi. Nie w takim stopniu, w jakim oni są ze sobą. - Loki zwrócił się do

Mariona i Leslie. - Danny wam ufa. Kocha was. Tą częścią mnie, która w nim jest, widzę, jak głęboko sięga ta miłość. Uważa was za dobrych ludzi. Czy słusznie? Tylko bez niedorzecznej skromności... nie macie złych zamiarów wobec tych dzieci, prawda?

- Nigdy bym nie pozwoliła, żeby stała im się krzywda - powiedziała Leslie.

Marion skinął głową. Ale był strapiiony. Danny rozumiał dlaczego.

- Nie możecie jednocześnie pilnować Dzikich Wrót i tych chłopców.

- Możemy pilnować wszystkiego na naszej farmie - stwierdził Marion. - Ale może się zdarzyć, że broniąc dostępu do wrót, będziemy musieli robić rzeczy niesprzyjające zapewnieniu tym chłopcom bezpieczeństwa.

- Musicie pilnować wrót - zastrzegł Loki.

- Chrzanić wrota - rzucił Danny. - Chrońcie dzieci.

- Mówisz tak, bo nie wiesz, z czym mamy do czynienia - rzekł Loki.

- Mówi tak, bo jest lepszym człowiekiem od ciebie - powiedziała Anonoei.

- Nie przeczę - odparł Loki. - Ale Danny North nie zdaje sobie sprawy, z jakim potworem walczymy... nie są to rodziny magów, tylko bóg Bel. Wolałbym, żeby tych chłopców rozszarpały psy, niż żeby Bel przeszedł przez Wielkie Wrota. - Zanim ktokolwiek mógł zareagować na jego bezduszność okrzykiem czy jękiem przerażenia, Loki uniósł dłoń. - Gdybyście wiedzieli to co ja, byłibyście tego samego zdania. Straszliwy wróg szykuje się do tego, żeby podbić oba światy i nieodwołalnie rządzić nimi po wsze czasy. Jego panowaniu nie byłoby kresu. Zwłaszcza gdyby opętał Danny'ego. Pozwoliłbym każdemu z was umrzeć, byle nie dać temu nieskończonemu złu osiągnąć takiej dominacji. Umarłbym sam, gdybym miał pewność, że moja śmierć go powstrzyma.

Wszyscy milczeli.

- To wszystko hipotetyczne rozważania - powiedział wreszcie Danny. - Chcesz, żeby chłopcy byli bezpieczni i żeby bezpieczne były wrota. My też. Nie tobie jednak decydować, jak mama i tata mają postąpić, kiedy przyjdzie co do czego. To zależy tylko od nich. Pytanie więc jest takie: Powierzysz im chłopców?

Loki położył dłoń na czole.

- Nie mogę od was oczekiwać, żebyście zrozumieli to, co ja wiem. Jak moglibyście w to uwierzyć, nawet gdybyście to pojęli? - Wstał. - Anonoei, jeśli ja mogę oddać moje wrota Danny'emu Northowi, ty możesz powierzyć synów tym dobrym ludziom.

- On odebrał ci wrota.

- To prawda - przytaknął Danny. - Ale on potem mi je oddał. Nie jestem pewien, jak to zrobił... lecz są mi posłuszne.

- Albo zostaw synów z Marionem i Leslie, albo zostań tu z nimi - rzekł Loki. - Z tobą czy bez ciebie, wracam na Westil.

- Jeśli ci pozwolę - wtrącił Danny.

- Nie mógłbyś mnie powstrzymać, choćbyś chciał.

- Mógłbym pożreć te Dzikie Wrota.

- Gdybyś mógł, już by ich nie było.

- A ty możesz to zrobić? Bo jeśli tak, to śmiało.

- Trzy czwarte tych wrót należy do ciebie. Za małą mam moc, żeby połknąć jakiegokolwiek twoje wrota. Ale ta ćwiartka wrót, która do ciebie nie należy... nie wiesz, jak ją rozpleść. Nie umiesz nawet połknąć czynnych wrót, które nie są twoją własnością.

- Naucz mnie - poprosił Danny.

- Tylko sam możesz się nauczyć. Ja ci tego nawet nie zademonstruję, bo mam za mało zewnętrznego ja, żeby stworzyć Wielkie Wrota, a poza tym nigdy nie zdobyłbym się na taką

zuchwałość, by robić Wielkie Wrota z gniewnych, zniewolonych zewnętrznych ja.

- Innymi słowy nigdy ci do głowy nie przyszło, że tak można, nigdy tego nie wypróbowałaś i teraz chcesz, żeby było mi głupio, że to zrobiłem.

Loki patrzył na niego przez długie parę sekund.

- Wszyscy magowie wrót myślą, że pozjadali wszystkie rozumy.

- Ty to wiesz najlepiej - odparował Danny.

Loki wyciągnął rękę do Anonoei.

- Idziesz czy nie? Za długo jestem na jednym świecie z Belem. On mnie zna. A ja nie mam dość siły, żeby już teraz się z nim zmierzyć. Dlatego nie będę czekał ani chwili dłużej.

Anonoei z bólem jeszcze raz spojrzała na synów.

- Eluiku, Enoppie, kocham was - powiedziała. - Obiecuję, że wrócę. Proszę, bądźcie posłuszni tym ludziom. I, co najważniejsze, postarajcie się jakoś rozdzielić, żeby każdy z was znów stał się sobą.

- Już - uciął Loki.

Anonoei chwyciła go za rękę.

I zniknęli.

Danny wyczuł, że Loki stworzył wrota i że je zabrał, gdy tylko przez nie przeszli. Ledwie znaleźli się w oborze, Danny poczuł, że przemieścili się znowu, tym razem Dzikimi Wrotami na Westil.

- Czy mama umrze? - spytał Enopp.

- Nie - powiedziała Leslie.

- Nie zaczynajmy od okłamywania tych chłopców - stwierdził Marion. - Nie wiemy, co ona i Loki planują ani jak sobie poradzą. Ale sądzę, że Anonoei rzeczywiście zamierza po nich wrócić, jeśli tylko będzie mogła.

- Nie kłamałam. Dodawałam im otuchy.

- Loki jest najstarszym, najmądrzejszym magiem na obu światach - dodał Danny. - I opiekuje się waszą matką.

Enopp skinął głową.

- A nauczysz mnie być magiem wrót?

- Tak, jeśli rzeczywiście się nim okażesz. Przekonamy się za co najmniej kilka lat.

- Słowo?

- Szczera deklaracja intencji. Ale skoro nie znam przyszłości, nie zamierzam składać obietnic, których mogę nie móc dotrzymać. - Danny zwrócił się nad głową Enoppa do Mariona i Leslie. - Muszę iść do szkoły. Poradzicie sobie?

- Nasze życie nieco się skomplikowało - stwierdziła Leslie. - Ale co złego może się wydarzyć? - Obdarzyła go swoim najśłodszym, najbardziej sarkastycznym uśmiechem.

- Za to was kocham.

Danny wrócił wrotami do swojego małego domu. Dopiero kiedy spojrzał na własną kuchnię, dotarło do niego, że zapomniał wziąć od Leslie kilku kromek opiekanego chleba na śniadanie.

14

LOJALNOŚĆ

Kil był najbardziej lojalnym sługą, jakiego władca może sobie wymarzyć. Tak uważali wszyscy oprócz niego samego. Kil wiedział jednak, że to mylne wrażenie, powstałe czystym zbiegiem okoliczności.

Za młodu zwany był Deską, bo odpowiadał za remonty królewskich statków. Rzemiosła nauczył go jego ojciec, Deska bowiem był synem Deski syna Deski, trzecim z rodu mistrzów ciesielskich, którzy potrafili przywrócić uszkodzony statek do stanu pełnej sprawności.

W odróżnieniu od ojca, zrzędy i marudy, Kil, kiedy jeszcze był Deską, nigdy na nic się nie skarżył. Gdy wojna z Grayem zakończyła się klęską i traktat pokojowy zabronił Iswegii mieć więcej niż sześć małych okrętów bojowych, nadających się tylko do poskramiania piratów, Deska tego układu nie krytykował, nie potępiał też ojca króla Prayarda za to, że rozpętał i przegrał wojnę.

Po cichu zajął się naprawą wszystkich statków, które zdołały wrócić z wojny. Pięć najmniejszych i najszybszych przerobił na śmigłe okręty, które miały ścigać korsarzy. Pozostałe - wielkie okręty wojenne - poddał remontom, po których miały wyglądać w oczach nawet najbardziej podejrzliwych inspektorów z Grayu na zwykłe statki towarowe nadające się tylko do prowadzenia handlu, ociężale brnące przez morze od portu do portu. Kiedy Prayard został królem, przyszedł osobiście zobaczyć efekty pracy Deski. Stał na wieży z widokiem na port i patrzył, jak niezgrabne statki towarowe, które niegdyś były dumnymi okrętami wojennymi, wloką się w górę Graybourn ku dokom albo niezdarnie zmierzają wężykiem w dół rzeki, ledwo kontrolowane przez sternika. Prayard też nie narzekał.

- Dotrzymałeś słowa - powiedział do Deski. - Jak mawiał mój ojciec, dobrym sługą jest ten, kto strzeże honoru władcy.

- Jestem prawdziwym sługą króla - odparł Deska. Po czym, bardzo cicho, dodał: - Wróc, panie, nocą, a zobaczysz, jak bardzo jestem ci posłuszny.

Pięć dni później Deskę obudził jego najmłodszy syn, Węzeł.

- Gość bez imienia - powiedział chłopiec i Deska wiedział, że musi to być król.

Nie padło ani jedno słowo, lampa rzucała cienką wiązkę światła tylko wtedy, gdy Deska unosił szczerze okrywającą ją osłonę. Poprowadził zakapturzonego gościa na pokład najbardziej niemrawego ze starych okrętów wojennych. Odprawił wartę i zabrał króla na dół, w trzewia statku, na pierwszy pokład nad zęzą.

Tam otworzył klapę w podłodze, podał latarnię królowi i zszedł na dół, do wody zęzowej.

Wokół popiskiwały i smyrgały szczury, nie zwracał jednak na nie uwagi.

- Poświęć tu, panie - poprosił cicho.

Król uniósł osłonę latarni i skierował snop światła na dłonie Deski. Deska chwycił dźwignię schowaną pod legarem i pociągnął do siebie, zakreślając łuk o długości jednej ósmej obwodu koła. Dźwignia, dotąd niedostrzegalna, teraz była wyraźnie widoczna.

- Do czego służy? - spytał król szeptem.

- Połączona jest z zamontowaną pod kadłubem przegrodą z płótna żaglowego. Dopóki dźwignia leży równolegle do legara, przegroda jest rozpięta. Blokuję przepływ wody, przez co statek płynie wolno i ociężale. Obsiadają ją pąkle. Jednak na pełnym morzu, daleko od lądu... - nie powiedział „daleko od czujnych oczu Grayów” - ...kapitan mógłby wysłać zaufanego oficera na dół, do zęzy, by ten przeszedł przez całą długość kilu i przestawił wszystkie dźwignie o ósmą część obwodu koła, a wtedy przegrody podciągną się do spodu łodzi.

Król skinął głową. Był magiem morza. Rozumiał - to spowoduje, że statek będzie płynniej sunął po wodzie. Płótno żaglowe obciążone pąklami wciąż będzie go spowalniać, ale dużo mniej.

- Oficer ten jednak będzie musiał być ostrożny - ciągnął Deska - bo jeśli pchnie dźwignie do przodu, zamiast pociągnąć do tyłu, przegrody odpadną zupełnie, zostawiając czysty, gładki kadłub. Byłby to tragiczny wypadek, bo statek przez to płynąłby szybko i pewnie jak okręt wojenny. Niektórzy mogliby pomyśleć, że doszło do złamania traktatu.

- Niezgrabna konstrukcja - rzekł król cicho. - Jaki szaleniec mógł wpaść na taki pomysł?

- Obawiam się, że była to moja własna inicjatywa, panie. Całe szczęście, że król nigdy się nie dowie, jak nieudolnie wypełniłem jego rozkaz.

- Koniecznie musisz zapoznać wszystkich kapitanów z tym mechanizmem i dopilnować, by wiedzieli, w którą stronę przestawiać dźwignie - powiedział król. - Niedobrze by było, gdybyśmy

zpełnym przypadkiem stali się właścicielami floty wojennej złożonej ze stu okrętów, gdy traktat pozwala nam mieć nie więcej niż pięć.

- Usłucham twojej rady, panie, i przeszkolę kapitanów.

Ilekcja jakiś statek zawijał do portu, Deska wysłał nurków pod wodę, by wymienili płótno żaglowe w przegrodach i sprawdzili, czy sterujące nimi mechanizmy są sprawne. Jednak nikt oprócz tych nurków nie wiedział, jak przegrody są skonstruowane, a tylko kapitanowie statków znali zasadę ich działania.

Do króla należała decyzja, jak będą liczne załogi tych ślamazarnych statków handlowych i jak dobrze przygotowane do wojny.

Dwa lata później, kiedy przełożony Deski, zarządca królewskich fabryk, przeszedł w stan spoczynku, na jego następcę wyznaczono nie jego syna, lecz właśnie Deskę.

- Dlatego, że tak lojalnie mi służysz - powiedział Prayard. - Robisz dla króla to, o co królowi nawet nie przyjdzie do głowy poprosić.

Tak oto Deska został Kilem, panem stoczni, powozowni, kuźni, sprzętu do równania dróg, zbrojowni i wszelkich innych manufaktur, które służyły królewskiej woli. Jako Kil robił wszystko, czego Prayard od niego oczekiwał, sposobił Iswegię do wojny, udając człowieka całym sercem oddanego pokojowi, i zachowywał to w tajemnicy przed wszystkimi oprócz garstki swoich podwładnych.

Jednak najgłębszą ze wszystkich tajemnic była ta: Kil wcale nie był lojalny wobec króla.

Był lojalny wobec Iswegii. Nie skał i kanionów, żyznych górskich dolin zasilanych lodowatymi potokami, wielkich fiordów wrzynających się w niegościnnie wybrzeże, wysp, na których Iswegowie zakładali faktorie handlowe i osady rybackie.

Lojalny był wobec ludzi, wszystkich razem i każdego z osobna, wobec narodu Iswegii.

Dopóki Prayard działał w interesie Iswegów, Kil wiernie mu służył. Gdyby jednak król zdradził

swoich poddanych, Kil zrobi to, co konieczne dla przetrwania i wolności jego ludu.

Dlatego właśnie, jeszcze jako Deska, nie pokazał ukrytych dźwigni w statkach ojcu króla Prayarda, był on bowiem człowiekiem, który przegrał wojnę i zdradził Iswegię, podpisując upokarzający traktat pokojowy. Prayard natomiast, takie Kil miał wrażenie, służył interesom ludu, zasłużył więc na to, by udostępnić mu flotę, z której w każdej chwili mógł skorzystać, gdyby taka była jego wola.

Król Prayard jednak z tej floty nie skorzystał. Był wdzięczny, owszem - awans Kila na stanowisko związane z większą odpowiedzialnością i władzą, nie wspominając o majątku i prestiżu, niezbitcie tego dowodził. Jednak ukryta flota wojenna pozostawała niewykorzystana.

Król nadal był mężem Ptasiego Mózdzku z Grayu, nic niewartej Bexoi. Pozwalał, by przybysze z Grayu paradowali po ulicach Kamesham i nie płacili za to życiem, pozwalał, by ambasador i jego szpiedzy panoszyli się w zamku Nassassa i żaden nie poczuł smaku trucizny czy zimnego ukąszenia sztyletu wbijającego się w ucho.

Król Prayard nie podejrzewał, że zarządca jego fabryk stoi na czele spisku mającego na celu zamordowanie królowej Bexoi i wszystkich Grayów w Iswegii, bo Kil był bardzo ostrożny. Nikt nie znał całego planu; każdy znał tylko własną w nim rolę.

Wszystko miało się zacząć od otrucia Bexoi, ale Hull, ówczesna nocna kucharka, przejrzała zamiary spiskowców i pokrzyżowała im szyki. Kil kazał ją zabić jeszcze tej samej nocy i zaczął od nowa. Doszły go słuchy o dużo mniej subtelnym planie zamordowania Bexoi uknutym przez Grayów; nie miał nic przeciwko temu, by suka z Grayu zginęła z rąk rodaków. Ten zamach jednak też zakończył się niepowodzeniem, Kil nie wiedział dlaczego.

Za trzecim razem skrupulatnie wszystko zaplanował i zrozumiał, że król Prayard też będzie musiał zginąć. Najpierw jednak należało wywieźć jego konkubinę Anonoei i jej dwóch synów z Nassassa i ukryć całą trójkę w bezpiecznym miejscu, gdzieś, gdzie nie znalazłby ich nikt z

Grayu.

I wtedy Anonoei, gotująca się do podróży, o której została powiadomiona zaledwie tego samego ranka, zniknęła razem z synami.

Wówczas Kil się zorientował, że nawet te plany, których nie zna nikt, jakimś sposobem wychodzą na jaw. W zamku jest zaklinacz ludzi, uświadomił sobie. Ktoś, kto umie zaglądać w cudze myśli, cudze serca.

Od zniknięcia Anonoei Kil wyczekiwał na właściwy moment, niczego nie planował, obserwował tylko otoczenie, szukając tego, kto porwał albo zamordował Anonoei i chłopców. Widział, jak Bexoi powiła słodkie dziecko, które wszyscy pokochali i obwołali prawowitym następcą tronu, mimo że Bexoi nie była magiem i jej pomiot niechybnie wyrósłby na drekkę lub w najlepszym razie słabego maga. Widział, jak Prayard paraduje z małżonką przed poddanymi, którzy ją pokochali, zamiast znienawidzić jako symbol ich zniewolenia przez Gray. Uradował się, kiedy to dziecko umarło, przypadkowo uduszone poduszką w swoim łóżeczku; nieostrożna piastunka została natychmiast stracona. Kil nie ruszyłby palcem, żeby ją uratować - głupcy zasługują na swój los - jednak był zadowolony z jej głupoty.

Tyle że tego samego dnia w straży zamkowej zapanowało wielkie poruszenie; wszyscy mówili o jakichś nieproszonych gościach, których należało wyciągnąć - martwych - z prastarych jaskiń pod zamkiem. Skąd ci ludzie się tam wzięli, kto dostarczał im żywność, tego nie wyjaśnił nikt, a kiedy Kil zapragnął poznać więcej szczegółów, odkrył, że wszyscy strażnicy uczestniczący w tej operacji zniknęli. Zostali odprawieni z zamku jeszcze tego samego dnia.

Bardzo to było dziwne, a Kil nie lubił nie wiedzieć, co się dzieje w Nassassa.

Nie skarżył się na to, że nikt nic mu nie powiedział; zawsze okazywał zainteresowanie tylko własnymi obowiązkami. Był sługą doskonałym, ucieleśnieniem lojalnej służby królowi.

Jednak teraz, gdy królowa Bexoi była w tak zaawansowanej ciąży, że dziecko - następca tronu,

którego koronacja oznaczać będzie trwałą dominację Grayu nad Iswegią - w każdej chwili mogło wyrwać się z jej brzucha, Kil wiedział, że przyszła pora działać, tym razem niekoniecznie subtelnie.

Powstrzymywała go świadomość, że za mało wie. Wciąż nie pojmował, jak to się stało, że poprzednie spiski zostały wykryte i udaremnione. Ostatnimi czasy królowa Bexoi nigdy nie była sama.

Poza tym na polecenie Prayarda nad jej bezpieczeństwem czuwało zbyt wielu strażników. Jednego można przekabacić, drugiego przekupić - ale pięciu? Sześciu? Ktoś w końcu by się wygadał albo zaczął się przechwalać. Kil musiał znaleźć inny sposób, by ją zabić.

Może wystarczyłoby zabić samego króla. Co mogłaby wtedy zrobić Bexoi, skoro jej dziecko jeszcze nie przyszło na świat?

Sytuacja jednak była zbyt niepewna, żeby przystąpić do działania. Gray mógłby błyskawicznie wykorzystać śmierć Prayarda jako pretekst do przejęcia władzy. Nie było sensu wywoływać chaosu, dopóki Kil nie był gotowy przekształcić go w silny nowy ład, który przywróciłby Iswegii wolność i potęgę.

Gdyby tylko Anonoei nie została uprowadzona. Gdyby tylko żył choć jeden z jej synów.

Ktoś, wokół kogo mogliby się skupić iswescy patrioci. Sam Kil nie zostałby regentem, ale dopilnowałby, żeby funkcję tę objęła zaufana osoba - może nawet Anonoei. Nie miała w sobie magii i była uległa, dałaby sobą kierować.

Cóż, kiedy zniknęła razem z synami. To był straszny czas dla wszystkich, którzy miłowali Iswegię. Gdyby tylko Prayard był lepszym królem, nie troskliwym kochankiem tej Przyjaciółki Wróbli, Bexoi.

Jedną ze zdolności Kila było to, że potrafił knuć intrygi przy wykonywaniu codziennych obowiązków; nie musiał omawiać swoich planów z innymi, rysować map ani robić notatek.

Wszystkim dookoła wydawał się wiecznie zapracowany; nie wiedzieli, o czym myśli.

Zakończyło się jego spotkanie z głowami dwóch skłóconych rodów kupieckich - niewiele zabrakło, żeby złapał obu za włosy i rąbnął ich pustymi łbami o siebie. Byli młodzi, za młodzi na tak wielką odpowiedzialność. Tylko ludzie na tyle zaawansowani wiekiem, by umieć poskromić emocje, nadają się do prowadzenia spraw handlowych.

I rewolucji. I wojny. Czasem Kil zastanawiał się, czy sam aby nie jest za młody.

Nieważne. Skoro wszystkie jego plany spełzły na niczym, wkrótce i tak się zestarzeje.

Może powinien być bardziej impulsywny, nie tak ostrożny.

Z drugiej strony ludzi impulsywnych szybko łapią i zabijają. Kil zaszedł tak wysoko dzięki temu, że był metodyczny i dyskretny.

Teraz też nie rzucał się w oczy. Był sam w swoim małym gabinecie z widokiem na dziedziniec zbrojowni. Wyjrzał przez okno na gwarne kłębowisko ludzi. Wiedział, po co każdy mężczyzna i kobieta przechodzi przez dziedziniec, wiedział, co jest w każdym wozie, co hartuje się w każdym palenisku.

- Nie odwracaj się od okna. Niczym nie zdradzaj, że nie jesteś sam.

To był głos kobiety. Głos znajomy. Anonoei.

Jeśli ona żyje, jeśli tu jest, to znaczy, że dzieje się coś ważnego i niebezpiecznego.

Dlatego Kil nic nie powiedział, nie obejrzał się. Czekał.

- A teraz, jakby znudziło ci się wyglądanie przez okno, zamknij okiennicę, stary przyjacielu.

Bez słowa - nie chciał bowiem, by ktoś patrzący z dołu zobaczył, że porusza ustami, a co za tym idzie, ma towarzystwo - zamknął okiennicę, po czym się odwrócił.

Wyglądała tak jak tego ranka, kiedy kazał jej zabrać trochę rzeczy swoich i dzieci, jedną małą sakwę, jak najmniej ubrań, żeby wystarczyło raptem na dwa dni. Zamiast tego ta głupia

kobieta ostentacyjnie wzięła się do pakowania kufra, ktoś musiał to przyuważyć i powiedzieć o tym komuś innemu, no i przez to została uprowadzona.

Wciąż jednak była piękna. Wciąż potrafiła wlać otuchę w serce swoim ciepłym spojrzeniem. Kil nie pierwszy raz pomyślał: Rozumiem, dlaczego król kocha tę kobietę. Chociaż szybko o niej zapomniał, kiedy zniknęła.

- Wybacz, że nie mogłam wcześniej przesłać ci wiadomości - powiedziała cicho.

- Bałam się, że nie żyjesz.

- Ja chwilami też. A czasem pragnęłam umrzeć. Teraz jednak cieszę się, że żyję i że mam przyjaciół. Czy jesteś moim przyjacielem?

Kil potrząsnął głową.

- Jestem lojalnym sługą...

- Och, mój drogi, stary przyjacielu. Wiem, czyim jesteś lojalnym sługą.

- Czyim? - spytał.

- Niektórzy mówią, że obchodzi cię tylko własna kariera. Inni, że służysz fabrykom, jak dawniej służyłeś stoczniom. Jeszcze inni, że liczą się dla ciebie jedynie ambicje twojej rodziny.

Wreszcie są tacy, według których służysz królowi jak wierny pies.

- Psy zwracają się przeciwko swoim panom; kiedy pan leży bez życia, kiedy kona, pies rozszarpuje jego ciało i pije jego krew.

- Jak zawsze tryskasz humorem - stwierdziła Anonoei. - Wiem, że służysz czemuś większemu od swojej kariery, rodziny czy nawet króla. Wiem, że jesteś lojalnym sługą Iswegii.

- Zamierzasz udawać, że tę lojalność podzielasz?

- Nie zapytasz, gdzie byłam?

- Nie - odparł Kil. - Jeśli nie chcesz, żebym to wiedział, skłamię; w przeciwnym razie powiesz mi to sama.

- Jestem lojalna przede wszystkim wobec moich dzieci, ale dzięki zaufanemu przyjacielowi są bezpieczne, w miejscu, gdzie nikt ich nie znajdzie, a tym bardziej nie zrobi im krzywdy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie żyją?

- Ależ nie. Żyją, są cali i zdrowi, gotowi przejąć stery królestwa, jeśli to będzie konieczne.

Mam jednak nadzieję, że obejdzie się bez tego.

Kil nie był pewien, jak rozumieć jej słowa. Gdyby na jej miejscu był ktokolwiek inny, uznaliby, że go zwodzi - że ujawnia prawdę, zaprzeczając jej. Ona jednak miała w sobie coś, co kazało mu sądzić, że mówi szczerze.

- Masz nadzieję, że pomiot Królowej Wróbli zajmie należne im miejsce?

- Moi synowie zrodzili się z miłości, nie z ambicji. Myślę, że będą szczęśliwsi, jeśli nie zostaną królami ani narzędziami w rękach tych, którzy chcieliby wynieść ich na tron. Gdyby jednak byli potrzebni, żyją i są bezpieczni. Uznałam, że powinieneś to wiedzieć.

- Miło z twojej strony, że mi to powiedziałaś. - Tonem głosu Kil mówił: „Jeśli to wszystko, żegnam”.

- Niezwykły z ciebie człowiek, Kilu. Kobieta, którą uważałeś za zmarłą, pojawia się w twoim pokoju, a ty nie okazujesz najmniejszego zaskoczenia.

- Gdybym okazywał swoje uczucia, wszyscy by wiedzieli, co kryje się w moim sercu.

- A tak wiem to tylko ja.

- Twój nowy przyjaciel jest magiem wrót - stwierdził Kil. - Inaczej nie dostałabyś się tutaj.

Strzeż się; magowie wrót zazwyczaj prędzej czy później narażają się Złodziejowi Wrót i tracą całą swoją magię. Na pewno nie chcesz utknąć w jakimś niedostępnym miejscu. Mam nadzieję, że twoi synowie są w kryjówce, z której będą w stanie wyjść na własnych nogach, kiedy wrota znikną.

Anonoei uśmiechnęła się blado, ale uprzejmie. Kil był bystry. Wiedział, co ten uśmiech

musi oznaczać.

- Ten kłamca powiedział ci, że jest Złodziejem Wrót, prawda? Nie wiesz, że magowie wrót nie są zdolni mówić prawdy? To wbrew ich naturze.

- Zastanówmy się, co teraz zrobimy - powiedziała Anonoei.

W jej głosie nie było cienia erotyzmu ani nawet ironii, a mimo to na słowa „co teraz zrobimy” myśli Kila pobiegły ku zasłanemu zmiętą pościelą łóżku w kącie izby.

- Nie teraz - rzekła Anonoei, jakby czytała mu w myślach. Niektóre kobiety zawsze potrafią wyczuć męskie żądze. A może mężczyźni po prostu bez przerwy myślą o tych sprawach, więc nie trzeba wielkiej przenikliwości, by ich przejrzeć na wylot. - Wiem, że planujesz zabić króla, ale wolałabym, abyś tego zaniechał.

- W niczym mi nie pomagasz, mówiąc to - zachnął się Kil. - Niczego takiego nie planuję.

- Taki miałeś zamiar, kiedy kazałeś mi się spakować. Usłuchałam cię, ale szykowałam się na tyle otwarcie, by ktoś to zauważył i ostrzegł króla, żeby nie dopuścił do mojego wyjazdu.

- I tak się stało?

- Ktoś go ubiegł. Nie pozwolę ci zabić króla.

Kil wzruszył ramionami.

- Skoro i tak nie zamierzam popełnić tej potwornej zbrodni...

Wtem znalazł się za drzwiami swojej izby. Nie wykonał najmniejszego ruchu, ba, nawet nie miał zamiaru się ruszyć. A mimo to przed chwilą był w izbie, a teraz stał za drzwiami.

Drzwi się otworzyły.

- Wejdz - powiedziała Anonoei. - Teraz wierzysz w moje zapewnienie, że nie zabijesz nikogo, kogo nie pozwolę ci zabić?

- A jednak jesteś maginią - stwierdził Kil.

- Na pewno?

- Chyba że podsłuchuje nas ten twój zaprzyjaźniony mag wrót i na twoje polecenie przynosi mnie z miejsca na miejsce.

- Och, on nie słucha niczyich poleceń, drogi Kilu. Masz w sobie magię żelaza. Robi to, co jej nakazujesz, twojej maszynerii nigdy nie trzeba oliwić, twoje żelazo nigdy nie rdzewieje. Na tym polega twoja moc.

- A twoja? - spytał Kil.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

Nagle jego ciało rozpaliło się pragnieniem, by wzięła go w ramiona.

A potem, równie szybko, poruszyła ręką i poczuł, że jest niegodny jej miłości. Nie chciał, by go objęła, tylko żeby zupełnie przestała go zauważać.

Wzięła jego dłoń w obie ręce i wszystkie te uczucia przysły. Teraz panowała między nimi tylko głęboka, nieprzemijająca przyjaźń. Najważniejsza przyjaźń w ich życiu.

- Zaklinaczka ludzi - wyszeptał.

- Nie chciałam, byś sądził, że jestem pozbawiona talentu - powiedziała. - Czy że moi synowie są tylko półmagami z urodzenia.

- Jak mam wierzyć własnym myślom, uczuciom czy decyzjom, jeśli możesz do woli manipulować moimi pragnieniami?

- Nie podejmuj decyzji na podstawie uczuć. Nigdy tak nie robiłeś; czemu miałbyś zacząć teraz? Zwróciłam się do ciebie, bo jesteś stały w przekonaniach. Wybrałeś cel i niezachwianie pozostajesz mu wierny. Nie chodzi mi o to, żebyś ten cel zarzucił; chcę tylko wyjaśnić, dlaczego twoja doskonała lojalność powinna skłonić cię do przyjęcia innej drogi postępowania.

- Innej? Nie mam żadnej drogi postępowania, więc trudno, żebym ją zmienił.

- Nie będę się starała wpłynąć na twoją decyzję, ale pamiętaj, że nikt mnie nie okłamie.

Jesteś subtelnym człowiekiem, Kilu, i nie zdradzasz swoich tajemnic nikomu oprócz mnie.

- Nie mam żadnych tajemnic.

- Śmierć króla Prayarda nie leży w interesie Iswegii. Tak, moi synowie żyją, ale nie sprowadzę ich tutaj, dopóki nie podrosną na tyle, by się usamodzielnic. To zły moment na chaos wywołany śmiercią władcy, który nie ma następcy, czy raczej którego następcą jest nienarodzonym dzieckiem. Rada jarlingów zażądałaby, by wybrać na króla człowieka dorosłego, co oznaczałoby koniec rządów obecnej dynastii. Ale nikt nie jest gotowy, żeby zasiąść na tronie. Nawet ty.

Wiedział, że miała rację.

- Chcę, żeby dziecko królowej Bexoi urodziło się żywe - mówiła dalej. - Dla Iswegii będzie korzystniej, jeśli w Grayu zapanuje przekonanie, że pół-Gray jest następcą tronu Iswegii.

Ponieważ porozumiewała się z nim na płaszczyźnie głębszej od mowy, doskonale rozumiał, co miała na myśli.

- Myślisz, że tym dzieckiem da się manipulować?

- Myślę, że jego matka sama zamierza zabić króla i rządzić poprzez syna Iswegią.

- I to dla ciebie powód, żeby darować tej suce życie?

- To powód, żeby trzymać króla z dala od niej.

- Zabiorę ją na daleką wyspę i porzucę na brzegu... może być?

- Spaliłaby statek, zanim wypłynąłby z portu.

- Magini ognia - domyślił się Kil. - Nie Przyjaciółka Wróbli.

- Co najmniej Pani Ognia - uściśliła Anonoei. - I tak potężna, że umie stworzyć klanta, który krwawi.

Teraz Kil zrozumiał, dlaczego Luvix był pewien, że zabił Bexoi.

- Powinienem był się domyślić - rzekł.

- Nikt się tego nie domyślił - zauważyła Anonoei.

- Oprócz ciebie.

- Ja nie polegam na domysłach. Musisz być jeszcze cierpliwszy niż do tej pory.

- A jeśli nie usłucham twojej przestrogi?

- To poproszę o pomoc kogoś innego, a tobie pozostanie patrzeć na cierpienie ludu Iswegii.

Jak powiedziałam, dla mnie nie Iswegia jest najważniejsza, lecz twoje i moje plany mogą stać się zbieżne, jeśli tego zechcesz.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytał Kil. Wierzył jej, ale wiedział też, że ta wiara zapewne bierze się z jej magii.

- Daj mi czas - powiedziała Anonoei. - Szansę, żeby zrobić w Grayu to, co niezbędne dla powodzenia moich planów. Tak pokierować wydarzeniami, by ambitny następca jarła stracił cierpliwość do swojego ojca. Niech w Grayu rozpęta się chaos, podczas gdy Bexoi będzie tutaj, zajęta karmieniem i chronieniem swojego drugiego syna. Zobaczymy, czy matczyzna miłość przewycięży w niej ambicję. Albo Bexoi zostanie tu, gdzie jest bezpieczna, albo wyjedzie... i zostawi dziecko.

Kil nie musiał powiedzieć wszystkiego, co natychmiast przyszło mu do głowy. Że Anonoei chce, by to syn Bexoi, nie jedno z jej własnych dzieci, był pionkiem w grze o tron. Że jeśli Bexoi zostawi syna i wyjedzie, malec będzie pod kontrolą Kila. Że jeśli zabierze syna ze sobą i coś im się stanie, król Prayard pozostanie bez następcy. Jeśli zaś Bexoi zostanie tu, w Nassassa, pod ochroną Prayarda, Anonoei będzie miała wolną rękę, by wraz ze swoim przyjacielem, magiem wrót, siać zamęt w Grayu.

Sam Kil nie byłby w stanie uknuć doskonalszej intrygi.

- Chciałbym wierzyć, że przystaję na twój plan z własnej woli - rzekł.

- Nie jestem aż tak silną zaklinaczką ludzi - odparła Anonoei. - Nie mogę cię zmusić, żebyś chciał czegoś, czego nie chcesz. Żebyś bał się czegoś, czego się nie boisz. Ani żebyś pomyślał o

czymś, czego już nie wiesz.

- W takim razie co możesz robić?

- Mogę wywierać wpływ na ludzi słabego charakteru, którzy nie wiedzą, czego chcą, nie są dość rozumni, by bać się tego, czego powinni się bać, i sądzą, że wiedzą to, czego nie wiedzą. To właśnie w zaklinaniu ludzi jest najgorsze: wszyscy nasi słudzy są słabi i nudni. Przychodzę więc do ciebie po to, żebyś został nie moim sługą, lecz przyjacielem i sojusznikiem.

Kil przypomniał sobie, jak swoim dotykem sprawiła, że zaczął jej pożądać.

Ta myśl musiała się odbić na jego twarzy, bo Anonoei pokręciła głową.

- Nie obudziłam w tobie uczuć, których nie masz. Uświadomiłam ci, co czuleś zawsze.

I wiedział, że to też prawda. Że przez cały czas, kiedy król kochał Anonoei, Kil również jej pragnął, choć ukrywał swoją żądzę nawet przed samym sobą.

- Chcę coś wyjaśnić - oznajmiła Anonoei. - Wiem, że ta żądza w tobie siedzi, i rozmyślnie tego nie wykorzystuję. Na cokolwiek się zdecydujesz, musisz to zrobić z pełną świadomością faktu, że nigdy nie będę twoja. Mam tylu synów i tylu mężów, ilu mi potrzeba i ilu chcę.

Rozumiesz?

Zupełnie jakby postawiła w jego lędźwiach mur z lodu.

- Nie działałam z takich pobudek - rzekł.

- Dlatego warto z tobą współpracować. Jesteś dobry w tym, co robisz, ja jestem dobra w tym, co robię, każde z nas w miarę własnych możliwości. Mag przeciwko magowi, ani ja, ani ty, ani być może nikt na tym świecie nie może się równać z Bexoi. Ale my nie będziemy szukać z nią zwady. Przeciwnie, staniemy u jej boku, będziemy chronić ją i jej syna. Dopóki ona i ten chłopiec będą żyć, dopóty Gray rozdierany będzie sprzecznymi ambicjami. A ona poprzez dokonywane przez siebie wybory ujawni swoje prawdziwe oblicze i w końcu zdradzi samą siebie.

- Masz plan dużo głębszy od tego, który mi wyjawiasz - powiedział Kil.

- Także i ty będziesz miał plany ukryte w planach. Ale ja dotrzymuję słowa. Wiem, że ty też. Dlatego jeśli obiecasz, że będziesz działał ręką w rękę ze mną, zyskam pewność, że pozostaniesz moim sojusznikiem, dopóki nie powiadomisz mnie ze stosownym wyprzedzeniem, że nasze przymierze dobiegło końca.

- Dobrze mnie rozumiesz. Zawrę z tobą sojusz. Nie odbiorę królowi życia. Będę chronił Bexoi i jej dziecko. Dam ci czas na to, żebyś knuła swoje intrygi w Grayu.

Anonoei się uśmiechnęła.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś urodzonym królem Iswegii. Bo ty jeden działasz dla dobra ogółu, nie tylko dla swojej rodziny czy własnych ambicji.

- Nie mam żadnych ambicji.

- Masz wielkie ambicje patrioty. - Anonoei wzięła go za ramiona i pocałowała w usta, nie jak mężczyznę, tylko jak brata, przyjaciela. - Licz na mnie, a ja będę liczyć na ciebie.

I nagle zniknęła z izby. Mag wrót ją zabrał.

A Kil został sam ze swoim głębokim pożądaniem do niej, które nigdy dotąd nie sprawiało mu bólu, bo nie zdawał sobie z niego sprawy. Umarłby za nią, zabiłby dla niej. Kochał ją bardziej niż swoją żonę i dzieci, bardziej niż własne życie. Bardziej niż kochał Iswegię.

Gdyby tylko posłużyła się swoją mocą, by zabić w nim tę potężną żądzę.

Chociaż kim byłby bez tej żądzę? Co nosiłby w sercu, gdyby opuściła je ona?

15

NA AUTOPILOCIE

To nie był prawdziwy mityng lekkoatletyczny. Oficjalnie był to „mecz pokazowy” między szkołą imienia Parry’ego McCluera a szkołą z hrabstwa Rockbridge, zorganizowany na kilka miesięcy przed otwarciem sezonu. Coś jak sparing dwóch bokserów dla utrzymania formy. Albo

towarzyski mecz piłkarski. Krótko mówiąc, nie nadzwyczajnego.

Tyle że trener Lieder, sądząc z jego zachowania, postrzegał to zupełnie inaczej. Jakby od wyniku każdej konkurencji zależały losy rodzaju ludzkiego. Jeśli wygrywał sportowiec ze szkoły McCluera, zagrożenie dla świata oddalało się o rok. Jeśli zaś pierwsze miejsce zajmował dzieciak z Lexington, tym bliżej było do lądowania statku szturmowego obcych i zniewolenia ludzkości.

Lieder nie pieklił się na pokonanych; on popadał w przygnębienie. W którymś momencie powiedział nawet: „Jesteśmy zgubieni, jesteśmy zgubieni”. Mimo że jego drużyna miała lekką przewagę nad rywalami.

Kiedy kierownik drużyny - drugoklasista, którego Danny słabo znał - zwrócił mu na to uwagę, Lieder spojrzał na niego z politowaniem.

- Och, nie jesteśmy tak kiepscy jak Rockbridge. To jakby pójść na randkę z brzydką dziewczyną i stwierdzić: „Cóż, przynajmniej oddycha”.

Danny podejrzewał, że kierownik drużyny w życiu nie był na randce, więc spotkanie z dziewczyną, która oddycha, to zapewne byłby dla niego spory postęp. Chłopak jednak roztropnie trzymał język za zębami.

Danny łatwo wygrał biegi na tysiąc sześćset i trzy tysiące dwieście metrów, ale Lieder i tak mu wytknął, że nawet nie zbliżył się do swoich rekordów.

- To był wyścig - zauważył Danny. - Wygrałem.

- Ale się nie przyłożyłeś.

- Nie musiałem - odparł Danny. I wtedy przyszło olśnienie. - Chce sor, żebyś pokazał konkurencji, na co mnie stać? W listopadzie?

Lieder przemyślał to.

- Czyli uważasz się za naszą tajną broń.

- Biegam wyczynowo dopiero kilka tygodni. Jeśli jestem bronią, to taką, która jest tajna

nawet przede mną.

Lieder odwrócił się i odszedł. Co w jego wydaniu było prawie przeprosinami.

Potem jednak trener wpadł na genialny pomysł, by bez przygotowania wystawić

Danny'ego do biegu na dwieście metrów.

- Jestem zmęczony - powiedział Danny.

- Ty się nie męczysz - stwierdził Lieder.

- Ale i tak mam dosyć na dziś - upierał się Danny.

- Ricken kuśtyka i rozczuła się nad sobą. Jak z nim wystartujesz, bardziej się spręży.

Danny był członkiem drużyny, musiał zatem słuchać trenera, musiał spełniać wymagania nawet zbyt wysokie na mało znaczącym mityngu. Poszedł na linię startu.

Bieg na dwieście metrów to taki nieco dłuższy sprint; dystans jak z jednego krańca boiska futbolowego na drugi i z powrotem. Była to jednak koronna konkurencja Rickena i Danny nie zamierzał mu narobić wstydu. Mimo że Ricken patrzył na niego bykiem, jakby to jego, Danny'ego, pomysłem było, żeby zgłosić się do tego biegu.

Danny nasunął wrota na Rickena, na wypadek gdyby chłopak rzeczywiście, jak twierdził, miał kontuzjowaną kostkę. Potem, żeby było sprawiedliwie, przepuścił także wszystkich pozostałych uczestników biegu przez wrota, które nie ruszyły ich z miejsca, ale usunęły ewentualne zmęczenie, urazy przeciążeniowe czy skurcze. Niech wszyscy mają równe szanse, pomyślał Danny. Niech każdy pokaże, na co go stać.

Okazało się, że Rickena jednak stać było na więcej niż Danny'ego. Inna sprawa, że Rickenowi zależało na wygranej, a Danny był zmęczony. Nie przeniósł samego siebie przez wrota, więc wciąż odczuwał skutki dwóch dłuższych biegów. Chociaż, szczerze mówiąc, wcale nie musiał na ostatnich metrach dać się wyprzedzić Rickenowi. No ale Rickenowi bardziej zależało, a Danny nie chciał wyjść na dupka.

- Ty dupku - wysapał Ricken za linią mety. - Dałeś mi wygrać.

- To znaczy co, nie podłożyłem ci nogi? - zapytał Danny. - Nie odepchnąłem cię?

- Nie biegłeś sprintem.

- Biegałem już dzisiaj na trzy dwieście i tysiąc sześćset. Nie miałem sił na sprint.

- Ty kretynie! - krzyknął Lider, truchtając w ich kierunku.

- To do mnie czy do ciebie? - spytał Danny.

- Pewnie do mnie, bo ty nie jesteś kretynem, tylko dupkiem - stwierdził Ricken. Lekko uderzył Danny'ego pięścią w ramię i poszedł. Obaj wiedzieli, że adresatem wrzasków Lidera jest Danny.

- Jak wystawiam cię do biegu na dwieście metrów, masz przebiec dwieście metrów!

- Tak odsadziliśmy tych z Rockbridge, że nawet naszego potu nie powąchali - powiedział Danny. - I po Rickenie nie było znać kontuzji, prawda?

- Nie wystawiam cię do biegu, żeby motywować innych - stwierdził Lider. - Wystawiam cię, żebyś wygrał.

Danny milczał.

- Masz coś na swoją obronę?

- Poza tym, że już wygrałem dwa biegi?

- Bez wysiłku.

- Ale i bez porażki.

- Ty nadal toczysz ze mną wojnę, co?

- Nie, sorze. Dwieście metrów to dystans Rickena. Jest w tym ode mnie lepszy.

- Bzdura - odburknął Lider.

Danny nachylił się ku niemu i zniżył głos.

- Powiedziałem sorowi, że się nie ścigam. Nie znoszę współzawodnictwa. Ricken biega,

żeby wygrać. Zależy mu.

- Tobie też powinno.

- Gdybym poważnie traktował lekkoatletykę - stwierdził Danny - czy chodziłbym do szkoły McCluera i trenował z sosem? - Odwrócił się i poszedł. Nie w stronę trybun. Nie w stronę drużyny. Ku ogrodzeniu, które przesadził niemal jednym susem, a potem na drugą stronę drogi. Niewtajemniczonemu mogłoby się zdawać, że odchodzi z drużyny. Sam Danny widział to tak, że jego ostatnia konkurencja się skończyła, więc po prostu opuścił stadion.

Lieder też musiał tak to odebrać, bo nie wrzasnął na Danny'ego, by wrócił, cholera jasna, do drużyny, ani nie obrzucił go zwykłymi obelgami.

Choć może to dlatego, że była przy nim Nicki i coś do niego mówiła. Może go uspokajała. Albo tłumaczyła mu, że lubi wkładać język do ust Danny'ego, więc niech tata chłopaka nie wkurza. Wszystko jedno.

Danny nie poszedł na parking, na którym czekał autokar drużyny. Pobiegnął Greenhouse Road, oddalając się od drogi numer 11. Niech pomyślą, że chce się wyładować.

Tak naprawdę podążał śladem głosów.

Nauczył się ignorować zgiełk zniewolonych wrót; były to nie tyle głosy, ile nieokreślone tęsknoty, których nie mógł odnieść do niczego, co znałby z własnego doświadczenia. Te wrota wydawały mu się odległe, chociaż było mu przykro z powodu ich długiej niewoli. Właśnie przez to niejasne współczucie, jak sądził, włączył najbardziej nachalne z nich do Wielkich Wrót powstałych w oborze Silvermanów. I proszę, jak dobrze na tym wyszedł.

Jednak z głosami dobywającymi się z wrót Lokiego było zupełnie inaczej. Z początku ich uporczywe zawodzenie przypominało puls wielkiej bestii, drugie serce bijące gdzieś w jego ciele.

„Wrota, wrota, wrota”, powtarzały; a kiedy stworzył Wielkie Wrota, jakby wpadły w panikę. Te głosy jednak też tłamsił w sobie i trzymał na dystans, żeby mógł się skupić na innych sprawach.

Domyślał się, że to trochę tak, jakby mieć szumy uszne, słyszeć, jak niektórzy, nieustające brzęczenie. Po prostu trzeba się nauczyć to wygłaszać.

Jednak od czasu, kiedy Loki te wrota mu oddał, wszystko się zmieniło. Nieustające pulsowanie „wro-ta, wro-ta, wro-ta” ucichło. Zrazu miał wrażenie, że jego miejsce zajęła cisza, pomijając odległy zgiełk pozostałych w nim zniewolonych wrót innych magów.

Nie była to jednak cisza. Było to coś innego. Wrota Lokiego, dotąd wręcz obłąkane w swojej monomanii, stały się czujne. Danny był obserwowany. Ale nie wrogo, nie przez obcego. Jakby do najskrytszej części jego umysłu, tej, która śledziła jego świadome myśli i na nie reagowała, dołączyły najskrytsze części innych umysłów. Nie osądzały go, ale czyniły sugestie. Trochę mu zajęło, zanim to zrozumiał. Wrota Lokiego nie mówiły słowami. Nawet to dawne „wrota, wrota, wrota” nie było wypowiedane w żadnym języku. To było coś głębszego niż język. Danny wiedział, co znaczy ten puls pragnienia. Nie potrafił jednak nazwać języka, którym był wyrażany, i w końcu uznał, że to w ogóle nie był język. To była mowa wewnętrzna. I tak rozmawiał z nimi w tej chwili.

Zatem głosy, ale nie słowa. A mimo to, kiedy przypominał sobie ich rady, nawet po ułamku sekundy, myślał o nich słowami. Własnymi słowami. Własnym językiem. Tak samo jak jego świadomość przekładała na język impulsy docierające z głęboko ukrytych, stale czuwających pokładów umysłu. Kiedy Loki oddał utracone przez siebie wrota Danny'emu, stały się one jego najbliższym przyjacielem. Były po jego stronie. Ich rady miały mu pomóc lepiej sobie radzić. Niewiele je obchodziło, jak ułożą się jego stosunki z trenerem Liederem, bo i sam Danny nie szczególnie się tym przejmował. To był tylko element codziennego życia w szkole średniej, które tak pragnął poznać, tyle że odkąd wkręcił się do Parry'ego McCluera, sprawy potoczyły się dość dziwnie i teraz Danny nie bardzo widział cel całego tego przedsięwzięcia, jakim jest amerykańska oświata publiczna. Praca domowa? Serio? Drużyna lekkoatletyczna? Już jedynie

zachowywał pozory, nic więcej.

Tylko jedno w szkole średniej było dla niego autentyczne: przyjaciele. Uczucia, jakimi ich darzył. Wrota Lokiego się z tym zgodziły. Podpowiadały mu, jak wobec przyjaciół postępować, choć większość rad pokrywała się z jego własnymi zamiarami. Nie rób Xenie złudzeń, że odwzajemniasz jej wymaginowane uczucie - odfajkowane. Pat może stać się dla ciebie kimś ważnym; w miarę możliwości nie zadzieraj z nią ani jej nie rań. Załatwione. Ufaj Halowi, bo można na nim polegać, ale pamiętaj, że Wheeler jest niewolnikiem swoich zachcianek i nie umie dotrzymać słowa. Jasne, jasne.

Teraz, kiedy biegł od szkoły w Rockbridge pod górę Greenhouse Road, a potem stromo w dół, zorientował się, że wrota Lokiego są muzyką nadającą jego biegowi rytm i znaczenie. Edukacja, o tym mówiły. Nauka. Musisz się uczyć. Nie chodziło im jednak o matematykę czy wiedzę o społeczeństwie. Wrota Lokiego uważały, że są sprawy, o których koniecznie musi wiedzieć, a nie wie.

Zapytał je więc w duchu: Co takiego muszę wiedzieć?

Mag Bela. Zagrożenie ze strony maga Bela. Niebezpieczeństwo, które kazało nam pozamykać wszystkie wrota, nie dopuścić do powstania Wielkich Wrót. Zagrożenie ze strony maga Bela.

Danny'emu od razu przypomniała się inskrypcja w fistalku zawarta w księdze, którą przeglądał w Bibliotece Kongresu. „Wtedy Loki skręcił nowe wrota do niebios... I oto Odyn zdruzgotał potęgę Kartaginy, aż ci, co ocaleli, szlochali we krwi własnych dzieci”. Paskudne obrazy. Dawne czasy.

Jasne, jakby Hitler, Stalin, Pol Pot i Osama bin Laden byli lepsi.

Tego nie powiedziały wrota Lokiego - skąd miałyby cokolwiek o tym wiedzieć? To był wtęret wewnętrznego obserwatora skrytego w Dannym, krytyka jego własnych świadomych

przemyśleń. „Paskudne obrazy, dawne czasy” - ta durna konkluzja skłoniła jego głębokie ja do wyrażenia jednoznacznego sprzeciwu. Oczywiście, gdy tylko ten sprzeciw wychynął na powierzchnię umysłu, stał się świadomą myślą Danny’ego, wewnętrzny obserwator pozostał przyczajony gdzieś w tle.

Teraz jednak Danny poczuł, że wrota Lokiego próbują go naprowadzić na trop. Tak tak tak, mówiły. Zastanów się nad tym. Właśnie o tym musisz myśleć.

To znaczy o czym? - spytał Danny. O czym myślałem?

Tym właśnie wrota Lokiego różniły się od jego własnego głębokiego ja - on zawsze wiedział, na co reaguje jego wewnętrzny obserwator. Jednak wrota Lokiego nie były nim. Należały do niego, służyły mu, ale w rzeczywistości nie były nim.

Tak tak tak, powtórzyły. Przemyśl to.

Chciały więc, żeby kontynuował tę samoanalizę, w czasie gdy zbiegał z górki, na zakrętach z ograniczoną widocznością trzymając się prawej, zewnętrznej strony jezdni, bo kierowcy jeździli tą drogą za szybko i musiał dopilnować, żeby go odpowiednio wcześniej zauważyli.

Chciały, by pomyślał o różnicy między jego wewnętrznym obserwatorem, jego świadomością a wrotami, które dostał od Lokiego, i...

Gdzie się podziały jego własne wrota?

Och, jakie dobre pytanie! Zupełnie jakby wrota Lokiego biły mu brawo.

Skoro wrota Lokiego mówią do mnie, dlaczego moje milczą?

I wtedy pomyślał (a może wrota Lokiego podsunęły mu tę myśl?): Moje wrota nie odzywają się do mnie, bo są mną. Możliwe, że przez cały czas do mnie mówią, ale słyszę je jako własne myśli, jako...

Nie nie nie.

Zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy bawił się w „ciepło-zimno” i kuzyni krzyczeli „cieplej,

cieplej, gorąco, gorąco, teraz zimno!” , gdy jedno z dzieci szukało schowanego przedmiotu.

To wspomnienie przyszło samo z siebie, nieproszone. Czy to znaczy, że pochodziło z jego własnych wrót?

Nie nie nie.

- To co robią moje wrota? - spytał na głos.

I wtedy, gdy stanął u stóp wzgórza, na skomplikowanym skrzyżowaniu trójramiennym z Furrs Mill Road, które było zbyt wąskie i zbyt niebezpieczne, by mógł sobie pozwolić na nieuwagę, uderzyła go myśl: Kto sterował moim ciałem, kiedy zbiegałem z górki i snułem te wszystkie rozważania?

Na pewno nie mój wewnętrzny obserwator - on słuchał tych rozważań. Na pewno nie świadomość - ona je prowadziła. Nie pamiętam nic z tego, co robiłem, nie pamiętam, jakich wyborów dokonywałem w czasie biegu, chociaż ich dokonywałem. Minęło mnie kilka samochodów - pamiętam mgliscie, że nadjeżdżały z jednej i drugiej strony - lecz ani na chwilę nie przerwały moich świadomych rozmyślań.

To moje wrota sterowały moimi nogami i rękami. Utrzymywały mnie na drodze. Miałem do wykonania zadanie niewymagające myślenia - nie zabić się podczas biegu - więc zleciłem je komuś innemu, w czasie gdy moja świadomość i skryty we mnie obserwator prowadzili wewnętrzną rozmowę.

Wszystko stało się jasne. Loki, zanim zapadł w swój tysiącletni sen w drzewie, wyznaczył większości swoich wrót proste, ale pilne zadanie: wypatrywać na świecie magów wrót. A one oddały się tej misji tak jak własne wrota Danny'ego - jego zewnętrzne ja - czuwały nad jego biegnącym ciałem, gdy on sam myśli miał zajęte czym innym.

Tyle że Loki uwolnił zniewolone przez siebie wrota od ich starego, nieustającego zadania i mi je oddał. Nie obserwują już świata, tylko...

Chociaż nie, nadal obserwują. Wciąż robią to, co zlecił im Loki. Ale teraz odpowiadają przede mną. Czy raczej przygotowują mnie do bitwy.

I uświadomił sobie, że to powiedziały mu same głosy. A przynajmniej potwierdziły. Chcą, żebym wiedział wszystko o magu Bela, bo teraz, kiedy na świecie są Wielkie Wrota i Ojciec Wrót zdolny stworzyć ich więcej - ja - to mnie mag Bela będzie szukał.

Znów przypomniały mu się słowa inskrypcji. „Stawiliśmy czoło Belowi i zawładnął sercami wielu. Dzielni mężowie umykali sprzed jego oblicza jak jelenie, ale Loki nie uciekł”. Oczywiście, nie był to ten Loki, którego wrota Danny teraz miał w sobie. To był dużo wcześniejszy Loki, ten, który w swojej epoce pokonał Bela.

„Loki odnalazł mroczne wrota Bela, przez które bóg ich zalał świat strachem i przez które zabrał serca dzielnych mężów na swoją ucztę”. Co to znaczy? Chodzi o coś podobnego do tego, co robił Złodziej Wrót?

Przypomniał mu się jednak dalszy ciąg inskrypcji i jego wewnętrzny obserwator zorientował się, że to głosy zwracają mu uwagę na ten fragment. „Szczęki Bela pochwytyły jego serce, aby zabrać je ze sobą. Loki mocno trzymał swe serce i podążył za szczękami bestii”.

Czy to nie ten sam fragment, który nasunął mu pomysł, jak zwyciężyć Złodzieja Wrót? O to musi w nim chodzić, prawda? Że Bel też jest złodziejem wrót?

„Loki udawał przed Belem, że jest uwięziony, lecz uwięziony nie był. Jego serce trzymało szczęki; szczęki nie trzymały jego serca”. Tak! To zrobiłem Lokiemu! Tak go pokonałem!

„I gdy odnalazł wrota Bela, nasunął ich początek na serce słońca. Niechaj Bel połknie słońce i zabierze je z powrotem do swego mrocznego świata! Mittlegard nie jest mu już domem”.

Tak inskrypcja się kończyła. Czego nie dostrzegam? Z tych słów wynikałoby, że Bel jest magiem wrót, nie zaklinaczem ludzi.

I wtedy Danny doznał olśnienia. To, że inskrypcja jest prastara, wcale nie musi znaczyć, że

jej autor wiedział, o czym pisze. Czy był nim ten wcześniejszy Loki? Wątpliwe. Ktoś inny spisał te słowa później, powtarzając coś, co usłyszał. Usłyszał z ust samego Lokiego? Może. Ale nawet jeśli, czy to w ogóle miałyby jakiegokolwiek znaczenie? Jeżeli autor sam nie był magiem wrót, jak mógł zrozumieć opowieść Ojca Wrót o walce z magiem Bela?

Danny był w najwyższym punkcie Furrs Mill Road, przy wjeździe na drogę numer 11.

Skręcił w prawo i kiedy zapaliło się zielone światło, wbiegł na most drżący pod kołami przejeżdżających samochodów jak podczas trzęsienia ziemi. Zawsze tak drżał. Normalka.

Danny znowu stwierdził, że nie pamięta, jak wbiegał pod górę. Dopiero kiedy coś się zmieniło w jego otoczeniu, jego świadomość skupiła się na biegu.

Postąpiłem zgodnie z tą prastarą inskrypcją, bo podsunęła mi pomysł, jak pokonać Złodzieja Wrót. Tyle że mag Bela na pewno nie jest magiem wrót, a tekst zdaje się opowiadać o bitwie między dwoma magami wrót. Tak to pewnie widział autor. Jednak Loki - Loki, którego znam, ten, którego wrota są we mnie - zrozumiał, kim mag Bela był naprawdę.

Gdyby mag Bela był Ojcem Wrót, usunięcie wszystkich wrót nie zdałoby się na nic.

A zatem inskrypcja niechętnie nauczyła mnie walczyć z innym magiem wrót, ale nie powiedziała mi nic o walce z zaklinaczem ludzi.

Nie byle jakim zaklinaczem ludzi. Magiem Bela.

Magiem Bela magiem Bela magiem Bela, powtórzyły głosy jak echo.

Kto na tym świecie może mi coś powiedzieć o magu Bela? - spytał Danny.

Nikt ze współcześnie żyjących, odpowiedział sobie. Przez ponad piętnaście stuleci zabijano wszystkich schwytych magów wrót i zaklinaczy ludzi. Kto więc miałby powiedzieć mi cokolwiek o magu Bela?

Loki, nikt inny.

Tak tak.

Przecież on nic mi nie mówi. Jak mam się od niego uczyć, skoro go tu nie ma?

On nie on nie.

To jak mam się uczyć? Kto coś wie?

Cisza.

Wy wiecie, powiedział Danny w duchu do głosów. Wiecie. Loki nic mi nie powie, ale wy wiecie tyle co on, a teraz mi służycie, jesteście moje. Dlatego zamiast być mu posłuszne i siedzieć cicho, będziecie mnie uczyć.

Cisza.

No, uczcie mnie.

Był już za mostem, więc drzenie pod nogami ustało. Pewny grunt wydawał się wręcz nudny.

Zatrzymał się i przepuścił samochody, żeby przejść przez ruchliwą drogę numer 11 na dużo bezpieczniejszą dla biegaczy McCorkle Drive.

Nie będziecie mnie uczyć, powiedział Danny do głosów.

Cisza.

Ale chcecie mnie uczyć.

Cisza.

Wrócił myślą do biegu sterowanego przez jego zewnętrzne ja. Do tego, jak niewiele z niego pamiętał. Zrozumiał, że to głosy mu wówczas wszystko przypomniały. Choć sam tego jeszcze kilka minut wcześniej nie pamiętał.

Ale to było jego wspomnienie, nie ich. One nie mają wspomnień, mogą mnie tylko pobudzić do tego, żebym przypomniiał sobie coś, co już wiem.

No to utknęliśmy w martwym punkcie. Nie mogę pamiętać czegoś, czego nigdy się nie dowiedziałem.

Pamiętać.

Jak mogę pamiętać? Przecież nigdy tego nie wiedziałem!

Pa. Mięta. My. Pa.

To było takie niejasne. Żadnych słów. Żadnych słów, którymi mógłby sobie wytłumaczyć to, co głosy próbowały mu powiedzieć.

Pamiętacie.

Pamiętamy.

Ale nie możecie mi powiedzieć, co pamiętacie.

Prawie. Ciepłej. Ciepłej.

Znów pomyślał o tym, jak sięgając pamięcią wstecz, przypominał sobie mijające go samochody. Samochody, których nie zauważał w chwili, kiedy przejeżdżały obok, i których nie pamiętał, dopóki nie próbował ich sobie przypomnieć, a wówczas wspomnienie wracało.

Poniekąd. Mgliście.

Pamiętacie, powiedział do głosów, ale nie pamiętacie, że pamiętacie. Coś musi przywołać te wspomnienia. Trzeba wydobyć je z was podstępem. Trzeba wam o nich przypomnieć, żeby wróciły.

Głosy zalały go ulgą. Zgadł.

Stał na skraju drogi numer 60, dokładnie naprzeciwko stacji benzynowej Citgo i

McDonalda. Już tutaj? Jak to możliwe? Przecież nie minęło aż tyle czasu.

A jednak. Sięgając pamięcią wstecz, przypominał sobie każdy zakręt McCorkle Drive, każde wzniesienie i każdy spadek. Pamiętał nawet, o czym myślał na każdym odcinku.

Odległość, jaką pokonał, nijak się miała do tego, ile spraw w tym czasie zdołał przemyśleć.

I teraz przypominał sobie, że co rusz rozpraszały go inne myśli. O Pat i o tym, jak by to

było się z nią przespać. O Xenie i o tym, jak niebezpiecznie jest myśleć o jej dużo mocniejszym

seksapilu. O Nicki Lieder i o tym, co ona w ogóle kombinuje i po czym poznała, że ją uzdrowił.

Pamiętał też jednak, że snuł układające się w logiczny ciąg rozważania o magu Bela i wrotach Lokiego i o tym, jak te wrota podsuwają mu myśli i czy są w stanie cokolwiek pamiętać...

To była demonstracja ich możliwości. Chciały mi pokazać, że utrzymują logiczny, nieprzerwany tok rozumowania, nawet gdy mnie rozpraszają myśli o kobietach i w pewnym stopniu złość na trenera Liedera - bo o tym myślałem, kiedy przebiegałem przez drogę numer 11, o tym, jaki z niego palant, że próbował mnie napuścić na Rickena. O tylu sprawach myślałem, że nie mogłem się skoncentrować na niczym konkretnym.

Ale coś sprowadzało mnie z powrotem do głównego wątku, nie pozwalało go zgubić.

A zatem wrota, zewnętrzne ja, mogą sterować bez mojego udziału nie tylko moim bieganiem, ale i myśleniem. Nie mają własnego języka, nie potrafią ująć swoich wspomnień w słowa, ale mogą pobudzić mnie do tego, żebym sięgnął pamięcią wstecz i te wspomnienia odzyskał...

Pozostaje jeden problem: ja nie mam wspomnień Lokiego, więc nie możecie mnie pobudzić do tego, żebym je odzyskał!

Cisza.

Tyle że wy mnie do niczego nie pobudzałyście, powiedział Danny do nich, kiedy to sobie uzmysłowił. To ja zmuszałem was do tego, żebyście to wszystko sobie przypomniały, a wy potem podsuwałyście te wspomnienia mnie.

To chcecie zrobić. Chcecie, żebym jakoś skłonił was do tego, byście powiedziały mi, czego dowiedział się Loki.

Tak tak tak.

Jak?

I wtedy, na długą chwilę, zupełnie zgłupiał. Był kompletnie zagubiony. Stał i patrzył ślepo na drogę, niczego nie widząc, o niczym nie myśląc. Całkowite otępienie.

Podjechał radiowóz. Szyba się opuściła. Danny podszedł, schylił się, zajrzał do środka.

- Nie wiedziałem, czy chcesz przejść na drugą stronę, czy co - powiedział policjant.

Danny zrozumiał, że „czy co” mogło się odnosić do jego ewentualnego rzucenia się pod koła ciężarówki.

- Po prostu nie mogę się zdecydować, czy iść do McDonalda, czy pobiec do domu, do Buena Vista.

- Chcesz biec do Buena Vista?

Danny wskazał, jak jest ubrany.

- Byłem na mityngu w szkole Rockbridge.

- Drużyna ma swój autokar.

- Trener Lieder mnie wkurzył - powiedział Danny.

Policjant się uśmiechnął.

- No dobra, rozumiem. Tylko... uważaj, żebyś nie wpadł pod samochód. Wyglądało, że już wchodzisz na jezdnię, i nagle zamarłeś w pół kroku. Jak na stopklatce.

- Nie miałem pojęcia. Byłem zaprzątnięty kłótnią, którą toczyłem z Killerem. W wyobraźni.

- Bylebyś pamiętał, że z trenerem nie wygrasz. - Policjant skinął mu ręką i odjechał, zamykając okno.

Miły gość.

Danny odwrócił się na południe. Trzymaj się lewej strony jezdni. Nie przebiegaj na drugą stronę.

Nie biegł. Truchtał. Właściwie powłóczył nogami.

Co to było? - spytał swoje głosy. O czym myślałem, kiedy nagle tak zgłupiałem?

A, pytałem głosy, jak je skłonić, żeby powiedziały mi o czymś, co pamięta tylko Loki.

I wtedy zrozumiał. Coś zademonstrowały. I to oderwało go od rzeczywistości. A może

odłączyły od niego jego własne wrota lub odwróciły jego uwagę - coś w tym stylu. Zrobiły coś,

co sprawiło, że jego ciało przestało działać na autopilocie, tak jak działały wrota Lokiego, automatycznie wypełniające jego instrukcje, w czasie gdy on sam żył w drzewie, i jak działało zewnętrzne ja Danny'ego, które sterowało jego biegiem, kiedy myślał o innych sprawach. Wrócił myślą do chwili, kiedy przypomniał sobie wszystko, o czym myślał na każdym etapie swojej przebieżki po McCorkle Drive. Odtworzył wtedy w pamięci całą trasę. Pod górkę, zakręt, jakiś dom z boku, z górki, rzut oka na zjazd z autostrady, widoczny w oddali znak McDonalda.

Odtworzył w myśli całą swoją drogę.

Ale nijak nie mógł odtworzyć dróg, którymi szedł Loki, a on nie.

Za to mógł nimi podążać.

Wiecie, gdzie Loki poznał prawdziwą naturę maga Bela?

Coś jakby niejasne przytaknięcie.

Nie możecie mi powiedzieć, gdzie to było.

Tak tak tak.

Ale możecie mnie tam zabrać?

Znowu niejasne przytaknięcie.

Danny skręcił w lewo, na podjazd, minął budynek, potruczał przez parking za drzewo i krzaki, i zrobił wrota.

Nie miał pojęcia, dokąd prowadzą. Zostawił to wrotom Lokiego. Nie mówcie mi, dokąd muszę pójść, bo nie możecie tego powiedzieć, nie wiecie tego. Po prostu mnie tam zabierzcie, bo wasza pamięć nie jest pamięcią werbalną ani nawet obrazową, tylko kinetyczną. Przypominacie sobie, co zrobiliście, a potem wracają pozostałe rodzaje wspomnień.

Tak tak tak.

Wrota były gotowe. Wszedł.

I znalazł się na nagiej pustyni. Była noc i było zimno. Świecił jednak księżyc, nieba nie przesłaniała ani jedna chmurka, więc Danny wszystko w miarę wyraźnie widział.

Jego pierwszą myślą było: Pustynia Mojave? Dolina Śmierci?

Potem jednak uświadomił sobie: Ameryki jeszcze nie odkryto, kiedy Loki żył na Mittlegardzie.

Poza tym tu było za sucho.

No i - weź się puknij - na pustyni Mojave jest trzy godziny wcześniej niż w Wirginii, więc tam byłby dzień. Tu zaś trwała noc. Był po ciemnej stronie Ziemi.

Sprawdził położenie księżyca. Gwiazd. Nie była to umiejętność, którą ćwiczył z zapalem fanatyka, ale jak trochę pogłówkował, potrafił w przybliżeniu określić, gdzie jest.

Poza tym wiedział, gdzie są wszystkie jego wrota. Były daleko za krzywizną Ziemi, ale znajdował się mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej co wrota w mieszkaniu Veevee w Naples. A zatem, idąc stamtąd na wschód i uwzględniając porę dnia...

Był gdzieś na Saharze.

Przypomniawszy sobie, jak zrobił wrota, które wyniosły jego i chłopaków wysoko nad szkołę.

Może gdyby obejrzał tę pustynię z lotu ptaka, zrozumiałby, dlaczego wrota Lokiego przerzuciły go właśnie tutaj.

Jednak zamiast wzbąć się wrotami w przestworza, wdrapał się na wzniesienie ku wschodowi. Ze szczytu zobaczył, że pustynia ciągnie się aż po brzeg rzeki płynącej głęboką doliną. Dużo światła - miasto za rzeką, częściowo leżące też po tej jej stronie.

Rzeka biegła z południa na północ. Znajdował się na jej zachodnim brzegu. W górze rzeki - na prawo od niego - było jezioro. I wielka tama.

Wszystko stało się jasne. Jest w Egipcie. W miejscu z widokiem na Nil, zaraz za Tamą

Asuańską. Na wprost Wyspy Kitchenera. Wokół są tysiące ludzi. A on jest turystą bez wizy ani

paszportu i nie zna słowa po arabsku.

Gdy jednak przybył tu Loki - o ile tu przybył - nikt nie mówił po arabsku. Wówczas był to język słabo poznanych barbarzyńskich plemion zamieszkujących drugi brzeg Morza Czerwonego. Tutejsze pospólstwo mówiło po koptyjsku; ludzie wykształceni - po grecku. Powszechnie wyznawaną religią było chrześcijaństwo.

Co teraz? - spytał głośno w duchu. A potem, głośno:

- Pamiętacie już coś? - Na dźwięk własnego głosu poczuł się jakby pewniej.

Już kiedy zadawał to pytanie, wiedział, że tak nie uzyska odpowiedzi. Musiał pójść śladami pamięci. Zabrać swoje ciało tam, gdzie niegdyś był Loki, i pozwolić, żeby opadły go wspomnienia. Nie jego wspomnienia, lecz Lokiego. Musiał stać się Lokim, zagrać rolę Lokiego, a wtedy będzie w stanie przypomnieć sobie, co Loki widział i słyszał, tak jak sam przed chwilą przypominał sobie swój bieg po McCorkle Drive - i wszystko, o czym w jego trakcie myślał i co zauważał.

Czyli czekało go coś w rodzaju podróży w czasie.

Nie, to nie może się udać.

Poczuł potrzebę stworzenia wrót i wychodząc z założenia, że głosy ją w nim rozbudziły, zrobił wrota i wszedł w nie.

Stał w uedzie. Kiedyś piach płynął tędy jak rzeka. Tyle że niesiony przez wiatr, nie wodę.

Dlatego gromadził się, zamiast spływać. Nawarstwiał się jak śnieg tworzący zaspę, nie roznosił się jak muł w strumieniu.

Danny poszedł tam, gdzie czuł, że powinien pójść. Próbował obudzić w sobie wspomnienia i nic.

Bo nie o to chodzi. Coś jest nie tak.

Czuł potrzebę, by przejść w miejsce, które nie istniało.

Chociaż nie, istnieje. Tylko jest zasypane piachem.

Potrzebna będzie łopata.

Wrócił wrotami do Lexington, gdzie wciąż jeszcze było popołudnie, chociaż powoli zapadał zmrok. Wyłonił się na tyłach sklepu Lowe's na drugim końcu Walmarta. Wszedł do środka, kupił łopatę i kilof. Potem wpadł na lepszy pomysł i wziął jeszcze dwie łopaty.

Minutę później przerwał Halowi i Wheelerowi grę na Xboxie w domu Wheelera.

- Nie możesz poczekać? - spytał Wheeler.

- Trzeba to załatwić, dopóki jest ciemno - powiedział Danny.

- Czyli mamy jeszcze parę godzin - stwierdził Hal.

- Dopóki jest ciemno w Egipcie - uściślił Danny.

Bystre chłopaki. Zrozumieli.

Co nie znaczy, że byli zachwyceni.

- Nie lubię nawet kopać dołków na plaży - powiedział Hal, patrząc niepewnie na wypełniony piachem ued.

Danny jednak wziął się do pracy, nie oglądając się na nich.

- Pomóżcie na tyle, na ile chcecie. A jeśli wolicie wrócić do domu, proszę bardzo, wrota są tutaj. - Nawet na nich nie spojrział.

Wkrótce już kopali obok niego.

Gdyby byli archeologami, robiliby to metodycznie, powoli. Archeologami jednak nie byli, poza tym pewnie nawet nie byłoby tu czego wykopać. Bo gdy tylko wbili łopaty w piach, Danny zaczął sobie to miejsce przypominać. Nie były to jego wspomnienia, rzecz jasna. Wiedział jednak - nie wiedząc, skąd to wie - kto tu kiedyś mieszkał. Mnich. Chrześcijański asceta, nie taki, który gromadził wokół siebie uczniów, lecz jeden z nielicznych, którzy nie chcieli ich mieć. Odwiedził go tylko Loki.

Była tu jaskinia. Czy raczej zagłębienie w ścianie urwiska. W tych stronach raczej nie było potrzeby się chować przed deszczem - a że mnich wybrał grotę wychodzącą na południe, nie chronił się też przed słońcem.

Nie, schował się tam przed ludźmi, którzy go szukali. Za nic nie chciał, by ktokolwiek go znalazł.

Czy chciał umrzeć?

Samobójstwo byłoby grzechem. On zaś był człowiekiem świątobliwym. Nie chciał umrzeć.

Miał przyjaciela, który przynosił mu wodę. Osłaniał swoją twarz, całą swoją łysą głowę, od słońca. Pod małym daszkiem.

Przybyłem tu... czy raczej przybył tu Loki, przyniósł ze sobą wodę, a potem tylko siedział przed tą grotą. Dzień po dniu. Bez słowa. Danny pamiętał tę ciszę.

Po kilku dniach - było to w niedzielę - pustelnik wreszcie powiedział po grecku: „Odejdź”.

W tej chwili Danny przypomniał sobie, że odszedł wrotami. Na oczach tego człowieka.

Żeby mu pokazać, że jest magiem wrót.

No nie, nie on, tylko Loki, oczywiście. Czegoś chciał od tego człowieka i żeby to uzyskać, musiał mu zademonstrować, kim jest i co potrafi.

- Przestałeś kopać - zauważył Hal. - Co, kończymy?

Danny wyrwał się z zadumy. Ze wspomnień. To, co zobaczył, było takie rzeczywiste.

Mimo że teraz wokół panowały ciemności, a kiedy pustelnik odprawił Lokiego, świeciło słońce.

A jednak się uda.

- Tak, kończymy. Z kopaniem.

- Super - powiedział Wheeler. - Teraz muszę tylko wytłumaczyć mamie, dlaczego jestem spocony i cały w piachu.

- Weź prysznic i po kłopotcie - stwierdził Danny. - Jak chcesz, przeniosę cię prosto do

łazienki.

- Ktoś tam na pewno jest - powiedział Wheeler. - Jak o każdej porze dnia i nocy.
- To chodź do mnie - zaproponował Hal. - Możesz wziąć prysznic w moim domu.
- A w co się przebiorę? - spytał Wheeler. - Twoje ciuchy nie będą na mnie pasować.

Danny bez słowa przeniósł się razem z nimi do sypialni Wheelera.

- Wybierz jakieś czyste ubrania - polecił. Potem przeprowadził kolegów wrotami do domu

Hala. - Weźmiesz tu prysznic?

- Dobrze - zgodził się Wheeler.

- Nie wiem, czemu się spociłeś - stwierdził Hal. - Przecież nie kiwnąłeś palcem.

- Harowałem jak wół - zaprotestował Wheeler.

Hal tylko spojrzał na niego.

- Jak dla mnie, to była ciężka praca - dodał Wheeler.

- Wracam - rzekł Danny. - Dzięki. Oszczędziliście mi paru godzin samotnego kopania.

- Nie wspominając o tym, że zwiedziliśmy zabytki Egiptu - stwierdził Hal.

- Zabiorę was tam kiedyś - obiecał Danny. - W dzień.

- O nie - powiedział Hal. - Przecież to sama pustynia. Obejrzę zdjęcia na Google Images.

Co mam się męczyć.

Danny przeniósł się wrotami z powrotem do Egiptu, usiadł przed grotą pustelnika i pozwolił, by wspomnienia Lokiego popłynęły przez wrota Lokiego.

16

FROSTINCH

Anonoei nigdy nie była w Grayu, choć cień tego królestwa zasnuł mrokiem całe jej życie.

A może wniósł w nie światło. Gdy Gray pokonał jej ojczystą Iswegię, narzucił surowe warunki pokoju, między innymi nakazał małżeństwo Bexoi, siostry jarla Grayu, z niekochającym jej

Prayardem, następcą tronu Iswegii. Czy w innej sytuacji zostałabym kochanką Prayarda i matką jego synów?

Nie. Zostałabym jego żoną.

Kiedy tylko zdała sobie sprawę, jak silny wywiera wpływ na mężczyzn, zrozumiała, że może wziąć na męża każdego mężczyznę na świecie i zaskarbić sobie jego dożgonne oddanie. I gdyby to od niej zależało, wybrałaby Prayarda - bo był dobrym, przystojnym, inteligentnym człowiekiem, potężnym magiem i następcą tronu jedyne królestwa, jakie znała.

Jednak kiedy zrozumiała swoją moc, on już był związany z Bexoi. Dlatego tak, to przez Gray została kochanką Prayarda, nie jego żoną.

Dawna miłość Prayarda do niej może i była skutkiem jej zakazanej, niemoralnej, nieprzyzwoitej magii zaklinania ludzi; ale jej miłość do niego była autentyczna i wtedy, i teraz. Oczywiście, pragnęła zemsty na Bexoi - na tyle, że aby jej dokonać, skłonna była posłużyć się mocą Kluchy, swojego okrutnego ciemniźcyela. Chciała też jednak tego, co najlepsze dla Prayarda, mimo że wyrwany spod jej wpływu od razu zakochał się w suce z Grayu.

I Anonoei poznała mężczyzn w ogóle, a Prayarda w szczególności, na tyle, by zrozumieć, że prawdziwe szczęście króla nie zależy od tego, które kobiety dzielą z nim łóżę i rodzą jego dzieci. Że szczęściem dla niego byłoby wyzwolenie Iswegii spod jarzma Grayu.

A to, ku zadowoleniu Anonoei, zgrabnie pokrywało się z jej dążeniem do wywarcia zemsty na Bexoi.

Dlatego przez małe okienka, które zrobił jej Klucha, podglądała jarla Grayu i jego syna, następcę, pięknego, przebiegłego Frostincha. Nie mogła rozpaścić we Frostinchu pożądania, bo wypadłoby to niewiarygodnie - sprawiał wrażenie niezainteresowanego seksem w żadnej postaci.

A z wiedzy Anonoei o zaklinaniu ludzi wynikało, że skłonić drugiego człowieka można tylko do tego, do czego sam mniej lub bardziej skrycie dąży, inaczej inni nabiorą podejrzeń, że padł ofiarą

czarów.

Frostinch łaknął władzy, więc Anonoei wykorzystała to jego pragnienie, by doprowadzić Bexoi do zguby.

Była gotowa. Wiedziała o Frostinchu dostatecznie dużo, by mówić językiem jego serca. A teraz, kiedy jej magia została wydatnie wzmocniona przejściem przez Wielkie Wrota, przyszły jarl Grayu nie zwątpi w ani jedno słowo Anonoei.

Dlatego w chwili, kiedy siedział na nocniku - jedna z nielicznych okazji, gdy był sam - pojawiła się w jego wygodce. Nie miała na sobie nic szykownego ani wyuzdanego. Przywdziała przemyślnie dobraną niebarwioną, ręcznie tkaną szatę, włosy związała w ciasny kok. Tak nosiły się kobiety w Grayu uważane za świątobliwe.

Frostinch ze spokojem przyjął pojawienie się niespodziewanego gościa. Jediną oznaką jego zaskoczenia było to, że puściły mu zwieracze, napełniając małą izbę fetorem jego niedomagającego układu trawiennego.

- A zatem na Westilu jest mag wrót - powiedział cicho.

- To prawda - odparła Anonoei - ale nie ja nim jestem.

- A kim? Moją zabójczynią?

- Gdybym była tu po to, żeby cię zabić, zjawiłabym się za twoimi plecami albo po prostu wsunęłabym nóż we wrota. Jestem wrogiem twojego najgroźniejszego wroga.

- Mówisz z isweskim akcentem - zauważył Frostinch. - A moim najgroźniejszym wrogiem jest Iswegia.

- Żadne z nas nie jest na tyle naiwne, by sądzić, że twoim najgroźniejszym wrogiem jest kraj, który twój ojciec ujarzmił przed laty i do dziś trzyma żelazną ręką. Twoi najwięksi wrogowie są z urodzenia Grayami, i to z królewskiego rodu.

- Ojciec nie jest moim wrogiem - stwierdził Frostinch - a nikt inny w Grayu nie jest dość

silny, by zasłużyć na miano mojego wroga.

- Słuchaj uważnie - powiedziała Anonoei pogardliwym tonem. Zanim Frostinch mógł się na nią rozgniewać, przemieniła jego oburzenie w niechętny szacunek. Skoro ta kobieta mówi do niego z pogardą, może na to zasłużył. Może jest mądra. Może da się ją wykorzystać. A jeśli nim gardzi, może uda się to obrócić przeciwko niej.

Niech myśli, że jest od niej lepszy, i jednocześnie zastanawia się, czy aby ona nie jest lepsza od niego. To sprawi, że będzie słuchał, rozważy każde jej słowo.

- Grayami z urodzenia, powiedziałam. Nie urodzonymi w Grayu.

Frostinch prychnął pogardliwym śmiechem.

- Jeśli mówisz o mojej ciotce Bexoi, twój mag wrót wybrał niewłaściwego posłańca.

- To, że ją lekceważysz, dowodzi twojej głupoty. Knujesz intrygi i do głowy ci nie przyszło, że Bexoi wymanewrowuje cię na każdym kroku.

- Moja ciotka? Wróbli Mózdzek? Zaszła w ciążę z Prayardem, to wszystko. To skomplikowało sytuację, ale tak naprawdę niczego ważnego nie zmieniło.

- Nie dopuściła szpiegów twojego ojca do Prayarda, co znaczy, że szpiegdy, którzy potajemnie służą tobie, też nie mają do niego dostępu.

- Nie zrobiła nic. - Frostinch obmył sobie tyłek; jego ojca zwykle wyręczali w tym służący, ale Frostinch za mało ufał ludziom, żeby dopuścić kogokolwiek tak blisko siebie. - Marnujesz mój czas.

- Nie, ty marnujesz mój. Ostrzegałam mojego przyjaciela, że nie uda się ciebie ocalić, bo jesteś zbyt arogancki i głupi. Nie posłucha kobiety, powiedziałam.

- Nie posłucham głupca - uściślił Frostinch.

- Nawet nie znasz swojej ciotki. Wyjechała do Iswegii, kiedy jeszcze nie miałeś piętnastu lat.

- Opowiadała mi różne historie i widziałem, że nawet wróble nie były jej posłuszne, bez względu na to, jak suto je karmiła.

- I do głowy ci nie przyszło, że wróble nie słuchały jej dlatego, że nie była magiem ptaków?

- Po co ktoś miałby przypisywać sobie taką żalosną moc, jeśli...

Urwał. Przyjemnie było patrzeć, jak uzmysławia sobie własną głupotę. Wytarł pośladki.

- Twierdzisz, że była na tyle przewidująca, by uznać, że warto oszukiwać dziecko?

- Przyszłego jarla Grayu? Chłopca, który już zdążył pokazać, że jest ambitnym małym potworem? Nie chciałam cię urazić, oczywiście.

Frostinch się uśmiechnął. Anonoei przejrzała go na wylot - określenie „ambitny mały potwór” nie było dla niego obelgą.

- Czyli oszukiwała mnie wtedy, żeby zamydlić mi oczy dzisiaj.

- I do tej chwili świetnie jej to wychodziło, prawda? Miałeś ją za narzędzie, które będziesz mógł wykorzystać, a kiedy to narzędzie zostało ci odebrane, uznałeś, że to robota Prayarda, nie jej samej.

- Nie masz na to dowodów.

- Głupcze! Jestem tutaj, prawda? Po wielu dniach podsłuchiwania wszystkich twoich rozmów. I myślisz, że przedtem nie mogłam szpiegować jej? Że nie wiem doskonale, o czym mówię? Że nie wiem, jak zwiódła twojego agenta Luvixa, kiedy próbował ją zamordować?

W tej chwili maska lekceważenia i beztroski spadła z twarzy Frostincha.

- Co o tym wiesz?

- Wiem, że twoja ciotka potrafi stworzyć klanta tak podobnego do żywego człowieka, że kiedy skrytobójca ugodził go sztyletem, z rany popłynęła krew. Był przekonany, że zamach się powiódł.

- Nikt nie umie robić kłanów, które... - Skupił się na sznurowaniu swoich bryczesów. -

Widziałaś to na własne oczy?

- Widział to mój przyjaciel. Po tym, jak wykradł truciznę, której Luvix zamierzał użyć, i przekazał ją Bexoi.

Anonoei patrzyła, jak do Frostincha dociera fakt, że wiedziała o truciznie.

- A zatem mnie szpiegowałaś? - spytał.

Powtórzyła słowo w słowo jego wczorajszą rozmowę z agentką, z którą spotkał się w ogrodzie pod pozorem schadzki. Nie zdawał sobie sprawy, że teraz już nikt nie wierzył, że interesowały go kobiety.

Słuchał, kiwając głową.

- Czyli albo podglądałaś przez wrota, albo moja droga, zaufana przyjaciółka mnie zdradziła.

- Nie zdradziła cię. Jeśli mimo to chcesz ją zabić, proszę bardzo. Zniszczysz kolejną swoją broń. Osłabisz się. Ja zaczekam, aż Bexoi złapie cię w potrzask i uczyni swoją marionetką, bo wtedy będziesz gotowy mnie wysłuchać. Tyle że, niestety, nie będziesz mi już do niczego potrzebny. Zdradzisz mnie więc, żeby wkupić się w łaski Bexoi, w nadziei że rzuci ci okruszek władzy. Ale ona cię wyśmieje. „Anonoei nie żyje”, powie ci.

- To ty? - zdziwił się Frostinch. - Anonoei? Kochanka Prayarda?

- Nie tak martwa, jak się powszechnie uważa - powiedziała Anonoei.

- A twoi synowie?

- Żyją i są poza twoim zasięgiem. Tak jak ja.

Jeszcze zanim skończyła mówić, wiedziała, że Frostinch już trzyma dłoń na sztylcie, który nosił za pasem z tyłu. Wyszarpnął go i ciął. Anonoei jednak w porę cofnęła się we wrota, które przygotował jej Klucha, wyłoniła się z nich za plecami Frostincha i pchnęła go. Już wytrącony z

równowagi swoim chybionym atakiem, przewrócił się. To dało jej dość czasu, by chwycić nocnik i wylać na niego całą zawartość, paskudząc mu odzienie.

- Jesteś niczym, Frostinchu, w porównaniu z magami posiadającymi prawdziwą moc. Ja przesłałam przez Wielkie Wrota.

- Niemożliwe! Złodziej Wrót nie pozwala...

- Ty w ogóle umiesz myśleć? - przerwała mu. - Nie przyszło ci do głowy, że przyjacielem, o którym mówiłam, jest właśnie Złodziej Wrót?

Zaśmiał się nerwowo i wstał, macając wokół w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby oczyścić ubranie. Wreszcie zdjął tunikę i rozsznurował spodnie, po czym, nagi i zupełnie nieprzejęty, rzekł do Anonoei:

- Moje ciało da się umyć, a odzienie wyprać. Twoje dążenia, żeby mnie upokorzyć, są bezcelowe.

- Podobnie jak twoja próba cięcia mnie sztyletem - odparła Anonoei. - Przybyłam zaofiarować ci naszą pomoc przeciwko twojej ciotce. Ale ty wciąż jesteś za głupi, żeby zrozumieć, jak bardzo tej pomocy potrzebujesz.

- Czy Bexoi też przeszła przez Wielkie Wrota?

- Jeśli to kiedykolwiek zrobi, zapanuje nad całym Westilem. Nawet bez korzystania z Wielkich Wrót jest najpotężniejszym magiem naszych czasów. Ja przesłałam przez Wielkie Wrota, a i tak nie sędzę, żebym mogła się z nią równać.

- Skoro nie jest Przyjaciółką Wróbli, to jaką ma magię? - spytał Frostinch.

- Po co miałabym to mówić głupcowi? - odparowała Anonoei. - To ty jesteś Przyjacielem Wróbli, słabeuszem. Nie widziałeś, jak drwiła z twojej żalosnej magii?

- Jestem Bratem Jastrzębi.

- Jastrzębi? O tak, słyszałam. Tyle że ptaki, które do ciebie przylatują, ptaki, z którymi

nawiązujesz więź, ptaki, które szpiegują na twoje zlecenie... widziałam tylko wrony.

Uśmiechnął się szeroko.

- Prawie nikt ich nie zauważa. W pojedynkę kradną wszystko, co im każe. W stadzie potrafią w kilka minut rozszarpać wroga.

- Nie umniejszam licznych talentów wron - powiedziała Anonoei. - Za to gardzę ludźmi, którzy udają szlachetniejszych, niż są. Przyjaciel Jastrzębi, też coś.

- Wnikałem i w jastrzębie - stwierdził Frostinch.

- Twoja obecność była im wstrętna i próbowały się zabić, żeby się ciebie pozbyć.

Po raz pierwszy był autentycznie rozgniewany i upokorzony.

- Skąd wiesz?! To było lata...

- Ja szpieguję cię od kilkunastu dni, ale Złodziej Wrót ma na ciebie oko od lat. Kto zostanie jarlingiem Grayu po twojej śmierci?

Poszarzał na twarzy.

- Taki jest cel jej intrygi?

- Wiąże wielkie nadzieje z synem, którego dał jej Prayard. Ty i twój ojciec sądzą, że to dziecko wam nie zagraża, bo jesteście przekonani, że jego matka nie ma żadnego magicznego talentu, który mogłaby mu przekazać. Ma za to inny atut: prawo, by sprawować władzę w jego imieniu. Możesz być pewien, że po twojej śmierci jarl wyznaczy dziecko w jej łonie na swojego następcę. A kiedy ono się urodzi, twój ojciec i Prayard umrą... w bardzo różnych okolicznościach... Bexoi zaś wstąpi na tron w imieniu syna. Co, nie wierzysz, że taki plan może się powieść?

Frostinch podszedł do okna. Jego skóra była obsypana gęsią skórą, choć może to tylko z zimna. Zależało mu na tym, żeby w wygodce panował chłód, więc okna zawsze były odsłonięte.

Może żeby zabić smród. A może żeby Frostinch czuł się silny, zahartowany jak prawdziwy

wojownik, nie człowiek o przebiegłości wrony.

- Do czego miałbym ci się przydać? - spytał. - Skoro jest tak potężna, chytra i niebezpieczna, dopnie swego, ja jej nie powstrzymam.

- To prawda - przytaknęła Anonoei. - Jak dotąd blokowała każde twoje posunięcie. Ale możesz podjąć pewne działania, które pokrzyżują jej szyki.

- Już raz nasłałem na nią zabójców - przypomniał Frostinch - choć nie dlatego, że się jej bałem.

- Nie, po prostu uważałeś, że twój ojciec z jej powodu cacka się z Iswegią, gdy ty chciałeś wywołać nową krwawą wojnę, zabić Prayarda i włożyć koronę Iswegii na swoją głowę.

- Po co być zwykłym jarlem, gdy można być królem?

- Tylko głupiec przywiązuje wagę do tytułów. Liczy się wyłącznie władza. Tytuły to dekoracje. Imiona to kłamstwa. Dociera do ciebie wreszcie, że dopóki nie zobaczysz prawdziwego obrazu rzeczy, niczego nie osiągniesz?

- To jaki jest ten prawdziwy obraz? - spytał wyzywająco.

- Taki, że stoisz goły w oknie i marzniesz - powiedziała Anonoei. - Mogłabym cię wypchnąć.

- Wtedy nie miałabyś ze mnie żadnej korzyści.

- Otóż to. A Bexoi jeszcze cię nie zabiła, bo dopóki nie ma dziecka, które mogłaby pokazać twojemu ojcu i wykorzystać, żeby zdobyć jego serce, bardziej przydasz jej się żywy. Dopiero kiedy jarl stanie się troskliwym wujciem, zachwyconym tym, jaki Prayard jest lojalny, jak oddany jego młodszej siostrze... dopiero wtedy twoja tragiczna śmierć skłoni go, by wyznaczyć siostrzeńca na swojego następcę.

- Czyli mam jeszcze czas.

- Trochę. Możesz go dobrze wykorzystać.

- A co ty i twój przyjaciel Złodziej Wrót... jeśli rzeczywiście nim jest... chcecie, żebym w tym czasie zrobił?

- Czy to nie oczywiste? Zabij ojca i zostań jarlem.

To rzekłszy, Anonoei weszła we wrota i wróciła do Kluchy.

Złodziej Wrót pokręcił głową.

- Kiedyś był bystry - powiedział. - Zrobiłaś z niego głupca.

- Wmówiłam mu, że jest głupcem - uściśliła Anonoei - a potem wytłumaczyłam, jak być mądrym. Do tego nie trzeba zaklinacza ludzi; uczeni robią takie rzeczy na okrągło.

- Tak czy tak, widziałem, że posługiwałaś się swoją magią. Chłopak cię ubóstwia.

- Jak większość mężczyzn, jeśli tego chcę.

- Zabije ojca?

- Spróbuje. A ponieważ mimo wszystko jest bystry, pewnie poradzi sobie bez naszej pomocy.

- Ale ty i tak zamierzasz mu pomóc.

- Zabić człowieka, który zwyciężył i upokorzył Iswegię? Tak sędzę, chyba że przestaniesz udostępniać mi wrota.

- Pamiętaj, że mam ich mało - powiedział Klucha.

- Przejście przez Wielkie Wrota nie zwiększyło ich liczby?

- Zwiększyło ich trwałość, moc, moją wprawę w manipulowaniu nimi, moje wyczulenie na obecność innych wrót i to, dokąd prowadzą. Ale nie, przejście przez Wielkie Wrota nie dodaje nowych wrót do mojego zasobu.

- I najwyraźniej nie czyni ludzi mądrzejszymi.

- Nie zwiększyło ani mojej, ani twojej inteligencji - powiedział Klucha - ale i tak mieliśmy jej tyle, ile nam potrzeba.

- Podobnie jak Frostinch - stwierdziła Anonoei.
- A mimo to nie przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby wiedzieć, jakiego rodzaju magiem jesteś.
- Nie pozwoliłam mu o tym myśleć. Ilekroć robił się zbyt ciekawski, zmieniałam temat. Jak mówiłam, praktycznie nie musiałam korzystać z magii, żeby owinać go sobie wokół palca.
- Kiedy zostanie jarlem, nie będzie ani o jotę mądrzejszy.
- Nie chcę, żeby był mądrzejszy. Nie jego wykorzystam, żeby pokonać Bexoi. Mogę tylko zaklinać ludzi, nie umiem wzbogacać ich o nowe umiejętności... są, jacy są. Frostinch będzie moją marionetką, ale nie dorasta Bexoi do pięt.
- Jeśli nie jego wykorzystasz, to kogo? - spytał Klucha.
- Ciebie. Ale też nie oczekuję, że staniesz z nią oko w oko. Wciąż za bardzo ją kochasz. Klucha aż się wzdrygnął.
- Zamordowała mojego syna.
- Syna, którego spłodziłaś z nią. Pamiętaj, kim jestem, i wierz mi, Klucho. Bez względu na to, jak bardzo nienawidzisz Bexoi, wciąż masz w sercu tyle miłości do niej, że w decydującej chwili dłoń ci zadrży, a wtedy ona cię zniszczy.
- W takim razie jak doprowadzisz do jej zguby? Jak ją pokonasz? Myślisz, że jesteś na tyle potężną zaklinaczką ludzi, by zrobić z niej swoją służebnicę?
- Poczekaj, a zobaczysz. Kiedy będzie po wszystkim, ty jeden będziesz wiedział, co zrobiłam. Ale zgodzisz się wtedy, że odniosłam pełne, ostateczne zwycięstwo. Nie może być lepszej kary dla niej.
- I nic więcej mi na razie nie powiesz?
- Próbowałbyś mnie powstrzymać, nawet jeśli teraz tak nie uważasz. Nie manipuluję tobą, muszę jednak wykorzystać twoje umiejętności. Nieświadom prawdy, nadal będziesz mi pomagał,

mimo że wiesz, że gdybyś poznał mój plan, byłbyś mu przeciwny.

- Tak ci się tylko wydaje - rzekł Klucha z uśmiechem.

- Sądzisz, że przystałbyś na mój plan, jakikolwiek jest, i dlatego mi pomagasz -

powiedziała Anonoei. - Nie muszę zaklinać ludzi, którzy uważają się za mądrzejszych, niż są.

Tyle że oczywiście go zaklęła. Stosowała swoją magię wobec wszystkich. Posługiwała się nią bez przerwy. Jednak zaklinacze ludzi byli tak potężnymi magami między innymi dlatego, iż potrafili zaszczepić w swoich ofiarach przekonanie, że robią z własnej woli to, do czego zostały niepostrzeżenie dla siebie skłonione. Niech to będzie jej zemsta na nim za lata udręki w niewoli. Za zawinione przez niego rany na duszy jej kochanego Eluika. Ponieważ jednak Klucha też ich ocalił, a także ze względu na pomoc, jakiej jej udzielił, Anonoei nigdy mu nie wyjawia, że przez cały czas nim manipulowała. Nie będzie więc cierpieć. Mogła cieszyć się swoim triumfem nad nim i tym, że on, w swojej nieświadomości, też się nim cieszył.

17

K A I B A

Jak można się czegokolwiek nauczyć, kiedy człowiek ma wyłączony mózg? A jednak

Danny szybko zrozumiał, że tylko tak może osiągnąć to, po co przybył na tę egipską pustynię.

Wrota Lokiego same z siebie nie wiedziały ani nie pamiętały nic poza tym, co zaobserwowały z zewnątrz: gdzie był Loki, kiedy poznał wielkie tajemnice związane z magiem Bela, i co wtedy robił.

Danny musiał więc znaleźć się tam, gdzie kiedyś był Loki, powtórzyć wszystkie jego czynności i czekać, aż wspomnienia same przyjdą. Wspomnienia nienależące do niego.

Wspomnienia, które nie zawierały słów. Zawierały tylko to, czego dowiedział się Loki, na głębszej, niedostępnej dla słów płaszczyźnie.

Kiedy tylko Danny próbował te wspomnienia zrozumieć, stery przejmowała jego

świadomość. A świadomość operowała słowami. Słowa zaś przepędzały niewyklarowane, niewerbalne wspomnienia Lokiego.

Dlatego nie mógł na bieżąco próbować czegokolwiek zrozumieć. Musiał pozwolić, by wiedza wlała się w niego. To wymagało wejścia w pewnego rodzaju trans. Jego świadomość musiała błąkać się gdzieś w próżni, nie skupiać się na niczym.

Tak trudno się skupić na tym, żeby się nie skupiać.

Z początku wspomnienia były więc rwane. Pojawiały się i znikwały jak błyskawice. Bez żadnej spójności. Obrazy wychudłego, spalonego słońcem Egipcjanina, drobnej postury, łysego, z głową nakrytą spływającym na ramiona cienkim białym płótnem, ubranego tylko w opasującą biodra zakurzoną płócienną spódniczkę. W tym wspomnieniu czuć było skwar. A potem zimno i ciemność.

Egipcjanin mówił, ale Danny nie słyszał słów. Nie chciał ich słyszeć, mimo że człowiek ten był nauczycielem - pustelnikiem, u którego Loki zasięgnął rady. Znał prastare egipskie podania zawierające wiedzę starszą od chrześcijaństwa, chociaż sam na pewno był ascetą chrześcijańskim. Jednak w ten sposób nie uda się odtworzyć wspomnienia jego słów. Danny musiał wydobyć wspomnienie historii, jaką w swojej pamięci zbudował z nich Loki.

Dlatego słowa, które do niego docierały, nie były słowami pustelnika, tylko słowami ważnymi dla słuchającego go Lokiego. Ka. Ba. Gdy tylko jednak się na nich skupiał, ich znaczenie w tym kontekście mu umykało.

Na szczęście mógł odtwarzać to wspomnienie raz po raz, bez końca. Wrota były cierpliwe. Co innego miały do roboty? Kiedy więc stopniowo opanował sztukę medytacji, przynajmniej na tyle, na ile to konieczne dla osiągnięcia jego celu, wspomnienie zaczęło się od nowa, ogarnęło go i stało się jego własnym.

Później, powiedział sobie. Przypomnę sobie, że przypomniałem sobie to, co sobie

przypomniałem, i z tego poskładałam całą historię. Na razie niech wspomnienia płyną. Niech mnie napełnią.

Stracił rachubę czasu. Skupiony na oglądanych oczami pamięci obrazach, nie wiedział, czy jest dzień, czy noc w miejscu, gdzie siedział samotnie na pustyni, przed małą grota, którą z Wheelerem i Halem oczyścili z piachu. Odczuwał upływ czasu tylko we wspomnieniu długiej, bardzo długiej rozmowy.

Parę razy przerywał bieg wspomnienia i popadał w rozpacz. Loki odnosił wszystko, co usłyszał od pustelnika, do własnych doświadczeń z wrotami, z magami wszelkich rodzajów, w świecie, gdzie magia była dużo bardziej powszechna, gdzie każdy mag wrót poznawał historię swojej rodziny, zdobywał niezbędną wiedzę i umiejętności. Jak Danny, zupełny dyletant, mógł cokolwiek z tego zrozumieć?

Pozwolił, by wspomnienie płynęło.

Pozwolił, by wspomnienie płynęło.

I nagle ktoś dotknął jego ramienia.

Kiedy wcześniej odtwarzał to wspomnienie, nic takiego się nie wydarzyło! Kto przeszkodził Lokiemu?

Czekał, aż Loki ze wspomnienia się odwróci, czekał, by zobaczyć to, co zobaczył on, dowiedzieć się tego, czego dowiedział się on.

Wtedy ten ktoś dotknął go znowu, tym razem mocniej, i zaczął nim potrząsać. Danny uświadomił sobie: To nie część wspomnienia. To nie przydarzyło się Lokiemu. To dzieje się ze mną.

- Proszę - szepnął. Jego głos był słaby, ochryply. - Proszę, jeszcze chwilę.

Ktoś znowu nim potrząsnął. Bardzo mocno. Prawie go przewrócił.

Danny'emu chciało się płakać i kiedy potężny szloch wydarł się z jego piersi, intruz dopiął

swego: trans przysnął, wspomnienie pierzchło.

Falą wróciły jego własne wspomnienia. Jest w Egipcie, obcym kraju, bez paszportu ani wizy. Złapali go.

Już miał uciec wrotami. Wtedy jednak dotarło do niego, że intruz coś mówi. Słońce oślepiało. Ledwo widział. I najwyraźniej dopiero co odzyskał słuch, bo teraz słyszał głos, to narastający, to cichnący. Mówiący po angielsku. Znał ten głos. Zmrużył oczy. Osłonił je dłonią. Twarz opuściła się na wysokość jego własnej. Była gniewna. Hermia. Hermia trafiła za nim tutaj.

Głupia! Co, nie wiedziała, że Danny robi coś ważnego, coś absolutnie koniecznego? Jak śmiała mu przeszkodzić?

- Pij! - mówiła.

Spuścił wzrok i zobaczył w jej dłoni butelkę wody. Evian. Nie lubił eviana.

Zakrętka była zdjęta. Hermia przycisnęła butelkę do jego ust. To zabolalo. Jego wargi były suche, spierzchnięte. Spękane. Spojrzał na szyjkę butelki. Była na niej krew.

- Odwodniony. - To było jedno ze słów, które powiedziała Hermia.

Otworzył usta, odchylił głowę do tyłu i pozwolił, by Hermia go napoiła. Przetykał z wysiłkiem. Jakby zapomniał, jak to się robi.

Nie, po prostu czekał, aż obudzi się kinetyczna pamięć Lokiego. Czekał, aż Loki przypomni sobie, jak pił. Tyle że Loki niczego nie pił.

Bo cała rozmowa Lokiego trwała zaledwie godzinę. Usiłowania Danny'ego, żeby ją sobie przypomnieć, zabrały dużo więcej czasu, bo co rusz musiał je ponawiać.

Udało mu się przełknąć. Woda tak mocno paliła w gardle, że uświadomił sobie: Długo nie piłem.

Hermia zniknęła. Ale butelka wody wciąż była w jego dłoni. Spróbował ją podnieść, żeby

się napić. Nie pamiętał, jak to się robi. Schylił się, przyłożył spękane, zakrwawione wargi do plastikowej szyjki. Woda nie popłynęła w górę. Ale udało mu się objąć szyjkę ustami i wyprostować się. Butelka podniosła się razem z nim. Woda pociekła po jego ustach. Danny chwycił ją wargami i językiem; trochę się wylało, trochę połknął. Tym razem w miarę bezboleśnie. Nagle jednak woda wpadła nie tam, gdzie trzeba, i zaczął kaszleć. Dławić się. Upuścił butelkę. Wciąż wykrztuszając wodę z tchawicy, macał wokół w poszukiwaniu butelki. Czemu jej nie widzę? - pytał sam siebie. Przecież jest jasno.

I nagle poczuł, że ktoś chwycił go z jednej i drugiej strony i podniósł na nogi. Bolało, kiedy się prostował, kiedy wstawał. Nogi nie utrzymywały jego ciężaru. Stracił w nich czucie. Jak długo siedział nieruchomo w jednej pozycji?

Dwie kobiety rozmawiały ze sobą. Znowu Hermia. Veevee. Maginie wrót. Jego przyjaciółki. Obie rozgniewane. I zaniepokojone. Ale używały ludzkiej mowy, a on jej unikał. Nie chciał słyszeć żadnych słów, bo to odwróci jego uwagę od...

Nie, nie, wspomnień już nie było. Nie był w transie. Dobrze, że odzyskał mowę. Musiał usłyszeć, o czym rozmawiają Hermia i Veevee, i to zrozumieć.

- Nie słyszy nas - powiedziała Veevee.

- Jakbym nie wiedziała - odparła Hermia.

- Musimy zabrać go do Naples.

- Na razie skupmy się na tym, żeby zawlec go przez te wrota tam, skąd tu przyszedł.

Danny się zachwiał. Odzyskiwał czucie w nogach. Cudowne mrowienie. Koszmarny ból długo nieruszanych stawów.

- Próbuje chodzić - stwierdziła Hermia.

- Co on, tylko patrzył na grotę?

- Teraz rozumiem historię o Narcyzie. Zmuszony wiecznie wpatrywać się w jeden punkt.

- Tyle że nie w swoje odbicie.

- Skąd możemy wiedzieć, co tam widział?

Co widziałem? Czy cokolwiek pamiętam? Czy to wszystko poszło na marne, bo wspomnienie nie wróciło w formie, którą byłbym w stanie zrozumieć?

Zaprowadziły go w dół piaszczystego, skalistego zbocza do wrót i nagle znaleźli się pod dachem. W sypialni Hala. Czy to naprawdę ostatnie miejsce, w jakim był? Nieważne. Liczyło się tylko to, że istnieją wrota z sypialni Hala do groty w Egipcie. Hermia znalazła je. Potem poszła do Veevee, żeby poprosić o pomoc. Wskoczyła z jednych wrót w drugie.

Hal był w swoim pokoju. Zaklął, próbował pomóc.

Danny nie powinien mieć kłopotów z chodzeniem. Przejście przez wrota powinno było go całkowicie uleczyć. Ból fizyczny minął, to na pewno. Wróciło czucie w nogach. A mimo to wciąż chodzić nie mógł.

- Zabierzemy go do jego domu, skarbie - powiedziała Veevee. - Bardzo pomogłeś, ale teraz już sobie poradzimy.

- Jesteś pewien, że nikt go do tego nie zmusił? - spytała Hermia.

- Zachowywał się zupełnie normalnie - odrzekł Hal. - Przynajmniej jak na niego. Miał jakiś plan, coś w związku z Lokim. Musiał pójść na pustynię i chciał, żebyśmy pomogli mu wykopać jakąś grootę. Nie rozumiałem, o co chodzi.

- Ale nie miałeś wrażenia, że ktoś nim sterował?

- Skąd mogę wiedzieć? Może to wami ktoś steruje. - Stał między nimi a wrotami prowadzącymi do domu Danny'ego.

- Jakiś ty kochany - powiedziała Veevee. - Proszę, nie obawiaj się. Wrota już go uzdrowiły.

Ale jeszcze nie odzyskał pełnej sprawności, więc nie do końca wiemy, co się dzieje. Gdybyśmy zabrały go do szpitala, lekarze nie wykryliby niczego i musiałybyśmy tłumaczyć, czemu go

przywiozłyśmy.

- Nic mi nie jest - rzekł Danny do Hala. - Po prostu mam kłopoty... z panowaniem nad własnym ciałem.

- Jest jak mag zwierząt zagubiony w bracie serca - zauważyła Veevee.

- Sądząc z jego ruchów, jego bratem serca jest podpity ślimak.

Hal zszedł im z drogi. Zaprowadziły Danny'ego do wrót i wsunęły się z nim do środka.

Kiedy znaleźli się w jego domu, Danny się nie zgodził, by zabrały go do Naples.

- Nie ma powodu tam iść.

- Musimy cię nawodnić - tłumaczyła Veevee. - Przejście przez wrota nie uzupełnia utraconej wody. Półtora dnia w pustynnym słońcu. Nie wspominając o nocy na pustyni. Co ci do głowy strzeliło?

- Prowadziłem badania.

- Nad doświadczeniami z pogranicza śmierci? - spytała Hermia. Skosztowała wody ze szklanki w kuchni Danny'ego. - Ty to pijesz?

- Krystalicznie czysta z Buena Vista - powiedział Danny.

Podawała mu szklankę i opróżnił ją jednym długim, łapczywym haustem.

- Nie do wiary - zdziwiła się Veevee. - Twoje oparzenia słoneczne zmieniły się w opaleniznę. Jak pomyślę o tych wszystkich emulsjach i godzinach spędzonych w solarium... a wystarczyło spiec się na słońcu i przejść przez wrota.

- Masz pojęcie, jakiego stracha nam napędziłeś? - rzuciła Hermia. - Nagle nikt nie może cię znaleźć. Marion i Leslie nic nie wiedzą. Nikt nic nie wie. Dopóki Veevee nie wpadła na pomysł, żeby zapytać o ciebie twój szkolny fanklub.

- Moich przyjaciół - domyślił się Danny.

- Jesteś jedynym Ojcem Wrót na świecie - stwierdziła Hermia. - I nie wolno ci znikać bez

uprzedzenia.

- Uprzedziłem moich przyjaciół. Poza tym miało mnie nie być tylko parę godzin.

- A przepadłeś na co najmniej trzydzieści sześć - powiedziała Veevee.

- Nie wiedziałem.

- Mogłeś umrzeć! - krzyknęła Hermia. - Co za narkotyk wzięłeś?

- Żadnego.

- Nie kłam! Ileż ja się natrudziłam, żeby cię wybudzić z tego letargu. Miałeś halucynacje?

- Za słabe - odparł Danny. - Zamiast się na mnie wściekać, może chcecie się dowiedzieć, co tam robiłem? Tylko ostrzegam, w tym celu będziecie mnie musiały naprawdę wysłuchać.

- Jak to, ty ochrzaniaasz mnie?! - oburzyła się Hermia. - Robisz coś głupiego, bezmyślnego...

- Hermio - ucięła Veevee - wysłuchajmy go i przekonajmy się, czy rzeczywiście postąpił głupio i bezmyślnie.

- Teraz stoisz po jego stronie?! - wściekła się Hermia.

Danny i Veevee patrzyli na nią w milczeniu.

Hermia wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i usiadła na kanapie obok Danny'ego.

Veevee przysunęła sobie krzesło kuchenne.

- Czyli staruszce się dostało twarde krzesło.

- Dopiero przeszedłaś przez wrota, czujesz się dobrze - powiedziała Hermia.

- Wiecie, że mam w sobie wrota Lokiego - zaczął Danny.

- Zabrałeś mu je, tak - potwierdziła Hermia.

- Ale potem mi je dał. Dlatego... rozmawiamy.

- Ty i Loki? - spytała Veevee.

- W pewnym sensie. Może. Ale myślę, że rozmawiam tylko z jego wrotami. Teraz już są mi

posłuszne. Tyle że jednocześnie wciąż pozostają częścią Lokiego, więc może on wie, o czym z nimi rozmawiam, a może nie. Nieważne. W jego pamięci tkwią informacje, które muszę zdobyć, a nie ma go tutaj. Zresztą - nawet gdybym o nie zapytał, pewnie nic by mi nie wyjawiał. Jakoś niezbyt się pali do tego, żeby mnie uczyć.

- Ale możesz rozmawiać z wrotami?

- Nie wiem, jak to działa. Słyszałyście kiedyś, żeby ktoś dobrowolnie oddał swoje wrota?

- To jakby oddać swoje zewnętrzne ja - stwierdziła Veevee.

- Tak, słyszałam o czymś takim - powiedziała Hermia. - Stara rodzinna legenda. O dwóch przyjaciółach, którzy byli tak sobie oddani, że jeden został bratem serca drugiego i odwrotnie.

- Ale to nie jest tak - rzekł Danny. - On nie siedzi we mnie ani ja w nim. Nie steruje mną.

Nie jest zaklinaczem ludzi.

- Możesz stwarzać jego wrota? - spytała Hermia.

- Po tej sprawie z Dzikimi Wrotami nie ośmieliłbym się spróbować. Ale proszę, błagam, dajcie mi powiedzieć, czego się dowiedziałem, dopóki to pamiętam.

- Dowiedziałeś się? - spytała Veevee.

- Byłem tam po to, żeby odtworzyć kinetyczne wspomnienie chwili, kiedy chrześcijański pustelnik z Egiptu wyjawiał Lokiemu jakąś wielką tajemnicę. Mówił po koptyjsku, ale był uczonym. Zbierał prastare egipskie podania. Tajemną wiedzę, której nie ma w inskrypcjach, księgach umarłych ani w ogóle nigdzie. To coś, co się po prostu wie, i on przekazał to Lokiemu, ale jego wrota nie mogą tego przełożyć na ludzką mowę, mogą tylko pomóc mi odtworzyć stan ducha Lokiego w chwili, kiedy tę wiedzę posiadał. Rozumiecie?

- Chyba sam tego nie rozumiesz, słonko - skomentowała Veevee.

- To prawda - przyznał Danny. - Ale pozwólcie mi opowiedzieć wszystko po kolei. Bo to poskutkowało. Na samym końcu, kiedy mną potrząsnęłaś, już zaczynałem rozumieć. Po wielu

próbach.

- Wybacz, że ci uratowałam życie - burknęła Hermia.
- Proszę, błagam, dajże mi to powiedzieć. - Tak był zdesperowany, że prawie się popłakał.
- Prosi, żebyś się zamknęła, kochana - powiedziała Veevee.
- Wiem, o co prosi.
- Jak nie chcesz słuchać - Veevee uśmiechnęła się słodko - może sobie pójść i pozwól, żeby opowiedział wszystko mnie?

Hermia schowała twarz w dłoniach.

- To będzie pomieszanie z poplątaniem - przestrzegł Danny. - Czuję, że wszystko wymyka mi się jak sen. Chodzi o Ka i Ba. Ka to wewnętrzne ja, Ba to zewnętrzne ja.
- Każdy to wie - stwierdziła Hermia.
- Ja nie wiedziałem! - obruszył się Danny.
- Zamknij się, Hermio, proszę cię! - Głos Veevee brzmiał tak słodko, że oczywiste było, iż kipi w niej żądza mordy.
- Tyle że to nie jest to samo. Właśnie to było najtrudniejsze - rzekł Danny. - Myślimy o Ka jak o czymś powiązanim z ciałem, czymś, co jest częścią ciała. Dlatego Ba posyłamy w naszych braci serca, nasze klanty, nasze wrota. Ale w rzeczywistości ani Ka, ani Ba nie są częściami naszego ciała. Ani jedno, ani drugie.
- Absurd! - wyrwało się Hermii, która natychmiast zakryła usta dłonią.
- To właśnie usłyszał Loki, był tym zafascynowany i przerażony zarazem - ciągnął Danny.
- Pamiętam, co wtedy czułem. Pamiętam, że to rozumiał. Ka i Ba są ze sobą związane. Razem stanowią nasze prawdziwe ja. Ciało to tylko... dom. Zestaw narzędzi. Żyje swoim życiem, snuje własne myśli, ale nie jest tobą ani mną. Czy jesteś magiem, czy suszlakiem. Jesteśmy Ka, jesteśmy Ba, nie tymi zwierzętami, które na sobie nosimy.

- Słuchamy - powiedziała Veevee.

- Bardzo to gnostyckie - stwierdziła Hermia.

- Nieprawda - zaprzeczył Danny. - To wcale nie gnostyckie. Ani koptyjskie. To powód, dla którego Loki pozamykał wszystkie wrota.

- Jeśli Ka i Ba nie są częścią naszego ludzkiego ciała, to skąd się biorą? - zapytała Veevee.

- Ze świata magów Bela - odparł Danny.

- Innymi słowy „z nieba” - szydziła Hermia.

Danny przycisnął dłonie do uszu.

- Proszę, błagam, nie kalaj tego! Daj to najpierw powiedzieć, zanim zaczniesz to na siłę dopasowywać do wszelkich bzdur, które wam, Grekom, wydaje się, że już wiecie. Czy któryś z was zamykał wszystkie wrota, jak leci? Nie? A Loki tak. Dlatego bądź cicho i pozwól, żebym spróbował sobie przypomnieć, dlaczego to robił.

- Jeszcze raz przepraszam - pokajała się Hermia.

- Ze świata magów Bela. - Danny wrócił do przerwane go wątku. - To wrota z ich świata zrobiły z bezwłosych małych ludzi. Jednocześnie jednak to te ciała dały im moce, które my przemieniamy w magię.

- Nie - zaproponowała Veevee. - Wydawało mi się, że wszelkie moce pochodzą od Ka i Ba.

- W tym właśnie rzecz. Ka i Ba ma każdy. Wnikają w ciało w chwili, kiedy się rodzimy albo... wszystko jedno. W każdym razie w nas wstępują. Jednak kiedy to się dzieje, ciało... jak by to wyrazić... sprzęga się z Ka i Ba. Kiedy moje Ka i Ba wstąpiły we mnie, to znaczy, kiedy Ka i Ba wstąpiły w Lokiego, bo to właśnie pamiętam, jego Ba podzieliło się między wszystkie jego wrota. Dopiero wtedy stał się magiem wrót. Ciało plus Ka i Ba. Rozumiecie? Bez ciała nie ma magii.

- Takie to fascynujące, że nie dziwię się, czemu prawie umarłeś, by się tego dowiedzieć -

stwierdziła Hermia.

- Jeszcze nie doszedłem do tego, co najbardziej fascynujące - powiedział Danny. - To coś, o czym mówi Apokalipsa Świętego Jana. „I nastąpiła walka na niebie: Michał i jego aniołowie mieli walczyć ze Smokiem. I wystąpił do walki Smok i jego aniołowie, ale nie przemógł, i już się miejsce dla nich w niebie nie znalazło. I został strącony wielki Smok, Wąż starodawny, który się zwie diabeł i szatan, zwodzący całą zamieszkaną ziemię, a z nim strąceni zostali jego aniołowie”.

- Dopiero co mówiłeś, że to prastare egipskie podania - przypomniała Hermia.

- Wydaje mi się, że to z Biblii - stwierdziła Veevee.

- Diabeł. Szatan. To mag Bela. Został strącony, czyli przerzucono go wrotami na Mittlegard. Ale nie dano mu posiąść ludzkiego ciała. On i jego aniołowie zostali tu zesłani w postaci nagiego Ka i Ba.

Zadumały się nad tym. Danny też.

- Tak wiele z tego, co rozumiał Loki, mi się wymyka. Teraz już nawet nie wiem, na ile to są jego ustalenia, a na ile moje własne domysły, próba dojścia, o co w tym wszystkim chodzi.

- Mów dalej - powiedziała Veevee. - Wreszcie zaczynam rozumieć, dlaczego to jest istotne.

- Ja nie - pokręciła głową Hermia.

- Mag Bela nie jest zaklinaczem ludzi. Jasne, zaklinacze ludzi istnieją, a to, co on robi, bardzo przypomina zaklinanie ludzi, ale różnica polega na tym, że mag Bela nie ma ludzkiego ciała. Jest bezcielesny. Pomyślcie jednak, co robi diabeł w całym Nowym Testamencie. Wstępuje w ludzi. Razem z innymi demonami. To jego anioły, rozumiecie? Jezus co rusz je z kogoś wypędzał.

- Myślałam, że to była zwykła schizofrenia - powiedziała Hermia.

- Albo osobowość mnoga - dodała Veevee.

- To jedyne znane dziś przypadłości o objawach takich jak te opisane w Biblii. Ale po

świecie krąży mnóstwo bezcielesnych Ka i Ba. Ich szefem jest mag Bela. Największa szycha.

Główny nieprzyjaciel. To właśnie oznacza słowo „szatan”...

- Nie tłumacz maginiom wrót, co znaczą słowa - zachnęła się Hermia.

- A zatem mag Bela nienawidzi nas wszystkich, bo nasze Ka jest połączone z ciałem. To nas odmieniło. Dało nam te wszystkie moce. O ile, oczywiście, nauczymy się nimi posługiwać.

Umiejętność władania magią jest dziedziczna. Powiązana z ciałem. I właśnie dlatego on chce zawłaszczać ludzkie ciała. Bo wtedy zdobywa zawartą w nich moc.

- Ale te Ka i Ba nie łączą się z naszymi ciałami tak jak my sami, prawda? - spytała Veevee.

- Nie. Same z siebie nie mają magii. Wstępują w nas, rządzą nami i wtedy mogą korzystać z naszych mocy. Dlatego mag Bela jest niebezpieczny. Nie posyła swojego Ba w innych, tak jak to robią zaklinacze ludzi. Nie stosuje perswazji, nie zmienia twojego sposobu postrzegania rzeczywistości. Nie, on wnika w ciebie całym swoim Ka i Ba. Stajesz się jego marionetką.

Zmusza cię, żebyś posługiwała się własnymi mocami wedle jego woli. A po twojej śmierci nie umiera. Mało tego, jest przeschęśliwy, kiedy Ka opuszcza ciało, bo wtedy ma nad tym ciałem wyłączną kontrolę.

- To czemu po prostu nie zabije człowieka i nie przejmie nad nim władzy? - zapytała Veevee.

- W tym sęk. Starożytni Egipcjanie wierzyli, że semiccy bogowie potrafią wskrzeszać umarłych. Dlatego usuwali z ciał wysokich dostojników mózgi i narządy wewnętrzne i chowali je do kanop. Żeby ciało nie nadawało się do użytku. Żeby mag Bela albo jego słudzy nie mogli cię ożywić i dalej rządzić w twoim imieniu. Balsamowanie nie służyło zapewnieniu wiecznego życia. Miało tylko dać pewność, że człowiek pozostanie martwy.

- Naprawdę to potrafią? Przecież to byłoby jak... przemiana w zombi.

- Nie, nie. Pustelnik nazwał to przesądem. Mag Bela może mieć władzę tylko nad

martwymi ciałami, nad którymi panuje w momencie, kiedy opuszcza je Ka. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, nie? Mag Bela jednak musi opanowywać żywe ciała i najbardziej zależy mu na tych najpotężniejszych. Chce magów. Potem włada ich magią.

- Czyli kiedy kogoś opęta, trzeba opętanego zabić? To dosyć drastyczne.

- I w dodatku nieskuteczne. Bo mag Bela wtedy nie umiera. Nie można zabić Ka ani Ba. Są nieśmiertelne. Owszem, te naprawdę zespolone z ludzkimi ciałami umierają, ale to znaczy tylko tyle, że się od tych ciał odłączają. Same żyją nadal. Dlatego możemy zachowywać wrota magów nieżyjących od tysiąca lat. Są oderwane od Ka, które wciąż żyje... gdzieś. Jednak mag Bela... on ciała nigdy nie miał, więc śmierć ciała w żaden sposób na niego nie wpływa. Po prostu przenosi się do innego.

- Twierdzisz, że tylko magowie Bela mogą ulegać reinkarnacji.

- Nie wiem, Loki i pustelnik nie mówili w tych kategoriach. Nie mam pojęcia, co spotyka normalnych ludzi, którzy umierają w normalnych okolicznościach. To wszystko wspomnienie, więc nie mogłem zadawać pytań. Słuchajcie dalej. Magowie Bela początkowo byli w tym kiepscy. Nie są zaklinaczami ludzi. W ogóle nie są magami. Nie mają tych mocy co my. Mają za to wielkie doświadczenie. Wnikają w ludzi i mniej lub bardziej skutecznie przejmują nad nimi władzę od dziesięciu tysięcy lat. Nawet Loki nie żyje tak długo. Najmądrzejszy, najlepszy z nich... Bel, Wróg, Wielki Smok, najsilniejszy, ten, który nabrał w tym największej wprawy... poznał sposoby wstępowania w ludzi dużo potężniejszych od innych.

- Czyli tym, co uświadomił sobie Loki... - zaczęła Hermia.

- Co skłoniło go do pozamykania wrót... - dodała Veevee.

- Było to, że Smok wreszcie znalazł sposób, by połączyć się z człowiekiem na tyle mocno, żeby przejść razem z nim przez wrota.

- O nie! - jęknęła Veevee.

- Pomyślcie. Obecność maga Bela w człowieku, opętanie... to choroba. Zgadza się? Czyli przejście przez wrota powinno go wypędzić.

- Ale jak weźmiesz kogoś za rękę, to możesz go przeprowadzić przez wrota - powiedziała Hermia.

- Jeśli dwoje ludzi trzyma się za ręce. Każdy z własnym ciałem. Za to ten nieproszony gość, pasażer na gapę, demon zostaje wypędzony. Jak myślicie, kim był Jezus? Uzdrawiał chorych, wypędzał demony.

- Twierdzisz, że był Ojcem Wrót? - zdziwiła się Veevee.

- To nie słowa pustelnika, odbiegamy od tego, co usłyszał Loki, pustelnik nie powiedziałby niczego, co mogłoby przeczyć boskości Jezusa. Wróćmy do tego, co Loki wiedział. Zrozumiał, że magowie Bela starali się wiązać z ludźmi tak mocno, by razem z nimi przechodzić przez wrota. Myślę, że o tym właśnie mówi ten fragment z Biblioteki Kongresu. Że mag Bela opętał maga wrót. Ówczesny Loki nie zdawał sobie sprawy, co się stało. Uznał tego maga wrót za swojego wroga, gdy rzeczywistym wrogiem był skryty w nim mag Bela. Dlatego kiedy wywiązała się między nimi walka, ten dawny Loki tak naprawdę zabił tylko nieszczęsnego, opętanego Ojca Wrót. Sam mag Bela nigdy nie opuścił tego świata. Nie był w stanie przejść przez wrota. Mógł posługiwać się mocą opanowanego przez siebie Ojca Wrót, by stwarzać wrota, ale nie mógł z nich korzystać. Po wejściu w nie zostawał wyrzucony z ciała.

- To nie są wspomnienia Lokiego - zauważyła Hermia.

- Nie, przepraszam, nie, po prostu dopiero zaczynam to rozumieć. I nie pamiętam... nie dowiedziałem się, skąd Loki wiedział, że współczesny mu mag Bela lada chwila nauczy się przechodzić przez wrota. Smok zapewne siedział wtedy w Ojcu Wrót, więc Loki pożarł wszystkie wrota opętanego... nie zabijając go. Przez to Smok nie mógł mieć z tego maga żadnego pożytku. Dlatego musiał go opuścić, rozumiecie? Bo będąc w nim, był bezsilny. Lecz mógł

szybko znaleźć sobie innego maga wrót. Albo wstąpić w byle kogo, potem przejść przez Wielkie Wrota, by zwiększyć swoją moc i...

- I dlatego Loki pożerał wszystkie wrota - powiedziała Hermia. - Dopóki nie zjawiliśmy się my, geniusze, i nie stworzyliśmy Wielkich Wrót.

- Które w dodatku są dzikie - dodał Danny. - Ależ zawałiłem sprawę!

- Nie ty, tylko Loki - sprostowała Veevee. - Powinien był przewidzieć, że pewnego dnia zjawi się potężniejszy od niego Ojciec Wrót, który pożre jego wrota. Musiał to wiedzieć.

- Może dlatego się obudził i wyszedł z drzewa. Bo dowiedział się, że istnieję. - Danny ugryzł się w język. - Następne domysły, następne spekulacje. Wiemy tyle: Loki uświadomił sobie, że musi pozamykać wszystkie wrota, by nie pozwolić Smokowi i jego zastępom, tym bezpiecznym Ka i Ba, zdobyć władzy nad światami.

- Ciągle nie rozumiem - powiedziała Veevee. - Potrafią korzystać z wrót i co z tego?

- Ja rozumiem - stwierdziła Hermia. - Kiedyś wystarczało przepuścić człowieka przez wrota, by wyrzucić z niego wszelkie demony. Jeśli jednak to nie skutkuje, już tylko śmierć może te demony wypędzić. Każdy, kim zawładną, pozostaje opętany, dopóki nie umrze. A Smok i jego diabły nie umierają razem z człowiekiem, tylko znajdują sobie innego potężnego maga i w niego wstępują. Na zawsze są panami ludzkiego życia.

- To oznacza koniec ludzkiego życia - dokończył Danny. - Żyją tylko magowie Bela.

Wszyscy inni zmuszeni są być ich marionetkami. Widzami własnego życia.

- Czyli przez te wszystkie lata, kiedy Loki nie dopuszczał do powstania Wielkich Wrót - odezwała się Veevee z namysłem - magowie Bela opętywali ludzi, a ponieważ na świecie nie było żadnych wrót, nikt nie mógł ich wypędzić.

- To prawda - przytaknął Danny. - Dlatego najważniejsze w tym wszystkim są Wielkie Wrota. Kiedy Loki zamykał wszystkie wrota, na Westilu jeszcze nie było magów Bela. Nie byli

w stanie się tam dostać... do wtedy. Loki dopiłnował więc, by droga na Westil pozostała dla nich zamknięta. A przy okazji osłabił tutejszych magów, uniemożliwiając im przechodzenie między światami. Dzięki temu magowie Bela nie mogli osiąść rzeczywistej mocy. Kto wie, może przez to zostawiali w spokoju takich magów jak my, a koncentrowali się na ludziach faktycznie rządzących tym światem.

- Stalinie, nie Odyne - powiedziała Veevee.

- Hitlerze, nie Jupiterze - dorzuciła Hermia.

- A teraz wyobraźcie sobie Hitlera z mocą Gromowładcy, Ojca Pływów czy Ojca

Kamienia, i to takiego, który przeszedł przez Wielkie Wrota. Bo jeśli przyjąć, że Hitlerem w

rzeczywistości był mag Bela, który opętał austriackiego pacykarza, to Hitler tak naprawdę nie

umarł w berlińskim bunkrze w 1945 roku. Umarł tylko nieszczęsny dureń, którym zawładnął. A

mag Bela oderwał się od niego i wyruszył na poszukiwania innego ciała.

- Czyli może toczyliśmy walkę ze wszystkimi potworami w dziejach - stwierdziła Veevee.

- Nie, to Loki z nimi walczył - westchnął Danny. - A ja wszystko zepsułem. Przeze mnie przegrał wojnę.

- Jeszcze nic nie jest stracone - pocieszyła go Veevee.

- A poza tym - dodała Hermia - według mnie to wszystko brednie.

Danny spojrzał na nią pustym wzrokiem.

- Co ty gadasz? Myślisz, że źle zapamiętałem te wspomnienia?

- Zapewne pamiętasz je doskonale. Ale samo to, że jeden człowiek z zamierzchłej epoki

powiedział coś drugiemu... i nie zapominajmy, że jednym był stuknięty chrześcijański pustelnik

mieszkający w grocie, a drugim Loki, na litość boską... samo to, że obaj byli przekonani, że coś jest prawdą, nie znaczy, że mieli rację.

- Ale samo to, że ty tak nie sądzisz, nie znaczy, że to prawdą nie jest.

- Zobacz, jak zdobyłeś te wszystkie informacje. Wszedłeś w halucynogeny trans.

Smażyłeś się na egipskim słońcu, nic nie piłeś, nic nie jadłeś, nie ruszałeś się, tylko siedziałeś jak kołek i miałeś omamy podczas rozmowy z... kim? Z zewnętrznym ja szurniętego Lokiego! Nie dociera do ciebie, jakie to niewiarygodne?

- Nie. Loki to mądry gość.

- To, że ktoś jest mądry, nie znaczy, że nie może być szurnięty - stwierdziła Hermia. - Ty jesteś mądry, a i tak szalony, istny wariat.

- Nieprawda! - oburzyła się Veevee.

- Dopiero co uratowałyśmy mu życie, bo zapadł w śpiączkę w prażącym słońcu. Proszę bardzo, znajdź mi definicję słowa „wariat”, która tego nie obejmuje!

Danny nie miał na to gotowej odpowiedzi. Wiedział, że Hermia się myli. Wiedział, że to, czego dowiedział się Loki, jest prawdą. A przynajmniej w to wierzył.

A może uważał tak tylko dlatego, że tyle się napracował, żeby dokopać się do tego wspomnienia.

- Nie pozwól, żeby ci to wyperswadowała - powiedziała Veevee. - Ona nic nie wie.

- Może, ale przynajmniej mam jaki taki kontakt z racjonalnym wszechświatem -

odparowała Hermia. - Bez urazy, Veevee, ty przez całe życie byłaś przekonana, że jesteś magiem wrót, mimo braku dowodów.

- I wyszło na moje - zauważyła Veevee.

- Ale wierzyłaś bez dowodów. Co nie czyni cię wiarygodnym sędzią dziwacznych teorii.

Nie rozumiesz? Danny pewnie ma całkowitą rację co do tego, czego dowiedział się Loki. Tyle że Loki był wariatem czerpiącym wiedzę od wariata, a Danny jest wariatem posługującym się zwariowanymi metodami, by ich wariactwo odtworzyć, i trzeba być wariatem, żeby traktować to poważnie.

- Skoro taka z ciebie ekspertka od wariactwa - zaperzyła się Veevee - co twoim zdaniem należy zrobić?

- Myślę, że czas dopuścić rodziny do Wielkich Wrót - odparła Hermia. - Nie ma żadnego, ale to żadnego powodu, by zakazać ludziom przechodzenia między światami. Nie ma żadnych Ka i Ba, które przejmują władzę nad ludzkimi ciałami. Nie ma żadnego czyhającego Smoka. Nikt taki nie istnieje. To wymysł z najbardziej porąbanej biblijnej księgi, na litość boską!

Danny przycisnął dłonie do oczu.

- Jestem zmęczony - jęknął.

- Dopiero co poddałeś się torturom, które o mało cię nie zabiły - stwierdziła Hermia. -

Należy ci się drzemka.

- Opuściłem jeden dzień szkoły - dodał Danny.

- Stąd wiedziałyśmy, że coś jest nie tak - wyjaśniła Veevee. - Twoi przyjaciele niepokoiłi się, więc wysłali dziewczynę z dekoltem, żeby zajrzała do twoich dokumentów w sekretariacie i do mnie zadzwoniła.

- Myślałem, że i bez tego mnie szukałyście.

- Ja tak - zapewniła Hermia. - Tylko nie wiedziałam, gdzie szukać.

- Innymi słowy nie wpadłaś na to, żeby zapytać suszłaka.

Hermia wzruszyła ramionami.

- Za to moi przyjaciele suszłacy zaczęli działać - ciągnął Danny. - Oni mnie uratowali.

- Co ty w ogóle robisz w szkole, Danny? - spytała Hermia. - Skąd ta twoja obsesja na punkcie suszłaków? Pora dopuścić rodziny do Wielkich Wrót i przywrócić właściwy porządek rzeczy.

Danny spojrzał na nią z ponurą rozpaczą.

- Kiedyś byłaś innego zdania.

- Może wreszcie dotarło do mnie, że świat był nie bardziej pochrzaniiony, kiedy rządzą nim bogowie władający mocą zdobytą dzięki przechodzeniu na Westil i z powrotem, niż teraz, gdy naukowcy i inżynierowie wkładają śmiercionośne narzędzia w ręce suszłaków.

- Muszę to przemyśleć - rzekł Danny.

- Nie chcę być nieprzyjemna...

- E tam - powiedziała Veevee.

- Nie chcę być nieprzyjemna - powtórzyła Hermia - ale czasem prawda jako taka jest nieprzyjemna. Bawisz się w ucznia szkoły średniej. Rozczulasz się nad suszłakami. Ale spójrz na swoich przyjaciół, Danny. To okropni ludzie. I teraz cię wielbią, zgadza się? Rządzisz nimi, tyle że marną sobie wybrałaś grupkę wyznawców, nie sądzisz? Naprawdę nie stać cię na nic lepszego?

Danny z trudem to znosił. Po trosze był na nią wściekły za to, że tak osądza jego przyjaciół.

Z drugiej strony rozumiał jej punkt widzenia i zastanawiał się, czy ona ma rację, czy rzeczywiście jest taki jak wszyscy inni magowie, manipulujący wielbiącymi ich suszłakami. Jeśli to prawda, jego przyjaciele wcale nie byli jego przyjaciółmi. Tylko... narzędziami.

Wykorzystywał ich.

Tak, wykorzystał Hala i Wheelera do pomocy w odkopaniu groty. Jakby miał prawo kazać im poświęcić kilka godzin życia na grzebanie w egipskim piachu. Tylko dlatego, że jest Ojcem Wrót.

Odtworzyłem w sobie wszystkie najgorsze, najbardziej snobistyczne cechy rodzin po to tylko, żeby być zwyczajnym uczniem szkoły średniej. Od pierwszego dnia przenosiłem ludzi przez wrota i manipulowałem nimi, jakbym miał do tego prawo.

Hermia patrzyła na niego z dziwną mieszanką troski i triumfalnej wyższości.

Ona nie jest moją przyjaciółką, uświadomił sobie Danny.

Ale Hal i Wheeler, Xena i Laurette, Sin i Pat - oni są moimi przyjaciółmi. Nawet jeśli ja jestem dla nich marnym przyjacielem.

Chrzanić rodziny. Chrzanić Wielkie Wrota. Czy Loki miał rację co do Smoka, maga Bela, Szatana, jak go tam zwał, czy nie, na pewno słusznie postąpił, zamykając wszystkie wrota i nie otwierając ich przez tysiąc lat.

- Wiesz co, Hermio? - powiedział Danny. - Lubię moich przyjaciół. Przynajmniej nie oczekują ode mnie, żebym traktował innych źle tylko dlatego, że nie mają takiej mocy jak ja.

- Ależ z ciebie suszłak!

- Kiedyś też tak uważałaś - przypomniał Danny.

- Wydoroślałam.

- W parę tygodni?

- Och, wiem, do czego zmierzasz - powiedziała Hermia. - Że niby przeszłam nagłą zmianę osobowości. Że opętał mnie Smok.

- Cóż za interesująca sugestia - stwierdziła Veevee. - Do głowy by mi to nie przyszło, ale teraz, skoro już poruszyłaś ten temat...

- Zdajesz sobie sprawę - mówiła dalej Hermia do Danny'ego - że jeśli teraz zaczniesz podejrzewać, że każdy, kto się z tobą nie zgadza, musi być opętany, to będzie najkrótsza droga do prawdziwego obłądu.

- Przez myśl mi nie przeszło, że jesteś opętana - rzekł Danny. - Przynajmniej nie przez maga Bela. Myślę, że rozmawiałaś ze swoją rodziną. Że cię znaleźli, mimo usunięcia tych nadajników. I przeciągnęli na swoją stronę.

Milczenie Hermii i jej lekko poczerwieniała twarz powiedziały Danny'emu, że trafił w sedno.

- Przykro mi, że cię dopadli - dodał - i przykro mi, że teraz się z nimi zgadzasz.

Hermia patrzyła na niego w milczeniu.

- Krępująca sytuacja - powiedziała Veevee.

- E tam - odparła Hermia. - On chce przez to powiedzieć, że gdybym miała te poglądy co teraz, kiedy się spotkaliśmy, nie wzięłby mnie na swoją współniczkę w tym przedsięwzięciu.

Danny potrząsnął głową.

- Takich poglądów nie miałaś, wiem na pewno. Ale pomogłaś mi zapanować nad moimi umiejętnościami. Nie zapomniałem tego.

- Tylko że już nie jesteśmy przyjaciółmi - zauważyła Hermia.

- Jesteśmy przyjaciółmi, którzy nie zgadzają się w pewnej ważnej sprawie - stwierdził

Danny.

- Mam raczej wrażenie, że wypowiadając się lekceważąco o twoich suszłackich przyjaciółach, wywyższyłam ich w twoich oczach, a siebie pomniejszyłam.

Danny nie mógł zaprzeczyć. Celnie to podsumowała.

Hermia podeszła do zlewu i nalała wody do szklanki Danny'ego.

- Widzisz, ty nienawidzisz swojej rodziny. A Veevee w zasadzie do żadnej nie należy. Ja moją rodzinę kocham. Nie mogę zerwać tej więzi. Nie mogę się zwrócić przeciwko nim.

- Przecież to zrobiłaś.

- Bo byłam tak podekscytowana, że znalazłam na tym świecie prawdziwe wrota. Teraz pierwszy entuzjazm minął. Znów jestem sobą.

- Znów chodzisz na pasku swojej rodziny - skwitował Danny.

- Nazywaj to, jak chcesz.

- Zawarłem umowę ze wszystkimi rodzinami - przypomniał Danny.

- Nie, podyktowałaś im warunki.

- Na które przystałaś.

- Bo jesteś Ojcem Wrót, a ja nie. Ale zawsze uważałam, że źle postępujesz.

Veevee cicho parsknęła śmiechem.

- Ty naprawdę masz dar do pisania historii na nowo, mała.

- Byłam „kochaną”, teraz jestem „małą” - zauważyła Hermia. - Moje notowania lecą na łeb na szyję, co?

- Pozostanę przy warunkach, jakie przedstawiłem rodzinom - powiedział Danny.

- Myślisz, że taki z ciebie egalitarysta, ale spójrz, jak traktujesz mnie, tylko dlatego, że jesteś Ojcem Wrót, a ja nędzną Przyjaciółką Zamków.

- Może to i prawda, ale ty taki system akceptujesz. A w jego ramach, owszem, ja jestem Ojcem Wrót, a ty Przyjaciółką Zamków.

Zapadła cisza.

Hermia chlusnęła mu w twarz wodą ze szklanki.

Po czym ruszyła do wrót prowadzących do Waszyngtonu i w nie weszła.

Danny otarł wodę z oczu.

- To co, jestem nawodniony? - spytał Veevee.

- Przejdzie jej, Danny.

- Nie sądzę. Dla niej jestem dzieckiem. Dzieckiem z rodziny Northów. Ilirowie uważają się za lepszych od wszystkich, Northów zwłaszcza. Nie, nie wierzę, by miała się rozmyślić, posypać głowę popiołem i chcieć, żeby wszystko było po staremu.

- Jeśli nawet, to co? Ona nie umie robić wrót, ty umiesz.

Danny'emu chciało się płakać.

- Jakoś nie lubię tracić przyjaciół.

- Jak sam mówiłeś, kochany. Ona nigdy nie była twoją przyjaciółką.

- Właśnie że tak. Była wspaniałą przyjaciółką. Ale jej się odmieniło.

- Niech ci będzie. Tyle że miłość to nie miłość, jeśli zmienny świat naśladować, sama się odmieni. [Tłum. Stanisław Barańczak.]

- To jeden z najbardziej zawitych wersetów, jakie kiedykolwiek napisano - stwierdził Danny.

- Ja na *Rozważnej i romantycznej* płakałam jak bóbr.

- Płaczesz na widok rozjechanej wiewiórki.

- Bardzo spokojnie do tego wszystkiego podchodzisz - zauważyła Veevee.

- Bo to nieważne, co mówi Hermia, Veevee. Mag Bela istnieje. Loki ma rację: to jest prawdziwa wojna. Całe to bajdurzenie o wpuszczaniu rodzin magów w Wielkie Wrota to głupstwo, nic więcej. Muszę się nauczyć pożerać wrota, tak jak to robił Loki. Muszę się dostać na Westil i zabrać wrota ze sobą jak on.

- Tylko nie mów, że to będzie wymagać kolejnej wyprawy do Egiptu - powiedziała Veevee.

- Przynajmniej weź kogoś ze sobą, żeby od czasu do czasu polewał ci głowę wodą.

- Wiesz co? Zjem parę kanapek z masłem orzechowym i się przebiegnę. Żeby sprawdzić, czy nogi mi działają.

- Czyli zamierzasz jeszcze trochę pobyc uczniem.

- Mam wybór: albo być uczniem, albo głowić się nad tym, jak ocalić świat, i przed kim właściwie.

- Zgrabnie podsumowane. Zawsze wiesz, co i jak powiedzieć.

- Nie wiem nic - odparł Danny.

Wewnątrz siebie słyszał szept wrót Lokiego. To wszystko prawda, mówiły bez słów, jak to one. Nie wątp w to. Prawda prawda prawda. Smok istnieje. Chce przejść Wielkimi Wrotami na Westil. Nie dopuść go do Wielkich Wrót.

- Mogę tylko radzić sobie najlepiej, jak potrafię - rzekł Danny.

- Jak my wszyscy - stwierdziła Veevee.

18

WYRAZISTE WSPOMNIENIE

Było coś, czego o Klusze nie wiedział nikt, ba, czego nie wiedział on sam: że był niezwykle zagubiony. Nie można przeżyć tysiąca lat w drzewie i niczego nie stracić. A Klucha stracił własną przeszłość.

Niegdyś kierował nim straszliwy cel, tak ważny, że warto było dla niego odciąć się od świata ludzi i poświęcić wszystko jednemu zadaniu: aby odebrać magom wrót na Westilu i Mittlegardzie możliwość stworzenia Wielkich Wrót. Robiąc to, Klucha osłabił wszystkich magów i skazał pokolenia ludzkości, pozbawione dostępu do uzdrawiających wrót, na cierpienie i śmierć.

Gdy jednak się ocknął i wyszedł z drzewa, wezwany przez siłę, której nie rozpoznawał ani nie rozumiał, błąkał się po świecie bez żadnego celu. Nieznajome dziewczę nakarmiło go i przyodziało, dzięki czemu nie zamarzł ani nie umarł z głodu. Piekarka wzięła go pod swoje skrzydła, więc zamieszkał w zamku i nauczył się interesować sprawami, którymi interesują się mieszkańcy zamków - losem władców i dynastii.

Ulegając skłonnościom ciała, zakochał się w pięknej, bezwzględnej, wpływowej kobiecie. Stopniowo odkrył, że ma pewne zasady moralne. Nie zamordował kochanki króla Prayarda i ich dzieci. Nie wydarł dziecka z łona Bexoi, by pomścić zgładzonego na jej rozkaz syna, któremu razem dali życie.

To wskazywało, że dawno, dawno temu Klucha był człowiekiem, który głęboko rozważył naturę dobra i zła, i doszedł do wniosków innych niż powszechnie przyjęte w gronie magów. Człowiekiem, który poznał mechanizmy władzy, opanował magię wrót w stopniu do tego czasu niespotykanym.

Co najważniejsze, miał siłę woli. Kiedy wyznaczał sobie jakiś cel, to go osiągał.

Czy jednak pod jakimkolwiek względem wciąż był tym samym człowiekiem co wtedy?

Jeśli tak, co dziś było jego celem? Anonoei miała swoje plany i Klucha jej pomagał, tak jak niegdyś przyjął za swoje zadanie naznaczone mu przez króla Prayarda i dobrowolnie stał się narzędziem Bexoi w jej knowaniach.

Napotkawszy Danny'ego Northa, postąpił zgodnie z powodującym człowiekiem, którym był dawniej, wewnętrznym nakazem - a właściwie tym, co się z niego zachowało. Gdy jednak Danny North stawiał mu opór i pożałował większość jego wrót, Klucha wycofał się pokonany i teraz nawet ten nieporadny chłopak na odległym świecie bardziej miał po co żyć niż on.

Nie, to Klucha był nieporadny. Danny North osiągnął wszystkie cele, jakie sobie postawił.

Jego błędy wynikały z niewiedzy. Nawet Klucha nie miał pojęcia, co się stanie z Wielkimi Wrotami stworzonymi ze zniewolonych zewnętrznych ja innych Ojców Wrót, z tej prostej przyczyny, że niewielu magów do tej pory w ogóle mogło korzystać z pojmanyh cudzych wrót. To Klucha był zupełnie nieodpowiedzialny.

Nie. Mógł nienawidzić samego siebie, ale nie mógł się okłamywać. Miał aż nazbyt silne poczucie odpowiedzialności. Biorąc kogoś pod opiekę, przyjmował za niego pełną odpowiedzialność - nawet gdy byli to jego jeńcy, jak Anonoei i jej synowie przez te długie miesiące, które spędzili w niewoli; nawet gdy ten ktoś wykorzystywał go bez skrępułów, jak Bexoi i, być może, Anonoei.

A już szczególnie brał na siebie odpowiedzialność za swoje niepowodzenia. Nawet kiedy nie miał pojęcia, jak inaczej mógł postąpić w danej sytuacji, czynił sobie wyrzuty, że tak nie postąpił.

Kiedy patrzył, jak Anonoei manipuluje wszystkimi, którzy mieli takie czy inne powiązania z Bexoi, dotarło do niego, że powodują ją mroczne, niszczycielskie motywy. Raz za razem

pokazywała mu, dlaczego zaklinanie ludzi od zawsze było magią budzącą lęk i zakazaną, dlaczego każdego przyłapanego na jej praktykowaniu unicestwiano. Kiedy jej intrygi znajdą swoje straszliwe uwieńczenie, Klucha znowu - tak jak wtedy, kiedy pomógł Bexoi - będzie musiał wziąć na swoje barki potworne brzemie winy z powodu udzielonego jej wsparcia. A mimo to zbyt słabą miał wolę, żeby zdobyć się na to, by powiedzieć: Dość, koniec z tym. A może chodziło o to, że jego wola była tak mroczna i podła jak wola Bexoi, Anonoei i w ogóle każdego, ale pozostawiając im wszelkie decyzje, zapewniał sobie spokój sumienia? Owszem, jestem współwinny tego, co się stało, lecz nie ja wpadłem na pomysł, by postąpić tak niegodziwie.

O takich to sprawach dumał, kiedy akurat nie miał innego zajęcia, a czasem także gdy zajęcie miał. Patrząc, jak Ced wzbudza mały wir pyłowy, który nabiera takiej mocy, że przecina kamień niby ostrze, Klucha mimo woli wracał myślami do swoich kłopotów, swoich błędów. Gdzie nauczyciel, który pomoże mi zrozumieć, kiedy używać mojej mocy, komu ufać i czyje plany godne są wcielenia w życie?

Nie wiem nawet, czy moje dawne plany były coś warte, czy też może przed piętnastoma wiekami popełniłem straszliwy błąd.

W tej chwili, na innym świecie, Danny North sięgnął po wrota, które dał mu Klucha - bo i dlaczego nie, skoro faktycznie już były jego? - i posłużył się nimi, by przywołać wspomnienie. Klucha nie miał pojęcia, co Danny North widzi, słyszy, czego doświadcza. Dla niego jednak to wszystko było tak wyraziste, tak silne, że nie mógł przed tym uciec. Stracił wszelki kontakt z chwilą obecną. Nie widział Ceda ani sędziwego maga drzew, który go uczył. Nie czuł promieni słońca na plecach ani dotyku trawy porastającej łąkę, na której leżał.

Widział tylko Kawaba, starego pustelnika siedzącego w grocie na skalistym płaskowyżu na zachód od Nilu.

Rozpoznał go od razu, wiedział, że szukał tego człowieka przez rok od chwili, gdy dowiedział się o jego istnieniu. Wiedział, że przybył do niego po radę, po odpowiedź na pytanie. Co to było za pytanie?

We wspomnieniu usłyszał samego siebie tłumaczącego, co tam robi.

- Opętał ją mag Bela, więc nasunąłem na nią wrota, żeby go wypędzić. Wiedziałem, że muszę zabrać ją jak najdalej od niego, żeby nie mógł od razu wnikać w nią z powrotem i znów rządzić nią jak klanem. Lecz to nie poskutkowało.

Klucha przypomniał sobie, jak bardzo ta sytuacja go przeraziła. Kiedy podążył za ilirską Siostrą Szpona, którą dopiero co wybawił od opętania, ona go wyśmiała: „Głupcze! Nie masz nade mną władzy”.

- Czym jest ten mag Bela? - Klucha przypomniał sobie pytanie, które zadał Kawabowi. -

Tyś ostatnim z Wrogów Seta; ty jeden możesz mi powiedzieć, dlaczego moje wrota go nie wypędziły.

Kawab nic nie powiedział, nic nie zrobił. Tylko pojedyncza łza ściekła przez grubą warstwę pyłu na jego twarzy.

- O co chodzi? - spytał Klucha. - Wiesz, co to znaczy, i to cię zasmuca.

- To nie był mag Bela - wymamrotał Kawab. - Nie jeden z Sutahitów straconych z nieba razem ze Smokiem. To był sam Set, Smok, wróg wszystkich dusz, i z twojej opowieści wynika, że posiadał tak wielką moc, iż z raz opanowanego ciała nie wypędzi go nikt.

- W takim razie jak z nim walczyć? Jak uwolnić tę kobietę od niego?

- Tylko śmierć przywróci jej wolność. Ale sam Set na tym nie ucierpi. Nie można go zabić.

Znajdzie kogoś innego, kogo może opętać. A tej kobiety nie uleczy nikt, nikt go z niej nie wypędzi. On jest diabłem nad diabłami.

- Nie praw mi dogmatów chrześcijan - naciskał Klucha w tym wspomnieniu. - Przybyłem

do ciebie po wiedzę Wrogów Seta.

- Chrześcijanie, Wrogowie Seta, to jedno i to samo. Jak myślisz, o czym mówi Jan w Apokalipsie? „Walka na niebie” to bitwa w świecie Duat, którą wygrał Michał i którą wygrał Ozyrys; bo to była ta sama wojna. Set został strącony na Ziemię, wielki Smok, Szatan, diabeł, Baal, Bel, Wróg. Tylko głupcy sądzą, że prawda znika po wyjściu poza granice wiary. Set jest zabójcą Ozyrysa, zawłaszczycielem dusz. Jego stronnicy to słabe, żałosne istoty. Możesz ich wypędzić swoją magią wrót, możesz ich przechytrzyć, odstraszyć. Mają tylko taką moc, jaką dają im ludzie. Jednak sam Set i garstka jego uczniów to najstraszliwsi zaklinacze ludzi, jacy kiedykolwiek żyli... jeśli „żyli” to dobre słowo... tu, na Ziemi.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - odparł wtedy Klucha. - Co to jest Duat? Kim jest Michał, Ozyrys czy jak go tam nazywasz? O jaką wojnę chodzi? I kim jest ten Set, ten wielki Smok, ten Szatan?

To wspomnienie raz po raz przebiegało Klusze przed oczami, zaczynając się od nowa, ilekroć Danny North gubił jego wątek na egipskiej pustyni na Mittlegardzie. Klucha słyszał, jak z jego własnych ust padają ciągle te same pytania, i choć godziny mijały, odpowiedzi nie było. Danny North nie mógł ich z niego wydobyć.

Klucha pozostał na tyle świadomy chwili obecnej, by zwrócić się do swoich wrót, które oddał we władzę Danny’emu, i je uspokoił. Pohamował. Powiązał ze snutym wspomnieniem. Połączył się z nimi swoim wewnętrznym ja nie po to, by je odzyskać, tylko żeby dać im czystszy, klarowniejszy dostęp do siebie, do swojej pamięci. A poprzez nie uspokoić i ukoić samego Danny’ego Northa. Nie dopuścić, by tracił wątek wspomnienia. Pomóc mu je utrwalić i podążyć z jego nurtem, sprawić, by stało się dla niego rzeczywiste.

Wreszcie Kawab zaczął mówić dalej.

- Wszyscy jesteśmy istotami z innego świata.

Tak, z Westilu, pomyślał Klucha, jego dawne ja siedzące na pustyni.

- Nie ze świata, który zwiesz Westilem czy Mitherholmem, i nie ze świata znanego jako Mittlegard lub Śródziemie. Jak myślisz, skąd się ta nazwa bierze? Terra leży pośrodku, między dwoma światami. Światem magów, którzy mienia się bogami, i światem wszystkich dusz, Duat, z którego pochodzi każdy człowiek.

- Jak mogę stamtąd pochodzić, skoro tego świata nie pamiętam? - powiedział ten dawny Klucha.

- Nie pamiętasz, bo jesteśmy związani z ciałem. Ka i Ba, obie części duszy, które zwiesz wewnętrznym i zewnętrznym ja... łączą się z ciałem, tą bezwłosą małpą, tym beziórym dwunogiem, tym w plemionach żyjącym wszolapem, i z tą chwilą tracą dostęp do prastarej pamięci. A mimo to pozostajesz sobą, bo wszelkie decyzje ciała podejmowane są w Ka, zespolonym z nim umyśle, wewnętrznym ja, i ciało nie ma innego wyboru, jak tylko być posłuszne. Powstają nowe wspomnienia, tworzone wspólnie przez małpę, Ka i Ba, nowe ja, cała dusza. Po to właśnie wysłano nas na Mittlegard, byśmy posiadli to ciało, nauczyli się nim władać. Wtedy dawny Klucha zadał pytanie, które z miejsca nasunęło się obecnemu Klusze, leżącemu bez przytomności na westiliańskiej łące:

- W której części tkwi magia? W ciele czy w wewnętrznym i zewnętrznym ja?

- Tu i tu - odparł Kawab. - Ciało kształtuje moce zawarte w Ka i Ba. Dzięki temu, że Ka zakorzenione jest w ciele, Ba może swobodnie wędrować i wypełniać wolę jaźni. Ze względu na zdolności odziedziczone po ciałach twoich rodziców, twoje Ka i Ba uzewnętrzniły swoją moc w postaci magii wrót; twoje Ba podzielone jest na dziesięć tysięcy części, tyłu nie widziałem jeszcze u żadnego człowieka, Ba jak ziarenka piasku. Dlatego możesz stworzyć dziesięć tysięcy wrót albo tysiąc Wielkich Wrót. I masz moc, by poźreć wrota każdego żyjącego maga, możesz bowiem wciągać je w siebie i ujarzmić. Ale bez swojego ciała jesteś zwyczajnym Ka i Ba, jak

wszystkie inne.

- A bez Ka i Ba? - spytał dawny Klucha.

- Wtedy ciało jest tylko wytwarzającą narzędzia małpą. Człowiekiem w stanie naturalnym.

Zwierzęciem z ustami, które wymawiają słowa, ale bez umysłu, który byłby w stanie zrozumieć

głębokie znaczenie czegokolwiek.

To było jasne dla dawnego Kluchy, więc i Klucha obecny znów pojawił to bez trudu.

Teraz Kawab mógł wyjaśnić, kogóż to Klucha nie zdołał wygnać z ciała magini zwierząt, którą próbował ocalić.

- Na świecie, z którego pochodzą wszystkie Ka i Ba, wybuchła wojna. Nikczemny Set namówił wielu, by poszli za nim. Ponieśli jednak klęskę i zostali wygnani z Duat na Ziemię przez wrota otwarte tylko w jednym kierunku.

- Przecież mówiłeś, że wszyscy zostaliśmy wygnani na Ziemię z Duat - zauważył dawny Klucha.

- Nigdzie nas nie wygnano - powiedział Kawab. - Rodzimy się, jeden po drugim, stworzeni jako ciało i Ka, z wykonującym ich polecenia Ba. Ka nierozdzielnie połączone z małpą.

Rodzimy się. Nie tak jak Set i jego wyznawcy, Sutahici, ci, których nazywasz magami Bela. Oni nie mogą zespolić się z małpą jak my.

- A mimo to przejmują nad tą małpą władzę - rzekł dawny Klucha. - Jeden, dziesięciu, stu magów Bela czy Sutahitów, ilu tylko trzeba, wdziera się siłą do ciała i je zawłaszcza. My, magowie wrót, ich wypędzamy, a przynajmniej wypędzaliśmy, dopóki nie zjawił się Set.

- Zawłaszczają je tylko tak jak wasi zaklinacze ludzi; przekonują Ka i Ba, by postrzegały świat jak oni, a potem postępowały według ich woli.

- To na jedno wychodzi.

- Nieprawda. Nie czują tego, co czuje ciało; tylko obserwują nasze uczucia z zewnątrz. Nie mogą zgiąć nawet jednego palca, zamknąć ani otworzyć jednej powieki. Nie czują smaku jedzenia, które spożywamy, nie są w stanie przeżuwać naszymi szczękami. Mają tylko moc, która płynie z naszej uległości.

- Nawet Set?

- Tak, nawet wielki Set. Dosiada mózgu mały jak jeździec konia, ale nigdy nie łączy się z koniem w jedno.

- Nawet nie tak, jak mag zwierząt łączy się z bratem serca? - dociekał dawny Klucha.

- To Ba wnika w zwierzę, ale jest to Ba maga połączonego z żywym ciałem z krwi i kości.

Wie, jak się stać częścią ciała. Czuje to samo co zwierzę, z którym się związało. Jednocześnie jednak przekonuje raczej, zamiast rozkazywać.

- Wola maga jest dużo silniejsza od większości zwierzęcych umysłów - zauważył dawny Klucha.

- Czy jednak nie jest prawdą, że najsilniejsze zwierzęta mogą być nieposłuszne nakazom Ba?

To była prawda, przynajmniej z tego, co Klucha słyszał od magów zwierząt.

- I Seta też to dotyczy? - upewnił się. - Nawet on nie może się zespolić z ludzkim ciałem?

- Nawet kiedy przechodzi z tą kobietą przez twoje wrota i z ciebie szydzi. Może i ma wystarczającą moc, żeby w niej pozostać i po przeniesieniu przez wrota, ale tą kobietą się nie stał. Ona wciąż tam jest, jako skryte w ciele Ka i Ba, tyle że całkowicie mu podporządkowana.

Czuje, jak jej członki poruszają się według woli Seta, słyszy, jak jej usta wypowiadają jego słowa, i nie jest w stanie go powstrzymać. A jednak ciało wciąż należy do niej; Set jest i zawsze będzie w nim intruzem. Dlatego nas wszystkich nienawidzi. Dlatego chce nas zniszczyć.

- Czyli jest wszechmocny - doszedł do wniosku dawny Klucha. - Bo może objąć władzę nad najpotężniejszymi magami, którzy nigdy się go nie pozbędą i zawsze będą zmuszeni robić, co im każe. No i nie da się go zabić, a ich owszem.

- Tego nie powiedziałem - zastrzegł Kawab - bo tego nie wiadomo. Wiemy tyle: Ka i Ba Sutahitów, tych wędrujących dusz, jest niepodzielne. Nawet kiedy zawładną takim ciałem jak twoje, które spowodowało podział twojego Ba na dziesięć tysięcy części, ich Ka i Ba pozostaje

jednolite.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że Set może opętywać tylko pojedynczych ludzi. A większość Sutahitów jest tak słaba, że nikim nie zawładną; muszą połączyć siły we dwóch, pięciu, dziesięciu, kilkunastu, żeby zapanować nad jednym człowiekiem. Doprowadzają ofiarę do obłądu kakofonią głosów i nawet kiedy jej Ka wycofuje się w głąb umysłu, co pozwala tym włóczęgom przejąć nad nią kontrolę, nie ma między nimi zgody. Żaden z nich nie jest panem. Nam się wydaje, że człowiek przez nich opętany oszalał, bo jego postępowaniem nie kieruje jedna wola.

Dawny Klucha widział to na własne oczy i miał wrażenie, że rozumie.

- Tylko Set, ten wielki Smok, może panować nad człowiekiem samodzielnie, bez żadnych sprzymierzeńców.

- On i najpotężniejsi z Sutahitów. Znamy te diabły pod wieloma imionami, ale nie wiemy, czy którekolwiek z nich jest prawdziwym imieniem Pana Sutahitów. Wiemy jedynie, że tylko głupiec przyzywa te potężne istoty, bo dużo łatwiej im opętać człowieka, gdy zostają przyzwane. Ten, kto nieroztropnie się do nich zwraca, sądzi, że to on jest panem Sutahity, to jednak jest złudzenie; rządzi Sutahita.

- Czyli kreślone przez nich pięciokąty...

- To dekoracje, nic więcej. Głupcy, którzy mienią się czarnoksiężnikami i nekromantami, nie mają żadnej mocy. Prawdziwą moc posiadacie tylko wy, magowie Mitheru. Kiedy jednak Pan Sutahitów zdobywa władzę nad człowiekiem, zaraz przywołuje do siebie wielu pomniejszych Sutahitów. Oni są mu posłuszni i czerpią ogromną moc ze swojego podporządkowania się Panu, który rządzi ludzkim ciałem. Mogą od tej pory łatwo wpływać na sposób myślenia innych ludzi, wywoływać w nich wrażenie, że ten, kogo opętał ich Pan, jest wielkim czarnoksiężnikiem o nadzwyczajnych mocach. A to tylko złudzenie.

- No to nie są tak potężni, jak się nam wydaje.

- Powiedziałem: „Kiedy Pan Sutahtów zdobywa władzę nad człowiekiem”. Gdy jednak zawładnie magiem Mitheru, przejmie jego moce, a mag ten będzie mu we wszystkim posłuszny.

- Dopóki nie zjawi się mag wrót, który wypędzi demona - zauważył dawny Klucha.

- Na Sutahtów to wystarczy, ale na samego Seta nie, tak wynika z twojej opowieści. Bo jeśli jest w stanie oprzeć się tobie, to nie wypędzi go żaden mag wrót z twojego ludu.

- I dopóki panuje nad magiem, ma moc tego maga.

- A kiedy zawładnie tobą - rzekł Kawab - stanie się panem wszechrzeczy. Dopuści bowiem do Wielkich Wrot tylko tych, którzy mu się podporządkują, przez co wszyscy jego przeciwnicy będą od niego dużo słabsi. Będzie rządził oboma światami, przechodząc do woli między nimi.

Przyzwie na Westil dziesięć tysięcy, sto tysięcy Sutahtów i z ich pomocą zawładnie wszystkimi magami, bo na tamtym świecie niewielu ma wystarczającą moc, by im się przeciwstawić. Tutaj,

na Mittlegardzie, ludzie wykształcili w swoich małpich mózgach siłę, która pozwala oprzeć się opętaniu; kto ją posiadał, zyskuje dużo większą szansę, by dochować się potomstwa, niż ten, kto

na opętanie jest podatny. Na Mitherholmie takiego oporu nie uświadczysz. Cała moc wszystkich magów Mitheru trafi w ręce Seta za pośrednictwem Sutahtów, niezdolnych przeciwstawić się

jego woli. Sutahtici powrócą na Ziemię i ją podbiją. Potem wydadzą wojnę światu Duat. Nawet gdyby to się nie powiodło, jedno zdobędą na pewno: panowanie nad wszystkimi ciałami

przeznaczonymi dla Ka i Ba, które przestrzegały prawa i walczyły przeciwko Setowi w wojnie na Duat. Czyż to nie jest zwycięstwo? Czy nie jest to triumf diabła?

Te słowa rozbrzmiewały w uszach, w głowie obecnego Kluchy. Gdyby mógł, porwałby się na równe nogi, bo oto wreszcie zrozumiał, co zapomniał przez stulecia spędzone w drzewie.

Danny North nie widział tego z taką klarownością, bo oczywiście nie miał własnych

wspomnień z rozmowy z Kawabem. Dlatego co rusz zaczynał od nowa, wracał do tych samych

słów. Klucha leżał bezwolnie na łące w Mitherkame, podczas gdy Danny, coraz bardziej odwodniony, siedział na egipskiej pustyni i raz za razem odtwarzał wspomnienie, usiłując je zrozumieć.

Wreszcie to się skończyło. Hermia obudziła Danny'ego Northa w Egipcie i oczy Kluchy otworzyły się szeroko, a z gardła wydarł się okrzyk ulgi - wspomnienie w końcu prysnęło.

- W czyjej władzy byłeś? - zapytała Anonoei.

- Skąd się tu wzięłaś? - zdziwił się Klucha. - Nie było cię.

- Przeleżałeś tutaj całą noc i cały dzień. Ced przyszedł po mnie przez wrota, które zostawiłeś do mojego użytku, i wróciliśmy innymi wrotami, które mi stworzyłeś.

Klucha przypomniał sobie, że Anonoei była z wizytą u jednego ze swoich zauszników, którzy spiskowali przeciwko Bexoi w zamku Nassassa. Wysłał ją tam wrotami i od razu stworzył wrota, którymi miała wrócić. Jedne idealnie pokrywały się z drugimi, dzięki czemu mogła z nich do woli korzystać jako z wrót publicznych. W związku z tym nie musiał jej obserwować i osobiście przenosić stamtąd tutaj; dość już miał patrzenia, jak flirtowała z mężczyznami i robiła z nich galarete.

Jednak wrota publiczne są dostępne dla wszystkich w obu kierunkach, chyba że Klucha je zamknie, a tego nie zrobił. Ced musiał zauważyć, w którym miejscu Anonoei zniknęła z tej łąki. I kiedy Klucha zapadł w trans wspomnień...

Czego dowiedział się Danny North?

Jeśli to zrozumie, czy to dobrze, czy źle?

Dobre na pewno było to, że Klucha teraz już w pełni pojmował rzeczy, których niegdyś się tylko domyślał. Przypomniało mu się bowiem, że zaraz po rozmowie z pustelnikiem poszedł do magini zwierząt, której nie zdołał ocalić. Tym razem, zamiast z niego szydzić, padła przed nim na kolana.

- Dzięki ci, Loki! - krzyknęła. - Uratowałeś mnie.

- Nie ja - powiedział wtedy Klucha.

- Ale on odszedł - stwierdziła.

Odszedł, tyle że z własnej nieprzymuszonej woli, pomyślał Klucha. Nie ja go wygnałem.

Po prostu nie chciał, żebym go znalazł.

To był dobry znak. To znaczyło, że mag Bela - Set, jak nazywał go Kawab - wciąż lękał się

Kluchy na tyle, by go unikać. Set oddał magini zwierząt władzę nad jej ciałem, żeby Klucha nie

wiedział, gdzie go szukać.

W tamtej chwili Klucha zaczął pożerać wrota. Zajął mu trochę czasu, żeby dojść, jak to

się robi, ale czyż Kawab nie zapewnił go, że to jest możliwe?

I udało się. Pożarł wszystkie wrota. Wszystkie Wielkie Wrota oprócz jednych. Przez te

ostatnie przeszedł, pochłoniął je, a potem pożarł wszystkie wrota na Westilu.

Ale to nie wystarczyło. Pozostali magowie wrót zobaczyli, co się dzieje, wyczuli, że coś

pochłania ich wrota, i natychmiast zaczęli stwarzać nowe.

Pożreć już istniejące wrota to za mało. Klucha musiał wniknąć w pozostałych magów i

odebrać im wrota, których jeszcze nie stworzyli.

Wiele dni minęło, zanim nauczył się to robić, i w tym czasie prawie nie zmrużył oka,

wiedział bowiem, że inni magowie wrót go szukali. I że mogli go znaleźć, bo trzymał ich wrota

w niewoli. Żeby im w tym przeszkodzić, musiał pożerać wszystkie wrota, gdy tylko się

pojawiały.

Wówczas to nauczył swoje zewnętrzne ja, swoje Ba, wypatrywać wszystkich powstających

wrót i wołać do niego z wystarczającą mocą, by wyrwać go z głębokiego snu. Wrota wrota

wrota! - krzyczało, a on wtedy się budził i pożerał wszystkie wrota stwarzane przez

poszukujących go magów.

Tak było dotąd, aż nauczył się w nich wnikać, odnajdować ich zasób wrót - ich Ba - i przyciągać go do siebie. Im bardziej się opierali, tym łatwiej mu to przychodziło. Zabierał wszystkie wrota, które mogli kiedykolwiek stworzyć, i przetrzymywał je, miał nad nimi władzę, kontrolował je.

Aż w końcu na świecie nie było już ani wrót, ani magów wrót, którzy mogliby stwarzać nowe.

Dopiero wtedy Klucha wybrał się na poszukiwania sędziwego maga drzew - dziś już od dawna nieżyjącego, choć ten, który szkolił Ceda, był uczniem jego ucznia - mag ów zaś przekonał wielki dąb, by wpuścił Kluchę pod swoją korę, żywił swoimi sokami i pozwolił mu po wsze czasy utrzymywać i jego, i siebie, przy życiu i zdrowiu.

Po wsze czasy; taki był plan.

Drzewo jednak wydalilo go z siebie. Albo sam nieświadomie się z niego wydobył. Albo jedno i drugie. I Klucha nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało. Dotychczasowy system się sprawdzał, w końcu jednak coś się zepsuło.

A zepsuło się dlatego, że Klucha - a może drzewo albo czasoprzestrzeń - zdał sobie sprawę, że jest za słaby, by przeciwstawić się Danny'emu Northowi czy nad nim zapanować, a co dopiero go okraść.

Tak się pewnie musiało stać. Tam, gdzie jest dwóch magów, jeden nieuchronnie jest większy od drugiego; a jak dostatecznie długo poszukać, to znajdzie się i trzeci, jeszcze potężniejszy. Choć Klucha moc miał ogromną, to koniec końców zjawić się musiał mag silniejszy od niego. Taki, którego wrót nie sposób pożreć.

- Proszę, powiedz coś - błagała Anonoei.

Czy to dlatego, że gorąco pragnął podzielić się z kimś wszystkim, co właśnie sobie przypomniał, czy przez to, że skłoniła albo zmusiła go do tego swoją magią, opowiedział jej

wszystko od początku do końca.

- Ocaliłeś świat - powiedziała.

- A Danny North ma moc, żeby to zniweczyć. Wrota są otwarte i jeśli Smok, Set znajdzie jakiegoś maga, z którym się przez nie przeprowi, trafi tutaj, wraz z tyloma wędrującymi duszami, ile zdoła ze sobą zabrać, i ten świat będzie zgubiony.

- Rozumiem, że według ciebie to niedobrze - stwierdziła Anonoei.

- Ty masz co do tego wątpliwości?

- Ironizuję tylko. To najgorsze, co się może stać. Cała moc magów Mitheru w rękach potwora? Jestem przeciw.

- Cieszę się.

Ced i mag drzew wysłuchali całej opowieści Kluchy. Teraz mag oznajmił:

- Pora wracać do pracy, Cedzie.

- Jak mam się skoncentrować po tym, co usłyszałem? - spytał Ced.

- Właśnie w takich chwilach musisz umieć się skupić. Dlatego teraz wywołasz trąbę powietrzną tak małą, by jednym ziarenkiem piasku przewierciła drewniany kłoc na wylot, zrobiła dziurkę średnicy ziarnka piasku.

- To niewykonalne.

- No to dwóch ziarenek piasku - ustąpił mag drzew. - Tunel szerokości ziarnka zrobimy jutro.

Wrócili do ćwiczeń.

Anonoei miała tylko jedno pytanie do Kluchy.

- Ci Sutahici, ci magowie Bela są zaklinaczami ludzi?

- Nie.

- Ale działają w taki sam sposób. Robią to, co moje zewnętrzne ja, wnikają w człowieka,

przekonują go... tylko używają do tego całego swojego Ba, tak?

- Nie umieją oddzielić Ka od Ba, tak mówił Kawab.

- Dlaczego nie odpowiesz prostym „tak” albo „nie”?

- Bo nie do końca rozumiem, co wynika ze słów Kawaba. On nie jest... nie był magiem, więc też tego nie wie. To tradycyjna wiedza, którą posiadał, zapamiętał i zamierzał przekazać dalej. Innym uczniom jego zakonu, ale w owym czasie byli prześladowani, więc innych uczniów nie było. Zostali wymordowani, uciekli albo na polecenie Kawaba ukryli się. Nie miał kogo uczyć.

- Poza tobą - powiedziała Anonoei. - Lecz ty mu wystarczyłeś.

- Na jakieś szesnaście stuleci - odparł Klucha. - Aż do teraz.

- A jak jest teraz?

- Set na pewno czeka na okazję, by zawładnąć Dannym Northem.

- To w ogóle możliwe? - zapytała Anonoei.

- Danny ma silną wolę - stwierdził Klucha. - Silniejszą niż ja. Może zdoła mu się oprzeć.

Jeśli tylko nie zrobi czegoś głupiego, na przykład zaprosi Seta do siebie.

- Jaką postać mogłoby przyjąć takie zaproszenie?

Teraz, kiedy jego pamięć wybudziła się z letargu, Klucha mógł wrócić myślami do wiedzy o opętaniach, którą, jako mag wrót, miał obowiązek posiadać.

- Słowną, oczywiście. Wystarczyłoby przywołać maga Bela po imieniu, jeśli w ogóle mają imiona... może zresztą imię samo w sobie nie ma znaczenia, liczy się sam fakt przyzwania.

- I nie ma żadnego innego sposobu?

- Mag Bela może przeskoczyć z jednej osoby w drugą, gdy nawiążą kontakt fizyczny.

- Jak podczas seksu.

- Albo głębokiego pocałunku. Albo przez krew, kiedy dwie rany zetkną się ze sobą.

Niektórzy mieli tak słabą wolę, że wystarczyło, by spojrzeli sobie w oczy, a mag Bela już się między nimi przenosił. Jednak niewielu jest tak słabych magów Mitheru.

- Tak samo jest ze mną - stwierdziła Anonoei. - Wobec słabych osób wystarcza mój głos.

Silniejszym muszę spojrzeć w oczy, zanim mogę posłać w nich zewnętrzne ja i narzucić im moją wolę. Żeby osiąść ich jak braci serca... cóż, przed przejściem przez Wielkie Wrota nie miałam na to dość mocy. Nawet teraz nie mogę tego robić bez ich zgody. Bez... pocałunku.

Klucha zrozumiał, z czego wynikało jej zawahanie. Nie pocałunki wykorzystywała w tym celu. Niewątpliwie przespała się z kilkoma swoimi zausznikami, żeby zawładnąć nimi jak braćmi serca.

- Czyli twierdzisz, że oni są jak zaklinacze ludzi - powiedział.

- Albo że zaklinacze ludzi są jak... Sutahici?

- Jak Set. Jak diabeł i jego anioły. Tak. Właśnie tacy.

- Nie dziwota, że wszyscy się nas boją i nas nienawidzą - skwitowała Anonoei.

- Ze mną włącznie - powiedział Klucha. - To znaczy, nie nienawidzę cię, ale boję się na pewno. Zawsze się zastanawiam, czy na mnie też rzuciłaś urok.

- Nie naumyślnie. Nigdy niczego w ciebie nie posłałam. Ale bywa, że działam odruchowo.

Na pewno nieświadomie wywarłam na ciebie jakiś wpływ, lecz nie dość silny, żeby tobą zawładnąć. Sam dokonujesz wyborów.

- Czyli moje nieodparte pragnienie, żeby się z tobą przespać, to nie twoja sprawka, rozumiem?

- Myślę, że ma to więcej wspólnego z... jak to ujął Kawab?... tym małpim ciałem, w którym tkwię.

- Innymi słowy, po prostu mi się podobasz.

- Jesteś samcem, ja samicą. Każda chętna samica ci się podoba.

- Jesteś chętna?

W odpowiedzi pocałowała go.

- Ale czy mogę bezpiecznie się z tobą przespać? - spytał ją, kiedy ich usta się rozłączyły.

- To chyba zależy od tego, jak silną masz wolę, nie sądzisz? - odpowiedziała pytaniem.

- Głupio byłoby zrobić to tu i teraz.

- Masz rację - zgodziła się. - Przejdźmy wrotami gdzieś, gdzie Ced i jego nauczyciel nie będą nas widzieć.

To Klusze wydało się roztropne, przeniósł więc koniec wrót, z których ostatnio korzystała, do zamkniętej na klucz komnaty w Nassassa. Komnaty z łóżem.

Było nie było, spałem już z królową, pomyślał. Czemu się nie przespać z byłą konkubiną króla?

Tknęła go niejasna myśl: Czy nie powinienem mieć dość silnej woli, by oprzeć się tej pokusie?

Odpowiedział sobie stanowczo: Moją wolą jest osiąść tę kobietę. A ona jest chętna.

Zamknij się więc.

19

ZDRADA

To jest szkoła średnia, przypomniał sobie Danny. Tego chciałeś.

Teoretycznie pomagał Laurette przygotować się do klasówki z matematyki. Dla niego rachunek różniczkowy i całkowy był jak gra - czasem nużąca, zwykle jednak zajmująca. Dla Laurette pozostawał niezgłębioną tajemnicą. Danny tłumaczył jej wszystko słowami, które - wiedział to - były jasne. Raz po raz pokazywał, co ma robić.

Laurette się koncentrowała, powtarzała jego słowa jak echo, nawet naśladowała wykonywane przez niego działania, a mimo to nic tak naprawdę nie rozumiała. Za którymś

razem wyszedł jej dobry wynik, ale zamiast się ucieszyć czy odetchnąć z ulgą, prawie popłakała się ze złości.

- Nie wiem, co zrobiłam - powiedziała.

- Wykonałaś działanie, wprowadziłaś właściwe liczby do kalkulatora, ja do tego nie przyłożyłem ręki. I wyszło ci, co miało wyjść.

- Ale dlaczego? Przecież robiłam dokładnie to samo co we wszystkich zadaniach, które schrząniałam!

- Laurette, zamierzasz w przyszłości zajmować się czymś, do czego matematyka będzie ci potrzebna?

- Po prostu nie lubię być głupia! - krzyknęła i jednak się popłakała.

- Nie jesteś głupia - zapewnił. - Matematyka cię nie interesuje, to wszystko. - Objął ją ramieniem.

Przytuliła się do niego i zachlipała mu w koszulę.

- Interesuje mnie dostawanie piątek. Do tej pory to zawsze wystarczało.

Uświadomił sobie, że nie tylko tuliła się do niego, ale i głaskała go po piersi.

I w tej właśnie chwili stwierdził, że nie cierpi szkoły średniej. Nic nigdy nie było tym, czym się wydawało. Laurette sprawiała wrażenie autentycznie przejętej matematyką. A teraz proszę, nagle zebrało jej się na amory. Na ile więc jej łzy były szczerze? Skąd on miał to wiedzieć?

Wszystkie dziewczyny to zaklinacze ludzi. Bez wyjątku.

Nie Pat. Trzeba jej to oddać - ona nie prowadziła żadnych gier.

Ale i nie potrzebowała pomocy w nauce.

Danny ujął Laurette za ręce jak brat siostrę i położył je na stole.

- Zrób to jeszcze raz. Masz tu następne zadanie. Będę patrzył. Rób wszystko po kolei.

Poradzisz sobie, Laurette. Tylko skup się na działaniach, nie na liczbach, które do nich podstawiasz.

- Wiem, że podoba ci się Pat - powiedziała Laurette. - Ale nie rozumiem dlaczego.

- Na szczęście nie musisz.

Wstał od stołu i podszedł do lodówki.

- Jest w środku coś, czego mam nie tykać?

- Wszystko w lodówce jest nietykalne. Moja mama planuje naszą dietę co do mikrograma.

- Wątpię - stwierdził Danny. - Nie macie wagi z czułością do mikrograma.

- Możesz brać, co chcesz, ze słoika z ciastkami.

- Kiedy wegańskie niezbożowe ciastka twojej matki są niejadalne - poskarżył się Danny. -

Przecież żadne z was nie jest uczulone na gluten.

- Gdzieś wyczytała, że zbożowe produkty szkodzą. Tak ją chwilowo naszło, pewnie już cichaczem podjada chleb. W końcu dostanie wyrzutów sumienia, przyzna się nam wszystkim i chleb wróci na stół.

- Zadziwiające, że twoja rodzina nie wygląda jak ofiary obozu koncentracyjnego.

- Wszyscy oszukujemy - przyznała Laurette. - Chociaż ja nie z powodu smaku czy nawet głodu. Tylko żeby zachować jędrny biust.

- No cóż - mruknął Danny.

- W ogóle już nie zerkasz mi w dekolt.

- Nie muszę nadal czytać książki, którą znam już na pamięć. Zdaje się, że Sin też miała przyjść?

- Nie.

- Tak mówiła.

- Dziś moja kolej.

- Nie cierpię szkoły średniej - stwierdził Danny.

- Nie chcę uprawiać z tobą seksu - powiedziała Laurette. - Chcę tylko, żebyś miał na to ochotę. Po tym, co Pat powiedziała, wiem, że nie jesteś gejem.

Danny'emu zrobiło się ciężiej na sercu.

- Co powiedziała Pat?

- Spytałam ją: „Jak było, kiedy się z nim całowałaś?”, a ona na to: „Ciekawe, czy na Święto Dziękczynienia naprawdę pojedziemy do babci, czy rodzice w tym roku znów to odwołają”.

- Aha - mruknął Danny.

- No to ja wtedy do niej: „Czyli się z nim przespałaś, o to chodzi?”. A ona: „Rodzice zawsze mają nie wiadomo jakie plany, ale potem nic nie robią, żeby cokolwiek z nich wyszło”.

- Rodzice strasznie ją irytują - rzekł Danny. - Ale myślę, że jeśli granicząca z lenistwem nierychliwość jest najgorszą wadą twoich rodziców, w sumie nie masz na co narzekać.

- Rodzice Pat mnie nie interesują. Chłopaki podobno chodzą na okrągło napalone. A z tego, co słyszałam, mityczni bogowie są jeszcze gorsi.

- Niektórzy tak - odparł. - Może nawet większość.

- Może ty też, jak spotykasz dziewczyny, które ci się podobają. - Znowu się popłakała.

- Co cię ugryzło? - spytał Danny. - Przyjaźnimy się. Jesteś atrakcyjna. I zabawna, i miła, i bardzo cię lubię.

- Ale mnie nie pragniesz.

- Czy to jedyna miara... wszystkiego? Tak w ogóle to musisz odrobić lekcje, więc już sobie pójdę.

- Proszę, nie! Proszę... nie mógłbyś mnie chociaż pocałować i zobaczyć, czy to ci się spodoba?

- Spodobałoby mi się, na pewno. I to bardzo. Dlatego cię nie pocałuję.

- Niemożliwe, żebyś był chrześcijaninem. Czemu choć raz w życiu nie zrobisz czegoś dla frajdy?

- Co dzień sprawiam sobie dużo frajdy. Ale nie lubię ranić ludzi.

- Nie należysz do Pat! Nie jesteście małżeństwem.

- Chociaż nie, skłamałem. Lubię ranić ludzi. W dzieciństwie nic, tylko wymyślałem złośliwe psikusy i płatałem je wszystkim wokół. To były naprawdę paskudne numery. Czasem z wykorzystaniem kup i brzydkich zapachów, czasem powodujące ból i drobne obrażenia. I często poniżające dla innych. Ale to dlatego, że gardziłem wszystkimi w mojej rodzinie, a oni mną. No i te moje psikusy były śmieszne. A w całowaniu cię na siłę nie byłoby nic śmiesznego, zresztą wiem, że potem byś to rozgadała i nie tylko Pat, ale i Xena, i Sin poczułyby się urażone, że nie do nich się dobieierałem.

- A gdybym nikomu nie powiedziała?

- Idę - zdecydował Danny.

- Już to mówiłeś, a nadal tu jesteś. - Wstała z krzesła, objęła go i położyła głowę na jego piersi. - Wiesz, naprawdę jesteś wysportowany. Krzepa jest taka pociągająca.

- Teraz to już pleciesz głupoty.

- A ty ciągle tu jesteś. - Jej dłoń zjechała po jego plecach za pas spodni.

- Nie ma tam nic oprócz mojego tyłka. Też taki masz.

Laurette drugą ręką chwyciła go za nadgarstek i położyła jego dłoń na swojej pupie.

- To jest tyłek - powiedziała - i ty takiego nie masz. To właśnie mnie intryguje. Chcę zobaczyć, na czym trzymają ci się spodnie.

O, zaszło już za daleko. Skutek był dokładnie taki, do jakiego dążyła, a Danny nijak nie mógł zrozumieć, po co jej to. Z jednej strony wydawało się, że dziewczyny robią tak dla zabawy; z drugiej - że traktują to poważnie.

Cofnął się wrotami o trzy kroki.

Poryczała się.

- Jestem aż tak ohydna!

- Wręcz przeciwnie. Nie chcesz zostawić mnie w spokoju, nie jesteś ohydna, a ja, żeby nie wiadomo co, nie zamierzam być taki jak niektórzy.

- To znaczy jak kto?

- Ci, co mają się za bogów i zapładniają kobiety na lewo i prawo.

- Biorę pigułki, jeśli cię to niepokoi. I wiem, że nie masz AIDS, więc nawet nie musiałbyś zakładać prezerwatywy.

- Uszom nie wierzę - stwierdził Danny.

Znów stała przed nim i majstrowała przy jego rozporku.

- „Nie znaczy nie”, zapomniałaś? - powiedział, odsuwając jej rękę od swoich spodni.

- Może w latach osiemdziesiątych. Mnie wtedy jeszcze na świecie nie było. Poza tym to i tak dotyczy tylko dziewczyn.

Danny nie miał gotowej ciętej riposty, bo w tej chwili poczuł coś, co nie mogło być rzeczywiste.

Ktoś przechodził przez Dzikie Wrota.

Wiedział, że o te wrota chodzi, bo wplótł w nie dziesięć swoich wrót w jednym kierunku i dwadzieścia w drugim, więc silnie odczuwał, że ktoś z nich korzysta.

Hermia i Veevee często używały wrót i znał towarzyszące temu uczucie. Stanowiło ono część codziennego szumu tła - choć teraz, po tym jak sam przeszedł przez Wielkie Wrota, stało się dużo bardziej wyraziste. Ale to... Tym razem z wrót korzystał ktoś nieznajomy. A potem następna osoba. I jeszcze jedna.

- Przepraszam - rzekł Danny. - Coś się dzieje. Bez związku z tobą. Muszę iść.

- Co się stało? Wyglądasz...

Nie zdążył usłyszeć, jak wygląda. Przeniósł się już wrotami do obory Silvermanów.

Nie było tam nikogo.

Nie było też Dzikich Wrót. Ktoś je przemieścił. A on nawet tego nie poczuł.

Chociaż nie, poczuł to. Między innymi to zwróciło jego uwagę na fakt, że wrota są w użyciu. Ktoś je przemieścił, po czym zaczęli przez nie przechodzić jacyś ludzie.

Ktoś? Oprócz Danny'ego na świecie było tylko dwoje magów wrót. No chyba że zrobił to ten chłopak z Westilu, którego Loki zostawił u Silvermanów.

Danny przeszedł do nich wrotami. Chłopcy siedzieli w salonie. Młodszy grał w grę wideo.

Starszy patrzył pustym wzrokiem przed siebie. Obaj na miejscu, nic się nie zmieniło.

- Danny - odezwała się Leslie. Stała w drzwiach do przedpokoju. - Co się stało?

- Jacyś ludzie korzystają z wrót. - Nie musiał dodawać, o które chodzi.

- Nie! Nikogo tu nie było!

- Ktoś przeniósł ten koniec wrót gdzie indziej. Nie ma go już w oborze.

- Hermia - powiedziała Leslie.

- Nie wiedziałem, że to potrafi. Ale jak nie ona, to kto? Veevee? Nie... na pewno Hermia.

- Co zamierzasz?

- Już przesyła ludzi na drugą stronę. Na pewno z jej rodziny. Nici z mojej zasady „po dwóch na rodzinę”.

- Nie ma chwili do stracenia - powiedziała Leslie. - Bez przewagi wynikającej z tego, że przeszliśmy przez Wielkie Wrota, a reszta nie, ja i Marion nie jesteśmy jakimiś nadzwyczajnymi magami. Rozniosą nas w puch.

- Pewnie masz rację. Nie rozegraliby tego w ten sposób, gdyby mieli pokojowe zamiary.

Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła.

- Myślała, że może się uwolnić z rodzinnych więzów, i się myliła. Potem się z nią rozmówisz. Co zrobisz teraz?

- Muszę zabrać ciebie, tatę i tych chłopców w bezpieczne miejsce.

Leslie skinęła głową. Na policzkach miała łzy.

- Pójdę po Mariona do kamieniołomu.

- Nie, ja to zrobię. - Danny podszedł do chłopców, zdjął słuchawki z głowy Enoppa. - Daj mi rękę, a drugą złap brata.

Wyciągnął dłoń do Leslie i przeniósł się razem z całą trójką wrotami na północny kraniec farmy, na dno dołu, w którym Marion wydobywał granit ze skały macierzystej. Dół nie był głęboki. Praca wydobywcza Mariona polegała na tym, że posyłał swoje zewnętrzne ja w głąb skorupy ziemskiej i wciągał kamień na górę, wynosił na powierzchnię. Dół był tylko po to, żeby sąsiedzi i przejeżdżający obok ludzie nie widzieli gładów wynurzających się z ziemi bez udziału ludzkich rąk.

- Hermia przesunęła wrota i z nich korzysta - powiedział Danny.

Marion od razu zrozumiał powagę sytuacji. Danny przeniósł się razem ze wszystkimi do apartamentu Veevee. Nie było jej.

- Jest na plaży - rzekł Danny. - Zaraz wracam.

I zaraz wrócił. Razem z wściekłą, ociekającą wodą Veevee.

- Nie do wiary, że ta grecka szczeniara tak nas wszystkich zdradziła! - piekliła się.

- Rodzina - skwitowała Leslie.

- To nie usprawiedliwia bycia zdradliwą suką!

- Ale to tłumaczy - stwierdził Marion. - Poza tym myślę, że z ich punktu widzenia wreszcie przestała być zdradliwą suką i znów jest lojalnym członkiem rodziny.

- Albo wzięli jej psa jako zakładnika - dodała Leslie.

- Co się dzieje? - spytał Enopp.

- Weźcie się za ręce. Tam, dokąd się przeniesiemy, dowiecie się wszystkiego - obiecał

Danny.

Zabrał ich do Waszyngtonu, do domu Stone'a.

- Hermia wysłała ludzi przez Dzikie Wrota. Okazuje się, że dzięki przejściu na Westil i z powrotem zdobyła umiejętność przemieszczania cudzych wrót. A konkretnie mittlegardzkiego końca Dzikich Wrót.

- I jej nie powstrzymałeś?

- Zorientowałem się, dopiero kiedy już zaczęła wysyłać ludzi na drugą stronę. Nie wiedziałem, że można przesuwać Wielkie Wrota.

Stone spuścił głowę.

- Zabrałeś wszystkie znane jej wrota?

- Wszystkie należące do niej. Wszystkie, które łączą nasze domy. To był praktycznie odruch. Jak zaciśnięcie zwieraczy, kiedy człowiek się boi.

- Ależ ty jesteś źle wychowany, Danny - stwierdziła Leslie. - Kto to widział, przy dzieciach mówić o zwieraczach.

- Zaatakują pozostałe rodziny - ciągnął Danny. - Na pewno zaczną od mojej. W tej chwili mogę tylko jedno: stworzyć Wielkie Wrota i wszystkim je udostępnić. Inaczej Ilirowie wytluką pozostałych magów do nogi i zawładną światem. Nie mam racji?

- Och, jeśli historia czegoś nas uczy - powiedział Stone - to tego, że bogowie, którym nagle przybywa mocy, natychmiast przypominają sobie o tym, jak bardzo nienawidzą swoich wrogów.

- Potrafimy chować urazę jak nikt - przytaknęła Leslie.

- Co zrobisz Hermii? - spytał Marion.

- Na razie nic - odparł Danny. - Chyba że nie zostawi mi wyboru. Dokąd chcecie pójść?

- Hermia nie wie o moim domu w Maine - stwierdził Stone.

- Ja też nie - zauważyła Veevee.

Stone puścił jej słowa mimo uszu.

- Nie ma w nim nawet bieżącej wody, ale stoi między dwoma bardzo zimnymi jeziorami, jest czysta woda, drewna na opał pod dostatkiem i wygodka. Ci chłopcy i tak nie przywykli do kanalizacji, zgadza się?

- Ale ja przywykłam - powiedziała Veevee.

Leslie uśmiechnęła się słodko.

- Kucniesz pod krzaczkiem i będzie dobrze.

- Mieszkają tu jacyś magowie? - spytał Danny.

- Zadzwońę po nich. - Stone już sięgał po telefon.

Były trzy maginie, jedna po pięćdziesiątce i dwie dwudziestoletnie bliźniaczki. Nie mieli czasu się przedstawić. Danny zrobił publiczne wrota, otworzył je, dopilnował, by były wyraźnie widoczne, i wszyscy przeszli na drugą ich stronę. Sam został na miejscu - nad jeziorem całe towarzystwo zapozna się ze sobą, on dołączy potem. Wciągnął wrota z powrotem w siebie i przeniósł się do osady rodziny Northów.

Wyłonił się w kuchni Mooka i Lummy. Nie było ich.

Znalazł ich na ganku.

- Zbierzcie wszystkich - powiedział.

- Co się stało? - spytała ciotka Lummy ze strachem.

- Grecy dostali się do Wielkich Wrót, które wydawały mi się dobrze zabezpieczone. W tej chwili przez nie przechodzą, a wiecie, że potem od razu przyjdą tutaj.

Wujek Mook już biegł do starego domu.

- Zabiorę was w bezpieczne miejsce - rzekł Danny.

- Jak długo będziemy w stanie się przed nimi ukrywać? - spytała Lummy.

- Dość długo, żebym zrobił Wielkie Wrota i wszystkich was przez nie przepuścił.

Wybuchnęła płaczem i przytuliła go.

- Wiedziałam, że nam przebaczysz.

- Ty i wujek Mook nigdy nie zrobiliście niczego, co wymagałoby przebaczenia. I nikomu nie przebaczyłem. Po prostu nie pozwolę Grekom zdobyć władzy nad światem.

- To przez tę młodą Greczynkę, prawda? Nie można ufać Grekowi. Tak powiedział Homer i miał rację.

- To powiedział Laokoon. Homer tylko go cytował - stwierdził Danny.

- To, co Laokoon powiedział naprawdę, nie nadawało się do druku - sprostowała Lummy. - Homer przedstawił złagodzoną wersję.

Odezwał się dzwon, którego bicie oznajmiało wybuch wojny. Danny wziął Lummy za rękę i przeniósł się wrotami na miejsce spotkań.

- Ty! - krzyknął stryjeczny dziadek Zog z wściekłością.

Danny przerzucił go wrotami do kuchni wielkiego domu.

- Nie mam czasu na pierdoły - rzekł. - Zostałem zdradzony, w tej chwili Grecy przechodzą na Westil i z powrotem.

Wszyscy dorośli wiedzieli, co to oznacza, i nakazali dzieciom milczenie.

- Przenieś was wrotami w miejsce, gdzie będę mógł stworzyć Wielkie Wrota. Z góry jednak uprzedzam. Udostępnię je wszystkim. Nie tylko Northom. Komu to nie pasuje, nie będzie miał do nich wstępu. Jasne?

- Jak to wszystkim? - spytała ciocia Uck. - Nie sprzeciwiam się, chcę tylko wiedzieć.

- Każdemu, kto nie jest Grekiem. Rodzinom i Sierotom. I przy nowych Wielkich Wrotach obowiązywać będzie rozejm. Rozumiecie? Pełny rozejm. Jak tylko stworzę wrota, Hermia

wyczuje, gdzie są, i pośle tam Greków.

- A my, jak tylko przez nie przejdziemy, ruszymy im naprzeciw. - O dziwo, dziadzio Gyish wydawał się zadowolony. A nawet zachwycony. I pełen złości. To na pewno. Danny przypomniał sobie, dlaczego nienawidzi niektórych z tych ludzi.

- Nigdy nie przechodziliście przez Wielkie Wrota - powiedział. - Nie od razu poznacie, co to wam dało. Dlatego nie, nie wysyłam was na wojnę. Odrzucę wrotami każdego, kto się do nas zbliży. Potrafię to robić. Kiedy tamci się zorientują, że wszyscy pozostali też przeszli przez Wielkie Wrota, a więc siły są wyrównane, myślę, że uda się zawrzeć rozejm.

- Nie pleć głupstw! - krzyknął wujek Poot. - Nie było cię na świecie podczas ostatniej wojny. Nie będzie żadnego rozejmu.

- Nie liczę, że się utrzyma - stwierdził Danny. - Gdzie mój ojciec?

- W mieście - odpowiedział Thor. - Razem z twoją matką, bratem i siostrą.

- Wycieczka rodzinna. Jak uroczu. Wrócę po nich. Miejsce, w które się wybieramy, należy do mojego serdecznego przyjaciela. Mojego przyjaciela, rozumiecie? Zresztą wszyscy tam są moimi przyjaciółmi, ale dom jest Stone'a i Stone w nim rządzi.

W tej chwili do grupy ponownie dołączył Zog, jeszcze bardziej rozeźlony niż poprzednio.

- Ty parszywy mały drekko! Ani myślę...

Tym razem Danny przeniósł go wrotami na parking Walmarta w Lexington.

- On jest okropny, Danny - powiedziała ciotka Lummy - ale nie możesz go tu zostawić.

Zabiją go. Jego nienawidzą najbardziej.

- Nie zostawię go - zapewnił Danny. - Po prostu nie mam czasu się z nim użerać. Przeniosę go wrotami i sami sobie z nim radźcie. - Stworzył duże, publiczne wrota. - Zanim przejdziecie na drugą stronę, macie spojrzeć mi w oczy i obiecać, że będziecie posłuszni Stone'owi i nikomu nie zrobicie krzywdy.

- To za długo potrwa - stwierdził wujek Mook.

- Niech każdy spojrz mi w oczy i powie „tak”. Jeśli nie dotrzymacie słowa, będę bezlitosny. Zrozumiano?

Wszyscy po kolei powiedzieli „tak” i przeszli przez wrota.

Danny podążył za nimi i zabrał wrota ze sobą.

Domek Stone’a był za mały, żeby wszyscy mogli w nim spać, a tej listopadowej nocy chłód przenikał do szpiku kości, ale to nie miało znaczenia. Długo tam nie zostaną. Danny zignorował wszelkie pytania i ruszył w stronę wąskiego przesmyku między dwoma jeziorami skrzącymi się jak klejnoty.

Tym razem obyło się bez liny. Zaczął się obracać. Natychmiast wysnuł z siebie wrota - swoje własne, nie te, które dostał od Lokiego, a już na pewno nie wrota zniewolone. Nie spieszył się, tkął z nich mocny, wiodący prosto do celu tunel.

Sam z siebie nie miałby pojęcia, jak go zbudować, żeby nie prowadził w ten sam kamienny krąg na Westilu, co oboje jego poprzednich Wielkich Wrót. Loki jednak znał na Westilu wiele dobrych miejsc na wylot Wielkich Wrót, miejsc prastarych, tajemnych, znanych tylko jemu.

Dlatego pod naciskiem Danny’ego wrota, które dostał od Lokiego, sięgnęły do swojej kinetycznej pamięci i wskazały mu cel, kiedy wyrzucił gęsto splecione wrota w górę.

Poczuł aprobatę zewnętrznego ja Lokiego. Wrota na dziesięć tysięcy lat, usłyszał w sobie.

Nie był pewien, czy się cieszyć, że wrota przetrwają setki lat dłużej niż on, ale... to znaczyło, że są solidnie wykonane i spełnią swoje zadanie.

Potem splótł wrota powrotne, równie mocne, prowadzące w miejsce po drugiej stronie domku.

- Stone, ty i Veevee najpierw - powiedział.

- Już przeszliśmy przez Wielkie Wrota - przypomniała Veevee.

- Nie przez te. Ty, Stone, przejdź tam i z powrotem. Veevee pokaże ci, gdzie jest wejście we wrota powrotne. Co do ciebie, Veevee, chcę, żebyś tam została i wszystkich przeprowadziła... i zamknęła wrota, w razie gdyby ktoś na Westilu wam przeszkadzał albo próbował z nich skorzystać. A jeśli zjawi się Loki, wyjaśnij mu, co się dzieje. Choć może to wie. Może wie wszystko to, co wiedzą jego wrota.

Danny wyczuł, że Grecy przestali przechodzić przez Dzikie Wrota.

- Skończyli - rzekł. - Czyli wkrótce tu będą. Hermia wie, gdzie są te wrota. Może chceć nam przeszkodzić. Muszę się skupić na wypatrywaniu jej i zabezpieczeniu terenu. Kiedy wrócisz, Stone, ten koniec wrót będzie pod twoją opieką.

To rzekłszy, Danny poszedł do domku i wspiął się na strych.

Dwaj westiliańscy chłopcy wdrapali się za nim po drabinie.

- Możecie patrzeć - powiedział. - Ale nic do mnie nie mówcie. - Nie żeby starszemu z chłopców musiał tego zakazywać. A jeśli młodszy naprawdę był magiem wrót, może pozna, co się dzieje.

Danny poszukał Hermii. Łatwo ją znalazł. Jej zewnętrzne ja, jej Ba, podzielone było tylko na kilka części, ale odkąd przeszła przez Wielkie Wrota, jaśniała tak mocnym blaskiem, że nie mógł jej nie dostrzec.

Próbowała zamknąć Dzikie Wrota.

Głupia, pomyślał. Należało to zrobić, zanim posłałaś przez nie całą swoją rodzinę.

Zaczął wyplątywać swoje wrota z Dzikich Wrót. Wiedział, co się stanie - wrota niegdyś zniewolone zostaną na swoim miejscu, a on od tej pory nie będzie czuł, kiedy ktoś z nich skorzysta.

Ale Wielkie Wrota bez jego Ba będą dużo słabsze. A wrota powrotne w całości należały do niego. Je po prostu wciągnął w siebie. Kto od tej pory skorzysta z Dzikich Wrót, nie będzie miał

powrotu. Hermia zorientuje się, co on robi. Niech patrzy.

Zamierzał to zrobić w czasie, kiedy tamci jeszcze przechodzili przez Dzikie Wrota. Nie wiedział jednak, jak częściowe rozplątanie wrót na Westil odbiłoby się na osobach, które akurat z nich korzystały. Nie był gotowy popełnić morderstwa, a niewykluczone, że tak by się to skończyło.

Co do wrót powrotnych, tak, mógł je zamknąć w każdej chwili. Usunąć je i wciągnąć w siebie. Wówczas jednak ilirscy magowie utknęliby na Westilu, zagubieni i gniewni - i dużo potężniejsi od magów westiliańskich. Nieodpowiedzialnie sprowadzać na inny świat takie nieszczęście. Lepiej pozwolić, żeby wszyscy tu wrócili, dopiero potem osłabić wrota na Westil i trwale zamknąć drogę powrotną.

Hermia na pewno była wściekła. Biedulka. Na coś ty liczyła? Że będę wyrozumiały? Że nic nie zrobię?

O tak, była wściekła. Teraz czuł bowiem, że próbowała pochwycić koniec Wielkich Wrót, przez które na Westil przechodzili Northowie.

Danny nawet z nią nie walczył. Pokonałby ją bez trudu. Tyle że potem musiałby toczyć z nią takie boje za każdym razem, kiedy zachciałoby jej się znowu spróbować.

Po prostu zabrał jej wrota.

Jako Przyjaciółka Zamków miała zewnętrzne ja podzielone tylko na trzy części. Te jednak musiała wysłać z siebie, by manipulowały jego wrotami. Gdyby nie przeszła przez Wielkie Wrota, nie miałaby dość mocy, by sięgnąć swoim zewnętrznym ja tak daleko. Teraz jednak dwoje z trojga jej wrót były tutaj i usiłowały przemieścić jego Wielkie Wrota.

Danny tych dwoje wrót pożarł.

Potem wrócił ich śladem do jej skarbcza serca i wchłonął trzecie, ostatnie. Wszystkie trzy, cały jej zasób, znalazły się w jego skarbcu serca. Czuł ich przerażenie. Ale nie gniew. Hermia nie

wpadła w złość. Bała się, lecz wiedziała, że spotkała ją sprawiedliwa kara. Wiedziała, że Danny mógł ją bez trudu zabić, przenieść wrotami na dno oceanu i mieć kłopot z głowy. Swoją zdradą w pełni sobie na to zasłużyła. To była pierwsza salwa w wojnie, której wygrać nie mogła.

Ale on jej nie zabije. Musiała poznać go na tyle dobrze, by to wiedzieć, mimo że Danny najwyraźniej nie poznał jej w ogóle. Zrozumie jednak, że oślepienie i okaleczenie jej zmysłu do wrót to łagodna kara w porównaniu z zasadami obowiązującymi na wojnie. Od tej chwili nie będzie musiał dzień i noc czuwać, wyczekując jej następnego posunięcia.

A może ta próba przemieszczenia jego nowych Wielkich Wrót była swoistą ofiarą z jej strony. Hermia musiała wiedzieć, że Danny wyczuje jej działania i je zablokuje. Dawala mu możliwość ukarania jej w ten mniej dotkliwy sposób. Bolesny, jasne, ale nieodbierający nadziei, że Danny kiedyś odda jej wrota.

Może i był na to cień nadziei. Danny jednak nie wyobrażał sobie, co Hermia musiałaby powiedzieć albo zrobić, żeby odzyskać jego zaufanie.

Northów było nieporównanie mniej niż Ilirów. Już skończyli, Sieroty też.

- Chcę, żebyście wy też przeszli przez Wielkie Wrota - powiedział Danny do chłopców - i od razu wrócili. To takie lepsze wrota. Dzięki nim staniecie się silniejsi. Zgoda?

- Tak - odparł Enopp. - Kogo pożarłeś?

- Przyjaciółkę, która mnie zdradziła.

- Ale nie przeniosłeś jej gdzieś wrotami - zauważył Enopp. - Klucha przenosi ludzi w różne miejsca. Trzymał mnie ponad rok w więzieniu.

- Nie jestem Kluchą. Jestem innym człowiekiem i inaczej posługuję się moją magią.

- Jesteś słabeuszem. Eluik tak uważa, skoro boisz się krzywdzić ludzi.

- Kiedy ktoś umrze, nie przywrócę mu życia. A jeśli kogoś zbyt dotkliwie skrzywdzę, nigdy nie zdobędę jego zaufania.

- To słabość. Tak mówi Eluik.

- Jak odzyska swoje ciało i przemówi swoim głosem, chętnie posłucham, co ma do powiedzenia - uciął Danny. - Jesteście gotowi przejść przez wrota i wrócić?

- Tak - powiedział Enopp.

A Eluik skinął głową.

Danny przeniósł ich wrotami na przesmyk, na którym znajdowały się Wielkie Wrota. Stone wskaże im wejście.

Sam przeszedł do Lexington i odszukał Zoga. Dziadek wciąż kipiał ze złości, ale mówił grzecznie. Przymilnie.

- Pan mój, Danny, ujarzmił podłe stare ptaszysko. Wiem, kto z nas dwóch dzierży prawdziwą władzę.

- W miejscu, gdzie stworzyłem Wielkie Wrota, ma nie być żadnej przemocy - oznajmił

Danny zimno. - Dom należy do mojego przyjaciela Stone'a. Goszcząc u niego, będziesz mu posłuszny, inaczej słono za to zapłacisz.

- Rozumiem, jak wielkie pan mój, Danny, okazuje mi miłosierdzie.

- Dla ciebie jestem Loki - rzekł Danny.

W Zoga jakby piorun strzelił.

- Jak możesz się posługiwać tym plugawym imieniem?

- Poznałem Lokiego, który zabrał wrota. Postąpił mądrze i odważnie. I on, i ja mamy wspólny cel. To cel dużo wyższy, wojna o wiele straszniejsza od wszystkich, w których brałeś udział.

- Co ty wiesz o wojnie? - wycedził Zog z pogardą.

- Wiem, że przegrałeś wszystkie, w których walczyłeś. Wiem, że okazując mi posłuszeństwo i szacunek, zasłużysz sobie na prawo do znacznego zwiększenia swoich mocy.

Wszelkie bóle i słabości twojego ciała już zostały uleczone, prawda?

Zog skinął głową.

- To dar ode mnie, który dostałeś w tej samej chwili, kiedy odprawiłem cię wrotami, żebyś nie marnował mi czasu swoją małosłowną nienawiścią.

- Pan mój, Loki, jest wielkoduszny. - Dziadek wymówił imię „Loki” tak, jakby wypluwał karalucha.

Danny przeniósł go wrotami do Maine.

Znalazł swoich rodziców w sali na piętrze baru kanapkowego w pięknym starym domu.

Towarzyszyły im ich dzieci z pierwszych małżeństw - syn ojca, Pipo, dziewięć lat starszy od Danny'ego, i córka matki, Leonora, która niedawno obchodziła dwudzieste urodziny. Matka Pipo i ojciec Leonory zginęli na ostatniej wojnie, ale nawet gdyby przeżyli, niczego by to nie zmieniło. Z chwilą, gdy zezwolono ojcu i matce współżyć w celu spłodzenia kogoś takiego jak Danny, stare związki straciły znaczenie. Rodziny podejmowały decyzje, ludzie je wykonywali. Nawet gdy byli głowami rodzin.

Matka wyraźnie się ucieszyła na jego widok. Taki był jej pierwszy odruch i trochę go to wzruszyło. Ojciec jednak wiedział, że Danny nie przyszedłby do nich, gdyby nie stało się coś bardzo złego, więc jego reakcją była trwoga. Trwoga, ale nie strach przed samym Dannym. Znali go na tyle dobrze, by nie bać się, że przybył ich zaatakować.

Co do Pipo i Leonory, nigdy nie byli dla niego okropni, ale i nie bronili go ani mu w żaden sposób nie pomagali. Nic dla niego nie znaczyli ani on dla nich. To jednak znaczyło, że miał z nimi lepsze stosunki niż z resztą rodziny.

Przysiadł się do nich i zwięźle przedstawił sytuację.

- Zapłacę rachunek - powiedział na koniec, po czym przeniósł ich wrotami do Maine.

Kiedy wrócił kelner, Danny poprosił o rachunek. Nie było co psuć wieczoru suszłakowi

tylko dlatego, że bogom zachciało się wszcząć wojnę.

Po uiszczeniu należności - z sutym napiwkiem - Danny wyszedł na zewnątrz, wśliznął się w szczelinę między dwoma budynkami i zniknął we wrotach.

Przez całą noc przemieszczał się po całym świecie, od rodziny do rodziny, i przenościł wszystkich wrotami do Maine, gdzie Stone i Veevee przeprowadzali ich przez Wielkie Wrota.

Na posesji Stone'a robiło się tłoczno i ludzie marzli, mimo że dwaj magowie ognia ogrzewali dom, a magowie wiatru utrzymywali powietrze w bezruchu. W pewnym momencie ojciec spróbował nawiązać rozmowę z Dannym.

- Stone trzyma pikapa na drugim brzegu jeziora - przerwał mu Danny. - Byliście już z mamą na Westilu, więc sprawdźcie, co możecie robić z maszyną i elektroniką. Przy względnej równowadze sił między wszystkimi rodzinami i przewadze liczebnej pozostałych nad Northami, władza nad maszynami, nad suszłacką technologią, może być jedynym waszym atutem. Kto wie, do czego od tej pory będziecie mogli ją wykorzystywać?

Ojciec skinął głową.

- To znaczy, że jesteś z nami? - spytał.

- Nie. Ale jeśli masz trochę oleju w głowie, zapomnisz o Lokim i zaproponujesz przymierze magom Sierotom. Northów jest za mało, by mogli sami toczyć tę wojnę, a Sieroty też będą musiały jakoś przetrwać w świecie znów zdominowanym przez potężnych bogów.

- To mądra rada - stwierdził ojciec.

- Nie, ojczu, to żądanie. Teraz idę poszukać i ściągnąć tu jak najwięcej Sierot. Muszę zabrać ze sobą Stone'a, bo ich nie znam i nie wiem, gdzie są. Dlatego mam dla ciebie zadanie: będziesz witał każdego, kogo tu przyślę, i przesyłał przez Wielkie Wrota. Thor może się zająć zabezpieczeniem terenu, na wypadek gdyby Ilirowie jednak nas zaatakowali. Podejrzewam, że Hermia nie powiedziała im, gdzie stworzyłem te wrota, ale mogę się mylić. Skorzystaj z tej

okazji, żeby traktować Sieroty przyzwoicie, jak ludzi równych sobie. Innymi słowy, trzymaj Zoga i Gyisha z dala od nich.

Ojciec skinął głową.

- To dobry plan, da nam największą szansę na przetrwanie nadchodzącej wojny. Przygarne wszystkie Sieroty do naszej rodziny i...

- Nie - powiedział Danny. - Nie adoptujesz ich. Nie podporządkujesz ich sobie. Będziesz musiał zrobić coś dużo trudniejszego. Traktować ich jak równych sobie sojuszników. Niech dobrowolnie przystaną na przywództwo Northów na czas wojny, nie na waszą hegemonię. Zrozumiano? Mają pozostać niezależni.

- Nie zamierzałem nimi rządzić - zaprotestował ojciec. - Ja tylko... zakładałem, że chcą...

- Niczego nie zakładaj z góry. Traktuj ich jak równych sobie. A teraz mam robotę.

- Czy ty kiedykolwiek przestaniesz nas nienawidzić? - spytał ojciec.

- W tej chwili nie nienawidzę nikogo, z jednym wyjątkiem. A wyjątkiem tym nie jest nikt z Northów.

- Kto to taki? Ta Greczynka?

- Smok. Set. Nie słyszałeś o nim. Tylko ta wojna ma naprawdę znaczenie. Ustarczki między wami, bogami... ich skutki będą straszliwe i już drzę na myśl o tym, jakich cierpień przysporzycie suszłakom swoją arogancją. Ja jednak muszę znaleźć Seta i jakoś ochronić przed nim obydwa światy, a nawet Loki nie wie, jak to zrobić.

- Zog mówił, że teraz ciebie mamy nazywać Lokim - powiedział ojciec.

- Nie, tylko Zog ma mnie tak nazywać. Dla całej reszty jestem Danny North. „Loki” nadal oznacza Złodzieja Wrót, choć on na Westilu posługuje się innym imieniem.

- Myślałem, że Złodziej Wrót jest wrogiem magów wrót.

- Wszyscy tak sądziliśmy, ale to nieprawda. Złodziej Wrót przez wieki strzegł

bezpieczeństwa Westilu i zamykając wszystkie wrota, znacznie ograniczył moc Seta tu, na Mittlegardzie. Teraz jednak znów istnieją Wielkie Wrota, co oznacza wielkie zagrożenie i cała wasza magia nic tu nie pomoże. No dobrze, bierz się do pracy, Odyne, i proszę, przyślij do mnie Stone'a. Powodzenia w waszej wojnie.

Ojciec poszedł.

Stone dołączył do Danny'ego i jeszcze tego dnia odwiedzili wszystkie Sieroty, które Stone znał lub o których słyszał. Kilkanaście odmówiło pójścia z nimi. Czterdzieści zapowiedziało, że owszem, przejdą na Westil i z powrotem, ale tylko pod warunkiem, że potem wrócą do domu i będą radzić sobie same. Reszta zgodziła się przynajmniej współpracować z Northami, szkolić się u nich i w razie wybuchu wojny razem z nimi stawić czoło Grekom.

Pozostałe rodziny ani myślały sprzymierzyć się z Northami. U Stone'a jednak ściśle przestrzegali rozejmu; potem wrotami Danny'ego wróciły na swoje ziemie, by tam szykować się do wojny. Nikt nie miał wątpliwości, że wojna wybuchnie. Danny zaś, poznawszy tych wszystkich ludzi, stracił wszelką nadzieję, że da się jej uniknąć. Będą grać na zwłokę, dopóki nie opanują swoich spotęgowanych mocy. Od razu jednak zacznie się szpiegowanie i prędzej raczej niż później dojdzie do pierwszych spięć, które przerodzą się w otwarty konflikt. Będą ofiary.

Kiedy Danny i Stone wrócili do domku między jeziorami, było późne popołudnie. Zrobiło się nieco cieplej. Danny widział, że ojciec się stara - on i matka rozmawiali z kilkoma Sierotami, podczas gdy inne, dobrane w pary z Northami, ćwiczyły magię, niekiedy z całkiem efektownym skutkiem. Woda w jednym jeziorze kipiała. Duże głązy spadały z pobliskiego urwiska, zawisały w powietrzu i wlatywały z powrotem na swoje miejsce. Pod nogami pętały się małe trąby powietrzne. Wszyscy jednak byli ostrożni i uprzejmi. Ani śladu Zoga i Gyisha.

Danny odszukał Thora.

- Ilu z twoich informatorów jest magami Mitheru? - spytał.

- Wszystkich, którzy są magami, już tu sprowadziłeś. Reszta to suszłacy.
- Czy rodzina ma szansę wyjść cało z tej wojny?
- Tak, dużą, jeśli największy Ojciec Wrót w dziejach stanie u naszego boku.
- Nie licz na to - uciał Danny.
- W takim razie czarno to widzę - powiedział Thor.
- Niech ojciec i matka sprawdzą, jak silną mają władzę nad machinami wojennymi - poradził Danny.

Thor zamrugał zdumiony.

- Mówię o czołgach i myśliwcach - wyjaśnił Danny. - Chyba nie ma innych magów, którzy umieliby się nimi posługiwać. Ojciec może wiele zrobić z maszynami, a matka z elektrycznością... na to postawcie, Thorze. Jeśli Northowie będą w tym pierwsi, jeśli dobrze to rozegracie, pozostali nie będą mieli szans wam dorównać.

Thor uśmiechnął się szeroko.

- A jednak ci na nas zależy - powiedział.
- Jesteście moją rodziną, do cholery - odparł Danny. - Nawet jeśli nigdy nie daliście mi powodu, żeby się z tego cieszyć. - Odwrócił się.
- A co ty będziesz robił, Danny?
- Stworzę publiczne wrota, które przeniosą was z powrotem na farmę. Ale będą prowadzić tylko w jedną stronę. Więcej tu nie wrócicie, przynajmniej nie wrotami. Przy tych Wielkich Wrotach nie będzie żadnych wrót. Chyba że ktoś spróbuje się dostać tutaj bez mojej zgody. Dla niego wrót będzie aż nadto. Tylko że nie przeniosą go w przytulne miejsce. Zrozumiano?
- Danny, wiesz, co znaczy wojna? - spytał Thor. - Zdajesz sobie sprawę, że pewnego dnia będziesz musiał kogoś zabić?
- Już raz ktoś zginął na moje polecenie i widziałem śmierć na własne oczy.

- Kiedy?

- Dużo się działo, odkąd uciekłem z domu... Oto wrota z powrotem do osady. Przeprowadź tam ludzi, zanim ogołocą Stone'owi spiżarnię.

Potem Danny wrócił do Buena Vista. Opuścił cały dzień szkoły. Był wykończony. Musiał się jednak upewnić, że Hermia, która znała wszystkich jego przyjaciół, nie szykuje jakichś nieuczynnych niespodzianek. Magowie Mitheru poradzą sobie sami, w końcu przeszli przez Wielkie Wrota, ale przyjaciele Danny'ego stanowili łatwy cel dla jego wrogów. Na razie byli bezpieczni - zajrzał do nich kilka razy w ciągu nocy i minionego dnia.

Teraz musiał się przespać. Bezpieczniej dla niego byłoby spędzić noc w domku Stone'a, no i Wielkie Wrota byłyby wtedy lepiej chronione. Jednak jeśli będzie sam w Buena Vista, to wszelkie próby ataku wymierzone będą w niego. I bardzo dobrze. Potrafił o siebie zadbać. Nie pozwoli, żeby coś złego stało się Pat. Ani pozostałym.

20

OBAWY

- Ten chłopak pod wieloma względami jest moim przeciwieństwem - stwierdził Klucha.

Anonoei cesała się przed zwierciadłem.

- To znaczy, że jest wysoki? Czy że jest marnym kochankiem?

- Wyższy ode mnie. A o tym, jakim byłby kochankiem, chyba nie przekonamy się nigdy, bo wyraźnie się zawziął, by nikomu nie dać ani z nikim nie zaznać tego rodzaju przyjemności.

- Szpiegujesz go?

- Tak. Aż dziw, że się nie zorientował, że oddając mu swoje wrota... które i bez tego już miał... zyskałem wgląd w jego umysł. A przynajmniej to, co nim postrzega.

- Wykorzystujesz nieprzeszkolone dziecko. Wstydź się.

- Chłopak wie, że poprzez moje wrota może mieć dostęp do moich wspomnień. A mimo to

najwyraźniej do głowy mu nie przyszło, że ja poprzez te same wrota mogę na bieżąco podglądać, co robi.

- Może nie ma nic do ukrycia.

- Każdy ma coś do ukrycia - rzekł Klucha. Po chwili się zreflektował. - Chociaż nie, może masz rację. Ten Danny North naprawdę jest tym, kim się wydaje.

- W odróżnieniu od Kluchy, posługacza kuchennego - zauważyła Anonoei.

- I Anonoei, suszłackiej nałożnicy króla Prayarda - dodał Klucha.

- Zaklinacze ludzi muszą ukrywać swój dar - powiedziała Anonoei. - Na szczęście nasza magia bardzo nam to ułatwia. Między innymi dlatego tak srogo się nas karze. Jeśli poznasz w kimś zaklinacza ludzi, z reguły masz tylko jedną szansę, żeby go powstrzymać.

- Wprost przeciwnie - zaprotestował Klucha. - Myślę, że kara śmierci dla was została pomyślana jako uniwersalne usprawiedliwienie wszelkich mordów. „Czułem przy nim jakieś dziwne popędy, stąd wiedziałem, że był zaklinaczem ludzi, więc go zabiłem”.

- Ja czuję dziwne popędy przy tobie.

- Akurat te są normalne. Każdy takie ma.

- Ale niekoniecznie wywołane przez ciebie.

- Tyle że ty wiesz, kim jestem. Boskie moce to największy afrodyzjak.

- Nie jesteś w połowie takim magiem, jakim byłeś kiedyś.

- Ale zachowałem dość mocy, żeby przenosić cię z miejsca na miejsce - zauważył Klucha. -

Ciekawi mnie tylko, na ile ta chęć służenia ci bierze się z mojej wrodzonej wielkoduszności, a na ile z działania twojej tajemnej magii.

Anonoei znieruchomiała z grzebieniem w ręku.

- Proszę cię. Rozmawialiśmy już o tym i zgodziliśmy się, że to błędne koło. Bez względu

na to, czego pragniesz i co myślisz, zawsze możesz stwierdzić: „Ciekawe, po co ona wzbudza we

mnie tę żądzę”. Albo „ten wstręt”, „ten wewnętrzny przymus” czy co tam jeszcze.

- Tak to już jest z błędnymi kołami, że nie da się z nich do końca wyrwać. Nie musiałaś rzucić na mnie uroku, bym pomógł ci wyrzucić zemstę na Bexoi. Mam po temu aż nadto własnych powodów.

- I nie zapominaj o twoich potężnych wyrzutach sumienia z powodu uwięzienia mnie i moich synów.

- Wiem, że to nie twoja robota. Dręczyły mnie, na długo zanim dowiedziałaś się, kto was uwięził.

- Nawet gdybym to wiedziała, w tamtym czasie mogłam wywierać wpływ tylko na tych, którzy byli tuż obok mnie.

- A teraz, po przejściu przez Wielkie Wrota?

- Mogę dzielić swoje zewnętrzne ja, mniej więcej tak jak ty. Może zawsze to potrafiłam, tylko o tym nie wiedziałam. Teraz mogę zostawiać część siebie wewnątrz moich zauszniaków, żeby mój wpływ na nich pozostawał świeży i silny, i żeby widziała, czego doświadczają.

- Pewnie trudno się na tym skupić. Ja muszę się mocno koncentrować, by wiedzieć, co się dzieje z Dannym Northem.

- Nie jesteś zaklinaczem ludzi. Oni wszyscy krążą gdzieś w głębi mojego umysłu. Czy raczej głębia mojego umysłu krąży w nich.

- We mnie też zostawiłaś część swojego umysłu? - spytał Klucha.

- Nawet jeśli, myślisz, że się przyznam? - odpowiedziała pytaniem Anonoei.

- Zależy, co tobą kieruje. Może przywiązujesz tak wielką wagę do mojego zadowolenia i dobrego samopoczucia, że zostawiasz we mnie część swojego Ba, żeby mieć pewność, że wszystko, co robisz, jest mi miłe.

Anonoei wstała z krzesła i podeszła do okna.

- Dlaczego nie miałabym wykorzystywać moich zdolności, kiedy się Kocham?

- Nie mówię, że to coś złego. Ale zdecydowanie za dobrze wiesz, jak w danej chwili sprawić mi przyjemność, bym uwierzył, że nie stosujesz swojej magii.

- Czyżbyś narzekał?

- Ja tylko pytam. Kiedy kończymy się kochać, moja śliczna, jak dużo z siebie zostawiasz we mnie?

- Akurat teraz więcej z ciebie jest we mnie niż ze mnie w tobie.

- To nie jest konkretna odpowiedź.

- Gdybym cię szpiegowała, zaprzeczyłabym i ty byś mi uwierzył. Po co w ogóle pytasz?

- Bo chcę to usłyszeć z twoich ust.

Anonoei westchnęła.

- Zostawiam w tobie część mojego Ba, jak we wszystkich innych. Zależy mi na tobie.

Poza tym potrzebuję cię i jestem na ciebie zdana. To dla mnie ważne, by wiedzieć, co o mnie sądzisz, czego chcesz, czego się lękasz.

Klucha nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Szczerść: najokrutniejsze ze wszystkich oszustw.

- Wiesz, że cię nie oszukuję.

- Albo swoją szczerścią maskujesz fakt, że to za twoją sprawą tak mnie ona cieszy.

- Wyślesz mnie do Kila? - spytała Anonoei. - Boi się, że prawda o nim wyjdzie na jaw.

Muszę go uspokoić. Myśli, że Bexoi ma szpiegów w jego otoczeniu.

- Oczywiście, ale najpierw powiedz mi coś: czy kiedykolwiek posłałaś swoje Ba w samą królową Bexoi?

- Nigdy nie byłam blisko niej. Ani ja, ani Prayard nie dopuściliśmy do tego. Dlatego nie.

Widziałam ją z daleka, ale nigdy, w czasach sprzed wrót, nie byłam na tyle blisko, żeby wniknąć

w jej podstępny umysł.

- Czyli nie widzisz jedynej osoby, którą szczególnie należałoby obserwować.

- Przecież sam możesz ją podglądać - powiedziała Anonoei. - Przez ten twój mały wizjer.

- Wtedy widzę tylko to, co ona chce, żebym zobaczył. Myślę, że wie dzie całe swoje życie

tak, jakby oczekiwała, że ją obserwuję. Rozbiera się i ubiera jak przed publicznością. Wie, co potrafię.

- Aż tak dobrze panuje nad sobą? Wszystko, co robi, to pozory, od rana do nocy?

- Odgrywa swoje role w każdej chwili, na jawie i we śnie.

- We śnie! - prychnęła Anonoei.

- Chyba nawet jej sny to kłamstwa dobrane do maski, jaką przywdziewa. Chyba wierzy w każde wypowiedziane przez siebie kłamstwo i nie przestaje w nie wierzyć.

- Skoro wierzy w to, co mówi, czy można to nazwać kłamstwem?

- To samo pytanie niegdyś zadałem papieżowi Bonifacemu IV - powiedział Klucha. - To było w czasie, kiedy zajął się przerabianiem wszystkich pogańskich świątyń w Rzymie na kościoły. Tłumaczyłem mu, jak bardzo greckie i rzymskie rodziny magów razi takie ich traktowanie, a on upierał się, że bogowie nie istnieją. I ponieważ uważałem siebie za dowód przeczący tej tezie, dałem mu próbkę swoich umiejętności. Przeniosłem nas obu wrotami w Alpy, wysokie góry na Mittlegardzie. Tam staliśmy na mrozie, on wciąż w swojej lekkiej koszuli nocnej i choć przemarzł na kość, zakomunikował mi, że moje istnienie jest ułudą. Że kuszę go jak Szatan Chrystusa.

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

- Był szczerze przekonany, że to, czego doświadcza... lodowate podmuchy górskiego wiatru, widok wysokich szczytów i otaczającego go ze wszystkich stron śniegu... to złudzenie, wizja, którą wywołałem, żeby go zwieść. Zapewniłem go, że śnieg, wiatr i góry są prawdziwe, że

okłamuje samego siebie, a ja nawet nie pochodzę z tej samej planety co osoba, którą zwał Szatanem. Stwierdził wówczas, że to ja jestem kłamcą, a wtedy zwróciłem mu uwagę, że to niemożliwe, bym kłamał, bo przecież mówię to, w co wierzę, on zaś doskonale wie, że ziab jest rzeczywisty, więc jeśli temu zaprzecza, to okłamuje mnie.

- Następne błędne koło.

- Powiedział mi, że to tylko dowodzi, że jestem lepszym kłamcą od niego. Przyznał, że marznie, ale to w jego mniemaniu pokazywało tylko, jak silnej doświadcza iluzji. A że ja sam też dygotałem z zimna? To nie zmieniało faktu, że wszystko jest złudzeniem. „Jeśli okłamujesz samego siebie, kłamstwo pozostaje kłamstwem - rzekł - nawet jeśli robisz to na tyle przekonująco, że sam w to kłamstwo wierzysz”. Niezwykłej mądrości człowiek jak na papieża.

- Rozumiem, że papież to ktoś taki jak król?

- Mniej więcej - odparł Klucha. - Mogę się spotykać, z kim zechcę. Zawsze mogę ominąć wszelkie straże i urzędników.

- Skoro już o tym mowa - powiedziała Anonoei - trochę się martwię o Kila. Ostatnio wydaje się mocno wystraszony.

- Tym bardziej więc nie powinnaś do niego iść.

- Miej na mnie oko, moja zamkowa małpo, i gdyby coś mi rzeczywiście groziło, wydobądź mnie stamtąd.

W tej chwili jednak Klucha wyczuł, że ktoś przybywa na Westil przez Dzikie Wrota. Kilku ludzi. Coraz to następni. A mimo to Danny North wyraźnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Z pewnością nie on ich w te wrota wpuszczał.

- To wyjątkowo zły moment na to, żebym cię gdziekolwiek wysyłał, zwłaszcza w niebezpieczne miejsce - rzekł Klucha. - Ktoś przechodzi przez Dzikie Wrota.

- Co temu chłopakowi strzeliło do głowy? Mówiłeś, że rozumiał, że to grozi

wpuszczeniem na Westil Smoka schowanego w ciele jednego z przybyszów.

- Nie Danny North za tym stoi. Ach, nareszcie to zauważył i od razu poznał, co się dzieje.

Jedna z jego przyjaciółek przemieściła wrota. - Klucha był pod wrażeniem. - Spryciara z tej Hermii. Bardzo trudno przesunąć czyjeś wrota tak, żeby tego nie zauważył.

- Co teraz zrobisz?

- Muszę pójść obserwować ten koniec wrót. Jeśli tylko każdy od razu zrobi w tył zwrot i wróci na Mittlegard, nie ma zagrożenia. Ale gdyby ktoś spróbował zostać...

- Ten młody mag wiatru został - zauważyła Anonoei.

Klucha wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

- Kiedy z pomocą Danny'ego Northa wyraźnie sobie przypomniałem, kim jest nasz wróg i do czego jest zdolny, Ced już tu był. Poznałem go na tyle dobrze, by mieć względną pewność, że nie jest opętany przez Seta.

- A jeśli ktoś z nowo przybyłych będzie opętany... po czym to poznasz?

- Nie poznam. Dlatego każdego, kto spróbuje zostać, przeniosę do wrót powrotnych i w nie wepchnę.

- Nie boisz się, że ciebie opęta, jeśli podejdziesz za blisko?

- Nie wepchnę w dosłownym tego słowa znaczeniu. Każdego niedoszłego imigranta przeniosę wrotami w takie miejsce, żeby wypadając z nich, wleciał prosto w Dzikie Wrota.

Nawet się do niego nie zbliżę. A Set nie może tak łatwo przeskakiwać z jednego człowieka w drugiego. Zwłaszcza kiedy ma naprzeciw siebie kogoś z potężnym wewnętrznym ja. Z Ka, które nie zejdzie mu ot tak z drogi.

- Pochlebiasz sobie - powiedziała Anonoei.

- Być może - przyznał Klucha. - Ale on nie postępuje tak samo jak ty. Wnika w człowieka całym Ka. Jednak jako że nigdy nie miał własnego ciała, nie oblekł swojego ja w małpią skórę,

nie przychodzi mu to łatwo. Myślę więc, że w razie czego sobie z nim poradzę.

Anonoei przewróciła oczami.

- Wyślij mnie do Kila, proszę.

- To zbyt niebezpieczne - odparł Klucha. Był już ubrany. - Cała moja uwaga będzie skupiona na ludziach wychodzących z wrót. Muszę wszystkich zobaczyć i zapamiętać, na wypadek gdyby któryś mi się wymknął.

- Nic mi nie będzie - przekonywała Anonoei.

- Czy Kil jest bojaźliwym, tchórzliwym człowiekiem?

- Jest nadzwyczaj dzielny i odważny.

- A zatem czegokolwiek się lęka, zagrożenie prawdopodobnie jest realne.

- Ależ mój umiłowany Kluszek, nie zapominaj, kim jestem. Nikt nie może wytrwać w postanowieniu, by zrobić mi krzywdę; sprawiam, że zmienia zdanie, i tyle. Jesteś mi potrzebny po to, żeby mnie transportować, nie wybawiać z opresji. Proszę, szanuj moje umiejętności, jak ja szanuję twoje. Nie jestem już twoim więźniem.

- Powiedziałaś to jak prawdziwy manipulator - stwierdził Klucha.

- Gdybym rzuciła na ciebie urok, nie musiałabym tobą manipulować, grając na twoich wyrzutach sumienia.

- Chyba że moje sumienie jest w całości twoim tworem.

- Niestety, nie - westchnęła Anonoei. - Są chwile, kiedy żałuję, że nie mogę go zgasić jak pełgającego płomyka świecy. - Zaczęła obracać się w kółko. - Proszę, wyślij mnie do gabinetu Kila. O tej porze nie ma tam nikogo.

Klucha wciąż miał złe przeczucia, ale w sumie musiał przyznać jej rację - mogła sama zadbać o siebie. Przecież nie trafi na przeciwnika o tak silnej woli jak Bexoi czy nawet sam Klucha.

Wysłał ją do Kila, wciąż wirującą jak roztańczone dziecko. Jeśli się potknie, sama sobie będzie winna.

Potem natychmiast przeszedł w miejsce położone blisko kamiennego kręgu, w którym znajdowały się Dzikie Wrota. Rzeczywiście, na szczycie wzgórza kłębił się spory tłum. Na razie nikt nie wyszedł z kręgu - ale wielu rozglądało się dookoła, zamiast wracać. A niektórzy próbowali się posługiwać swoimi mocami. Wewnątrz kręgu zawierającego czynne wrota! Czy oni w ogóle mieli o czymkolwiek pojęcie?

Nie, oczywiście nie. A młoda Greczynka, która ukradła wlot Dzikich Wrót, najwyraźniej nie wpadła na to, by też tu przejść i dopilnować, żeby wszyscy wrócili.

Dlatego Klucha przyciągnął do siebie wrota, którymi wysłał Anonoei do Kila, zmienił je w duże publiczne wrota i umieścił bezpośrednio przed wrotami z Mittlegardu na Westil, tak by od razu przerzucały ludzi do wrót powrotnych. Zużył na to czworo ze swoich ośmiorga wrót. Innymi wrotami przeniósł maruderów do wejścia we wrota powrotne.

Chodziło tylko o to, żeby zrobić porządek.

Całe szczęście, że nikt na Mittlegardzie nigdy nie miał do czynienia z wrotami. Na pewno uznają, że wszelkie usterki to normalny element całego procesu, a jeśli nawet nabiorą podejrzeń, że ktoś rozmyślnie przesyła ich z powrotem, nie dając im choć się rozejrzeć, bez wątpienia obwiniają o to tę młodą Greczynkę. I jeśli wpadną w złość, dobrze jej tak.

Gdyby Klucha zachował trochę większą część swojego pierwotnego zasobu wrót, mógłby sam wchłonąć całe Wielkie Wrota i problem byłby rozwiązany. Nie miał jednak koniecznej do tego mocy, a Danny'emu, który tę moc niewątpliwie posiadał, brakowało wiedzy i wprawy niezbędnej, by ujarzmić zbuntowane wrota innych magów. Klucha zaś ani myślał go uczyć - ostatnie, czego chciał, to żeby chłopak nabrał w tym biegłości. I bez tego był wystarczająco niebezpieczny.

Przez cały ten czas dręczył go niejasny niepokój o Anonoei. Uczucie z każdą chwilą coraz silniejsze. Nie bądź głupi, powiedział sobie. Ona naprawdę potrafi sama o siebie zadbać. Wreszcie nabrał pewności, że już żaden mag nie przejdzie przez Dzikie Wrota. Dopiero wtedy mu zaświtało, że to do niego niepodobne, by zbytnio martwić się o czyjeś bezpieczeństwo. By dręczyła go tak uporczywa, uciążliwa obawa.

Gdyby Anonoei chciała wezwać go na pomoc - i rzeczywiście trzymała w nim cząstkę swojego Ba - czy nie tak właśnie by to odczuł? Może ten niepokój to w rzeczywistości wołanie Anonoei o pomoc?

Uczucie to jednak już minęło. A zatem najwyraźniej jakoś sobie poradziła.

Wrócił wrotami do ich wspólnej izby w domu o tej porze roku opuszczonym przez właściciela. Dorzucił do ognia, by ogrzać pokój przed powrotem Anonoei, i uprzytomnił sobie, że jej wołanie o pomoc mogło ustać z innego powodu.

Przyprawiająca o mdłości trwoga, która ogarnęła go w tej chwili, w niczym nie przypominała natarczywego uczucia towarzyszącego mu, kiedy obserwował ruch przy Wielkich Wrotach. Teraz, gdy mógł porównać tamten niejasny niepokój z prawdziwym, osobistym strachem, to było oczywiste. Ona naprawdę dobijała się do jego świadomości, krzyczała, by jej pomógł.

Zrobił wrota prowadzące do gabinetu Kila i już miał w nie wejść, kiedy przypomniał sobie, że Anonoei też była pewna, że poradzi sobie z każdym ewentualnym zagrożeniem.

Skurczył oba końce wrót do rozmiarów małego judasza i przyciągnął wlot do oka, by zajrzeć na drugą stronę.

W izbie nie było nikogo.

Dwa razy rozejrzał się dookoła, zanim przyszło mu do głowy, żeby opuścić wzrok na podłogę.

Suknia, którą Anonoei miała na sobie, kiedy weszła we wrota, leżała na podłodze.

Porzucona.

Nie, nie porzucona. Brudna.

Nie, nie brudna. Przesiknięta popiołem i płynami ustrojowymi, które wysączyły się też z Anonoei w miejscach, gdzie powinna być głowa, ręce i nogi.

Została spalona żywcem. Ale nie ogniem z zewnątrz, jako że suknia nawet nie była osmalona. W latach spędzonych na Mittlegardzie przed zamknięciem wszystkich wrót Klucha widział na własne oczy, co się dzieje z ludzkim ciałem, kiedy Pan Ognia rozпали je od wewnątrz aż do całkowitego spopielenia. Suknia Anonoei okrywała jej szczątki.

Kil tylko po części miał rację, sądząc, że jest szpiegowany. Kiedy Anonoei poszła z nim porozmawiać, nie szpieg czekał tam na nią, tylko sama królowa Bexoi. Bexoi, Pani Ognia.

21

INTYMNOŚĆ

Danny wiedział, że rodzice oczekują od niego, by przybył do rodzinnej osady, jak tylko wszyscy wrócą z błyskawicznej podróży na Westil. Zbliżała się wojna, wojna z użyciem magii na skalę niewidzianą na Mittlegardzie od siódmego wieku naszej ery.

Nie miał jednak zamiaru w tej wojnie uczestniczyć - nie tak, jak na to liczyli. Niech oni odbywają narady i opracowują strategie. Niech prowadzą ćwiczenia, żeby zobaczyć, czego mogą dokonać przy użyciu swojej nowo spotęgowanej magii.

Z drugiej strony wiedział, że nie może jakby nigdy nic wrócić do szkoły i czekać, aż będzie po wszystkim. Musiał się w tę wojnę zaangażować, czy to mu się podoba, czy nie.

Wojna nie wojna, nie zamierzał wylecieć ze szkoły.

Znalazł się w szkole po ostatnim tego dnia dzwonku. Miał za sobą trzydzieści cztery nieprzespane godziny. Uczniowie śpieszący do autobusów, na parking albo wszystko jedno

gdzie, byleby na zewnątrz, w ogóle go nie zauważali.

To znaczy, zauważali go na tyle, żeby się z nim nie zderzyć, ale tylko nieliczni uświadamiali sobie, że nie pokazał się dziś na żadnej lekcji. Reagowali na jego widok normalnie. Machnięcie ręką, skinienie głową, obojętność.

Nie spotkał żadnego ze swoich przyjaciół. Zwagarowali? Coś im się stało?

- Danny... - Ktoś dotknął jego pleców.

Odwrócił się. Nicki Lieder.

- Tata strasznie się martwił, kiedy rano nie przyszedłeś na trening, a potem nie było cię w szkole i nikt nie odbierał twojego telefonu.

- Przepraszam. Nagła sprawa rodzinna.

- Tak też sobie pomyślałam. - Jej dłoń spoczywała na jego talii. Prawie tego nie zauważył, tak subtelnie ją tam przeniosła. Wiedział jednak, że to taki odruch zakochanej dziewczyny, zaborczy gest dający do zrozumienia wszystkim w zasięgu wzroku: „On jest mój, wolno mi tak robić”.

Nie zdjął ręki Nicki ze swojego biodra, żeby nie zranić jej uczuć. Odwrócił się lekko w bok i z powrotem - jej dłoń sama odpadła.

- Powinienem być zadzwonić - powiedział.

- W pełni rozumiem. Tata też zrozumie. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak bardzo się troszczy o wszystkich swoich sportowców.

Taaa, i jest skończonym dupkiem dla każdego, kto nie jest jednym z „jego sportowców”.

Danny nie powiedział jednak tego na głos.

Dłoń powróciła, tyle że teraz spoczęła na szczycie jego rozporka, z kciukiem wsuniętym za pas spodni. Nicki wybrała zaskakująco intymne miejsce. Miał nisko opuszczone dzinsy - cóż, zawsze nosił używane, odziedziczone po starszych, albo trochę za małe, albo o wiele za duże. Te

pierwsze musiał opuszczać jak najniżej, żeby nie piły go w kroku; te drugie same się zsuwały.

Tak mu było wygodnie. Tyle że przez to jej dłoń znalazła się niebezpiecznie nisko i przez długą chwilę o niczym innym nie mógł myśleć.

W ciszy, jaka zapadła między nimi, zrozumiał, że dokładnie taki był jej cel.

Niewinna mała Nicki wcale nie była taka niewinna. Cokolwiek ją podkusiło, żeby wtedy go pocałować, wciąż w niej siedziało. Nie dawała za wygraną. Pokazywała, że jej propozycja pozostaje aktualna.

Propozycja czy żądanie?

Wydawało się, że to już nie ta sama dziewczyna, z którą rozmawiał w kuchni Liederów tamtego dnia, gdy ją uzdrowił i zmienił jej życie. Przez to, że nie pozwolił, by się zakończyło, rzecz jasna, ale i dlatego, że przywrócił jej siły i zdrowie i porozmawiał z nią jak z człowiekiem, nie inwalidą. Najwyraźniej zrobił na niej zbyt wielkie wrażenie.

Mógł po prostu zabrać rękę Nicki ze swoich spodni, ale przedłużająca się obecność jej dłoni tak blisko jego krocza na tyle rzucała się w oczy, że musiał coś powiedzieć.

- Tylko jednej kobiecie wolno mnie tam dotykać - stwierdził - i tą kobietą nie jesteś ty.

Nie zabrała ręki. Która dziewczyna nie zabrałaby ręki, gdyby usłyszała od faceta coś takiego?

- Kto to taki? - zapytała.

- Moja żona.

- Przecież nie jesteś żonaty.

Wreszcie złapał ją za nadgarstek. Nie pojmował, dlaczego czuł tak wielkie opory przed odtrąceniem jej ręki. Ani dlaczego w chwili, kiedy ujął nadgarstek Nicki, tak naprawdę chciał - i prawie to zrobił - zsunąć jej dłoń niżej, w miejsce, które gorąco pragnęło jej dotyku.

Jednak się powstrzymał. Odsunął od siebie jej dłoń, mocniej niż zamierzał, bo tak trudno

mu było się na to w ogóle zdobyć.

- Nie jestem żonaty. W tym rzecz.

I poszedł. Co łatwe nie było. Musiał poprawić sobie to i owo w kroku, a nie wypadało tego robić na zatłoczonym korytarzu. Dał więc nura do pustej sali i nie bacząc na to, czy Nicki poszła za nim, przeniósł się wrotami na wzgórze, w miejsce, gdzie zwykle spotykał się z przyjaciółmi.

Byli tam.

- No cześć - powiedziała Laurette. - Gdzie byłeś cały dzień?

- I jak jej na imię? - dociekała Sin.

- Jak komu na imię? - spytała Xena.

Sin tylko przewróciła oczami, patrząc na wybrzuszenie w jego dżinsach, i parsknęła śmiechem. Xena spojrzała w to samo miejsce i jej zawtórowała.

Danny od razu usiadł.

- Macie narąbane w głowach.

- Imię - rzuciła Sin. - Mów, która to, inaczej go obetniemy.

- Szedłem szkolnym korytarzem... - rzekł Danny.

- Niebezpieczne miejsce, fakt - stwierdził Hal, wyraźnie niezorientowany, o czym mowa.

- ...Kiedy nadziałem się na Nicki Liedner - ciągnął Danny.

- Chyba ona na ciebie - zauważyła Sin.

- Córkę trenera? - zainteresował się Wheeler. - No i...?

- Ona to taki człowiek-nic - powiedział Hal. - Zawsze na uboczu.

- Była o krok od śmierci, kiedy nagle jej się polepszyło - przypomniała Laurette. - Może po czymś takim trzeba czasu, żeby się rozruszać.

- Jak widać, Danny'ego rozruszała - mruknęła Sin.

Zamknął oczy.

- Tej nocy w ogóle nie spałem. - I, uprzedzając nieuniknione robaczywe skojarzenia Sin, opowiedział im, co się stało. I czym to się skończy. Wojną.

Wszyscy w rodzinach magów rozumieli, że wrota, z których korzystali, stworzył Danny; wszyscy wiedzieli, że gdyby mu podpadli, mógł przenieść każdego, dokąd tylko chciał.

Tak było na wszystkich wojnach, w których uczestniczyli magowie wrót.

- Jesteśmy jak kopacze w futbolu amerykańskim - wyjaśnił Danny przyjaciołom. - Nosimy strój drużyny, ale tak naprawdę do niej nie należymy. Uczestniczymy w zupełnie innej grze.

- Kopacz jest nietykalny - powiedział Hal.

- Wiesz chociaż, co to znaczy? - spytała Laurette.

- Wprawdzie wyglądam jak słupek bramki, ale znam zasady gry - stwierdził Hal.

Pat pierwsza przeszła do spraw praktycznych.

- Jak możesz w ogóle myśleć o szkole, kiedy wiesz, że lada chwila cały świat się zmieni?

- Nie mogę - przyznał Danny. - Ale nic innego mi nie przychodzi do głowy. Jeśli zwrócę się do rodziny, obchodzić ich będzie tylko to, że mogę przenosić wrogich magów, gdzie popadnie, a nie zamierzam tego robić.

- Dlaczego? - spytała Sin. - Było nie było, są twoją rodziną.

- Jakoś tak mi się zdawało, że wy jesteście mi bliżsi. Nie gardziliście mną przez całe moje dzieciństwo, nie groziliście mi śmiercią, jeśli się nie nauczę wzbudzać klanta.

- Rzecz nie w tym, czy chcesz walczyć na wojnie - rzekł Wheeler. - Ona wybuchnie i tak czy tak będziesz w niej uczestniczył.

- Dlaczego? - spytała Xena. - Dlaczego musi się w to mieszać? Dlaczego nie może po prostu uczyć się do egzaminów jak wszyscy?

- Po pierwsze, Danny nie uczy się do niczego. Nigdy - powiedział Hal.

Wszyscy pokiwali głowami na znak zgody.

- Właśnie że się uczę - zaprotestował Danny.

- E tam się uczysz - rzuciła Laurette.

- Uczyłem się. Jak miałem lekcje w domu. W szkole po prostu jeszcze nie doszliśmy do tego, co już przerobiłem.

- Po drugie... - ciągnął Hal.

- O, umiesz policzyć do dwóch i się nie pogubić! - wykrzyknęła Sin.

- Po drugie i najważniejsze: kiedy pojawią się pierwsi ranni, Danny, chcąc nie chcąc, będzie musiał coś z tym zrobić. Bo będzie jedynym medykiem na tej wojnie.

Danny przypomniał sobie, jak skrzętnie rodzina zawsze unikała tematu, dlaczego od 632 roku naszej ery liczba ofiar wojennych gwałtownie poszła w górę. Moce wszystkich walczących zostały ograniczone, ale i nie było magów wrót, którzy mogliby rannych leczyć. Teraz pojawił się Danny. I Northowie niewątpliwie oczekiwali, że swoimi wrotami uzdrawiał będzie tylko swoich.

- Dlatego nie chcę rozmawiać z moją rodziną. Bo prędzej czy później połapią się, że zamierzam leczyć wrotami wszystkich.

- Po obu stronach - dodała Pat, jakby chciała się upewnić, czy mówił poważnie.

- Po trzech stronach - uściślił Danny. - Bo jak bogowie wszczynają wojnę między sobą, to koniec końców toczą ją poprzez suszłaków. Rzadko się zdarza, by mag walczył z magiem, gdyż skutki mogłyby być katastrofalne. Dlatego napuszczą Danajów na Trojan.

- Grecy w *Iliadzie* nazywali siebie nawzajem Danajami - pouczył Xenę Wheeler.

- A ty skąd to wiesz? - spytała Xena.

- Z gry fabularnej, w którą grałem w czwartej klasie.

- Jestem skonany - powiedział Danny. - Na to przejście przez wrota nie pomaga. Fizycznie wszystko gra, mógłbym przebiec wiele kilometrów i prawie tego nie poczuć, ale mój mózg

potrzebuje snu. Gdybym teraz wybrał się na przebieżkę, pewnie zasnąłbym w trakcie.

- Jak myślisz, co ci ludzie zrobią teraz, kiedy stali się, no wiesz, naprawdę potężni? - spytał Wheeler.

- Dla ciebie to coś jak wyścigi NASCAR, Wheels? - wtrącił Hal. - Postawisz na jedną

rodzinę i będziesz jej kibicował w finałach wojny czarnoksiężników?

- Przez całe życie, kiedy chciałem zaznać odrobiny magii, musiałem grać w gry wideo albo rzucać kośćmi w RPG-ach - rzekł Wheeler. - Teraz Danny przenosi nas po całym świecie. No, przynajmniej po naszej okolicy, ale za to błyskawicznie. I to fajna sprawa, nie zrozumcie mnie źle. Ale to tylko, no wiecie, czar teleportujący. Bardzo wygodny, lecz ja chcę zobaczyć na własne oczy, jak działają prawdziwe zaklęcia bojowe.

- Nie ma żadnych zaklęć - powiedział Danny. - Tylko perswazja.

- No dobra, chcę zobaczyć, jak mag wiatru metodą perswazji wywołuje tornado. I chcę zobaczyć klanty. I jak mag kamienia zmienia kamień w monstrum w typie Niesamowitego Hulka czy kogoś takiego.

- Tornado jest straszne, bez względu na to, jak powstaje - stwierdził Danny. - A kamienny klant nie będzie baczył na to, kogo rozdepcze.

- Wiem o tym - odparł Wheeler. - I tego nienawidzę, tym się brzydzę, ryczę, kiedy to widzę...

- A nas przepelniasz wstydem - dopowiedział Hal.

- I budzisz w nas odrazę - dodała Laurette.

- Nie ja sprowadziłem magię na świat - bronił się Wheeler. - Co ja poradzę, że jest taka fascynująca? Statystyci, którzy uciekają z krzykiem przed Godzillą albo machają jak idioci, kiedy obcy przylatują ich rozwalić w *Dniu Niepodległości*... jasne, kończą rozdeptani albo zwęgleni, ale przynajmniej przy tym byli.

- Ty kupiłbyś bilet na wszystko - stwierdziła Sin.

- Jasne - odparł Wheeler. - Raz.

Danny westchnął.

- Ja tylko chciałem chodzić do normalnej szkoły.

- Dlaczego? - zdziwiła się Laurette. - To znaczy, fajnie, że tu jesteś i w ogóle, ale czemu ktokolwiek przy zdrowych zmysłach miałby z własnej woli tak spędzać czas?

- Siedząc w lesie? - spytała Pat.

- Chodząc do szkoły Parry'ego McCluera.

- Bez takich, Laurette, przecież czujesz się tu jak ryba w wodzie - zachnęła się Xena. -

Nauczyciele i dyrektor jedzą ci z ręki, sekretarki cię uwielbiają, dobrze się uczysz i masz superciało. Kto jak kto, ale ty nie masz powodu nie cierpieć szkoły.

- Bo nie tak spędzałabym czas, gdybym miała wybór.

- Ale Danny ma wybór - dodała Pat.

Danny akurat myślał o tym, że gdyby Laurette pochodziła z jednej z rodzin, przez swoją umiejętność zjednywania sobie wszystkich mogłaby zostać uznana za zaklinaczkę ludzi. Ledwo się orientował, czego rozmowa dotyczyła. Był aż tak senny.

- Szkoła średnia jest nudna - powiedział - i gdyby się uwziąć, można w rok przerobić cały jej program. Służy właściwie tylko do tego, żeby dzieciaki nie zajmowały miejsc pracy i nie popełniały przestępstw przynajmniej przez pół dnia. Ale słowo daję, że kiedy czytałem o niej w powieściach dla młodzieży, wydawała mi się czymś najfajniejszym na świecie.

- Powieści dla młodzieży! - prychnęła Pat. - Mają tyle wspólnego z rzeczywistością co gry wideo Wheelera.

Wheeler się zaśmiał.

- Rzeczywistość jest przereklamowana. Między katastrofami działa według zasady „najnudniejsze wyjaśnienie jest prawdziwe”. „To się nie może wydarzyć”, dopóki to się nie wydarza. „Tak być nie może”, dopóki się nie okazuje, że tak jednak może.

- Dziewczyny nie mogą znaleźć boga, w którym mogłyby się zakochać - powiedziała Xena

- dopóki tak się nie zdarzy.

- Dziewczyny na okrągło znajdują bogów, w których się zakochują - stwierdziła Pat. -

Potem budzą się w ciąży, a boga nie ma. Zostaje tylko dupek.

Z tego zaśmiali się wszyscy, nawet Danny - mimo zmęczenia.

- „Kto jest ojcem twojego dziecka?”. „Och, tatusiu, to był bóg” - ciągnęła Pat. - „Jak wygląda?”. „Och, mamó, nie dał mi zapalić światła i zobaczyć jego twarzy”. Nikt nie chce przyznać, że się zabujał w kłamliwym kretynie. Każdy poczęty bękart jest owocem miłości do boga.

- Często tak jest naprawdę - rzekł Danny. - Wśród ludzi jest wielu potomków magów Mitheru. Mało tego, powiedziałbym, że każdy żyjący dziś człowiek ma westiliańskiego przodka.

- To dlaczego Wielkie Wrota nie obudziły we mnie maga? - spytał Hal.

- Skąd wiesz, że nie? Trzeba czasu, żeby poznać swój dar i nauczyć się z niego korzystać.

W tej chwili pośrodku grupy zerwał się mały wir pyłowy. I zniknął, ledwie zdążyli go zauważyć.

- No dobra, czyja to robota? - spytał Danny.

Milczeli.

- Mówiliśmy o poznaniu swojego daru - powiedział - a jedno z was wykazuje moc maga wiatru.

Wir pyłowy pojawił się znowu, przemknął po ziemi i sypnął kurzem i liśćmi w Wheelera, który zerwał się na równe nogi.

- Nie wolno atakować z zaskoczenia - zaprotestował, otrzepując się.

- Sam chciałeś, żeby gonił cię potwór - przypomniał Hal.

- Serio, kto to zrobił? - spytał Danny.

Wszyscy mieli niewinne miny. Patrzyli po sobie z zaciekawieniem, ale nikt się nie przyznał.

- Po co się z tym kryć? - naciskał Danny. - To naprawdę dobre, mag wiatru umie coś takiego po dwóch latach nauki. I żeby tak sypnąć tym wszystkim w Wheelera, o ile to rzeczywiście było zamierzone... po roku nikt by tego nie umiał.

Obserwował ich, ciekaw, czy ktoś na te słowa okaże dumę. Wszystkie twarze jednak pozostały nieprzeniknione. Z czego wywnioskował, że musiała to zrobić Pat. Ona jedna umiała zachować kamienną twarz, kiedy chciała.

Ale jeśli miała jakiś powód, żeby nie przyznać się przed wszystkimi, on to uszanuje.

- Wiem, dlaczego chodzisz do szkoły, Danny - powiedziała Sin. - To twoja sekretna tożsamość.

- Jak Clark Kent w *Daily Planet* - wtrąciła Laurette.

- Tylko bez okularów - dodała Sin.

- I nawet nie trzeba ci budki telefonicznej - stwierdził Hal.

- Nie nosi kostiumu, to i nie musi się przebierać - powiedziała Laurette. - Ani nie potrzebuje jaskini na swój Batmobil. Ani w ogóle niczego.

- Ale tak czy tak, to jego sekretna tożsamość - upierała się Sin.

- „Za dnia skromna gwiazda szkolnej drużyny lekkoatletycznej” - zacytowała na niby Laurette. - „Nocą Loki! Merkury! Thoth! Szybszy od wystrzelonego pocisku!”.

- Mocniejszy od plunięcia kulką z papieru - kontynuował Hal.

- Zdolny jednym susem wskoczyć na krawężnik - dodała Pat.

- I zaglądać do łazienki dziewczyn, kiedy zechce - rzekł Wheeler.

- Faj, to nawet ty mógłbyś zrobić - obruszyła się Xena. - Ale po co? Tam są tylko kupy i siki, to samo co u chłopaków.

- Wcale nie to samo. Zupełnie nie.

- Jak to się stało, że przeszliśmy do tematu kup i podglądactwa? - spytała Pat.

- Nie szpieguję ludzi bez powodu - zaprotestował Danny.

- Jasne, na przykład żeby sprawdzić, czy rzucają brudne majtki na podłogę, czy wkładają do kosza z brudami - stwierdziła Laurette.

Danny położył się na ziemi i zamknął oczy.

- Obudźcie mnie, kiedy to się skończy.

- Już się skończyło - oznajmiła Pat. - Bo wszyscy doroślejemy. W tej chwili. Ogłaszam koniec okresu dojrzewania.

- Oby nie - westchnął Wheeler. - Szczerze liczyłem na bujniejsze owłosienie.

Wszystkie dziewczyny oprócz Pat powiedziały „Błeeeeee”. Wheeler był wniebowzięty.

- Powinienem być na treningu, ale muszę iść do domu się przespać - rzekł Danny. - Robi się zimno, a słońce jeszcze nie zaszło.

- Podobno dzisiaj ma być burza - powiedziała Xena.

- Ale śniegu nie będzie - upewniła się Laurette.

- Nie, tylko deszcz. Żeby wszystko, co małe, mogło urosnąć.

- Xena lubi, jak małe rzeczy rosną - skwitował Hal.

- Zwłaszcza Danny'emu Northowi - dodała Laurette.

Xena odwróciła się do Hala z wściekłą miną. Odsunął się, zanim mogła czymś w niego rzucić.

- Czemu mnie się czepiasz? Przecież to Laurette...

- Dziewczyny mogą mówić takie rzeczy sobie nawzajem - wyjaśniła Pat.

- Muszę iść porozmawiać z rodzicami - stwierdził Danny. - I poprosić Veevee, żeby napisała mi usprawiedliwienie za dzisiaj.

- Najpierw musisz się przespać - orzekła Pat.

- Myślisz, że zrobią to, co Zod w *Supermanie II*? Że każą prezydentowi uklęknąć przed

nimi w Gabcinecie Owalnym? - spytał Wheeler.

- Jeśli będą mieli taki kaprys - odparł Danny. - Czy w ogóle by im na tym zależało? Raczej nie rzucą nikogo na kolana, ale na pewno będą chcieli przejąć kontrolę nad armią, marynarką, lotnictwem i tak dalej. Bo nie jesteśmy nieśmiertelni; musimy więc mieć oko na wszystkie arsenały, żeby nikt nas nie wysadził w powietrze ani nie obciął nam głów, kiedy będziemy sterować oddalonym o sto kilometrów klientem. Tym bardziej że od czasu, kiedy Złodziej Wrót zamknął cały interes w 632 roku, broń stała się niezwykle potężna. I umożliwia atak bez uprzedzenia.

- Naprawdę wybuchnie wojna - powiedział Hal.

- Uhm. - Wheeler wyszczerzył się radośnie.

- Danny, chodźmy do ciebie, tylko na chwilę - poprosiła Pat.

Reakcją były pohukiwania pozostałych.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Pat przewróciła oczami.

- Błagam, zrób mi dzidziusia! - zaszcebiotał Hal falsetem.

- Chodźmy, niech nas obgadują w spokoju. - Danny wyciągnął rękę do Pat. Chwyciła ją.

Przeniósł się z nią wrotami do swojego salonu. Przywarła do niego całym ciałem. Żarliwie. Z lękiem.

- To naprawdę jest wojna. To, co w nocy i rano zrobiłeś z Wielkimi Wrotami...

przeprowadziłeś przez nie wszystkich magów na świecie, bo ta nielojalna suka...

Urwała.

- Nie. Jeśli ty się nie złościś, ja też nie będę.

- Pewnie że się złoszczę - przyznał Danny. - Tyle że co się stało, to się nie odstanie, więc po co przyprawiać się o wrzody?

- Zginą ludzie - mówiła dalej. - Może ty też. Jeśli wylecisz w powietrze, kto przeniesie cię

przez wrota, żebyś ozdrowiał?

- Mnie bardziej martwi zupełnie inny wróg. Ktoś, kto może przejąć ludzkie ciało i nim zawładnąć.

Podniosła oczy na niego.

- Mówisz o opętaniu przez diabła.

- Kto by przypuszczał, że to naprawdę możliwe? A jednak. I nawet nie wiem, czy ktokolwiek byłby w stanie poznać, czy jestem opętany, czy nie.

- Ja bym poznała.

- Na pewno? Boję się, że sam bym tego nie poznał.

- Że ktoś w tobie siedzi? Zmusza cię do robienia rzeczy, których nie chcesz robić? - Pat pokręciła głową. - Poznałbyś. I ja też, bo poddałabym cię próbie. Zadałabym ci pytanie i gdybyś nie znał odpowiedzi, wiedziałabym, że ty to nie ty. - Przyciągnęła Danny'ego za szyję i pocałowała go. Potem polizła czubek jego nosa. - Zapytałabym, co zrobiłam zaraz po tym, jak cię pocałowałam.

- A gdyby on miał dostęp do wszystkich moich wspomnień? A gdyby potrafił odpowiedzieć na wszystkie pytania?

- I tak bym poznała. - Pocałowała go znowu, tym razem długo i chciwie. Zsunęła dłonie w dół po jego plecach, ścisnęła go za tyłek.

Oderwał się od niej.

- Nie - powiedział.

- To dla mnie nie jest żadna gierka. Nic w stylu „prześpij się z bogiem i rozgadaj kumpelom”, jak dla pozostałych. Kocham cię, Danny. Nie jestem za młoda, żeby to wiedzieć. Dziewczyny młodsze ode mnie wychodzą za mąż. Julia miała trzynaście lat.

- To była zmyślona historia i nie skończyła się dobrze.

- Idziesz na wojnę. Kiedy nam powiedziałaś, co robiłeś przez całą noc, pomyślałam sobie:

Co by było, gdyby Hermia zwabiła go w pułapkę albo jakoś przechytrzyła i po prostu nigdy by nie wrócił? I nie popłakałam się wtedy, tylko ręce odruchowo powędrowały mi na brzuch. Na moją pustą macicę. To instynkt, Danny. Kobieta chce być w ciąży, kiedy jej mężczyzna idzie na wojnę.

- Nie zamierzam spłodzić żadnych bękartów. Teraz ani nigdy. Myślisz, że rodzice pozwoliliby ci wyjść za kolegę z klasy, który nie ma pracy i mieszka w takiej norze?

- Nie zależy mi na małżeństwie - stwierdziła Pat. - Nikt nie przywiązuje do tego wagi.

- Mądrzy ludzie owszem. Ci, którzy chcą założyć rodzinę, nie tylko zająć w ciążę.

Wsunęła mu dłonie za pas i pociągnęła jego spodnie w dół. Przypomniawszy sobie swoje pierwsze spotkanie z Laną w domu Stone'a w Waszyngtonie. Jego ciało reagowało tak jak wtedy, tyle że tym razem nie był zaskoczony ani przerażony. Przeciwnie, pragnął Pat bardziej niż ona jego.

- Ja ciebie też kocham - powiedział Danny - ale nie jestem taki jak niektórzy bogowie. - I w chwili, kiedy ściągnęła mu spodnie po uda, odesłał ją wrotami do jej sypialni.

Tak bardzo chciał za nią pójść... Ale wchłonął te wrota, żeby Hermia nie mogła dostać się nimi do domu Pat, gdyby wzięła na cel jego przyjaciół. A potem, zbyt zmęczony, by zdecydować, czy podciągnąć spodnie, czy je do końca zdjąć, przeniósł się wrotami do swojego łóżka i zasnął, tak jak stał.

Przyśniła mu się jednak. Mgliste pamiętał, że śnił o czymś innym, czymś zapomnianym, obcym, ale potem we śnie zobaczył ją nagą, wtuloną w niego, szepczącą mu na ucho: „Kocham cię, Danny”.

We śnie trzymał ją w objęciach, poznawał jej ciało. Próbował ją pocałować, ale z jakiegoś powodu się uchylała. Zaśmiał się i przysunął dłoń do jej twarzy, ona jednak uporczywie się

odwracała, kiedy zbliżał usta do jej ust. Myślał, że pięknie z pożądania do niej. Nie chciała jego pocałunków, chciała jego dziecka, a on pragnął jej nade wszystko.

We śnie leżał wsparty na rękach nad nią. Ona ciągnęła go za biodra w dół. Wreszcie pocałował ją, zanim zdążyła zrobić unik.

To nie była Pat.

Otworzył oczy.

To była Nicki Liedner, córka trenera.

- Przyszłam cię zobaczyć, drzwi były otwarte - szepnęła - i byłeś tu, w pełni gotowy.

Wciąż miał wrażenie, że to sen. Jednocześnie wydawało mu się to aż nazbyt rzeczywiste.

Rzeczywiste, tylko osnute mgłą snu. Nicki Liedner. Nie Pat. Nie kochał Nicki. Leżała jednak pod nim naga i wiedział, jak bardzo go pożąda, i w tej chwili był w stanie myśleć tylko o tym, że sam też jej pragnie. A raczej nie tyle jej, ile kobiety, tej kobiety, która leżała pod nim, kobiety, która wkradła się do jego łóżka. Kobiety z tego nadzwyczajnego snu.

Nie, to nie sen, powiedziało coś w jego duszy. To nie sen, to ktoś, kto potrafi zamącić ci w głowie.

- Chcesz mnie w sobie - powiedziała Nicki.

- Tak - odparł Danny, choć gdzieś w głębi jego umysłu coś krzychało: Posłuchaj, co powiedziała, posłuchaj, na co się właśnie zgodziłeś, mowa była nie o tym, żebyś ty w nią wszedł, tylko żeby ktoś inny wniknął w ciebie, a ty powiedziałeś „tak”, powiedziałeś „tak”, głupcze.

I w chwili ekstazy i odprężenia poczuł, że coś wnika w niego przez jego krocze i napęnia ciało, przejmuje nad nim władzę. Próbował z tym walczyć, próbował się ruszyć, ale już był bezwolny.

Stoczył się z dziewczyny. Leżała, dysząc ciężko, patrząc na niego ze zdumieniem. Z ulgą. I nagle załkała.

- Tak jest, Nicki - powiedziały jego własne usta, choć to nie on mówił i nie wiedział z wyprzedzeniem, co powiedzą. - Już mnie nie ma. Twoje ciało, uzdrowione na cacy przez Danny'ego Northa, znów należy do ciebie. Może nawet jest w ciąży. Byłoby miło, prawda? A teraz bądź grzeczna, ubierz się i idź do domu.

Ciało Danny'ego usiadło prosto i patrzyło, jak Nicki zbiera swoje ubrania, wciąż cicho łkając.

- Miło było być w tobie - powiedziały usta Danny'ego. - Jesteś urocza i zobaczysz, że to wszystko najpierw będzie ci się wydawać złym snem, ale z czasem stanie się snem przyjemnym i wtedy za mną zatęsknisz. Jak wszyscy. Wszyscy, którym udaje się przeżyć.

A Danny w tym czasie myślał: Był tu od wielu tygodni. Znalazł mnie tego dnia, kiedy przyszedłem do Liedera i uzdrowiłem jego córkę. Czy już wtedy w niej siedział, czy też odszukał ją potem i zawładnął nią, gdy była wolna od raka? Danny może i byłby w stanie mu się przeciwstawić w każdej innej chwili, ale teraz był wykończony, rozespany, i kiedy Smok ustami Nicki poprosił, żeby Danny go w siebie wpuścił, on powiedział „tak”. Ale ja nie wiedziałem, co mówię, myślałem, że zgadzam się na seks, poza tym to był seks we śnie, nie na jawie, nic nie było rzeczywiste, to tylko...

To nie fair.

Tyle że trwała wojna. A to, co jeszcze przed chwilą udawało miłość, tak naprawdę było kluczową bitwą tej wojny. Wróg przeprowadził atak wyprzedzający i nagle znalazł się w miejscu, gdzie nie powinno go być.

I teraz ma władzę nad magiem wrót.

Chociaż wcale nie, pomyślał Danny. Bo nadal mogę snuć te myśli. Mogę...

Spróbował stworzyć wrota i nasunąć je na siebie, żeby zobaczyć, czy może wyrzucić z siebie tę istotę jak chorobę.

- E-e-e - powiedziało jego własne gardło, trzy zwarcia krtani, które oznaczały „nie, nie, nie”. - Stwórzmy wrota dla niej, wyślijmy twoją małą sympatię do domu.

W tej chwili zdobył parę ważnych informacji. Po pierwsze, Smok nie miał pojęcia, że on w rzeczywistości już wysłał swoją sympatię do domu - tę prawdziwą, tę, z którą nie uprawiał seksu. Po drugie, musiał używać ust Danny'ego, żeby z nim rozmawiać - nie mógł po prostu podsuwać mu myśli. A zatem nie zawładnął nim całkowicie, nawet nie miał pełnego dostępu do niego. Panował nad jego ruchami i mową. Ale to wszystko kwestia mięśni.

Tyle że mógł powstrzymać Danny'ego przed stworzeniem wrót. A zmusić go, żeby je stworzył?

Nie, nie, to niewłaściwe, zupełnie chybione pytanie.

W swoim skarbcu serca Danny zorientował się, kto przez cały ten czas go ostrzegał, krzyczał na niego. Wrota Lokiego.

Loki wiedział. Sam nigdy nie został opętany, więc jego zewnętrzne ja nie mogło pamiętać, jak to jest znaleźć się we władzy Seta. To znaczyło, że Loki obserwował go z zewnątrz. Na innej planecie, odległej o nie wiadomo ile lat świetlnych, zorientował się, co się dzieje, przeniknął spojrzeniem mgłę spowijającą myśli Danny'ego, nie dał się zwieść jego przekonaniu, że to tylko erotyczny sen, i zobaczył prawdę.

Wrota Lokiego pamiętały jednak, jak to jest zostać oddanym. Wiedziały, jak jeden Ojciec Wrót może przekazać drugiemu władzę nad swoimi wrotami.

Danny sięgnął więc do ich pamięci kinetycznej, a wrota Lokiego spełniły jego prośbę i pokazały mu, co ma zrobić, żeby je zwrócić Lokiemu.

Akt oddawania wrót nie powodował ich przemieszczenia ani stworzenia. To, jak się zdaje, byłyby czynności fizyczne, Smok mógłby je wyczuć i zablokować. Najprawdopodobniej jednak nigdy jeszcze nie miał władzy nad magiem wrót, który oddał swoje wrota drugiemu. Nie

rozumiał, co się dzieje.

Danny poczuł, że traci kontrolę nad wrotami Lokiego.

Ale teraz już wiedział, co ma robić.

Dlatego, znów ani nie przemieszczając, ani nie stwarzając wrót, zostawiając je tam, gdzie były, oddał wszystkie własne wrota Lokiemu.

I ot tak, stracił nad nimi władzę. Wciąż je wyczuwał. Wciąż były na swoim miejscu. Ale nie należały do niego.

Nicki już się ubrała. Do świadomości Danny'ego dotarło polecenie Smoka, by stworzyć wrota, które przeniosą ją z powrotem do domu. Wyczuwał, że Smok wie, jak to zrobić, wie, gdzie powinien być wlot i wylot wrót.

Jednak ani jedno wrota nie wyłoniły się ze skarbca serca na jego wezwanie. Wrota nie powstały.

Oczy Danny'ego przesłoniła swoista ślepotą. Nie, to była furia. Strach? Nie było to uczucie zrodzone w jego ciele, lecz jakby przemiana zachodząca wewnątrz samego Smoka, na którą jego ciało zareagowało. Krew zawrzała mu w żyłach, na twarz wystąpiły rumieńce.

- Co się stało? - spytała Nicki z przerażeniem.

Ciało Danny'ego dźwignęło się z łóżka i stanęło na podłodze, ze spodniami spuszczoneymi do kostek, ale już zdecydowanie niepodniecone, nie tak jak wcześniej. Nie, przepełniała je wściekłość i trwoga. Z jego ust wyrwał się krzyk.

Nicki krzyknęła w odpowiedzi, po czym wybiegła. Danny usłyszał trzask zamykanych drzwi.

- Coś ty zrobił? - spytał Smok głosem Danny'ego, ustami, gardłem, płucami Danny'ego, jego językiem i zębami.

Dałem prezent przyjacielowi, powiedział Danny w duchu.

- Wrota nadal tam są, czuję je - powiedział Smok. Zmusił ciało Danny'ego, by miotało się po pokoju w podskokach, jakby usiłował coś z niego wytrząsnąć. - Jesteś Ojcem Wrót, pojmałem Ojca Wrót, dlaczego nie mam dostępu do twoich wrót?!

Pobiegł do kuchni i Danny zrozumiał, że jego ciało szuka noża. Że noża szuka jego zwierzęcy umysł - Danny po raz pierwszy wyczuł różnicę między intencjami zwierzęcia, w którym żył, a swoją wolą, swoim Ka. To zwierzęce pragnienie nie sięgało w głąb jego duszy, nie rozniecało w niej zbieżnych dążeń. Nie panował już nad swoim ciałem. Ale wciąż tkwił wewnątrz niego, wciąż był z nim nierozdzielnie związany, czuł wszystkie jego doznania. Nóż znalazł się w jego dłoni.

Wbił się w udo Danny'ego. Raz. Drugi. Trzeci.

Ból był potworny. Smok też go poczuł; jęknął rozdzierająco.

- Ulżyj sobie - powiedział jego własny głos. - Zrób wrota.

Danny jednak nie miał już ani jednych wrót.

Kolejne dźgnięcie.

- Wykrwawisz się na śmierć, jeśli tego nie uleczysz. Rozumiesz?

Rozumiem, pomyślał Danny. Zdaję sobie sprawę, że umrę. Ale co się stanie, jeśli umrę, kiedy ty jesteś we mnie?

Nic, pomyślał Danny z rozpaczą. Bo Set nie jest związany z moim ciałem tak jak moje Ka.

Kiedy moje ciało umrze, koniec ze mną, moje Ka odejdzie na dobre. A on zostanie.

- Mogę dalej utrzymywać je na chodzie, nawet jak się wykrwawisz - powiedziały usta

Danny'ego. - Niezbyt długo, ale dość długo, żeby znaleźć sobie kogoś innego. Kogoś, kogo znasz.

Usiłował przywołać wyraziste wspomnienie. Danny natychmiast pomyślał o Hermii.

Tak, niech to będzie Hermia. Niech ją znajdzie i opęta.

- Nie chcę twoich wrogów, chcę twoich przyjaciół, do licha! Chcę, żebyś patrzył, jak ich pomału zabijam! Gwałcę i zabijam! Zrobię to każdemu, kogo kochasz, jeśli nie pozwolisz mi użyć twoich wrót! A potem oni przyjdą i skazą cię na śmierć, i to ty zdechniesz, nie ja! Plótl trzy po trzy. Oszalał czy co? Pozwolę ci się wykrwawić na śmierć, utrzymam twoje ciało na chodzie, a potem oni - kimkolwiek byli - zabiją cię znowu? Nie, Setowi się wszystko pomieszało. Furia zaćmiła mu umysł.

Dlatego że umysł, którym zawładnął, był umysłem ludzkim.

A właściwie nie umysł, lecz mózg. Bo umysł Danny'ego wciąż należał do niego, wciąż snuł jego własne myśli. Hermia, myślał. Wyobrażał sobie jej ciało jak nigdy dotąd - lubieżnie, pożądliwie. Nieważne, że ciało innej dziewczyny rozpalało w nim te wszystkie pragnienia. Nadawał mu w wyobraźni twarz Hermii i jej imię.

Jeszcze raz dźgnął nożem. Jeszcze jeden dreszcz bólu. Teraz już nie tak dotkliwy. Chociaż nie, ból był tak silny jak wcześniej, może nawet silniejszy. Danny po prostu mniej o to dbał.

Odpływam. Moje Ka ucieka od bólu. Od groźby śmierci. Nie mogę na to pozwolić. Nie dopuszczę, żeby wypędził mnie z ciała. Oddałem moje Ba, moje zewnętrzne ja, wszystkie dotąd niestworzone wrota, ale nie mogę pozwolić, żeby odebrał mi ciało, bo umrę. Dosłownie.

Przez głowę ni z tego, ni z owego przebiegła mu myśl: Wtedy się dowiem. Co się dzieje z Ka, kiedy ciało umiera? Czy wrócę na Duat, jak twierdził pustelnik na pustyni? Czy może trafię gdzie indziej albo po prostu mój duch pozostanie w miejscu mojej śmierci? A może rozwieję się jak dym?

Stłumił ciekawość i skupił się na bólu, by odczuwać go jak najmocniej. W ten sposób nie wypędzisz mnie z mojego ciała.

Smok, jakby wyczuwając, że Danny zatapia swoje Ka głębiej we własnym ciele, znów krzyknął z wściekłością.

- Bydlaku! Jesteś niczym w porównaniu ze mną! Przestań! Nikt nie przeszkodzi mi dostać tego, czego chcę!

Najwyraźniej nie była to prawda, inaczej nie musiałby o tym mówić.

Jednak ból był wysoką ceną za tę drobną satysfakcję. Danny czuł, jak z rany tryska krew.

Set tym razem wbił jego ręką nóż dość głęboko, by ostrze sięgnęło tętnicy udowej.

Ja naprawdę umrę.

Uznają to za samobójstwo. Śmierć z własnej ręki. Dosłowna prawda, a mimo to zupełny fałsz.

W tej chwili przypomniał sobie, że są jeszcze inne wrota. Wrota zniewolone. Nienależące ani do Lokiego, ani do Danny'ego.

Sięgnął w głąb siebie, by stworzyć wrota, i tym razem Smok mu na to pozwolił, bo dopiero teraz wyczuł obecność wrót zniewolonych. I z wydzierającym się z ust okrzykiem triumfu Seta, Danny przekształcił wrota zniewolone we wrota żywe, nasunął je na siebie, żeby się uleczyć, po czym... oddał wrota samym sobie.

Zniknęły.

Ale Danny został uzdrowiony. Nie było już ani bólu, ani ran, ani krwawienia.

Pozostałe zniewolone wrota wyczuły, co się stało, i znów podniosły gwar, tym razem jednak w nowym, innym celu. Uwolnij mnie! - krzyczał każdy jeniec w jego skarbcu serca.

- Ty draniu - mruknął Smok ustami Danny'ego.

Obrócił ciało Danny'ego i rąbnął jego głową w róg blatu kuchennego z taką siłą, że Danny natychmiast stracił przytomność.

Ocknął się po kilku godzinach na podłodze kuchni. Sam w ciemności. Głowa mu pękała.

Sięgnął po następne zniewolone wrota.

- Nie - szepnęły jego usta.

Co on robił, kiedy leżałem nieprzytomny? Czy stracił przytomność razem ze mną? Nie, nie jest tak mocno zespolony z moim ciałem jak ja. Był przytomny i nie miał nic innego do roboty, jak tylko leżeć na podłodze i cierpieć ból. A może wtedy ból był łagodniejszy?

Bólem nie wypędzisz mnie z mojej głowy, pomyślał Danny. Dlatego jeśli nie chcesz się zgodzić, żebym uzdrowił wrotami ciało, którego ból odczuwamy obaj, proszę bardzo. Ja wytrzymam. Albo umrę. Jak sobie życzysz. Tak czy tak, nie stworzysz żadnych trwałych wrót. Wreszcie Set ustąpił i stworzył wrota. Danny udostępnił mu w tym celu jedne z wrót zniewolonych, po czym, kiedy tylko nasunęły się na niego i ból głowy ustał, oddał je samym sobie. Zniknęły.

- Co ty robisz?! - wrzasnął jego własny głos. - Nie wiem, co robisz. Jak wrota mogą zniknąć?

Co tam, ważne, że głowa mnie już nie boli.

- Dopóki nie zrozumiesz, kto jest panem tego domu, zamienię twoje życie w piekło - powiedziały usta Danny'ego.

Na pewno możesz to zrobić, pomyślał Danny. Ale nie możesz stwarzać wrót bez mojej zgody. A kiedy skończą się nam wrota zniewolone, będzie po tobie, bo moje wrota nie należą już do mnie, więc nie jesteś w stanie z nich korzystać.

22

KRÓLOWA

Kiedy Anonoei zjawiała się w gabinecie Kila, nie było go tam. Nie było tam nikogo.

A mimo to czuła, że Kil jest blisko, jego lęk był tak silny, że przyprawiał ją o lekkie mdłości. Bał się o własne życie. Gdzie on jest?

Podniosła głowę.

Zwisał do góry nogami z krokwi pod wysokim sufitem. Ręce miał skrępowane jak skrzydła

piekającej się kury.

- Kiedy to wszystko spłonie, wybornie będzie pachniał, nie sądzisz? - spytał ktoś.

Anonoei odwróciła się i zobaczyła kobietę stojącą w drzwiach. Miała na sobie prosty strój chłopski i była w zaawansowanej ciąży. Uśmiechnęła się. Była piękna.

Wtedy Anonoei ją rozpoznała, choć ciąża i strój mocno to utrudniły.

Rzuciła na nią uspokajający urok i wtedy uprzytomniła sobie, że Bexoi już jest spokojna.

Zupełnie nieporuszona.

Przynajmniej nieodczuwalnie dla Anonoei.

- Wiem, kim jesteś - powiedziała Bexoi. - Nie żebyś próbowała to ukrywać. Kto, jak nie zaklinacz ludzi, mógł namieszać w głowie tak wielu moim najbardziej zaufanym przyjaciołom?

W dodatku nie sypiając z nimi. I oto nareszcie się spotykamy. Wskazano mi ciebie lata temu, w czasach, kiedy jeszcze dzieliłaś łóżko z moim mężem, a ja nie. Jesteś Anonoei, prawda?

- Tak. - Anonoei spróbowała przemienić uczucia Bexoi w rozbawienie. Znów bez efektu.

Wtedy zaświtało jej, że Bexoi może nie żywić żadnych uczuć w związku z takimi błahostkami jak morderstwo i tortury. Wyglądało na to, że nawet się nie gniewa.

- Przeprowadziłam wnikliwe studia nad zaklinaczami ludzi, bo jak już odkryłam, kim jestem, zrozumiałam, że tylko magowie dwóch rodzajów mogą stanąć mi na przeszkodzie.

Magowie wrót, ale wiedziałam, że nimi zajmie się Złodziej Wrót. I zaklinacze ludzi, bo bałam się, że mogliby mną zawładnąć. Dlatego posiadałam całą dostępną wiedzę o zaklinaniu ludzi, zwłaszcza o tym, co się wydarzyło w czasie wielkiej wojny w Dapnu Dap, kiedy to magowie piasku przemienili step w piaszczystą pustynię, by unicestwić zaklinaczy ludzi z dalekiego południa. Historia jest szalenie ważna, kiedy człowiek przygotowuje się do walki z wrogami, z jakimi jeszcze nie miał do czynienia.

- Jestem pełna uznania dla twojej uczoności. - Anonoei poprzez pozostawiony w Klusze

strzępek swojego zewnętrznego ja rozpaczliwie przyzwała go do siebie. Ratuj mnie! Zabierz mnie stąd! Już, teraz! Klucha jednak musiał być głęboko skupiony na tym, co robił, bo nie było odpowiedzi. Nawet krzty irytacji wywołanej uporczywymi wątpliwościami, jakie wiedziała, że w nim budzi. Przybądź tu, jeśli nie możesz mnie stąd zabrać! On jednak wciąż ją ignorował.

- Twój oswojony mag wrót jakoś nie przychodzi ci z pomocą - stwierdziła królowa. - Cóż mogło się stać?

Bexoi nie mogła mieć nic wspólnego z Wielkimi Wrotami; to nie za jej przyczyną Klucha ignorował wezwania Anonoei. Najwyraźniej jednak chciała, żeby Anonoei tak myślała.

- Jesteśmy same - powiedziała Anonoei. - Twarzą w twarz.

- Raczej nosem w śliczny mały nosek. - Bexoi uśmiechnęła się lekko, choć bez krzty wesołości. - Żadna z nas nie jest wybitnie piękna, choć obie nauczyłyśmy się sprawiać wrażenie urodziwych. Tobie, zaklinaczce ludzi, bez wątpienia przyszło to bez wysiłku. Za to ja, żeby zostać piękną, musiałam się wielce natrudzić. Wiedzieć, pod jakim kątem, jak szeroko się uśmiechać. Ambicja to wielki motywator, ale żywi się nadzieją. Dzięki nadziei mogłam prowadzić swoje studia i samotne ćwiczenia, przesiadywać godzinami przed zwierciadłem.

- Słyszałam, że jesteś wielką maginią ognia.

- Jakoś sobie radzę w tej dekadencej epoce.

- Klant sobowtór, który krwawi.

- Klusze tak zaimponowała prosta iluzja.

Anonoei nijak nie mogła się do niej dobrać. Ta kobieta nie miała uczuć.

- Nie mam żadnych uczuć - potwierdziła Bexoi. - Widzę po tobie, że jesteś sfrustrowana.

Jak sądzisz, czego nauczyły mnie moje studia? Że kiedy zaklinacze ludzi chcą wysłać w ofiarę swoje zewnętrzne ja, szukają najłatwiejszej drogi dostępu: głębokich uczuć. Żeby im tę drogę odciąć, trzeba wyzbyć się wszelkich emocji. Nie czuć nic. Przyszło mi to bez żadnego wysiłku i

bardzo pomagało przez te długie lata, kiedy mój mąż pragnął tylko ciebie, a mnie ledwo zauważał.

Anonoei nie znała innej drogi dostępu oprócz tej najłatwiejszej - nie potrafiła inaczej wniknąć w drugiego człowieka, jak tylko przez jego emocje. Ale Bexoi musiała poznać inne sposoby. Powinnam była osiąść większą wiedzę, pomyślała Anonoei. Cóż, kiedy członkowie królewskich rodów mają lepsze biblioteki niż mój ojciec i jego przyjaciele. Poza tym w Grayu mogły być książki niedostępne w Iswegii.

Pomyślała o wszystkim, co Klucha przypomniał sobie na temat Seta; że Smok opanowuje ludzi całkowicie, wysyłając w nich swoje Ka, zamiast posłużyć się chytrym Ba, subtelnym zewnętrznym ja.

- I wciąż nikt nie przybywa ci z pomocą - zauważyła Bexoi. - Sądziłam, że zdążę tylko powiedzieć kilka słów i już znikniesz. Albo drogi Klucha, mój były kochanek... powiedział ci o tym, prawda?... dokądś mnie przeniesie. A jednak nie robi nic. To on musiał cię tu przysłać.

Widać jest zajęty, co?

- Wielkie Wrota otworzyły się między światami - powiedziała Anonoei. - Wkrótce świat zaludni się magami potężniejszymi od ciebie.

Po twarzy Bexoi przemknął błysk radosnego podniecenia, uczucie to jednak zniknęło, zanim Anonoei mogła je wykorzystać.

- Wielkie Wrota robią z igły maczugę, mimo że igła jest dużo bardziej delikatna i głębiej wnika. Stawię czoło każdemu, kogo on tu sprowadzi. Nie jest już Złodziejem Wrót, co? Teraz stwarza Wielkie Wrota.

Anonoei nie wyprowadziła jej z błędu. Niech sobie myśli, że Klucha wciąż jest w stanie stworzyć Wielkie Wrota. Niech nadal się go boi.

- A jednak Złodziej Wrót nie przychodzi - ciągnęła królowa. - Myślisz, że przysłał cię do

mnie w dowód swojej miłości? „Oto twoja nieprzyjaciółka. Ofiaruję ci ją, żeby twoje dziecko przyszło na świat żyjący w pokoju”. A może sądziłaś, że naprawdę cię kocha? On nie kocha nikogo.

Jeśli Bexoi triumfowała, niczym tego nie zdradziła.

- Ale im dłużej zwlekam, tym więcej daję Klusze czasu na to, żeby mógł się rozmyślić i przyjść ci z pomocą. Dlatego tak sobie myślę, że zabiję cię już teraz i żarem twojego ciała podpalę drewno tego budynku. Kil zdąży zobaczyć na własne oczy, jaka jesteś bezsilna, zanim się usmaży. Dam głowę, że będzie jeszcze żył, kiedy sznur się zerwie i zrzuci go na płonąca podłogę. Zaiste nie chciałabym, żeby cokolwiek z tego przegapił. Kiedy sługa wybiera niewłaściwego pana, to nadzwyczaj istotne, by zrozumiał swój błąd. Z drugiej jednak strony czy w ogóle miał wybór? Tacy zaklinacze ludzi jak ty do tego nie dopuszczają. No nie, ale się rozgadałam. Cóż, zależy mi, byś zrozumiała, że wpadłaś w pułapkę i przegrałaś. Z krete sem. Te przechwałki dowodziły, że jednak nie była zupełnie wyzuta z uczuć. Anonoei poszukała ich. Nie były to emocje ciała. Duma i ambicja rodzą się w Ka, a zatem rządzą się innymi zasadami. Także i one jednak otwierają dostęp do drugiego człowieka i Anonoei błyskawicznie to wykorzystwała.

Wysłała swoje zewnętrzne ja, by zmieniło próżność Bexoi w nadmierną pewność siebie, a nadmierną pewność siebie w nieostrożność.

Królowa szeroko otworzyła oczy.

- Nic już nie jest święte? Kobieta nie może zaufać kobiecie?

Anonoei napała z całej siły. I w tej chwili wyczuła, że Bexoi ogarnął lęk, trwoga. Mam ją w garści! Wygram!

Nagle zrobiło jej się gorąco. Jej ciało trawiła straszna gorączka.

- Sztuka polega na tym - powiedziała Bexoi, ciężko dysząc - żeby rozgrzać całe ciało

oprócz głowy, tak byś spalając się, była przytomna. - Królowa spieszyła się, szybko podnosiła temperaturę jej ciała, żeby odwrócić uwagę Anonoei od tego, co kryło się w jej własnym. Z powodzeniem. Anonoei coraz trudniej było się skupić na swoim zewnętrznym ja. Wewnętrzne krzyczało: Umieram!

W tej chwili desperacji pomyślała o Secie, zaklinaczu ludzi, który nie może umrzeć, bo jego Ka wolne jest od ciała. Ale on nigdy się w pełni z ciałem nie zespolił. A ja tak. Z tym ciałem, tym płonącym ciałem.

Płomienie buchnęły z jej skóry. A mimo to wciąż widziała. Mięśnie, jak dotąd, były jej posłuszne. Skoczyła więc naprzód, objęła Bexoi, chwyciła mocno.

- Nie wiesz, że mogę nie dopuścić ognia do siebie? - powiedziała królowa z pogardą. - A teraz giń, dziwko.

Nagły przyływ żaru w mgnieniu oka strawił ciało Anonoei.

W tej samej chwili Anonoei wniknęła znalezioną przez siebie drogą dostępu do umysłu Bexoi, a stamtąd do jej ciała. Jeszcze nie umarłam, pomyślała - ale jako że nie miała ust, nie mogła powiedzieć. Jestem w tobie, królowo Bexoi. Nie jako gość, nie jak mag zwierząt połączony z bratem serca. Jestem tu jako Ka, które potrafi w pełni zawładnąć ciałem z krwi i kości.

Anonoei poczuła chłodną skórę nowego ciała, ciała królowej. Nagle znów mogła widzieć - oczami Bexoi, bo teraz już były to jej oczy. Zmusiła się siłą woli, żeby się poruszyć, i się poruszyła.

Poruszyła się i z tą chwilą stała się panią tego ciała. Wciąż czuła w sobie Bexoi, na próżno usiłującą odzyskać nad nim władzę.

Martwe ciało Anonoei nadal płonęło żywym ogniem, kości, jeszcze nierozkruszone, utrzymywały je w pozycji stojącej. Ręce wciąż obejmowały Bexoi. Anonoei jednak nie była

maginią ognia, nie potrafiła zapanować nad płomieniami. A Bexoi nie miała dostępu do tej umiejętności swojego ciała.

Dlatego żar nagle przeskoczył ze zwęglonego trupa na ciało Bexoi i obie poczuły potworny ból palonej skóry.

Anonoei krzyknęła i odepchnęła płonąca masę, ale było za późno. Jej - a właściwie Bexoi - odzienie spaliło się w mgnieniu oka i skóra tego obcego nowego ciała stanęła w ogniu. Nie potrafiła go ugasić. Bexoi umiałyby to zrobić, ale w tym celu Anonoei musiałyby jej oddać część władzy nad ciałem. A wówczas silne Ka królowej skorzystałoby z okazji, by w pełni przejąć nad nim kontrolę.

Mogę albo umrzeć teraz, wygnana z tego ciała przez jego niegodziwą właścicielkę, albo skonać później od bolesnych oparzeń. Nikt nie uszedłby z życiem z tak intensywnych płomieni.

Dwa razy umrę w ogniu, Bexoi tylko raz.

Potem jednak pomyślała: Padnij na podłogę, zduś płomień.

Zdołała ugasić ogień. Ale to zdrowia nie przywróci. Skóra była zwęglona. Z ciała lały się płyny ustrojowe. Ból był tak potworny, że Anonoei wiedziała, że zemdleje.

Ale zemdleć nie mogła. Wówczas Bexoi odzyskałaby władzę nad swoim ciałem.

Wtedy zaskoczona Anonoei poczuła coś innego - wewnętrzne ja Bexoi wycofywało się, gasło, przestawało sięgać w każdy zakamarek tego na poły spalonego ciała. Przez myśl jej nie przeszło, że Bexoi może się poddać. To musiał być podstęp.

Nie. Nie podstęp. To była śmierć. Ciało Bexoi, małpa, którą władało jej Ka, umierało i Bexoi wiedziała to - nie rozumem, tylko głębią swojego jestestwa. Przyszła pora zrzucić z siebie tę powłokę i odejść. Bexoi nie była zaklinaczem ludzi. Nie wiedziała, jak połączyć się z ciałem i się go trzymać. A Anonoei owszem.

Będę tu sama.

W pierwszej chwili uznała to za swój triumf. W następnej zrozumiała, że to klęska.

Tylko jeśli Ka Bexoi pozostanie w tym ciele, będzie łut nadziei na to, by uzyskać dostęp do jej magii ognia - nie wspominając o jej roli jako królowej, ukochanej Prayarda i...

Dziecko.

Dziecko, pomyślała Anonoei. Dziecko! - krzyknęła w duchu.

Bexoi chyba nie usłyszała tej myśli. Dalej wycofywała się, konała.

Zostań! Wolą Anonoei, jej żądaniem było, by Bexoi oparła się śmierci.

Pozwolę ci tutaj pozostać, pomyślała Anonoei. Dam ci miejsce. Oto dłonie i stopy, oto usta, oczy, krocze, brzuch z dzieckiem w środku. Widzisz? Zapraszam cię z powrotem do siebie. Nie, nie odejdę, żeby ustąpić ci miejsca. Zmieścimy się tu obie. Możemy wspólnie władać tym ciałem, tym umęczonym, konającym ciałem.

Nie do końca rozumiejąc, co robi, Anonoei wciągnęła Ka Bexoi mocniej, głębiej w umierające ciało. Pozostaniesz w nim, w każdej jego części, pomyślała. Tak samo jak ty zamierzałaś mnie zachować w przytomności, dopóki nie spłonę - sprawię, że będziesz tkwiła w tym ciele aż do jego śmierci.

Wiedziała jednak, że nie o to tak naprawdę chodziło. Sama nie straciła bowiem nadziei. Z jej punktu widzenia to ciało nie było martwe, nie umrze. Jako że kruszyna Ba, którą zostawiła w Klusze, wciąż w nim tkwiła, wciąż wzywała, wciąż żądała, by przybył. A jeśli się pospieszy, jeśli zjawi się już teraz, będzie mógł przenieść ją przez wrota i ocalić to ciało, ocalić nawet dziecko.

Wtem poczuła lekkie drżenie podłogi. Ktoś tam stał. Nie otworzyły się żadne drzwi. Nikt z zewnątrz nie słyszał rozmowy ani krzyków, a gdyby nawet, nie ośmieliłby się wtargnąć do środka nieproszony. A zatem mógł to być tylko jeden człowiek na całym świecie. Anonoei wiedziała kto, choć nie była w stanie podnieść głowy, nie miała siły, by się choćby poruszyć.

- Zabiłaś ją i za karę spłonęłaś. Sprawiedliwość. - Głos Kluchy był cichy. Wyczuwała w

nim rozpacz i wściekłość. - Wszystko, co kocham, ty mi zabierasz. - A zatem ją kochał. Nie była dla niego tylko pierwszą lepszą, która zawsze jest pod ręką, kiedy bierze go chuć.

I wtedy uprzytomniła sobie: On widzi konające ciało tak, jakby należało do Bexoi i tylko Bexoi. Nie miał zamiaru jej uzdrowić. Będzie patrzył, jak umiera.

Ocal ją! - krzyknęła Anonoei przez cząstkę swojego Ba, która tkwiła w umyśle Kluchy. Nie próbowała nim zawładnąć; nie ośmieliła się poświęcić na to więcej niż odrobinę swojej uwagi, wówczas bowiem Bexoi mogłaby wykorzystać jej rozkojarzenie i albo uciec do końca i umrzeć, albo odzyskać panowanie nad swoim ciałem.

Czuła, jakie katusze przeżywa Klucha, walcząc z impulsem, który w nim rozbudziła.

Jestem Anonoei! Jak jednak jej nieme Ba mogło jasno wyrazić tę myśl? Jak uzmysłowić to Klusze? Ba porozumiewa się tylko poprzez emocje i wspomnienia kinetyczne.

To emocje, nie swoją tożsamość, musiała mu przesłać. Całą swoją miłość do niego.

Ale go nie kochała. Na tyle, owszem, by dzielić z nim łóżko. Jednocześnie jednak Klucha był katem, który skrzywdził jej dzieci. Zdołała upchnąć swój gniew do przegródki w głębi umysłu, by zachować go na później, czekać chwili, kiedy korzystniej będzie dać mu upust. To jednak znaczyło, że nie mogła posłać w Kluchę swojej miłości do niego, bo miała jej za mało. Nie mogła też zawładnąć nim na tyle, by przypomnieć mu o jego miłości do niej, bo wiedziała, że sam też aż tak bardzo jej nie kochał.

Ale kochała swoje dzieci. I wiedziała, że on kochał swojego syna. A w brzuchu tej kobiety było dziecko. Dziecko, które lada chwila mogło umrzeć. Dziecko, które nie zasłużyło na śmierć, bez względu na winy jego matki.

Miłość do dziecka. Miłość jej do Eluika i Enoppa. Sięgnęła też po Kluchy wspomnienia o tym, jak trzymał swojego syna, Figła, w ramionach, jak go bawił, jak do niego mówił. Co mówił, tego Anonoei nie wiedziała, wiedziała tylko, że to robił, i mogła te wspomnienia pochwycić,

wydobyć na wierzch. I zmusić go, by pomyślał o brzuchu kobiety konającej na podłodze gabinetu Kila.

Wyczuła jego decyzję w tej samej chwili, kiedy nasunął wrota na jej ciało - bo teraz należało do niej w takim samym stopniu jak do Bexoi. Wrota nie wyrzuciły jej z ciała; a Bexoi przestała próbować umrzeć.

- Ratuję dziecko, nie ciebie - powiedział Klucha. Do niej? Oczywiście, że nie. Do Bexoi.

- Jestem Anonoei - powiedziała.

Ale z ust nie wyszedł żaden dźwięk.

Nic.

Bo razem z Ka Anonoei w tym ciele było całe Ka Bexoi, a Bexoi ani myślała pozwolić ciału wykonać nakaz Anonoei, by wyjawilo, że jest w nim obecna.

Bexoi chciała, by ona odeszła. Zadowolili ją tylko pełne panowanie nad tym ciałem.

Powinno być dać jej umrzeć.

Ale gdybym to zrobiła, czy zdołałabym utrzymać to ciało przy życiu? Czy nadal potrzebuję Bexoi, by żyć? Nieważne, ona tu jest i teraz, gdy ciało zostało uzdrowione, przepadła okazja, by dać jej umrzeć. Nie dopuszcza mnie do głosu? Proszę bardzo, odpłacę jej pięknym za nadobne.

- Wystarczyłoby zwyczajne „dziękuję” - rzekł Klucha. - Czy choćby przekleństwo. Nie

lękam się twoich przekleństw. A może zbierasz siły, żeby spalić mnie żywcem jak Anonoei?

Wiesz, była dziesięć razy więcej warta od ciebie. Była lepszą matką niż ty... i nie tylko dlatego, że nigdy nie zleciła morderstwa swojego pierworodnego. Spal mnie, jeśli chcesz. Zobacysz, co się stanie.

I zapłakał.

Może Anonoei kochała tego mężczyznę bardziej, niż sądziła.

Chciała na niego spojrzeć. Zobaczyć go tymi oczami, wyciągnąć do niego te ręce. Ale

Bexoi jej nie pozwalała.

Łkanie ucichło.

- Wiedziałaś, że nie będę w stanie zabić twojego dziecka, mimo że ty zabiłaś moje - szepnął Klucha. - Wiedziałaś, że są granice, których nie przekroczę. Ale jak już dziecko się urodzi, każdy będzie je mógł karmić. Rozumiesz?

Anonoei rozumiała, Bexoi też. Jeśli nie zaprzestaną walki między sobą i nie znajdą sposobu, by wydobyć głos z tego ciała, po narodzinach dziecka umrą obie.

Ale do narodzin dziecka zostało jeszcze trochę czasu.

Klucha przewrócił ciało na plecy. Uniósł powiekę Bexoi. Za odruch skupienia wzroku odpowiadał mały mózg, nie dwa wojujące w nim Ka. Dlatego Anonoei zobaczyła, że Kil wciąż wisi żywy na krokwi.

Spójrz w górę, powiedziała do Kluchy. A potem napełniła go kinetycznym wspomnieniem podnoszenia wzroku.

Spojrzał w górę.

- Kil - powiedział.

Przeniósł się wrotami na krokiew i otwarte oko patrzyło, jak Klucha odwiązuje wiszącego, jak łapie go we wrota, tak by spadł z wysokości centymetra, nie trzech metrów.

Nie jestem zupełnie bezradna w tym ciele, pomyślała Anonoei. Wciąż jestem zaklinaczką ludzi, wciąż mogę się porozumiewać przy użyciu tej cząstki mojego Ba, która już tkwi w Klusze.

Inne skrawki zewnętrznego ja łączyły ją z Eluikiem i Enoppem, i z mittlegardzką parą,

która się nimi opiekowała. Jej więzi z Ojcem Wrót Dannym Northem, bratankiem Bexoi

Frostinchem i królem Prayardem, a także z nieprzyjaciółmi Bexoi - wszystkie się zachowały.

Bexoi może i nie pozwoli jej zadzierzgnąć nowych, ale nie zdoła zerwać tych, które już istnieją.

Stanowiły nieodłączną część ja Anonoei, jej Ka i Ba, i Bexoi nie miała do nich dostępu.

Podczas gdy Bexoi była całkowicie uwięziona w tym nieruchomym ciele, Anonoei wciąż mogła wpływać na działania dziesiątek ludzi, wciąż mogła nadawać bieg wydarzeniom.

Przynajmniej trochę.

Przynajmniej w drobnej części sprawiedliwości stało się zadość.

23

ROZSTRZYGNIECIE

Klucha wysłuchał opowieści Kila o tym, jak królowa Bexoi i dwaj żołnierze aresztowali go, przyprowadzili do gabinetu i powiesili na krokwi. Bez żadnego wyjaśnienia, bez żadnych grózb. Kil milczał, licząc, że Bexoi będzie zadawać pytania, o coś go oskarży, ale nie padło ani jedno słowo, dopóki nie zjawiała się Anonoei.

- Trudno mi było się skupić na ich rozmowie - mówił Kil. - Królowa nazwała Anonoei zaklinaczką ludzi, co w sumie jest prawdą. Chyba aż do jej przybycia nie wiedziała, że to właśnie ona manipulowała takimi jak ja. Bexoi powiedziała, że prowadziła studia nad zaklinaniem ludzi, bo tylko zaklinacze ludzi i magowie wrót mogą jej zagrozić. Czekala, aż się zjawisz. Zdaje się, że Anonoei posłużyła jej jako przynęta.

- Byłem zajęty - rzekł Klucha. - Kiedy się zorientowałem, że Anonoei mnie wzywa, było już za późno.

- Bexoi jest maginią ognia.

- Wiem.

- To, jak spaliła Anonoei... to było... - Kil nie potrafił znaleźć słów, by to opisać. Zaniósł się spazmatycznym szlochem. - Myślałem, że umrę.

- Dlaczego Bexoi też była poparzona? Wywołany przez nią ogień nigdy dotąd nie robił jej krzywdy.

- Anonoei rzuciła się na nią w ostatniej chwili i mocno ją trzymała.

- To nie powinno było nic zmienić - stwierdził Klucha. - Bexoi mogłaby wejść do pieca, w którym topnieje granit, i nawet nie poczuć żaru.

- Czyli najwyraźniej się nie poparzyła - powiedział Kil.

- Widzę, że wraca ci sarkazm - zauważył Klucha.

- Poznaję cię. Jesteś posługaczem kuchennym. Chłopcem na posyłki Hull.

- Tak.

- I przez cały ten czas byłeś magiem wrót.

- Dzięki temu byłem takim dobrym chłopcem na posyłki.

- Dlaczego Złodziej Wrót nie pożarł twoich wrót?

- Na pewno chcesz wiedzieć aż tyle, żebym musiał cię zabić? - spytał Klucha.

- Skoro nie zabiłeś królowej Bexoi, kiedy miałaś ją w garści, mnie też nie zabijesz - odparł Kil.

- Nie wiesz, co zrobię - przestrzegł Klucha.

- Wiem, że jeśli mimo wszystko okażesz się przyjacielem królowej Bexoi, zabiję cię przy pierwszej okazji.

- Nie jestem jej przyjacielem.

- Powiedziała Anonoei, że mag wrót był jej kochankiem. To ty?

- W tym brzuchu niegdyś nosiła moje dziecko - rzekł Klucha. - Chłopiec, którego nazwała Dziecięciem Przysięgi, był mój.

Ciało Kila znów się zatrzęsło, tym razem ze śmiechu.

- Biedny Prayard. Posługacz kuchenny przyprawił mu rogi.

- Nie posługacz, tylko szpieg, z którego usług sam często korzystał.

- Czyli cię zna.

- I kiedyś mi ufał. Teraz powstaje pytanie: co mam z tobą zrobić?

- Od dziś jestem jawnym wrogiem królowej - powiedział Kil. - Jeśli ona przeżyje, moje dni będą policzone. Nie wiem, czemu nie zabiła nas od razu, ale nawet jeżeli postanowi zaczekać z tym na bardziej odpowiednią chwilę, już po mnie. Nie ma na świecie miejsca, w które nie mogłaby za mną trafić albo wysłać skrytobójcy. Dlatego zrobię wszystko, żeby ją zabić. To czyni nas sojusznikami czy wrogami?

- Dopiero po narodzinach jej dziecka - zastrzegł Klucha.

Kil skinął głową.

- Oszczędziłeś ją przez wzgląd na dziecko.

- Ty też ją oszczędzisz.

Kil znowu skinął głową.

- Chyba że pierwsza mnie zaatakuje. Wtedy będę się bronił.

- Cokolwiek zamknęło jej usta, nie zatkało jej uszu - rzekł Klucha. - Myślę, że nas słyszy i rozumie, nawet jeśli nie jest w stanie tego okazać. Może tylko duma każe jej milczeć. Ale ostrzegam ją teraz, biorąc ciebie na świadka, że jeśli wyrządzi jakąkolwiek krzywdę tobie albo dzieciom Anonoei, przewyżnię skrupuły, które nie pozwalają mi zabić jej nienarodzonego dziecka.

- Dziękuję - powiedział Kil. - Nie rozumiem, dlaczego nic mnie nie boli. Wisiałem przez wiele godzin.

- Przejście przez wrota przywraca ciało do doskonałego zdrowia, przy zachowaniu osiągniętego wieku i kondycji.

- Nie wiedziałem. Czyli wszyscy magowie wrót są uzdrowicielami. Chociaż... chyba coś o tym słyszałem. W starych legendach.

- Kilu, potrzebuję twojej pomocy.

- Pewnie nie chodzi o statek, skoro w mgnieniu oka możesz się przenieść, gdzie chcesz.

- Mam tu ciało królowej, która najwyraźniej zapadła w swoisty trans. W twoim prywatnym gabinecie. Chyba nie chcemy, żeby ją tutaj znaleziono.

Kil chwilę się zastanowił.

- Nie mógłbyś jej przenieść z powrotem do jej komnat w Nassassa?

- Żeby ktoś ją znalazł w takim stanie? W częściowo spalonym odzieniu?

- Żadna kobieta w moim domu nie ma strojów odpowiednich dla królowej.

- W takim razie myślę, że najlepiej, by znaleziono ją nagą w jakimś odludnym miejscu. I to jak najszybciej, bo w taką pogodę zaraz zamarznie.

- Chcesz, żebym ja ją znalazł.

- Powiedz mi, gdzie ty albo któryś z robotników moglibyście ją znaleźć, nie budząc podejrzeń, że sami ją tam podrzuciliście.

- W wodzie. Niech się wynurzy w pobliżu wracających z połowu łodzi rybackich. Ktoś ją na pewno zauważy. A skoro znajdą ją nagą w wodzie, nikt nie będzie mógł ustalić, gdzie została do niej wrzucona.

- Zwiążemy jej ręce i nogi? - spytał Klucha.

- Nie. Dziwiliby się, dlaczego nie utonęła. Lepiej niech pomyślą, że usiłowała płynąć wpław, ale nie wytrzymała zimna.

- A zimno będzie wyjaśnieniem tej śpiączki. O ile się z niej nie ocknie. Zawsze istnieje zagrożenie, że jak tylko przestanę jej pilnować, odzyska mowę. Będę miał na nią oko. Jeśli się do kogokolwiek odezwie, dam ci znać. Przeniosę cię wrotami, dokąd zechcesz, razem z każdym, kogo postanowisz ze sobą zabrać.

- Dużo prościej byłoby ją zabić - stwierdził Kil.

- Jak na człowieka, który sam omal nie padł ofiarą zabójstwa, jesteś okropnie żądny krwi.

- Nic nie rozumiesz. Zamordowała Anonoei, kobietę, którą szanowałem, podziwiałem i

której byłem posłuszny. Nawet jeśli Anonoei, zaklinaczka ludzi, roznieciła te uczucia w moim sercu, nie znaczy to, że nie są prawdziwe. To była straszliwa zbrodnia. Nie pozwolę temu potworowi żyć. A jeśli pójdę na wygnanie, nie będę miał jak jej zabić.

- Jeśli piśnie choć słowo - zapewnił Klucha - przeniosę cię do niej z nożem w rękę.

- Szkoda, że nie wiedziałem lata temu, że jesteś więcej niż tylko zamkową małpą.

- Gdybyś to wiedział, czy dałbym ci dożyć tego szczęśliwego dnia?

- Szczęśliwy dzień - mruknął Kil z goryczą. Podeszedł do spopielonych szczątków Anonoei

i ukląkł. - Wykorzystywała mnie, ale tak jak mi to odpowiadało. Jeśli mnie do czegoś zmuszała

czarami, to tylko do tego, co i tak zrobiłbym z własnego wyboru, choć może z mniejszą

śmiałością... żebym przeciwstawił się królowej. Mogę zabrać te popioły i wyprawić jej należyty

pochówek w rzece?

- Jeśli tylko nikt nie będzie wiedział, czyje to prochy, tak, trzeba ją tak uhonorować. Kiedyś

wyrządziłem jej wielką krzywdę. Teraz już nigdy tego zła nie naprawię. Jej synowie jednak

wciąż pozostają pod moją opieką. Tak uczczę jej pamięć: dopilnuję, by włos nie spadł im z

głowy, i jeśli zechcą, pomogę im osiągnąć szczęście w przyszłości.

- Więc jesteśmy przyjaciółmi? - spytał Kil. - Nie wiem, co mogę zaoferować takiemu

magowi jak ty. O moich mocach w porównaniu z twoimi nie warto wspominać.

- Nie magia określa człowieka, tylko to, co z nią robi, jak i ze wszystkimi innymi szansami,

jakie dostaje.

- Mówisz tak, jakby to było stare powiedzenie, ale nigdy go nie słyszałem.

- Poznałem je w dzieciństwie, przeszło czternaście wieków temu, i w innym języku.

Kil przyjął tę informację ze spokojem.

- Pewnego dnia chciałbym od ciebie coś na ten temat usłyszeć. Jak człowiek może tak

długo żyć. Jak zachowałeś swoje wrota, kiedy Złodziej Wrót zabrał wszystkie pozostałe. Jaką

krzywdę wyrządziłeś Anonoei i w jakich okolicznościach zostałeś kochankiem królowej.

- W to, co mógłbym ci powiedzieć, nie uwierzyłybyś, a tego, w co byś uwierzył, nie ośmielę się ci powiedzieć - odparł Klucha. - Ale wiem, że dobrze służyłeś Iswegii i że jeśli wybuchnie wojna z Grayem, Iswegia będzie miała potężną flotę tylko dzięki twojemu geniuszowi i twojej przebiegłości. To wnosisz do naszego przymierza: swoją lojalność, umiłowanie ojczyzny, inteligencję, zaradność i głęboką dobroć, którą Anonoei podziwiała.

Kilowi znów wezbrał w gardle szloch, zdołał go jednak zdusić.

- Niewielu, oprócz ciebie i mnie, kiedykolwiek się dowie, jak wielkie Anonoei miała serce i jak wiernie służyła królowi Prayardowi i ludowi Iswegii.

- Wszyscy się o tym dowiedzą, jeśli jeden z jej synów pewnego dnia odziedziczy to królestwo - stwierdził Klucha. - Teraz jednak już czas, żebyś udał się w miejsce, gdzie rybacy znajdą królową Bexoi. Powiedz, dokąd mam cię przenieść. Albo sam tam pójdz, żeby postronni świadkowie uznali, że załatwiałeś jakieś sprawy służbowe i czysty przypadek zrządził, że rybacy oddali wyłowioną z wody królową akurat w twoje ręce.

Kil zaproponował dok, w którym robotnicy remontowali statek, szykując go do dalekiego rejsu.

- Będę tam za dziesięć minut. I mam dość roboty, by zostać przez drugie dziesięć.

- Upewnij się, że jakaś łódź rybacka wpływa albo wypływa z portu - polecił Klucha. -

Królowa uderzy w jej burtę.

- W pobliżu portu zawsze jest co najmniej jedna, a zwykle kilkanaście.

- To pozbieraj szczątki Anonoei. Ja w tym czasie rozbiore królową.

Kil szybko zebrał z podłogi prochy Anonoei, wraz z jej na poły zwęglonym odzieniem, i wsypał je do misy, w której zwykle trzymał orzechy, teraz rozrzucone na jego sekretarzyku.

Klucha zaczekał, aż zostanie sam, zanim zdjął Bexoi bieliznę. Bądź co bądź, była królową, a on

niegdyś ją kochał. Kiedy położył dłonie na jej bezwładnym ciele, kiedy jego palce dotknęły jej cieplej skóry, falą powróciły dawne uczucia. Niegdyś gorąco ją kochał, tak jak chłopak kocha swoją pierwszą miłość, bo i była jego pierwszą miłością po długiej amnezji wewnątrz drzewa, sam zaś wtedy znów był tylko chłopcem, choć szybko obudziły się w nim dawne wspomnienia, a z nimi wiedza o tym, jak zaspokoić kobietę. Z przyzwyczajenia pogłaskał ją palcami jak wtedy, kiedy się ze sobą kochali, ale złapał się na tym i przestał. Nie była już kobietą, w której się zadurzył. Teraz była morderczynią ich syna, chłopca, którego ona nazywała Dziecięciem Przysięgi, a on Figlem, i jej nie kochał. A mimo to dawne uczucia były tak silne, że ledwo mógł je odpędzić. Musiał wstać i pochodzić w kółko po izbie, aż w końcu uznał, że Kila nie ma już tak długo, iż warto sprawdzić, jak sobie radzi.

Tak, był w doku, pochłonięty rozmową z brygadzystą i paroma robotnikami. Klucha spojrzął na wodę i wybrał sunącą pod prąd, do portu, łódź z czterema długimi wiosłami i na oko względnie czujną załogą.

- Nie próbuj zaczerpnąć powietrza - powiedział do królowej Bexoi - a nic ci nie będzie.

Jeśli nie panujesz nad swoim ciałem na tyle, żeby wstrzymać oddech, rybacy na pewno cię ocucą.

Zaufaj mi, skoro nie pozwoliłem, byś zginęła od ognia, nie dam ci też utonąć ani zamarznąć na śmierć. Obiecuję, że cokolwiek ci ludzie zrobią, żeby cię ocucić i ogrzać, będzie skuteczne.

Przeniósł ją wrotami do wody, tuż pod powierzchnię, tak żeby wynurzyła się między wiosłami przy lewej burcie. Widział, jak rybacy zobaczyli ją i wciągnęli na pokład. Zauważył z zadowoleniem, że jest zdolna się krztusić, prychać i łapać powietrze - to znaczyło, że nie była sparalizowana. Kiedy jednak załoga zarzuciła ją pytaniami, Bexoi nie powiedziała nic. Zabrali ją na brzeg, gdzie Kil rozpoznał królową, okrył jej nagie ciało i odeskortował ją do Nassassa. W zamku król Prayard wynagrodził rybaków, jak i samego Kila, za to, że przynieśli jego żonę i nienarodzone dziecko.

*

Potem Klucha patrzył, jak Danny North wysyła wszystkich magów z Mittlegardu na Westil, pilnując, by każdy natychmiast wrócił. Chłopak był pojętny. I ostrożny. Jeśli Klusze pisane było utracić swoje wrota na rzecz większego Ojca Wrót, wypadało podziękować losowi za to, że tym Ojcem Wrót okazał się tak odpowiedzialny, inteligentny i podatny na perswazję młodzieniec.

W ciągu dnia wiele razy zaglądał do Bexoi, lecz ani się nie odzywała, ani nie robiła nic, co można by uznać za świadomą czynność, choć oddychała i jadła dostarczane posiłki. Jeśli tylko zachowywała pozory, była w tym zadziwiająco konsekwentna; ktoś mniej sprytny po prostu udawałby pogrążonego w śpiączce, a wtedy łatwo byłoby poznać, że w rzeczywistości jest przytomny. Symulując katatonię, mogła mieć otwarte oczy - bo ktoś mógł je jej otworzyć - i widzieć otoczenie; jej oddech mógł zdradzać reakcje na to, co dzieje się wokół, nie budząc podejrzeń co do autentyczności jej stanu.

Oczywiście, istniała też możliwość, że Bexoi nie udaje. Chociaż w jej przypadku to mało prawdopodobne.

Wreszcie, późnym wieczorem, Klucha pozwolił sobie na luksus, jakim był sen.

Obudziło go gwałtowne poruszenie jego zewnętrznego ja. To były wrota, które oddał Danny'emu Northowi. Nie były już podporządkowane Klusze, ale wciąż stanowiły jego część i ich nerwowość, ich paniczny strach w nim też rozbudziły lęk. Usiłował zrozumieć obrazy docierające do nich z umysłu Danny'ego.

Chłopak myślał, że śni, ale nie śnił. W jego łóżku była kobieta, kobieta, której nie kochał ani nie pragnął. Wiedział, że jej nie pragnie, lecz pragnęło jej jego ciało, więc dalej wierzył, że to tylko sen, albo udawał przed sobą, że w to wierzy.

Ale właśnie owo poczucie nierzeczywistości uprzedziło zewnętrzne ja Kluchy o

niebezpieczeństwie. Klucha wiele razy widział opętanie na własne oczy i jego Ba pamiętało, jak to się dokonuje. Wielu Sutahitów to wchodziło, to wychodziło z Danny'ego Northa, delikatnie, tylko po to, by szeptem dodać mu otuchy. Nic ci nie grozi, mówili bez słów. Co złego może się stać? To sen. Nic z tego nie dzieje się naprawdę.

Klucha dołączył do oddanych przez siebie wrót, by razem z nimi krzycheć do chłopaka, uzmysłowić mu niebezpieczeństwo. Sutahici nie zawracaliby sobie głowy kimś, kto miał tak silną wolę jak Danny North. Nie mogli go posiąść; wypędziłby ich bez trudu. Co mieli do zyskania, zachęcając go, by obcował z tą dziewczyną? I skąd w ogóle się tam wzięła? Było w niej coś, co bardzo, bardzo chciało intymnego zbliżenia między jej ciałem a ciałem Danny'ego Northa. Coś, co pragnęło mieć prostą drogę przejścia z jednego ciała w drugie. To był Set, Smok, podejmujący pierwszą próbę ataku na największego Ojca Wrót w dziejach świata. I wyglądało na to, że próba się powiedzie, bo chłopak był nastolatkiem, w którym łatwo rozpaść żądzę, był potwornie zmęczony i właśnie budził się z mocnego snu, a poza tym znał tę dziewczynę i nie bał się jej. Wszystko to sprawiało, że choć Danny czuł głęboko w sobie lęk i docierały do niego przestrogi płynące z wrót Kluchy, nie był w stanie oprzeć się pokusie.

Nie tylko obcował z dziewczyną, ale i powiedział „tak”, kiedy jej głos poprosił o zgodę na to, by w niego wniknąć.

Głupiec. Głupiec!

Nie Danny - miał taki zamęt w głowie, że owszem, postąpił głupio, ale tylko tak głupio, jak głupio na jego miejscu postąpiłby każdy chłopak.

Głupcem był Klucha. Kiedy Danny, grzebiąc w jego pamięci, tak wyraźnie mu wszystko przypomniał, sam pojął to tylko częściowo. Klucha powinien był wtedy rzucić to, co robił, wrócić do niego Wielkimi Wrotami i wyjaśnić wszystko od początku do końca, nie tak mgliście,

jak mgliste były wizje Danny'ego, lecz z klarownością płynącą z jego własnych wyrazistych wspomnień i z tego wszystkiego, co wiedział, a co wykraczało poza informacje uzyskane od Kawaba podczas rozmowy na pustyni.

Powinienem był go przygotować na to zagrożenie. Ale w mojej arogancji i samotności uznałem, że wystarczy, że ja mam tę wiedzę. Dlaczego tak pomyślałem? Jestem na Westilu.

Danny był w niebezpieczeństwie, Danny'ego należało uprzedzić, jak to się dokonuje, a ja zdradziłem go swoim milczeniem, swoją zwłoką.

Teraz wszystko stracone. Set dopadł go w swoje szpony i może stworzyć tyle Wielkich Wrót, ile chce, może stworzyć ich tysiąc. Może zalać Westil, świat Mitherholm, swoimi Sutahitami, którzy zastaną tam lud całkowicie niezdolny im się przeciwstawić. Wszystkie moce magów Mitheru znajdą się w ich rękach, spotęgowane tyłoma przejściami ze świata na świat, ile będzie im potrzeba czy ile zechcą.

Wszystko, czemu próbowałem zapobiec, stało się faktem. Co z tego, że opóźniłem ten dzień o czternaście stuleci? Przez ten czas nie wydarzyło się nic poza tym, że suszłacy stworzyli straszliwe rodzaje broni, które teraz dostaną się w ręce magów, zdolnych nimi władać albo skłonić suszłackie armie, by ich użyły. Ile czasu trzeba, by te mordercze maszyny trafiły na Mitherholm? Jak szybko zostaną użyte i zniszczą Mitherholm razem z Mittlegardem? A kiedy oba te światy legną w gruzach, Set odniesie swój upragniony triumf nad Duat.

I w tej chwili rozpaczy Klucha poczuł ze zdumieniem, że ogarnia go uczucie mocy i więzi.

Było to dla niego zupełnie nowe, nieznanne doznanie, bo nigdy wcześniej nie oddał swoich wrót. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, skąd się wzięło: jego wrota wracały do niego.

Nie miał ich; wciąż znajdowały się w skarbcu serca Danny'ego. Ale stały się jego własnością. Od tej chwili tylko jemu będą posłuszne. Jeśli Set poprzez Danny'ego spróbuje stworzyć z nich wrota, nie usłuchają go, wrócą do Kluchy. Klucha nie był pewien, czy Danny

zdaje sobie z tego sprawę. Prawdopodobnie wiedział tylko, że nie ma już nad nimi władzy, a tym samym są poza zasięgiem Seta.

Chłopak był dzielniejszy, niż Klucha przypuszczał. Danny teraz już musiał być świadom, że przegrał bitwę, ale się nie poddawał. Wewnątrz własnego ciała, którym Set z pewnością sterował jak mag zwierząt bratem serca, Danny North wciąż pozostawał sobą i był w stanie zrobić coś, czemu Set nie potrafił zapobiec.

Ponieważ jednak Danny nie miał mocy, by uwolnić wrota zniewolone w jego skarbcu serca, ten dar tylko trochę osłabi Seta. Tak naprawdę to próżny gest.

A może nie tak próżny, jak się zdawało. Klucha potrafił bowiem robić pewne rzeczy, które wymagały posiadania wielkiej liczby wrót - a zawsze sądził, że miał ich mnóstwo, dopóki nie poznał Danny'ego Northa; jego własny skarbiec serca w porównaniu ze skarbcem serca tego chłopaka okazał się mały i płytki. Może i nie miał swoich wrót przy sobie; może i nie mógł robić z nich czynnych wrót; ale były to jego wrota i jeśli wchłonie wrota innego maga, ta zdobycz zwiększy jego siłę. Jeśli będzie ostrożny i przebiegły, może mimo wszystko znajdzie sposób, by przeciwstawić się Setowi. A przynajmniej na jakiś czas pohamować jego zapędy.

Na początek mógłby wchłonąć zbuntowane wrota wplecione w Dzikie Wrota, które młoda Greczynka odebrała Danny'emu. Niestety, połowa Wielkich Wrót prowadzących na Westil i całe wrota powrotne składały się z wrót Danny'ego, te więc zostaną na miejscu.

Klucha wciąż szukał możliwych zastosowań swojej odrodzonej mocy, kiedy nagle uderzyła w niego siła tak potężna, że jego ciało ledwo to wytrzymało. Padł na ziemię, z trudem łapiąc powietrze i pojękując. Uczucie było tak silne, że nie potrafił stwierdzić, czy to ekstaza, czy ból.

Dopiero po chwili zrozumiał, co się stało.

Danny North oddał mu swoje wrota. Cały swój wydawało się nieprzebrany zasób wrót.

Teraz ten jego wrodzony dar podporządkowany był Klusze i tylko Klusze.

Danny wciąż był z nimi związany; wciąż stanowiły część jego Ba. Jednak niemal równie mocna więź łączyła je z Kluchą. Dawała mu moc.

Dzięki temu, że odzyskał własne wrota, Klucha mógł połknąć wrota każdego maga oprócz Danny'ego Northa, jego siła miała się bowiem do siły Danny'ego jak księżyc do słońca.

Ale wzmocniony wrotami Danny'ego, był w stanie wchłonąć wszystko, co zechce.

Nadal mógł stworzyć tylko tych ośmioro wrót, które Danny North zostawił mu po ich pierwszym starciu. Jednak w każdej chwili mógł to zmienić.

Nie miał jak sięgnąć po wrota, które Danny trzymał w swoim skarbcu serca - Set mógł zmusić Danny'ego, by je zachował, i w ten sposób zapobiec ich stworzeniu.

Lecz wrota, które znajdowały się na zewnątrz ciała Danny'ego, stworzone, zanim dopadł go Set, były do wzięcia. Bo dysponując całą siłą Danny'ego, Klucha miał wystarczającą moc, by połknąć wszystkie jego już powstałe wrota.

Zrobił to więc.

Najpierw wchłonął przesunięte przez Hermię Dzikie Wrota, włącznie ze wszystkimi jego dawnymi więźniami. Znowu znaleźli się w skarbcu serca Kluchy, podporządkowani jego surowej dyscyplinie. Krótco cieszyli się wolnością; pozbawieni jej, prawie od razu popadli w rozpacz i zamilkli.

Potem sięgnął po następne wrota, jedno po drugim, i wszystkie połknął. Ponieważ jednak wiedział, że Danny North zrobił je w określonym celu i że korzystali z nich jego przyjaciele, natychmiast je odtworzył, tym razem jako wrota jego, Kluchy, choć powstałe z wrót Danny'ego.

Subtelna zmiana, ale o ogromnych konsekwencjach. Gdyby Set zdał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, mógłby szybko przygarnąć do siebie wszystkie wrota stworzone przez Danny'ego. Cóż, kiedy miał niewielkie doświadczenie w opętywaniu magów wrót; wiedział tylko to, co wiedzieli magowie wrót, którymi do tej pory zawładnął, a takich nie

mogło być wielu. Nie zdawał sobie sprawy, jakie możliwości ma tak wspaniały Ojciec Wrót jak Danny North.

Teraz jednak istniejące na świecie wrota nie były dziełem Danny'ego, choć były jego wrotami. Set nie mógł go zmusić, by wciągnął je w siebie. Nie będą Danny'emu posłuszne. A ponieważ jego skarbiec serca został do cna opróżniony, nie zdoła zrobić nawet tego, co udało się Hermii - przemieścić wrót innego maga.

Klucha nie mógł się nadziwić pomysłowości tego chłopaka. Wrota połączone z amuletami, z których jego przyjaciele mogli korzystać w razie potrzeby szybkiej ucieczki. Łańcuszki wrót między różnymi miejscami, dostępne tylko dla tych, którzy wiedzą, gdzie skrywa się wejście. Klucha teraz zrozumiał, że Danny stworzył dla swoich przyjaciół suszłaków swoistą sieć ukrytych korytarzy, by zapewnić im bezpieczeństwo na wypadek, gdyby rodziny magów zwróciły się przeciwko nim. Chłopak darzył zwyczajnych ludzi miłością, z jaką Klucha nie spotkał się u żadnego maga - miłością, jakiej sam nigdy nie okazał, choć uważał się za przyjaciela suszłaków.

Z Wielkimi Wrotami było trudniej. Nie mógł ich rozebrać, a potem odtworzyć jako spójną całość. Długimi godzinami wciągał w siebie pojedyncze tworzące je nitki, które następnie wysnuwał z powrotem i wplatał w istniejące Wielkie Wrota, dokładnie w tym samym miejscu, w którym były przedtem. Musiał wyteńczyć całą uwagę, by zachować pierwotny kształt Wielkich Wrót, ale w końcu dopiął swego. Teraz Danny North nie miał już nad nimi władzy, a tym samym Set nie był w stanie przygarnąć ich do siebie.

To dopiero ironia losu, pomyślał Klucha. Wyszłoby prawie na to samo, gdybym wygrał naszą potyczkę, kiedy po raz pierwszy próbowałem pożreć wrota Danny'ego Northa. Jasne, w skarbcu serca Danny'ego została większość jego i większość moich wrót. Jednak na żadnym ze światów nie ma wrót, które będą mu posłuszne. Nie ma wrót, które zwiększą jego siłę. Jest tak

wyzuty z mocy, jakbym odebrał mu wszystkie wrota.

Pozostają w nim tylko wrota zniewolone. Nie może mi ich oddać. Ale jeśli Set spróbuje skrócić z nich Wielkie Wrota, będą zupełnie dzikie.

Klucha widział, jak Smok znęca się nad Dannym, by zmusić go do zrobienia czegoś, do czego chłopak był już niezdolny - oddania kontroli nad stwarzaniem wrót. Gra była względnie prosta: Smok groził Danny'emu, że go zabije i przeniesie się do innego ciała, jeśli Danny nie da mu tego, czego dać już nie mógł.

Zanim do Smoka dotarło, że Danny go przechytrzył, tak zmaltrutował jego ciało, że już tylko przejście przez wrota mogło uchronić chłopaka przed śmiercią. Z początku Set może i skłonny był dać mu skonać, by pokarać go za jego spryt, upór i nieposłuszeństwo. Potem jednak najwyraźniej ochłonął i zrozumiał, że w pobliżu nie ma nikogo innego. A oderwany od ludzkiego ciała Set znów stanie się słaby, niezdolny opętać żadnego człowieka, który ma choć krztynę siły woli.

Jeśli ciało Danny'ego umrze, Set będzie musiał czekać być może wiele tygodni albo miesięcy, zanim zawładnie ciałem wartym tego, by nim zawładnąć.

No i był jeszcze skarbiec serca Danny'ego. Tak wiele wrót - i tak wiele wrót zniewolonych, w tym te należące do Kluchy. Mimo że Set nie mógł z nich korzystać, to po śmierci Danny'ego nie skorzysta z nich na pewno.

Dopóki miał władzę nad ciałem Danny'ego i dopóki ciało Danny'ego żyło, mógł choć żywić nadzieję, że w końcu jakoś go skłoni do współpracy; a jeśli nie, mógł nakazać ciału Danny'ego zbliżyć się do innego człowieka na tyle, żeby szybko i sprawnie w niego przeskoczyć. Zawsze może zabić Danny'ego później, tak bez wątpienia myślał.

Stworzył więc jedno z nielicznych wrót pozostających we władaniu Danny'ego Northa - wrót zniewolonych. Stworzył je, a potem nasunął na ciało Danny'ego, uzdrawiając go.

I wtedy Danny zrobił coś, co Klusze wydawało się niemożliwe. Oddał wrota samym sobie. Ka, z którym wrota niegdyś były połączone, dawno nie żyło, dawno odeszło tam, dokąd odchodzą Ka zmarłych magów wrót. Jednak Ba wciąż było częścią tego ja, gdziekolwiek ono było, i choć Danny nie mógł go znaleźć, uznał, że Ba samo odszuka swoje Ka, oddał więc wrota samym sobie, a poprzez nie ich pierwotnemu stwórcy.

Skutek był taki, że Ba zniknęło. Tak po prostu. Danny nie rozebrał wrót - Set poznałby towarzyszące temu uczucie, nie dopuściłby do tego. Za to kiedy Danny dokonał aktu oddania wrót, Set nie miał pojęcia, co się dzieje. Bo z tego, co Klucha wiedział, on sam był pierwszym magiem w dziejach, który oddał wrota innemu magowi. A Danny przejął od niego tę nową technikę, opanował ją, a potem zastosował w sposób, jaki Klusze nie przyszedłby do głowy. Ciało Danny'ego zostało uzdrowione, Set był zaszachowany. Cały jego zasób ograniczył się do dawnych jeńców Kluchy i teraz już wiedział, że ilekroć takie wrota stworzy, będzie mógł z nich raz skorzystać, ale zaraz potem przepadną. Danny North uwolni je, pozwoli im umrzeć i zniknąć. I choć tych wrót były setki, zapas szybko się wyczerpie, jeśli Set będzie ich używał bez opamiętania.

Jeżeli narodziny Danny'ego Northa rzeczywiście były gigantycznym psikusem czasoprzestrzeni, to trzeba przyznać, że figiel się udał. Bo mimo że Danny starał się być przyzwoitym człowiekiem, miał serce psotnika i oto znalazł sobie ofiarę. Set myślał, że nim zawładnie, i nawet tego dokonał; a jednak Danny pokrzyżował mu plany, choć oznaczało to, że po odejściu Seta zostanie w nim zupełna pustka. Jeśli Set daruje mu życie, Danny będzie magiem wrót bez wrót, jak wszyscy magowie, których skarbce serca niegdyś opróżnił Klucha.

Rzadko się zdarzało, by mag zdobył się na takie poświęcenie. Opętani magowie zazwyczaj się poddawali, szybko podporządkowywali się woli Sutahity, a potem stawiali się jego współnikami, posłusznymi mu, ale jednocześnie czerpiącymi korzyści z bezwzględnie

stosowanej mocy.

Danny North mógł pójść tą drogą. Set posłużyłby się jego wrotami, by zostać najpotężniejszym magiem w dziejach i narzucić innym magom swoją wolę. Wówczas naprawdę stałby się Wielkim Smokiem, panem dwu światów, manipulującym ludzkością, i magami, i suszłakami. Byłby magiem nad magami, bogiem nad bogami, przynajmniej w oczach suszłaków. Kobiety, pieniądze, władza nad wszystkimi. Danny mógłby pokarać każdego, kogo nienawidził; Set nie miałby skrupułów przed odebraniem życia człowiekowi, wielu ludziom. Chłopak jednak to wszystko odrzucił, odciął się od tego bez nadziei na odzyskanie swojej mocy, żeby Set nie mógł z tej mocy korzystać. Żeby Westil był bezpieczny. Żeby wysiłki Kluchy nie poszły na marne.

Danny, podziwiam twoją odwagę. Oddaję hołd twojemu sprytowi. Współczuję ci poniesionej przez ciebie straty.

Bo nawet jeśli Set przeniesie się do kogoś innego, nawet jeśli nie zabije cię w zemście za to, że go przechytryłeś, nie łudź się, że kiedykolwiek oddam ci te wrota. Wcale nie chcę być tak szlachetny jak ty. Przez pewien czas byłeś większym magiem ode mnie. Teraz znowu ja jestem największym Ojcem Wrót na świecie, a ty - nikiem. Nigdy z tego nie zrezygnuję. Jestem Złodziejem Wrót i dzięki twojej szlachetności zwyciężyłem.

POSŁOWIE

Ci, którzy liczą na posłowie stanowiące przedłużenie wątków zawartych w książce, będą zawiedzeni. Chciałbym bowiem pomówić trochę o praktycznych trudnościach, którymi w zasadzie przejmować się muszą tylko twórcy opowieści.

Ta książka ukazała się z półrocznym poślizgiem, ale miało to uzasadniony powód. Gdybym

wciąż był młodym autorem *Mistrza pieśni* i *Planety Spisek*, czy nawet już nie tak młodym autorem *Saints* i *Gry Endera*, dostarczyłbym ją w terminie. I byłaby to zupełnie innego rodzaju literatura.

Przez lata, które upłynęły mi na pisaniu, nauczyłem się tego i owego o strukturze narracji. I gdy zacząłem pisać niniejszą książkę - wystarczająco wcześnie, by ukończyć ją na umówiony termin - uświadomiłem sobie, że jej struktura jest całkowicie błędna. Planowałem przedstawić historię wojen magów Mitheru, których moce uległy spotęgowaniu - tym samym przenosząc ukazany w *Iliadzie* i *Odysei* świat bogów mieszających się w ludzkie sprawy w realia współczesnych nam wojen.

Wtedy jednak uprzytomniłem sobie, że nie mogę dobrze opowiedzieć tej historii, wprowadzając konflikt z Setem dopiero na samym jej końcu. Niebezpieczeństwo ze strony maga Bela musiało być od początku do końca trzonem tej opowieści, inaczej wydawałoby się czymś dosztukowanym na siłę, postscriptum do zakończonej już właściwej historii. Jak tłumaczę moim studentom, trzeba obiecać czytelnikowi opowieść, która będzie miała swój finał. Zakończenie tej serii będzie wymagało rozstrzygnięcia walki z Setem. Jak pojawienie się obdarzonych spotęgowanymi mocami magów Mitheru zepchnie w cień wojny i geopolitykę świata suszłaków, tak wojna z Setem musi wziąć górę nad wszystkimi innymi sprawami w umysłach tych nielicznych postaci, które wiedzą, co się naprawdę dzieje.

Kiedy już do mnie dotarło, czego wymaga struktura powieści, zrozumiałem, że nie jestem gotowy opowiedzieć tej historii. Wszystkie moje przemyślenia, cała moja praca nad fabułą obracała się wokół „zwykłych” magów Mitheru, o magii magów wrót i zaklinaczy ludzi miałem tylko mgliste pojęcie. Żeby opowiedzieć tę historię, musiałem rozwinąć bardziej skomplikowane zestawy reguł. Co właściwie robi zaklinacz ludzi? I co robi mag wrót? Skutek był taki, że musiałem pracować nad tymi rodzajami magii jak nad science fiction,

zastanowić się, jak działają i dlaczego tak właśnie działają, poznać ich właściwości i ograniczenia.

Dlatego zamiast dostarczyć książkę pierwszego maja, w gruncie rzeczy zacząłem ją od nowa - co zawsze jest przygnębiającą nowiną dla redaktora ufającego, że autor dotrzymanie terminu. Jednak Beth Meacham, moja redaktorka przez prawie całą moją karierę, rozumie też, że lepiej, bym dostarczył najlepszą książkę, jaką jestem zdolny napisać, niż taką, której główną zaletą jest to, że jest gotowa na czas. Cierpliwość Beth jest nadzwyczajna, bo cierpliwość redaktora nie oznacza bezczynności. Musi on zbyć i udobruchać ludzi z marketingu dociekających, kiedy (i czy w ogóle) przyobiecana książka się pojawi; musi podjąć decyzję, czy przechodzić przez kosztowny i przykry proces zmiany planów wydawniczych.

Na szczęście jej pracodawca, a mój wydawca, Tom Doherty, podziela nasze poglądy na literaturę - że ważniejsze, by coś było dobre, niż żeby było gotowe na teraz. Moją powinnością zaś jest postarać się o to, by wszelkie opóźnienia w ostatecznym rozrachunku się opłaciły.

Traf chciał, że w tym samym czasie słuchałem wykładów o starożytnym Egipcie z serii Great Courses. Kiedy w jednym z nich usłyszałem, jak bardzo Thoth przypominał Hermesa i Merkurego - między innymi tym, że też uzdrawiał i miał dar do języków - uświadomiłem sobie, że zaadaptowanie nieco zmodyfikowanych egipskich podań do udostępnionej przeze mnie indoeuropejskiej mitologii mogłoby przynieść mi wiele korzyści. Ka i Ba odpowiadały - a przynajmniej po drobnych przeróbkach mogły odpowiadać - wewnętrznemu i zewnętrznemu ja w sensie, w jakim używam tych terminów w serii o magach Mitheru. To pozwoliło mi nadać imię bogu Belowi, którego wzięłem z tradycji semickiej i biblijnej. Set to cudownie niebezpieczny wróg. I w miarę jak wymyślałem otaczające go legendy, wiążące go ze smokiem z Apokalipsy, mechanizm zaklinania ludzi stał się czymś bogatym, fascynującym i bardzo zbliżonym do opracowanych już przeze mnie reguł rządzących magią wrót. Innymi słowy, obie magie

połączyły się w spójną całość, i to taką, która moim zdaniem w znacznym stopniu - metaforycznie biorąc - odpowiada rzeczywistości.

Wymyśliwszy potrzebny mi świat, musiałem znaleźć sposób, by objaśnić go czytelnikom.

Było to trudne, gdyż zdecydowałem, że Ka i Ba muszą porozumiewać się ze sobą wyłącznie na płaszczyźnie pre- i niewerbalnej. Nie komunikujemy się z naszymi umysłami i ciałami za pomocą języka, więc kiedy Ba Kluchy-Lokiego próbuje podzielić się swoimi wspomnieniami z Ka Danny'ego Northa, musi się to odbyć bez użycia słów. A książki pisane są słowami. To było naprawdę niełatwe zadanie: jak oddać słowami coś, co z założenia miało być nimi niewyrażalne. Mam nadzieję, że większość czytelników uzna, że podołałem temu wyzwaniu.

W miarę jak wzbogacałem swoją wiedzę o zaklinaczach ludzi, postać Anonoei zyskiwała coraz większe znaczenie. Zasiadając do pisania tej powieści, nie przypuszczałem, że Anonoei odegra w niej istotną rolę; ona jednak się uparła, by stać się kimś ważnym - wraz ze swoimi synami - i w trzecim i ostatnim tomie cała trójka wyjdzie na pierwszy plan.

Kolejnym kłopotem było to, jak nie ugrzęznąć w sprawach magii do tego stopnia, żeby stracić z oczu świat rzeczywisty - to znaczy nasz świat i miejsce w nim Danny'ego. Ogromnie zależało mi na tym, by jego przyjaciele stali się zapadającymi w pamięć postaciami i żeby Danny się na poważnie zakochał. Ci uczniowie szkoły średniej nie powinni być tylko tłem dla Danny'ego, osobami, z którymi rozmawia po to, żebyśmy my mogli się dowiedzieć, co myśli. W tej powieści reprezentują nas, suszłaków, szarych ludzi, którzy lękają się bogów, jeśli w nich wierzą; a niewiele spotkałem osób, które nie miałyby takiej czy innej koncepcji boga, bez względu na to, czy określają go tym mianem, czy nie. Jak zareagowałyby te nastolatki, gdyby ich nowy kolega z klasy okazał się odpowiednikiem Hermesa, Merkurego, Lokiego i Thotha? Motywem stale przewijającym się w mitologii jest zadziwiająca płodność bogów - można odnieść wrażenie, że połowa ludzkości to ich potomkowie z nieprawego łoża. Ci niejednokrotnie

rodzą się wskutek gwałtu (jeśli tak należy rozumieć mity o porywanych przez bogów niewiastach), jednak faktem jest też, że pewne kobiety czują nieodparty pociąg do wpływowych mężczyzn. Jak zauważył Henry Kissinger, władza to największy afrodyzjak. Oczywiście, nie dotyczy to ani wszystkich kobiet, ani wszystkich wpływowych mężczyzn. Danny North jednak nie musiałby wyglądać jak młody George Clooney czy Robert Redford, żeby zwrócić na siebie uwagę - a co dopiero rozpałcić żądze - pewnej grupy młodych kobiet. Jego moc, inteligencja i, wypada dodać, wrodzona dobroć tak czy tak uczyniłyby go obiektem westchnień wielu dziewczyn z powodów tak różnych, jak różne są same dziewczyny.

Skutek był taki, że mój pierwotny plan tej książki dziś jest już tylko zabawnym odrzutem; to, co z niego ocalało, znajdzie się w trzecim tomie, podczas gdy większości z tego, co cenne w niniejszej książce, w ogóle w tym planie nie zawarłem. Historie rodzą się w trakcie ich opowiadania - jeśli tworzy się je, jak należy - a to znaczy, że postacie i sytuacje, które biorą się znikąd, mogą rozrosnąć się w wydajne kopalnie, z których wyjeżdżają wagoniki wyładowane bogatą w metal rudą. Na ile udanie ją oczyszczam, to inna sprawa. Myślę jednak, że ruda, z której wytopiłem tę powieść, zawiera dużo szlachetniejszy metal niż ta, którą zamierzałem wykorzystać pierwotnie.

Skąd to jednak możemy wiedzieć? Ta poprzednia wersja nigdy nie powstała; nie napisałem ani jednego jej słowa. Istniała w mojej głowie, więc dla mnie jest czymś rzeczywistym; żaden student jednak nigdy nie przeanalizuje różnic między poszczególnymi wersjami, bo książka, którą właśnie przeczytaliście, jako jedyna z nich została faktycznie przelana na papier.

Jak snuć opowieść, by była zrozumiała i ciekawa dla czytelników, którzy sięgając po książkę, siłą rzeczy nie wiedzą o fabule prawie nic, a na końcu muszą zrozumieć wszystko?

Uważam, że podstawą dobrej struktury jest to, by wprowadzić wszystkie kluczowe informacje możliwie najwcześniej, tak żeby w momentach kulminacyjnych wszystko dla czytelnika było

jasne właśnie dzięki uprzednim wyjaśnieniom. Czyli miejsce ekspozycji jest na początku.

Czytelnicy jednak nie zniosą opowieści, która zaczyna się samą ekspozycją.

Najlepszym rozwiązaniem w tej sytuacji jest to, by bohater, którego oczami oglądamy świat powieści, wiedział niewiele więcej od czytelnika. Wówczas czytelnik dowiaduje się wszystkiego równocześnie z nim.

Co jednak, jeśli wiedza bohatera jest przy tym mglista i wysoce subiektywna? I po czym poznać, czy dana scena nie jest przeładowana informacjami? Nuda i niejasność to pewne sposoby na to, żeby zrazić czytelników do książki, sprawić, że ją zamkną i więcej do niej nie zajrzą.

Należy więc na każdym kroku doprawiać oświecenie wystarczającą dozą słodyczy, by czytelnik pozostał z autorem, by stale poznawał nowe fakty, ale jednocześnie czerpał radość z czytania ciekawej historii. To nie jest podstęp - przebrnij przez nudny fragment, a zobaczysz, potem będzie się działo. Wręcz przeciwnie, ciekawe fragmenty nie mogą się obyć bez poprzedzających je wyjaśnień, jednak same wyjaśnienia również muszą stanowić część fabuły, bo inaczej powstanie wrażenie, że akcja książki nagle się zatrzymuje, by autor mógł uzupełnić braki w wiedzy czytelnika. Jest to tak subtelny taniec, że większość pisarzy na ogół sobie z tym nie radzi. I większość z nas zdaje sobie sprawę, że nigdy nie odkryjemy idealnego sposobu opowiadania historii; taki prawdopodobnie nie istnieje. Po prostu tańczymy, jak umiemy, w nadziei, że wciągniemy was na tyle głęboko w mechanizm kreowanego przez nas świata, że przechodząc od wydarzenia do wydarzenia, zawsze będziecie wiedzieli, gdzie jesteście i co się dzieje, i zawsze będziecie rozumieli, o co dokładnie toczy się gra.

Jest to niezwykle trudne nawet wtedy, gdy książka rozgrywa się w świecie

„rzeczywistym”; kiedy sam świat wymaga objaśnień, wprowadzenie w akcję staje się straszliwym ciężarem. Skutek jest taki, że niektórzy pisarze poprzestają na pobieżnym przedstawieniu świata powieści i ratują się stereotypami zapożyczonymi od wcześniejszych

twórców podobnej literatury. Inni włączają do książki każdy szczegół kreowanego przez siebie świata, czy jest istotny dla fabuły, czy nie, jakby uważali, że wszyscy czytelnicy powinni nauczyć się na pamięć *Silmarillionu*, zanim godni będą sięgnąć po *Władcę Pierścieni*.

W ten zawiły sposób chcę powiedzieć, że im lepszy stworzony przez ciebie świat, tym trudniej wprowadzić weń czytelnika. A czasem świat ten jest tak bogaty, tak głęboki, że sama opowieść do niego nie dorasta.

Usiłując napisać historię godną wykreowanego przez ciebie świata, czasem nie dotrzymujesz terminów; samo przedłużenie pracy jednak nie gwarantuje powodzenia. Moją najpopularniejszą książkę napisałem jednym ciągiem, szybciej niż to mi się wydawało możliwe. Nie znaczy to też jednak, że szybko napisana opowieść automatycznie musi być dobra. Każda historia stawia przed autorem inne, jedyne w swoim rodzaju problemy. Tak się po prostu złożyło, że te, które musiałem rozwiązać, żeby napisać *Złodzieja Wrót*, należały do najtrudniejszych i pod względem twórczym, i warsztatowym, z jakimi zmierzyłem się w mojej pisarskiej karierze.

Tak to już bywa, kiedy człowiek jest starszy i bardziej doświadczony. Decyzje, które byłyby „dostatecznie dobre”, gdy miałem trzydzieści lat, dziś, w wieku lat sześćdziesięciu jeden, wydają mi się pójściem na łatwiznę. Umiem pisać lepiej niż kiedyś; ale większa wiedza zazwyczaj oznacza, że muszę ciężiej pracować, więcej wymyślać i znajdować rozwiązania coraz trudniejszych problemów z wprowadzeniem w akcję książki. Dlatego pisarze nigdy nie przechodzą na emeryturę. Jeśli wykonujemy nasz fach należycie, nieustannie uczymy się go od nowa; zawsze jesteśmy początkującymi twórcami szukającymi po omacku pewnego gruntu pod nogami, po którym posuniemy się naprzód.

